

**IRENA MATUSZKIEWICZ**

**Gry nie tylko Miłosne**

Ani i Kasi

Cisza! Akcja! Zawsze, przed każdym ujęciem tak krzyczą. Przy stole siedzi Winicjusz w szkarłatnej tunice, wyszywanej w srebrne palmy, tuż obok ona, Julia, w białym peplum. Rozprasza i śmieszy ją wieniec nad czołem mężczyzny, więc nie patrzy na róże, tylko na czarne brwi, na cerę smagłą i oczy przepyszne. Czuje, że jego silne palce ściskają jej rękę. Wargi mu drżą, gdy szepcze:

- Ja ciebie kocham, Kallino... boska moja!

Teraz jej kolej. Przez moment ma ochotę zmienić tekst scenariusza, ale nie, jeszcze nie pora na wyznania. Musi zagrać przestach i zawstydzenie. To nic trudnego.

- Marku, puść mnie - prosi cicho.

Nie puszcza. Patrzy z uwielbieniem i pożądaniem.

- Boska moja! Kochaj mnie!

Czekają na ciche słowa Akte. Greczynka już otworzyła usta, by powiedzieć, że Cezar zwrócił na nich swoją boską uwagę. Zamiast tego nie wiadomo czemu spytała:

- Czy Chochla przyniósł założenia programowe?

Julia zamrugała szybko, jakby ocknęła się z najpiękniejszego snu. Diabli wzięli scenę uczyty w pałacu Nerona. Zniknęło wielkie triklinium z tysiącem płonących lamp, rozstał się tłum gości. Zamiast smagłej twarzy Winicjusza zobaczyła nad sobą starannie umalowane oczy Edyty.

- Kto? Co? - spytała niezbyt przytomnie.

- Usnęłaś? Pytam, czy był tu Chochla i zostawił papiery dla szefa. Jeżeli za moment stary nie zobaczy założeń programowych, pęknie na sto kawałków. Wszystkim się dostanie, tobie też.

- Kicham na jego szczątki, niech inni biorą - bąknęła Julia. Edyta machnęła ręką. Nie miała czasu na zbędne dyskusje, musiała

natychmiast znaleźć kierownika komórki organizacyjno-prawnej i wydrzeć mu z gardła nieszczęsne założenia. Uparcie wystukiwała numer gabinetu na przemian z numerem domowym.

- I gdzie ten rozciapciany dżez łązi? - denerwowała się, patrząc z niechęcią na głuchą słuchawkę. - Mam go dostarczyć żywego!

- Nie po to się chował, żeby teraz dać się nakryć jak dziecko - powiedziała cicho Julia.

Zdążyła już oprzytomnieć i rozumowała całkiem logicznie. Krótko pracowała w Budampoleksie 2, jednak to i owo wiedziała. Gdyby Chochła miał te założenia, warowałby w sekretariacie od samego rana. Nie było założeń, nie było kierownika.

Edyta weszła do naczelnego z pustymi rękami i pionową zmarszczką na czole. Z gabinetu docierały odgłosy poniedziałkowej narady, popularnie zwanej operatywką. Na dobrą sprawę wcale nie trzeba było siedzieć w środku, by zgłębić tajniki przetargów, leasingu, podbijania cen, a nierzadko też posłuchać soczystych epitetów.

- Kallino moja! - szepnął namiętnie Marek.

- Urwę temu patałachowi rodowe klejnoty! - wrzeszczał dyrektor za zamkniętymi drzwiami.

Julia jęknęła. Gdzieś daleko poza nią trwał cudowny świat teatrów i planów filmowych. Długonogie modelki i niedoszłe dziennikarki biegały na castingi, chwytaly najlepsze role, a ona co? Też długonoga, też zdolna i niepozbawiona ambicji artystycznych, zamiast zadziwiać świat urodą i talentem, tłumaczyła z angielskiego instrukcję obsługi kombajnu budowlanego. Instrukcja miała tyle wspólnego ze sztuką, co operatywki i obleśny kierownik Chochła, czyli nic a nic! Wracając po studiach do rodzinnego miasta, Julia zdradziła wzniosłość na rzecz popolitości, osobiście podeptała szansę na sukces. To była najgłupsza decyzja w moim życiu, myślała z goryczą. Powinnam ostro postawić się staruszkom i żyć po swojemu. A tak, co mnie czeka? Nuda i tylko nuda. W tym zapyziałym grajdołku nic się nie dzieje i nie będzie działa.

Oszalały ryk telefonów sprowadził ją na ziemię. W jednym uchu słyszała wiceprezydenta, w drugim konkurencję i cieszyła się, że nie ma

trzeciego, bo trzeci aparat też dzwonił. Widząc w takich chwilach w akcji Edytę, z podziwem myślała o jej opanowaniu i zimnej krwi. Tłumaczyła sobie, że po trzydziestu latach pracy w tej samej firmie,

choćby nawet pod różnymi rządami, ona także byłaby alfą i omegą, ale w niczym nie umniejszało to szacunku, jaki żywiła dla profesjonalizmu sekretarki.

Wreszcie otworzyły się drzwi gabinetu. Rozgadani uczestnicy narady międlili jeszcze w ustach ostatnie cenne uwagi, przekrzykiwali się i obrzucali epitetami. Upłynęła długa chwila, zanim w sekretariacie można było normalnie rozmawiać. Na szczęście za wielkim biurkiem siedziała już Edyta.

- Nie mam pojęcia, jak pani sobie radzi z tym młynem! - westchnęła Julia.

Sekretarka skwitowała uwagę roztargnionym uśmiechem.

- Chochła nie dzwonił? - spytała.

- Nie, to raczej do niego telefonowali różni ludzie.

- Czyżby nasz gzik jelitowy raz w życiu zrobił coś perfekcyjnie?  
-zdziwił się magister Leszek Wydroń.

Edyta uniosła głowę znad papierów.

- Niby co?

- Schował się starannie, i to na czas bliżej nieokreślony. Zwykle odnajdywał się zaraz po naradach - wyjaśnił Leszek.

Stał w drzwiach łączących sekretariat z pokojem magistrów. Zza jego pleców wychylała się Karolina, czyli magister Cierniak, zainteresowana tylko jednym: czy kierownik miał powody, żeby się tak starannie chować.

- Założenia są gotowe, a innych powodów nie znam - odpowiedziała Edyta.

- Fiu, fiu! - mruknęła Karolina.

Cała czwórka, nie wyłączając najmłodszej Julii, świetnie wiedziała, że Chochla nie napisałby samodzielnie nawet pożegnalnego listu do dyrektora. Chłopina cierpiał na wielką awersję do papierów i jeszcze większą do myślenia o potrzebach firmy. Dokumenty opracowywała za niego Edyta. W języku Marcina Chochli nazywało się to „nadawaniem ostatecznego szlifów twórczym koncepcjom kierownika”. Kładł po prostu na biurku sekretarki zabazgrany świstek z prośbą, żeby dostawiła przecinki i ewentualnie poprawiła styl. „Tego, no... jakby coś nie grało, to zmień”, mówił szeptem, przekonany, że nikt oprócz sekretarki nie ma pojęcia, co jest na takim świstku. A nie było absolutnie nic. Robocze haselko, temat i koniec. Dopiero Edyta ściągała materiały z działów i na ich podstawie tworzyła spójny dokument, który w miarę potrzeby konsultowała z magistrami, czyli z Leszkiem i Karoliną.

W sytuacji, gdy zapewniała, że założenia zostały opracowane, zniknięcie Chochli nabrało całkiem innego znaczenia.

- Czegoś tu nie rozumiem - zastanawiał się Leszek. - Przecież staremu nie chodziło o widok Marcinka, tylko o spis wierzycieli i sensowny plan odzyskania firmowych pieniędzy. Mogłaś dać kopię i byłoby po krzyku.

Drobniutkie zmarszczki wokół ust Edyty niebezpiecznie się zbiegły, co świadczyło o irytacji.

- Trafieś kulą w płot - powiedziała. - Nie ma kopii, jest wyłącznie oryginał. I nie pytaj, który raz w życiu Marcin zrobił coś samodzielnie, bo odpowiem ci, że nie pamiętam!

Jeżeli nawet Leszek i Karolina mieli jakieś wątpliwości, taktownie zachowali je dla siebie. Mina sekretarki nie skłaniała do wynurzeń.

- No cóż, może gzik leczy kaca - powiedział pojednawczo Leszek, wycofując się w głąb pokoju magistrów. Do sekretariatu dotarła jeszcze kpiąca odpowiedź Karoliny:

- Kaca? Chyba po śledziu. Przecież temu cherlakowi nawet francuskie wino szkodzi.

Julia nie brała udziału w rozmowie. Próbowwała skupić się na nudnej instrukcji obsługi kombajnu. Tłumaczenie szło jej opornie, a prawdę mówiąc, wcale nie szło, tylko leżało nietknięte. Zamiast myśleć o parametrach technicznych, zastanawiała się, czy wejść do dyrektora teraz, czy odrobinę później. Szykowała się do poważnej rozmowy, której nie miała zamiaru przeprowadzać na łapu-capu. Od dwóch tygodni, każdego wieczoru, wyobrażała sobie, jak wchodzi do gabinetu pewnym krokiem, jak głosem grzecznym, lecz stanowczym wyklada własne racje i zbija argumenty Mikuli. Przerabiała tę scenę w różnych wariantach, reżyserowała szczegół po szczególe. Zakończenie za każdym razem było podobne: dyrektor wstawał zza biurka, ścisnął jej dłoń, czasem nawet całował, i obiecywał etat w dziale informatyki. Co tam obiecywał! Dawał angaż do ręki. Niestety, dzień mijał, nadchodziło jutro, a ona wciąż nie mogła się zdecydować: wejść czy poczekać jeszcze moment. Problem

rozwiązywał się zwykle sam, bo albo do gabinetu wpadał ktoś inny, albo Mikula z gabinetu wypadał i nie było okazji do rozmowy.

Właściwie, co ja tu robię? - dumiała, wpatrzona smętnie w instrukcję. Niby miała co robić. Redagowała drobne pisemka, czasem coś tłumaczyła, parzyła kawę i myła szklanki. Ale nie takie były obietnice. W styczniu, w czasie rozmowy kwalifikacyjnej, Mikula zapewniał, że samo niebo zsyła mu inżyniera ze znajomością programowania, Inter-netu i na dodatek dwu języków obcych. Do czasu zwolnienia etatu w dziale informatyki zaproponował oszołomionej Julii stanowisko swojej asystentki. Otrzymała angaż tymczasowy, który owszem, przydzielał ją do komórki organizacyjno-prawnej, nie precyzował jednak, na czym asystowanie miało polegać. Obiecany etat zwolnił się na początku marca, nadszedł kwiecień, a Julia wciąż tkwiła w sekretariacie niczym piąte koło u wozu - i to w sensie dosłownym. Pierwszym kołem była sekretarka Edyta Pałubska, drugim radca prawny magister Karolina Cierniak, trzecim specjalista do spraw organizacji magister Leszek Wydroń, czwartym magister Marcin Chochla, kierownik całej komórki, a piątym ona, magister inżynier Julia Blenda. Dodatkowo, tylko na użytek sekretariatu, dyrektor zatrudnił pomoc gospodarczą w osobie Henryki Luty, której nie nazywano sprzątaczką z tej prostej przyczyny, że prywatnie była kuzynką i uchem szefa, w pracy zaś unikała sprzątania jak ognia; mycie szklanek zostawiała Julii. Po reorganizacji, po cięciach etatowych, gdy cała administracja gwałtownie się skurczyła, jedna tylko komórka organizacyjno-prawna wciąż rosła, aż stała się największym działem w firmie i zaczęła wymykać się z ram schematu organizacyjnego. „Schematy są po to, żeby ułatwiać życie, nie zaś utrudniać”, mawiał dyrektor Mikula.

Julia zerknęła niepewnie na Edytę. Sekretarka odzyskała już spokój i pewność siebie.



- Chyba muszę porozmawiać z dyrektorem o etacie - westchnęła ciężko Julia. - Jak pani myśli, warto wejść teraz?

- Nie warto!

- Jak to, nie warto?! Mam czekać, czaić się i udawać, że sprawa mnie nie dotyczy? - zapalała się, coraz bardziej przekonana, że naprawdę chce tej rozmowy. - Inżynier Kiciński jest zainteresowany moim przejściem.

- Wątpię - powiedziała spokojnie sekretarka. - Właśnie Mikula przyjął nowego kierownika działu, magistra inżyniera Konrada Orzechowicza, gdyby to cię interesowało. Znasz takiego informatyka? Musiałś go zauważyć, bo pałętał się tutaj po wyjściu z narady. Przystojny kawał chłopca. Albo kawał przystojnego chłopca, jeżeli wolisz. Lekko utyka, lecz z całą pewnością jest w typie pań. I co? Ej, Julka, Julka! Po minie widzę, że przegapiłaś faceta.

- A Kiciński?

- Nie sprawdził się i czeka na kopa.

Szeroko otwarte oczy Julii wyrażały niebotyczne zdumienie. Jeszcze w styczniu Mikula zapewniał ją, że Kiciński to informatyczny geniusz.

- Pani Edyto, co jest grane? - spytała z niepokojem. - Dyrektor zmienia kierownika, jego sprawa, ale jest przecież wolny etat po tym łysym inżynierze, po tym, no... - zawiesiła głos, bo w gardle poczuła zdradliwe drapanie.

- Wolne są co najmniej trzy etaty. Zresztą, rozmawiaj z dyrektorem, jeśli chcesz, byle nie teraz.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Mikula właśnie wyszedł. Albo śpisz z otwartymi oczami, albo miłość tak cię otumania. Ten twój Serafin to szczęściarz, jak widzę. Prywatnie mogę ci powiedzieć...

Niczego nie zdążyła powiedzieć, bo do pokoju wtargnęła pani Henia z rewelacjami na temat zniknięcia Chochli. Jej donośny głos ściągnął z sąsiedniego pokoju Leszka i Karolinę.

- Porwali kierownika, bo coś wiedział! - oświadczyła pomoc gospodarcza.

- Każdy coś wie, pani Heniu, ale za byle jaką wiedzę nie porywa się ludzi z ulicy - uspokajał kobiecinę Leszek.

- Szybciej wróci, niż zaginął! - mruknęła Karolina.

Nikt w dziale nie traktował poważnie zniknięcia Chochli. Zwłaszcza że kierownik lubił czasami dyplomatycznie się zapodziać, co nie miało najmniejszego wpływu na pracę działu. Gdyby tak zaginęła Edyta, to co innego!

Julia, wciąż nieporuszona - Chochla w ogóle jej nie obchodził - myślała o inżynierze Kicińskim i o sobie. Zbierało się jej na płacz.

Inżynier Konrad Orzechowicz nie szukał nowej firmy, to firma znalazła jego. Dyrektor Mikula osobiście zadzwonił do młodego informatyka i zaprosił na rozmowę. Na pozór sytuacja wyglądała klarownie, ale tylko na pozór. Skąd niby szef Budampolexu 2 mógł wiedzieć o szeregowym pracowniku jakiejś tam firmy ubezpieczeniowej? Orzechowicz nieskromnie pomyślał, że najwidoczniej w mieście mówi się

już o nim i poczuł dumę. Przedwczesną, niestety, bo rzeczywistość była o wiele bardziej prozaiczna. W firmie ubezpieczeniowej, nomen omen Spokój, niepotrzebny był nowator. Łebski facet mógł nabrać apetytu na awans, a wszystkie kierownicze stanowiska były zajęte. Kiedy więc przy koniaku dyrektor Mikula napomknął, że rozlaż mu się dział komputerów, prezes Spokoju Grzegorz Bujala natychmiast zaczął wychwalać swojego informatyka. Fantastycznie zdolny, mówił, z wielką przyszłością, drugiego takiego nikt nie znajdzie w całym mieście.

Wiadomo nie od dziś, że referencje zdobyte przy kieliszku są stokroć pewniejsze niż oficjalne opinie na piśmie. Już następnego dnia Mikula zaprosił Konrada na rozmowę, kusił pieniędzmi i kierowniczym stanowiskiem, zrećcznie żonglował komplementami.

- Brakuje mi fachowców, panie kolego, ludzi samodzielnych i z inicjatywą - tłumaczył. - Dobierze pan sobie ze dwóch sprytnych facetów, odbuduje dział i pociągnie ten wózek. Mam na myśli system sieciowy i tak dalej. Przedsiębiorstwo musi iść z duchem czasu, z postępem, a nie wlec się w technicznym ogonie. Da pan wiarę, że nie mamy nawet własnej strony internetowej?! Pańska głowa w tym, żeby to jak najszybciej zmienić.

- Ilu pracowników liczy dział? - spytał Konrad.

Dyrektor machnął ręką i przyznał, że ani jednego. Szeregowcy odeszli wcześniej, nieudolnego kierownika zwolni natychmiast, jak znajdzie człowieka na jego miejsce. Skłonił głowę w stronę rozmówcy, jakby dając do zrozumienia, że właśnie znalazł. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Mikula sądził, że młody inżynier rzuci się na propozycję jak pies na kość, i nie taił lekkiego zniecierpliwienia. I Orzechowicz należał do pokolenia, które nie grzeszyło nadmiarem skromności. Nigdy jednak nie czekał na pochwały ani oklaski. Jeżeli

zachodziła konieczność, potrafił powiedzieć: jestem dobry, na tym się znam, to umiem lepiej od innych. Idąc do Budampolexu 2 na spotkanie z dyrektorem, liczył oczywiście na propozycję, więc wcale nie był zaskoczony. Czuł się na siłach pokierować zespołem i jeżeli dręczyły go jakieś wątpliwości, to całkiem innej natury. By je rozwiązać, potrzebował kilku minut rozmowy z Bujalą.

Przez dwa tygodnie był zadowolony z decyzji i przekonany, że postąpił słusznie, wiążąc przyszłość z Budampolexem 2. Pierwszy dzień w nowej firmie trochę go jednak zirytował.

W gabinecie kierownika wciąż siedział inżynier Kiciński, a dział personalny nie miał jeszcze gotowego angażu dla następcy.

- Musiało zajść jakieś nieporozumienie - powiedział zaskoczony Konrad.

- Przyzwyczaj się pan do takich nieporozumień - zauważył Kiciński.

- Nie rozumiem!

- Do tego też się pan przyzwyczaj.

- Wątpię. W każdym razie muszę uściślić, czego dyrektor ode mnie oczekuje.

- Och, niczego wielkiego! Cudu jedynie. Jeżeli trzy przestarzałe i popsute komputery wystarczą panu do stworzenia nowoczesnego systemu, to będzie właśnie to, o czym mówię.

Kiciński patrzył na Orzechowicza z lekkim politowaniem. Przez dwa lata zdążył poznać apetyty Mikuli i kondycję firmy. Nie czuł się

cudotwórcą, więc po cichu szukał innej pracy. Pojawienie się Konrada ani go zdziwiło, ani zaskoczyło.

- O ósmej narada u szefa. Wskazane, żeby pan był - powiedział, wkładając płaszcz.

- A pan? - spytał Konrad.

- Gdyby ktoś o mnie pytał, w co wątpię, wrócę za trzy godziny. Życzę owocnej rozmowy z dyrektorem i proszę nie wierzyć obietnicom. Liczy się słowo pisane, choć też nie zawsze.

Orzechowicz został w gabinecie sam. Nie była to samotność, o jakiej wcześniej myślał. Pod nieobecność kierownika nie chciał zaglądać do szaf ani szperać w dokumentach.

Po naradzie dyrektor Mikula wpadł we wściekłość i nic go nie interesowało z wyjątkiem jakiegoś opracowania, które zaginęło razem z autorem. Zatrzymał dwie osoby, resztę odesłał do pracy. Konrad wrócił do pokoju i zastanawiał się, od czego powinien zacząć urzędowanie, kiedy już wyjaśni całe nieporozumienie.

- Przeszkadzam?

Przez uchylone drzwi wsunęła się chmura kasztanowych loków. Nim odpowiedział, że nie można przeszkadzać komuś, kto nic nie robi, dziewczyna weszła do środka. Była wyjątkowo zgrabna, piękna i pewna siebie.

- Karolina Cierniak, prawnik. - Uścisk jej drobnej ręki był silny i zdecydowany. - Fiu, fiu! - powiedziała, przechylając wdzięcznie głowę.

- Co fiu? - spieszył się Orzechowicz.

Patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. Jej radosne „fiu” zabrzmiało jak niestosowny żart, a w żartach nigdy nie czuł się mocny. Lubił oczywiście kobiety, lecz te zbyt piękne i przebojowe zawsze go peszyły. Brakowało mu lekkości światowca i żeby nie wyjść na nierozgarniętego muła przywdziewał maskę szorstkiego faceta. Był to taki malutki sekret Konrada Orzechowicza: im bardziej robił się szorstki, przynajmniej na początku, tym bardziej czuł się oczarowany.

- Dlaczego powiedziała pani: fiu, fiu? - powtórzył pytanie.

- Ja? - zdziwiła się szczerze. - Och, widocznie wpadłam w zachwyt. U mnie to normalne. Przyzwyczaj się pan.

- Wątpię - mruknął, bo całkiem niepotrzebnie przypomniał sobie Kicińskiego, który też kazał mu się przyzwyczajać.

- Niech pan nie wątpi, nie tacy już kapitulowali. - Uśmiechnęła się, prezentując prześliczne zęby i uroczy dołek w brodzie.

Kokietowała mruka i wcale nie przejmowała się potężną zmarszczką między czarnymi brwiami.

- Zawsze pan taki poważny? - spytała. - No dobrze, powiem prawdę: przyszłam pana przywitać i osłodzić pierwszy dzień w nowej pracy. Na naradzie wyglądał pan na zagubionego.

- Tak... nie... - zaczął się plątać, coraz bardziej zły, że na widok dołka w damskiej brodzie diabli wzięli jego męską logikę. - Wcale nie czuję się zagubiony, raczej muszę wyjaśnić pomyłkę.

Karolina nie byłaby dobrym prawnikiem, gdyby po pięciu minutach rozmowy nie dowiedziała się tego, co chciała wiedzieć.

- Sama pani rozumie, że zaszło drobne nieporozumienie - powtórzył Konrad z uporem.

- Nieporozumienie? I do tego drobne? Ładnie pan to ujął, szkoda tylko, że tak nietrafnie. W naszej firmie to normalka.

- W porządnej firmie to nie jest normalka.

Podeszła do okna i przez moment wyglądała na zatłoczony parking. Oho, pomyślał Konrad, pokazała zęby, teraz pokazuje nogi, błysnęła złośliwością i jest przekonana, że mnie załatwiła!

- Czym pan jeździ? - spytała nieoczekiwanie.

- Autobusami, rowerem, fordem.

- Nowym? - W jej oczach zabłysło żywe zainteresowanie.

- Kiedyś z całą pewnością był nowy, teraz nie da się o nim tego powiedzieć. Co jakiś czas buntuje się i odmawia posłuszeństwa.

- A Mikula, proszę pana, w ubiegłym roku rozbił trzy służbowe auta i wrzucił w koszyki. On ma ciężką nogę. Mikulowa ma lżejszą, tylko nie respektuje przepisów i też rozbiła nowe audi. Firma musi zaspokoić ogromne apetyty bardzo zachłannych ludzi: auta, wycieczki, dom w mieście, dom na wsi. Sam pan rozumie, że w tej sytuacji przydatniejsza jest nieporządne niż porządne kierowanie.

Patrzył na nią zaskoczony i zastanawiał się: kpi, prowokuje czy gada tylko, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nieufna natura kazała mu zachować dystans, tak do kobiety, jak i do jej słów.

- Ładnie mnie pani wita - bąknął, żeby przerwać milczenie.

- A kto powiedział, że pana witam?

- Pani... przed chwilą.

- Ja? W życiu czegoś równie śmiesznego nie powiedziałam!

Była sporo niższa od niego. Spoglądała spod długich, wywiniętych rzęs w taki sposób, że zapomniał o dystansie i ostrożności, zapragnął zrobić coś szalonego, pocałować ją, objąć albo zmierzić ręką puszyste włosy. Opanował się jednak i z obojętną miną zaczął wypytywać o Kicińskiego i Mi kulę.

- Hola, hola! To są tajemnice służbowe - powiedziała, zniżając głos.

- Może i zdradzę panu któryś z wielkich sekretów, ale przecież nie tu i nie teraz. Mam nadzieję, że nie jest pan abstynentem, więc proszę spróbować zaprosić mnie na lampkę wina.

Zaprosił, co miał zrobić. Ona uderzała do głowy bardziej niż wino. Wmawiał sobie, że idzie na spotkanie wyłącznie dla zasięgnięcia języka, i sam w to nie wierzył. A jednak mnie załatwiła, pomyślał, ledwie za Karoliną zamknęły się drzwi.

Jak było do przewidzenia, Mikula nie pojawił się już w firmie i Julia nie mogła porozmawiać o zmianie etatu. Wróciła do domu w podłym nastroju.

- Jeszcze jedno nieudane popołudnie, jeszcze jeden nieudany wieczór - mamrotała, zbierając z fotela porozrzucone łaszki.

Żeby za dużo nie myśleć, wzięła się do porządków w pokoju, ale bardzo szybko straciła serce do pracy. Odruchowo włączyła radio. Krystalicznie czysty głos piosenkarki wdarł się w jej myśli: „A on był dla



niej jak młody bóg, żebyż on jeszcze kochać mógł". Zobaczyła płonące oczy Winicjusza i ze złością przekreśliła gałkę. Nie miała ochoty na filmową miłość ani nastrojowe melodie. Na nic nie miała ochoty, lecz jak na złość przyplątał się ten nieszczęsny refren i zmuszał do cichego nucenia. Nawet powrót rodziców, choć przerwał ciszę, nie uwolnił jej od słów piosenki. Donośny głos matki docierał do pokoju mimo zamkniętych drzwi.

- I kto miał rację? Jutro od rana musisz... ty nigdy nic porządnie... dopóki nie wykupisz gruntów, jesteś nikim. I nie mów mi, że wiesz, bo ja wiem lepiej!

Ojciec milczał.

Wieczorem jak zwykle wpadł Serafin. Na jego widok nie potrafiła wykrzesać z siebie cienia radości. Chłopak zdawał się nie zauważać jej smętej miny. Rozsiadł się w fotelu i leniwie żuł gumę. Patrzyła na niebrzydką twarz, na szerokie bary i bardzo chciała, żeby już sobie poszedł. Sama nigdy się nie nudziła, z nim, niestety, prawie zawsze. „A on był dla niej...”. Tekst nie przystawał do konkretnej sytuacji, więc uparcie zmieniała słowa na inne: „A on był piękny jak młody bóg”. Brzmiało lepiej, męczyło tak samo.

- Julka, ty lubisz karpie?

- Dlaczego pytasz?

- Bo ja lubię. U nas na wigilię zawsze są karpie - rozmarzył się Serafin.

Wzruszyła ramionami. Nie pociągała jej dyskusja o menu wigilijnym na dwa tygodnie przed Wielkanocą. „A on był piękny... żebyż on jeszcze myśleć mógł”.

- Wyjdziemy gdzieś? - spytała.
- Chce ci się wychodzić? No, moglibyśmy, tylko gdzie? ?<||
- Nie wiem! Jest wiosna, jest ładny wieczór... zresztą, jak uważasz!
- No, fajnie!

Powiedział: fajnie, nawet ruszył pupę, ale tylko po to, by wziąć ze stolika program telewizyjny. Najszczęśliwszy czuł się przed telewizorem. Śledzenie ruchomych obrazków zwalniało go z rozmowy, mógł też puszczać mimo uszu niewygodne pytania Julii, na przykład o wyniki egzaminów. Studiował zaocznie w szkole biznesu; miał pewne trudności, lecz jako człowiek ambitny nie chciał się z nimi obnosić. Julia załatwiła mu nawet konsultacje u swojego kolegi magistra Wydronia. Konsultował, owszem, to i owo, choć studia przestały go pociągać. Myślał poważnie o swojej przyszłości i kiedy Julia spytała o pracę, wybuchnął szczerym oburzeniem.

- Ty, Julka, to myślisz, że jak człowiek nie wrywa sobie rąk i nóg, nie wstaje o szóstej, to nie pracuje i jest źle. A ja ci powiem - uśmiechnął się z wyższością - że jest całkiem na odwrót. Najlepiej żyją ci, co niczego sobie nie wrywają. Zdziwisz się, ale znalazłem bardzo dobrą robotę. Już nawet zacząłem, jak chcesz wiedzieć. Chwilowo nie mogę za dużo gadać, żeby nie zapeszyć. W interesach trzyma się język za zębami, zapytaj starego, powie ci to samo.

- Ty pracujesz? -No!

Spojrzał na zegarek i poderwał się niczym rasowy biznesmen, który ma na głowie mnóstwo ważnych spraw.

- A on był piękny jak młody bóg - nuciła, zamykając drzwi.

- O! Tylko się przypadkiem nie zakochaj! - Matka wystawiła głowę ze swojego pokoju. - Sto razy ci mówiłam, że to nie jest materiał na męża. Tobie potrzebny człowiek piękny ciałem i duchem, zaradny, dobry, wykształcony, niebiedny i z głową do interesów.

Julia od dawna wiedziała, że nikt nigdy nie sprosta matczynym wymaganiom, które plasowały się mniej więcej na poziomie następcy tronu. Pogodziła się nawet z widmem staropanieństwa, jednak wieczorem w przedpokoju wołała tego tematu nie rozwijać. Kiwnęła tylko głową, co mogło znaczyć, że spróbuje poszukać odpowiedniego kandydata, ale niekoniecznie w tym momencie. Matka miała jeszcze inne wątpliwości.

- Dlaczego ty nie sprawdzasz, kto dzwoni?

- Sprawdzam, mammo!

- Akurat! Cap za drzwi i otwierasz. Przecież widziałam, i to nie pierwszy raz.

Próbowała wytłumaczyć, że trzy krótkie dzwonki z całą pewnością zapowiadają wizytę Serafina, że nie ma powodów do obaw, jednak matka nie byłaby sobą, gdyby nie wygłosiła przestrogi o parszywych czasach, złodziejstwie i napadach. Julia знаła ten tekst na pamięć.

- Sprawdzam, mammo - powtórzyła.

Jedną nogą była już w swoim pokoju, lecz dobre wychowanie kazało jej wysłuchać przemowy do końca.

- Powinnaś dać kopa temu Serafinowi. Imię to on ma anielskie, ale za skórą diabła hoduje. Już ja się znam na ludziach - ciągnęła matka tonem

perswazji. - On nie przychodzi tu dla ciebie, tylko dla naszych pieniędzy. To głupek i nudziarz. O czym ty z nim rozmawiasz?

- O wigilijnym karpniu - mruknęła cicho Julia.

Matka na szczęście nie dosłyszała, ale też wcale nie czekała na odpowiedź. Zaczepnęła powietrza, żeby rozwinąć dłuższy monolog, jednak los sprzyjał Julii. W salonie rozdzwonił się telefon komórkowy i pani Emilia podskoczyła z chyżością jelonka, żeby zdążyć przed mężem. Dziewczyna z ulgą zamknęła drzwi swojego pokoju.

Przed sobą mogła się przyznać: Serafin nie był chłopakiem z jej marzeń. On w ogóle do żadnych marzeń się nie nadawał. Znała go od podstawówki, od czasów, gdy w imię przyjaźni matek skazana została na jego towarzystwo.

„Jula, bądź miła dla gościa! Juleczko, pokaż koledze znaczki! Juluś, opowiedz chłopcu, co widziałaś w zoo!”.

Cierpiała katusze. Nie była miła, znaczki chowała na dno szuflady i nigdy niczego nie opowiadała. Oboje tkwili przy stole jak dwa wyrzuty sumienia i przeszkadzali matkom w ploteczkach. Każde spotkanie kończyło się solidną burą. Obrywała za niegościnnność i za to, że nie potrafi bawić się z dziećmi. Nienawidziła Serafina z całej duszy aż do piątej, może szóstej klasy. Wtedy to jej rodzice zajęli się prywatnym biznesem, zaczęli robić pieniądze i pozamieniali starych przyjaciół na nowych. Po wielu latach niewidzenia spotkała chłopaka ze trzy miesiące temu. Zmężniał, wyprzystojniał i nie wywoływał już takiego buntu jak kiedyś. Pogadali, zaprosiła go w przekonaniu, że rodzice się ucieszą.

- Oszalałaś, Julka! Takie zero, takie nic! Ani wykształcenia, ani manier, no i ten rozplotkowany dom! - denerwowała się matka.

- Kiedyś bywałaś w ich domu z czystej przyjaźni! - powiedziała, zaskoczona.

- To była zwykła znajomość. I zapamiętaj sobie jedno: przyjaciele tym różnią się od rodziny, że wyrastasz z nich jak ze sfilcowanego sweterka.

Od tamtej wizyty minęło sporo czasu, a matka wciąż wracała do Serafina. Jak już uczepliła się jednego tematu, to wałkowała go rzetelnie i z sercem, po kilka razy dziennie, aż postawiła na swoim. Z ojcem szło jej lepiej, bo dla świętego spokoju kapitulował od razu. Julia wprost przeciwnie. Zaczynała się w uporze i jeżeli nawet nie sprzeciwiała się jawnie, to po cichu i tak robiła swoje. Zaczęła się spotykać z Serafinem na przekór matce, a trochę też z powodu towarzyskiej posuchy. Kiedy wróciła po studiach do rodzinnego miasta, nie zastała już dawnych znajomych - gdzieś się rozpełzli; nowych jeszcze nie było, więc uznała, że na bezrybiu i Serafin dobry.

Przed snem jak zwykle wyciągnęła rękę po jakąś książkę i jak zwykle trafiła na „Quo vadis”. Od dłuższego czasu jej uwagę zaprzętała najnowsza ekranizacja powieści. W prasie pojawiły się pierwsze migawki z planu, piękny Winicjusz spoglądał z okładek kolorowych pism. Julia próbowała rozsmakować się w lekturze. Pewne partie tekstu znała na pamięć i to nie tylko ze względu na ich urodę. Otwierała książkę na byle jakiej stronie i zaczynała marzyć. No, powiedzmy, na castingu jest najlepsza, dostaje rolę Ligii i co dalej? Jakaś umowa, wiadomo, jakieś ustalenia, też wiadomo, ale przecież musi się spotkać z partnerem. Idzie na spotkanie z przecuciem czegoś pięknego w duszy. Jeden rzut oka i wie, że zrobiła na nim kolosalne wrażenie. Spojrzał i powiedział... Albo nie, spojrzal, uśmiechnął się i

dopiero po chwili zastanowienia powiedział: - Dla pani gotów jestem osobiście podpalić Rzym!

Bzdura! Taki aktor nie może pleść jak nawiedzony pirotechnik. Pierwsze spotkanie powinno wyglądać całkiem inaczej. Najlepszy byłby romantyczny spacer ulicami Warszawy. Ciepły wieczór, oni sobie idą, blisko, ale bez poufałości, wszystkie dziewczyny oglądają się i zazdroszczą, tramwaje dzwonią. Na Starym Mieście tramwaje? Chyba raczej telefon?! Zrzuciła kołdrę i jednym susem wypadła do przedpokoju. Rodzice oglądali film, widziała niebieskawe cienie na szybie pokoju. Chwyciła słuchawkę. Dwa lub trzy krótkie dzwonki odezwały się ponownie. A więc nie telefon. Czyżby Serafinowi odbiło i przyszedł z buziakiem na dobranoc? Niezbyt jeszcze przytomna, odsunęła zasuwę. Ostre pchnięcie rzuciło ją na ścianę, zaboląły ręce wykręcone do tyłu, na ustach poczuła ciężką łapę, która zatamowała oddech.

- Spoko, mała! Mamy interes do staruszków. Są w domu?

Facet, który trzymał ją w uścisku, przemawiał niemal czule. Słyszała kroki, trzask drzwi, krótki pisk mamy, jakiś nieartykułowany skrzek ojca i beznamiętny głos spikera: „Kocham twój tyłeczek”. Próbowała się wyrwać, uwolnić ręce, zdzielić osiłka w łeb, chociaż wrzasnąć. To był napad, nic innego, tylko napad!

- Jak mówię spoko, to spoko! - zdenerwował się facet. - Przyłożę ci niechcący i będę musiał leżeć do spowiedzi.

- Dług święta rzecz - mówił głos w pokoju. „Chcę się z tobą kochać!” - wtórował mu spiker. I znowu głos: - Jutro o jedenastej i niech wam się nie zdaje, że jesteście mądrzejsi od wafla. Sześćdziesiąt, ani centa mniej.

Wyszli gęsiego w momencie, gdy spiker zapewniał, że spała go požądanie. Trzasnęły drzwi, zadudniły kroki na schodach. Julia wpadła do pokoju rodziców. Wyłączyła telewizor i rozejrzała się wokół. Nieco większy niż zwykle bałagan wskazywał na dramatyczny przebieg rozmowy. Obrus leżał w kącie, na nim walał się drewniany posąg murzyńskiego chłopca, pozbawiony nogi. Tę nogę matka trzymała w ręku. Siedziała jak zahipnotyzowana. Ojciec miał potargane włosy i jeden policzek bardzo czerwony.

- Ty im otworzyłaś? - Matka zapomniała o strachu, rzuciła się najpierw na Julię, a potem do przedpokoju, żeby sprawdzić zamki. -A jeszcze dzisiaj uprzedzałam, prosiłam!!!

- Co się stało? O co chodzi? - pytała przerażona Julia.

- O to chodzi, że studia nie robią z durnia mądrego! - krzyczała matka. - Tyle razy mówię, proszę, upominam, patrz gamoni, komu otwierasz! I doigrałaś się, wystawiłaś rodziców na rzeź!

Bezmyślne słowa i oskarżenia padały z szybkością kaskady. Zrzucali na Julię całą winę za nieudany wieczór, za przerwany film i połamaną rzeźbę. Musieli jakoś odreagować swój stres. Wreszcie i ona dorwała się do głosu.

- Była mowa o pieniądzach. Nie oddaliście komuś długu?

- Cicho! - Ojciec łypnął na boki. - Nie znasz się na interesach, więc nie osądzaj pochopnie!

- Dlaczego nie dzwonicie na policję?

- I co powiemy? Panie władzo, mamy córkę idiotkę, która osobiście wpuściła do domu przestępczy element? - szydziła matka.

- Przecież to był napad?!

- E, zaraz napad! Pomyłka i tyle. Teraz każdy, kto raniej wstaje, dopomina się o forszę. A my zapłaciliśmy co do grosza. Jutro wszystko wyjaśnimy.

Matka powoli się uspokajała. Julia, patrząc na nią, zaczynała wierzyć, że nic się nie stało. Jacyś ludzie weszli do mieszkania trochę przebojowo, uszkodzili rzeźbę i policzek taty, pogadali, wyszli. Drobniutki incydent, o którym nie zajaknęłaby się żadna gazeta, nie mówiąc o telewizji.

- Idź, Julka, spać! - powiedziała matka nieco łagodniejszym tonem.

Dalsze dociekania nie miały sensu. Rodzice wciąż uważali ją za małą dziewczynkę, nie wtajemniczali w swoje interesy i nie żądali niczego, z wyjątkiem posłuszeństwa. To dla niej harowali od rana do nocy. Usypiała już, kiedy dotarły do niej odgłosy sprzeczki.

- Jutro musisz... że też ty nigdy... - dowodziła matka.

- Zamknij się wreszcie! - wybuchnął ojciec. - Mało i mało, wciąż mało!

- Ale to ja mam rację i już! Podyktujesz swoje prawa, jak wykupisz grunty!

- A on był piękny jak młody bóg... - westchnęła sennie Julia, przy czym z całą pewnością nie myślała już o Serafinie.



Wiosenne popołudnie nastroiło Konrada do tego stopnia lirycznie, że postanowił wybrać się na cmentarz. Sam niestety, bo ostatnio jego życie uczuciowe było wyjątkowo ubogie. Nawet nie miał komu powiedzieć, że świeci słońce. Niby słońce widać gołym okiem, lecz jak się powie o tym głośno, to tak jakby świeciło dwa razy mocniej. Kupił bukiet żonkili i bez zbędnego pośpiechu wędrował alejkami. Najpierw główną, potem przy pompie skręcił w prawo, a kawałek dalej w lewo. Przeczytał tabliczkę, jakby chciał się upewnić, że trafił dobrze: „Ewelina Zagrodzka, żyła lat 77”. Położył kwiaty, zapalił znicz i nie bardzo wiedział, co dalej. Wciąż miał ten sam dylemat: przelecieć kłusem obok grobu - głupio, stać też niezręcznie, więc co? Zaczął myśleć o swoich sprawach, o zmianie pracy, o awansie i intrygującej rozmowie z byłym szefem. Teraz ciotka Ewelina nie pytałaby po swojemu: „Oj, Raduś, Raduś, kiedy ty się ustatkujesz?”.

Uśmiechnął się lekko, samymi kącikami warg. Przed oczami zamajaczyły mu pojedyncze obrazki: bójka z chłopakami, rozbity nos, drobna moneta ukryta w bucie i przerażona twarz ciotki Eweliny, kiedy po tygodniu poszukiwań odnalazła go wreszcie w komisariacie. Ona miała anielską cierpliwość, pomyślał, że nie wyrzuciła mnie na zbity pysk.

Po południu wpadł na chwilę do Orskich.

- Z domu nici - szepnęła w drzwiach Grażyna. - Umoczyliśmy na trzydzieści, Lucek ma kaca moralnego, rozbaw go jakoś.

Gdyby powiedziała: wnieś lodówkę na czwarte piętro, albo: daj komuś w zęby, wszystko byłoby w porządku. Ale kazać Konradowi rozbawiać Łucka, to już nie było w porządku. Z całą pewnością nie należał do facetów rozrywkowych. Na wszelki wypadek kiwnął głową, że rozumie, i z miejsca się wkurzył. Nie znał uczciwszego i bardziej pechowego człowieka niż Lucjan Orski, wyznawca teorii godnej aniołów: jeżeli ja nie oszukuję

nikogo, to nikt nie powinien oszukiwać mnie. Tak myślał, tak postępował - i wciąż wpadał w tarapaty. Na widok Konrada ożywił się i nawet próbował żartować, choć nie bardzo miał z czego. Znalazł wreszcie wymarzony dom w Michelinie, wpłacił pośrednikowi zaliczkę i to właściwie wszystko, poza niewielkim drobiazgiem: dom nie był na sprzedaż.

- Facet wyglądał tak nobliwie, że tylko mu aureoli brakowało. -Orski uśmiechnął się gorzko. - Nie mogę uwierzyć, że stać go było na taki ordynarny przekręt, bez cienia finezji.

- Z finezją byłoby ci lżej?

- Zawszeć to jakaś pociecha, że dałeś się wyrolować artyście, a nie zwykłemu chamowi. Nie uważasz, że to mniej boli?

- Nie uważam. Ja bym litość sobie odpuścił i oddał drania pod sąd.

- Nie chodzi o litość, tylko o koszty. Zanim wygram, on zdąży zbankrutować albo spłonąć. Włożę w sprawę więcej, niż straciłem, i poza satysfakcją nic nie zyskam.

- Z tego, co wiemy, nie nas pierwszych wystawił do wiatru - wtrąciła Grażyna.

- Daj mi jego namiary, pogadam z chłopiną. Niewykluczone, że się pomylił - powiedział głucho Konrad.

Wydawał się spokojny, wyluzowany, tylko pięści z pobielającymi kostkami świadczyły, że mu w duszy niebezpiecznie gra. Orski pokiwał głową.

- Czy ty, stary, poza „Janosikiem” niczego więcej nie oglądałeś? To już nie te czasy, żeby własnymi rękami sprawiedliwość wymierzać.

- Daj mi jego namiary! - powtórzył Konrad.

- Więzienie to nie szpital. Nie wpuszczą Grażynki, żeby ci bajki czytała - powiedział ostro Lucjan.

- Mało miałeś w życiu kłopotów? - przyłączyła się Grażyna. - Są sprawy, których za nikogo nie załatwisz.

Byli starsi od niego o całe dwadzieścia lat, nikomu w życiu tyle nie zawdzięczał co im, ale czasem przypominali dwójkę naiwnych dzieciaków, przy których on czuł się mamutem. Nie upierał się więcej. Wiedział, że wcześniej czy później pozna nazwisko chachmęta i bez względu na koszty odplaci mu z nawiązką. Pozwolił nawet, żeby zmienili temat i razem z nimi zachwycał się wiosną.

- A co słyhać u pięknej Beaty? - spytała Grażyna, spoglądając znacząco.

Konrad wreszcie się uśmiechnął. Nie miał pojęcia, co działo się z Beatą, ale wiedział dokładnie, o co chodziło Grażynie. W gruncie rzeczy wszystkim kobietom chodzi o to samo: najpierw, żeby wyjść za mąż, potem, żeby swatać znajomych. Tak przynajmniej uważał Konrad Orzechowicz.

- Śmieję się, śmieję! - Grażyna udawała nadąsaną. - Jesteś już starym kawalerem. Jeszcze trochę i żadna dziewczyna na ciebie nie spojrzy.

- A to czemu? - zdziwił się Lucjan. - Przecież nic mu nie brakuje. Wykształcony chłopak, przystojny.

- I dziwak! No powiedz, powiedz sam: nie masz starokawalerskich nawyków? To ma stać tu, tamtego nie wolno ruszyć, koszule trzeba składać tak, nie inaczej? Przyznaj uczciwie!

Wreszcie zapomnieli o kłopotach i zaczęli żartować. Konrad wychodził od nich przekonany, że to jedyny dom, gdzie naprawdę jest mu dobrze. Już na ulicy przypomniał sobie, że nie powiedział Orskim o zmianie pracy. To nic, powiem, jak już będę miał angaż w garści, pomyślał.

Tuż po siódmej w sekretariacie pojawiła się zapłakana Chochłowa.

- Pani Edytko, ja mam straszne przeczucie - łkała. - Niech pani powie prawdę, może jednak dyrektor wysłał Marcina z jakąś misją? Ja umiem zachować tajemnicę... ja nic nikomu... tylko chcę się uspokoić.

Edyta stanowczo zaprzeczyła i podsunęła kobiecie szklankę wody mineralnej. Nie mogło być mowy o zwykłej delegacji, a co dopiero

o misji! Próbowwała delikatnie wypytać o znajomych i przyjaciół, u których Marcin mógłby się zatrzymać na dłużej.

- On nie miał przyjaciół - chlipnęła żona. - Jakby szedł z wizytą, to nie zabierałby pięciu par majtek, sześciu par skarpetek i czterech kartonowych teczek, które stale trzymał pod kluczem! Nawet opla zostawił, a teczki zabrał. W nocy miałam pięć głuchych telefonów... i jeden normalny. Facet mówił...

Edyta zdecydowanym ruchem ujęła kobietę pod rękę i wprowadziła do pustego gabinetu dyrektora. Starannie zamknęła drzwi, odcinając Julię i Leszka od dalszych informacji.

- Jak myślisz, co było w tych teczkach? - spytała Julia.

- Cenzurki szkolne, zaświadczenia ze szczepień obowiązkowych

1 inne barachło - odparł Leszek z uśmiechem. - Co taki pluskolec mógł zgromadzić?!

- A może on był szpiegiem?

- Tego... no właśnie... zapomniałem pomyśleć. Mógł być!

Leszek wpakował ręce po łokcie w kieszenie i kaczym krokiem zaczął chodzić po sekretariacie. Tak udanie naśladował Chochłę, że rozbawił Julię do łez. Oboje nie wydawali się przygnębieni zniknięciem kierownika. Wystarczyło, że żona płakała, oni już nie musieli. Wietrzyli paskudną mistyfikację, jakiś wypad na ryby, koleżeńską balangę i życzyli kierownikowi, by hulał jak najdłużej.

- A jeżeli za zniknięciem kryje się kobieta i romantyczna randka we dwoje? - nie dawała za wygraną Julia.

- Ten... a co się robi z kobietą? - spytał Leszek.

I znowu przez dłuższą chwilę musieli uciszać swoją radość, żeby nie wzbudzić podejrzeń Edyty, obdarzonej słuchem absolutnym. Julia otarła chusteczką wilgotne oczy.

- Żonę ma całkiem fajną, nie uważasz? Ciekawe, czy ona płacze z obowiązku, czy rzeczywiście kocha tego... jak ty go, Leszku, nazywasz?

- Gzik jelitowy, pluskolec, karaluch, spuszczał, pienik ślinianka... do usług! - Leszek skłonił się szarmancko. - Świat braci najmniejszych jest równie ciekawy jak świat ludzi. Wymieniać dalej?

- Dzięki, wystarczy!

Doskonale wiedziała, że owady były wielką namiętnością Leszka, konikiem i językową protezą. Z wielkim znawstwem przypinał znajomym owadzie nazwy i cieszył się jak dziecko. Julia, z racji piegów, była biedronką siedmiokropką, Karolinę nazywał złotoookiem lub cykadą, panią Henię gruboudką, a Mikulę jelonkiem rogaczem. Tym razem Julia wolała tematy bardziej ludzkie. Niestety, wejście pomocy gospodarczej położyło kres wszelkim pogawędkom. Leszek wrócił do swojego pokoju, Julia rozłożyła instrukcję i bardzo pięknie zaczęła udawać zapał do pracy. Dobrze wiedziała, że pani Henia żadnych wiadomości nie zachowuje dla siebie, że wszystko, co wpadnie jej w ucho i w oko, przekazuje szefostwu. Czy również opinie pozytywne? Tego nie mogła wiedzieć, ale łudziła się, że tak.

- To Chochłowa tak pojękuje? - spytała pomoc gospodarcza, przykładając ucho do futryny.

Spoza drzwi docierały jedynie ciche westchnienia i niewyraźny szmer dwu głosów. Pani Henia zniechęcona machnęła ręką i rozsiadła się w fotelu.

- Dziwna babka, nie uważasz, Julciu? Zamiast się cieszyć, że stary poszedł truć tyłek innej, ona go oplakuje. Ja tam bym po swoim jednej łzy nie wylała. Powiedziałabym tak: chcesz odmiany, to zmiataj, gdzie cię serce woła, bo na oko widać, że do mnie nie dorosłeś! Ja jestem fajna kobitka, zaradna, umiem ugotować, uszyć, zarabiam pieniądze i dam sobie radę.

- Pani umie szyć? - zainteresowała się Julia.

- Nie umiem, ale tak się mówi. Bo, widzisz, najgorzej, jak kobieta zaczyna szukać winy w sobie, zamiast przepędzić chłopa precz. Powinna sobie powtarzać: ja jestem świetna, a jak on tego nie widzi, diabeł z nim

tańcował. Tak radzą podręczniki psychologii. Ciebie pewnie psychologia nie interesuje?

- Owszem, nawet bardzo.

Pani Henia rozejrzała się po sekretariacie i na palcach podeszła do biurka Julii.

- To może zapiszesz się do naszego kółka, co? - zaszeptała. - Ćwiczymy jogę i wolę, rozprawiamy o psychologii, bo wiesz, kobiety muszą się rozwijać i gromadzić pozytywną energię, żeby im mężczyźni na głowy nie weszli.

Julia nie wiedziała, czy bardziej zaskoczyła ją propozycja, czy wszechstronność zainteresowań pani Heni, dość, że nie potrafiła odmówić. Zgodziła się uczestniczyć w najbliższym zebraniu pań i obiecała dochować tajemnicy przed magister Cierniak. Pani Henia wyjątkowo nie lubiła Karoliny, przypisywała jej wszystkie wady płci żeńskiej, a nawet kilka męskiej, z zaborczością włącznie. Była to niechęć odwzajemniana przez Karolinę z nawiązką.

- Mam mnóstwo pracy - westchnęła Julia.

Pochyliła głowę nad nieszczęsną instrukcją i wzięła do ręki długopis. Te przygotowania nie robiły specjalnego wrażenia na pani Heni. Wyszła tylko dlatego, że poczuła głód. Ciekawe, jak bym wyglądała w tunice i peplum? - pomyślała Julia, bo nic mądrzejszego nie wpadło jej do głowy. Zaraz też wyobraziła sobie połączenie złota ze śnieżną bielą i z purpurowym haftem trzewików. Westchnęła i spojrzała na swoje ciężkie buciska z obcasem modnie cofniętym. Jej styl, podpatrzony jeszcze w czasie studiów u sławnej aktorki, od biedy można by nazwać markowym lachmaniarstwem. Nosila ubrania w ekologicznych kolorach Ziemi, co w

praktyce przekładało się na wszystkie odcienie mniej lub bardziej spranej ścierki. Szczupła, jasna, ginęła w szarościach marszczonych spódnic i obszernych swetrów. Chwilę trwało, zanim przemieniła się w Ligię. Ledwie wyobrazila sobie miękkie fałdy białego peplum, natychmiast zjawil się Marek w swoim filmowym wcieleniu. Pochyliła głowę, przymknęła oczy, żeby lepiej widzieć twarz, od której nie umiała się uwolnić we śnie ani na jawie.

- Zastalem dyrektora? - spytal męski głos. Gwałtownie podniosła głowę.

- Szefa nie ma - odpowiedziala. Wystraszyła się, że facet zechce czekać i, co gorsza, zabawiać ją rozmową, więc natychmiast dodala oschłym tonem: - Nie ma i dzisiaj nie będzie.

Zaraz potem pomyslała, że takie gęste, zrosniete nad nosem brwi i takie ciemne, głęboko osadzone oczy bardzo by pasowały do książkowego Winicjusza.

Dopiero koło południa dowiedziala się od Karoliny, kim był wielki, to znaczy wysoki, nieznajomy. Przyjaciółka wróciła z miasta i swoim zwyczajem przysiadła na biurku Julii.

- Widziałas już tego nowego informatyka? - spytała z przejęciem.

- Nie.

- Dużo straciłas! Jest dokładnie taki, jaki powinien być chłop: szerokie bary, wąskie biodra, ani grama tłuszczu. Wolałabym obejrzeć go bez ubrania, ale w ciuchach też robi wrażenie. Aha, i lekko utyka, co wcale nie odbiera mu męskości.



- No to wpadłam! - jęknęła Julia. - Jak jeszcze powiesz, że oczy ciemne i brwi zrosnięte, to idę się powiesić.

- Więc jednak go widziałaś! I co, tak cię poraził, że chcesz zadyndać?

- Szlag mnie zaraz porazi. Spławiłam faceta jak pierwszego lepszego, wypchnęłam niemal za drzwi! Czujesz ten ból, który drga w moim głosie? Przecież on prędzej mnie teraz pożre, niż przyjmie do swojego działu. Chcę się zapaść w glebę!

- Nawet jeśli się powiesz na najwyższej sośnie, i tak w końcu do gleby trafisz - roześmiała się Karolina. - Ale wiesz co, zrób mi dobrej herbaty, to w nagrodę wstawię się za tobą u Orzechowicza. Mnie nie pożre... chyba że sama tego zechcę.

Julia z niedowierzaniem pokręciła głową. Nawet nie próbowała dociekać, kiedy i jak Karolina zdążyła poznać Orzechowicza. Przyjaciółka wszystko robiła w biegu i pozornie bez zastanowienia. Ale tylko pozornie, bo w gruncie rzeczy każdy krok miała starannie przemyślany. Nie ukrywała, przynajmniej przed Julią, że zamierza zdobyć wielkie pieniądze, które pozwolą jej wygodnie żyć i zająć się wreszcie błyskotliwą karierą zawodową. To był cel, do którego prowadziły dwie drogi, czyli dwa warianty. Wariant cudowny zakładał, że Karolina wzbogaci się dzięki własnej pracy, natomiast wariant realistyczny, że poślubi worek z pieniędzmi, do którego uwiązany będzie jakiś tam pokurcz. Orzechowicz nie pasował ani do wersji cudownej, bo ta obydwała się bez mężczyzn, ani tym bardziej do realistycznej. Czyż właściciel potężnego konta w banku podjąłby pracę w Budampoleksie 2 na stanowisku kierownika nieistniejącego działu? Pucując szklanki, Julia odetchnęła z ulgą. Dzięki zapobiegliwym rodzicom nie musiała martwić się o majątek. Z dóbr materialnych nie miała tylko własnego mieszkania; dlatego też nie czuła się

samodzielna. Czasami, szczególnie po ostrej sprzeczce z matką, zazdrościła Karolinie pełnej swobody. Potem przychodziło opamiętanie. Zaczynała myśleć o drogich ciuchach, błękitnym matyzie, zagranicznych wycieczkach, czyli o tym wszystkim, co dostawała w darze bez najmniejszego wysiłku ze swojej strony. To były przyjemności warte wysokiej ceny.

Z rozpędu zrobiła trzy herbaty, więc jedną zaniosiła Leszkowi, czym zasłużyła na ciepłe miano pszczołki miodnej.

- To ze względu na pracowitość? - upewniła się Karolina.

- Nie. Popatrz tylko na jej kolorystykę - zapalił się Leszek. - Oczy barwy lipowego miodu, delikatne piegi, włosy z refleksami starego złota... ona jest ciepłutka jak miodowy plaster.

- Fiu, fiu! - Karolina parsknęła śmiechem. - Już mam dzwonić do twojej ślubnej z donosem, czy poczekać, aż powiesz więcej?

- Słucham?

Leszek natychmiast udał wielkie roztargnienie, obrzucił dziewczyny niewidzącym wzrokiem i zniknął za Dziennikiem ustaw. Znad urzędowego pisma sterczał jedynie słomiany wicherek włosów. Spojrzały na siebie rozbawione.

Apatia, zły humor, beznadzieja - po prostu to się składało na uczucie, które od czasu do czasu, najczęściej po sprzeczce w domu, spadało na Julię nie wiadomo skąd. Była wtedy niemila, obrażona na cały świat i wściekła na siebie za brak stanowczości wobec rodziców. Od dziecka kierowali nią po swojemu, lepili na swój obraz i podobieństwo. Szkoła aktorska? Wykluczone! Medycyna, prawo, w ostateczności politechnika, ale żadne tam pioseneczki i baleciki. Ustąpiła. Skończyła politechnikę i

zamierzała zostać w Warszawie na stałe. Warszawa? A po cóż szukać szczęścia tak daleko, kiedy w małym mieście, przy rodzicach, łatwiej żyć!

Przez trzy miesiące walczyła, wreszcie skusili ją obietnicą własnego mieszkania i samochodu. Samochód kupili, o mieszkaniu bardzo szybko zapomnieli. Własne mieszkanie? To już ci z nami tak źle? Nawet jeżeli nie było jej zupełnie źle, to powoli przestawało być dobrze. Codzienne porcje rad i pouczeń były coraz obfitsze, jakby z wiekiem Julia głupiała zamiast rozwijać się i dojrzewać. Rano przy śniadaniu matka znowu nawiązała do Serafina, ale Julia nie podjęła tematu.

- Oddaliście już pieniądze tym ludziom, którzy nasłali na was bandytów? - spytała niewinnie.

Nie miała zamiaru ich obrażać, chciała tylko przerwać potok dobrych rad i zmienić temat. No i zmieniła. Tak się zdenerwowali posądzeniem o nieuczciwość, że matka wypłała pół butelki kropli uspokajających, a ojciec dwa razy trzasnął drzwiami: raz gdy wychodził z kuchni, drugi raz, gdy wrócił. Julii nawet przez głowę nie przeszło jakiegokolwiek posądzenie. Wierzyła bez zastrzeżeń w kryształową uczciwość rodziców i ich dobre intencje. Wybiegła z domu przygnębiona i zła. W pracy też nie czekało jej nic dobrego, bo przecież trudno nazwać przyjemnością rozmowę z dyrektorem i sprzątanie kuchenki. Tak była zamyślona, że o mały włos nie przegapiła czerwonych świateł na skrzyżowaniu. Zatrzymała matyza w ostatniej chwili, gdy na przejściu już byli piesi. Spojrzała, zamknęła oczy i natychmiast otworzyła. Kilka metrów przed nią szedł klon Chochli. Taka sama pergaminowa buźka, długi, wąski nos i równiutki przedziałek wśród rzadkich loczków.

- On czy nie on? - zastanowiła się głośno. - Drugiego takiego egzemplarza chyba nie ma w mieście? Płaszcz identyczny, łapy w kieszeniach i nawet ten charakterystyczny chód!

Człowiek dreptał sobie po Kaliskiej wczesnym rankiem, z dała od domu, z dała od firmy i nic nie wskazywało na to, że się gdziekolwiek śpieszy. Julia westchnęła z rezygnacją. Nie życzyła mu źle, ale byłaby wdzięczna losowi, gdyby kierownik zaginął na trochę dłużej. Mdlilo ją, gdy zaczynał marudzić, czepiać się drobiazgów, gdy łąził z kąta w kąt, sprawdzał, czy paprotki mają dość wilgoci i w kółko powtarzał swoje: tego no, ten. Był obrzydliwy. Wszystko, od długopisu po kombajn budowlany, kojarzyło mu się z seksem i rozmnażaniem.

Nim dojechała do firmy, nabrała przekonania, że jednak padła ofiarą pomyłki i najlepiej zrobi, trzymając język za zębami. Wszyscy mówili o zniknięciu Chochli. Od trzech dni nie pojawił się w biurze, policja go szukała, więc mało prawdopodobne, by spacerował sobie po osiedlu Południe. Firma trzęsa się od plotek i domysłów. Kobieta? Malwersacja? Szpiegostwo? Dopóki kręcił się po korytarzach, chudy i skwaszony, sprawiał wrażenie faceta, który mało rozumie. Ledwie zniknął, jego akcje poszły w górę. Widocznie coś wiedział, szeptali ludzie po kątach, widocznie komuś był potrzebny, widocznie to i tamto! Niech sobie gadają, myślała Julia, mnie nic do tego. Skorzystała z okazji, że magister Wydroń siedział w pokoju sam, i weszła podzielić się wątpliwościami nieco innej natury.

- Leszku, co właściwie robi Chochla - spytała, sadowiąc się za biurkiem Karoliny. - Gołym okiem widać, że działem rządzi Edyta.

Spojrzał prawie z rozczeniem, tak jak starsi i doświadczeni ludzie potrafią patrzeć na szczerą naiwność.

- A chciałabyś, żeby rządził Chochla?

- Oczywiście że nie, jednak to jest chory układ. Facet bierze największe pieniądze tylko za to, że nic nie robi! W państwowej firmie jeszcze bym rozumiała, ale w prywatnej?

- Szwagier. Rozumiesz?

- Mikuli?

- Nie, dlaczego zaraz Mikuli? Inni wpływowi ludzie też mają szwagrów. W starych strukturach Chochla trzymał się dzięki sobie, należał wszędzie, gdzie było można i gdzie się opłacało, teraz trzyma się dzięki powiązaniom rodzinnym. Na dobrą sprawę zmieniły się struktury, nie obyczaje.

- Powiedzmy, że rozumiem, ale czemu takie zero awansowało tak wysoko?

- Wysoko awansował dopiero w Budampoleksie 2. A dlaczego? Bo jego protektor też awansował wysoko, to raz, bo Mikula chce mieć Chochlę na oku, to dwa, i trzy, jakby ci tu powiedzieć... - zastanowił się Leszek. - Chodzi o to, że nasz dyrektor nie lubi kobiet na stanowiskach kierowniczych. Nie zrobił wyjątku nawet dla Edyty. Lepiej mu brzmi pan kierownik niż pani. Takiego ma konika, rozumiesz?

Kiwnęła głową bez przekonania. W słowach Leszka znalazła pewną pociechę: jeżeli o nią chodziło, nie marzyła o stanowisku kierowniczym.

Gdyby praca ograniczała się wyłącznie do kontaktów towarzyskich, Julia nie mogła trafić lepiej. Sekretariat sprawiał wrażenie ostoi życzliwości w firmie. Każdy uprawiał swoją działkę, nikt nikomu nie

zagroził i nie wchodził w drogę, mogli więc lubić się całkiem bezinteresownie. Tak przynajmniej wyglądało to w oczach Julii, która nie cierpiała tylko Chochli, no i samej pracy. Niestety, innej chwilowo nie miała, a tę załatwiła sobie sama. Od początku do końca sama, czyli bez pomocy rodziców. Trzy miesiące chodziła od firmy do firmy, wysyłała oferty, dzwoniła, aż wreszcie wygrała. W jej samodzielnym życiu było to największe osiągnięcie.

Leszek skończył mówić i patrzył na dziewczynę z nadzieją, że chowa w zanadrzu jeszcze jakieś pytanie. Chętnie zaspokajał jej ciekawość i to nie tylko dlatego, że z natury był bardzo rozmowny. Julia wstała z ociąganiem. Nie chciało się jej wychodzić, znała jednak umiar i czuła respekt przed Edytą. Już w drzwiach uśmiechnęła się i pomachała Leszkowi ręką. Lubiała go, choć nie przypominał amanta filmowego i miał żonę. Ogólnie jednak jako przyjaciel był fantastyczny i tak właśnie o nim myślała.

Ledwie wróciła na swoje miejsce, natychmiast zaczęła się szykować do rozmowy z dyrektorem. Stary czy nowy, kierownik działu będzie potrzebował pracowników, żeby ruszyć z robotą, rozumowała logicznie. Widać jednak pech ją prześladował, bo Mikula nie przyjechał do firmy. Zadzwoił koło dziesiątej z żądaniem, by Karolina niezwłocznie dowiozła mu do Bydgoszczy dokumenty. Wymienił jakie, gdzie je znaleźć i odłożył słuchawkę. Edyty nie było w sekretariacie, telefon odebrała Julia.

- Zwariowałaś?! - wściekła się Karolina. - Ani myślę jechać, mam inne plany na dzisiejsze popołudnie.

- Ja nic nie wiem, ja tylko powtarzam polecenie - broniła się Julia.

- Zgoda! Nie ty zwariowałaś, tylko ten stary cap! Nie jestem panną na posyłki! Zadzwoń do Oli Mikulowej. Czujesz, jaką minę robi stary? Dla samej miny warto mu podesłać ślubną zgryzotę.

Julia drgnęła. Bała się szefowej jak ognia. Prawdę mówiąc, oprócz Edyty i Karoliny bali jej się wszyscy. To ona była prawdziwą właścicielką Budampolexu 2, to ona trzymała całość w drapieźnej łapce. Firmą niby kierował dyrektor, szefowa niby się nie wtrącała do kadr, jednak parę zwolnień wymusiła na mężu. Głównie młodych, atrakcyjnych dziewczyn, których nie lubiła od czasu, gdy sama znalazła się po gorszej stronie czterdziestki. Trudno wyczuć, ile w tym było lęku spowodowanego nieokiełznanym temperamentem Mikuli, a ile zwykłej babskiej zazdrości. Nie była brzydka. Może wieczorem, rozebrana ze swej kobiecości, z kremem na twarzy - tak, ale za dnia przypominała zbyt mocno upudrowaną lalkę Barbie, ładniutką i sztuczną do przesady. Lubiała wpadać do firmy o różnych porach, była łasa na męskie komplementy i miłe słówka. Kobiety raczej ignorowała, czyniąc wyjątek dla Edyty. Próbowała sprytnie wypytać sekretarkę o to i owo, szczególnie o dyrektora, lecz jej spryt był wielkości łebka od szpilki. Edyta odpowiadała na wszystkie pytania, nie mówiąc kompletnie nic i to dopiero był spryt!

- Zadzwoń do szefowej - kusila Karolina. - Powiedz, że trzeba te dokumenty dostarczyć, a ja mam bóleści...

- ...sercowe? - Julia łypnęła okiem i natychmiast spowaźniała. - Nie mam ochoty uczyć starego wierności małżeńskiej. Nawet gdyby mi Edyta kazała, to nie zadzwonię.

- Nie ma Edyty. Wyszła. Ty rządzisz. Jesteś asystentką dyrektora, czy nie jesteś?!

- Nie jestem... a jeżeli nawet jestem, to na papierku. On ma w nosie mnie i moją asystę. Mówię poważnie: nie zadzwonię. Boję się tej harpii i kiedy ją widzę, gotowa jestem współczuć staremu.

- Dla starego nawet ona jest za dobra - mruknęła Karolina. - Wyobrażasz sobie życie u boku takiego obywatela ze znakiem Q?

- Chyba nie powinnaś tak mówić! - zawahała się Julia.

- Mam nie mówić prawdy tylko dlatego, że parę razy przespałam się z tym capem?

- To twoja sprawa... Nie wiem... nie wydaje mi się to honorowe.

- Kochana, nim dojdiesz do trzydziestki, sama się przekonasz, że honor odrasta szybciej niż włosy. Włosów mi natura nie poskąpiła, ale życie dała jedno. W tym życiu postanowiłam zrobić karierę zawodową i nikt mi w tym nie przeszkodzi. Mikula uparł się, że radcą prawnym może być tylko facet. Jak mogłam go inaczej przekonać, że jestem lepsza od dwóch facetów?!

- Facetów do łóżka to on chyba nie szukał!

- Jasne, że nie! - roześmiała się Karolina. - To typowy heteroseksualny samiec. Dlatego, żeby udowodnić, że jestem lepsza od dwóch facetów, najpierw musiałam udowodnić, że jestem dobra. Zgorszyłam cię, co?

Julia nie czuła się zgorszona. Skończyła dwadzieścia pięć lat i od dawna nie wierzyła w bociany oraz szczerą bezinteresowność. Miała za sobą drobne zauroczenia, małe romansiki, ale przede wszystkim wciąż jeszcze miała swoje marzenia o wielkiej, prawdziwej miłości. Wiedziała,



czuła, że gdyby nagle pojawił się taki jeden mężczyzna, to wszelkie prawdy o cnocie i honorze, którymi od lat karmili ją rodzice, z przyjemnością wyrzuciłaby przez okno. Dla miłości gotowa była na wiele; dla kariery też na wiele, lecz nie na wszystko. Mikuli dałaby kosza, choćby tylko ze względów estetycznych. Uważała dyrektora za straszną paskudę, za przerośnięte ciasto drożdżowe, które wylewa się z formy górą i bokami. Dla Julii estetyka była sprawą wielkiej wagi. Nie trafiał do niej argument przyjaciółki o ciepłym prysznicu, który zmyje z kobiety wszystko, nawet obrzydzenie.

- Wiesz, Julka, czego ci zazdrościć? - spytała nieoczekiwanie Karolina. - Rodziców. Niczego więcej, tylko rodziców. Nie musisz się martwić, że nagle zostaniesz na lodzie, bez środków do życia, bez dachu nad głową. I to się nazywa komfort, dziewczyno! Ja, odkąd skończyłam piętnaście lat, mogę liczyć wyłącznie na siebie. Spokojna głowa, nabierze się każdy, kto spróbuje wpuścić mnie w kanał. Nie dam się, rozumiesz? - skończyła twardo, z ostrym błyskiem w oku.

- Rozumiem! - przytaknęła Julia. - W gruncie rzeczy jestem bardzo do ciebie podobna... tylko trochę inna.

Karolina pokręciła głową i spojrzała spod rzęs.

- Trochę inna? Nawet wiem, co nas różni. Ja nie kupuję pisemek z fotosami aktorów i nie Kocham się w bohaterach romansów.

Julia gwałtownie zaprotestowała, ale wyraźne rumieńce przyznały rację przyjaciółce. Karolina śmiała się głośno i szczerze.

- Ech, ty, marzycielko! Śpisz z otwartymi oczami i myślisz, że nikt tego nie widzi! Ocknij się, nim cię zeżrą, bo szkoda takiej miłej dziewczyny na karmę dla hien!

Nie zadzwoniły do Oli Mikulowej. Razem odnalazły dokumenty, które Julia opakowała starannie i przekazała kierowcy Czarkowi. Była to bodaj pierwsza samodzielna decyzja, jaką podjęła w Budampoleksie 2.

Konrad rzadko bywał we wrocławskich lokalach. Kiedy Karolina zaproponowała Cafe Blue na Przedmiejskiej, skinął głową, że może być. Przyszedł kwadrans przed czasem, nie znalazł wolnego stolika i musiał czekać na dworze. Wieczór był chłodny, ulice puste. Nie lubił śródmieścia, a jakoś wcześniej zapomniał, że Przedmiejska to pępek miasta. - Wrocławskie city - mruknął niechętnie. Trochę blichtru na zewnątrz, parę odnowionych domów, parę nowych lamp, byle tylko nie wnikać głębiej. Na podwórkach od lat to samo: brud z nędzą, dziwka ze złodziejem. Znał tu kiedyś każdą ulicę, każdy dom i zakątek, nie tęsknił jednak za czasem minionym. Stał na rogu, przy wystawie jubilera. Nie miał swojej kobiety, nie miał kogo obdarowywać prezentami, więc patrzył obojętnie i tylko dla zabicia czasu.

- Bądź pan człowiek, daj złociska na piwko!

Jednocześnie usłyszał zachrypnięty głos i poczuł odrażający smród denaturatu. Choć wszystko się w nim zagotowało, stał dalej bez ruchu. Pijaczyna nie był namolny. Mruknął coś pod nosem i slalomem odpłynął w kierunku placu Wolności. Konrad spojrział za nim i w tym samym momencie zobaczył dwie kobiety. Pierwsza nadchodziła lekkim, tanecznym krokiem od strony placu, druga stała z małym chłopcem na środku deptaka. Udał, że nie widzi chudej sylwetki w męskiej kurtce i kwiecistej spódnicy. Na samą myśl, że podejdzie i znów zacznie jęczeć, poczuł głuchą wściekłość. Stąd może uśmiech, którym powitał Karolinę, wcale nie przypominał uśmiechu.

- Czemu tu, a nie w kawiarni? - spytała zdziwiona.

Pachniała dobrymi perfumami i wyglądała uwodzicielsko. Kolorowa apaszka, fantazyjnie zawiązana na szyi, wspaniale podkreślała szarą zieloność oczu. Karolina jak mało kto potrafiła żonglować kolorami. Rozkwitała w czystych, zimnych barwach, które należały do jej ulubionych.

- Nie ma miejsc, musimy poszukać innego lokalu - burknął Konrad, zezując lekko w stronę drugiej kobiety.

- Och, zaraz coś wymyślimy - powiedziała pogodnie Karolina. -Tu nie Warszawa ani Toruń, tu nie ma lokali na zawołanie. Jedna porządna kawiarnia w centrum i fuli.

Skręciła w Przedmiejską. Za ledwie kilka kroków dzieliło ich od Cafe Blue.

- Radek! Ra...

- Tata!

Nawet nie drgnął. Karolina również. On udawał, że nie ma nic wspólnego ze stłumionymi okrzykami, a ona nie знаła żadnego Radka.

Stoliki w kawiarni wciąż były zajęte, na szczęście Karolina wypatrzyła znajomych. Zanim się rozejrzał i przyzwyczał oczy do gfanatowo-żółtych ścian, został przedstawiony dziewczynie znanej mu już z sekretariatu w Budampoleksie 2. Miała na imię Julia i siedziała w towarzystwie faceta, który mógł być ozdobą każdej siłowni. Konrad ze zdziwieniem, choć bez niechęci, zauważył, że Karolina zwracała się do niego po imieniu. Zakręcona babka i szybka jak odrzutowiec, pomyślał.

Nad stolikiem zaciążyło drętwe milczenie. Już wiedzieli, kto jest kim, ale jeszcze niewiele mieli sobie do powiedzenia, więc udawali, że

czekają na kelnerkę, że najpierw zamówienie, potem przyjemność rozmowy. Czarna, szczuplutka dziewczyna o uśmiechu młodej Mony Lizy obsługiwała sąsiedni stół. Konrad niby patrzył na nią, lecz w gruncie rzeczy przyglądał się chudzinie otulonej burym swetrem. Na tle Karoliny wypadła blado, choć wcale nie była brzydka. Miała marzycielskie oczy, brzoskwiową cerę i malutki nos pokryty piegami. Oceniał, że jest smarkata, zapewne dopiero po maturze, bo nie zdążyła jeszcze rozsmakować się w pudrach i szminkach.

Zamówili lody wiśniowe, gorąco polecane przez Karolinę.

- Miało być wino - przypomniał Konrad. - Jakie wybierasz?

- Wino? - zdziwiła się niewinnie. - Mówiłam ci przecież, że nie pijam wina.

Uśmiechnął się nieznacznie i uznał, że Karolinie należy się malutki prztyczek.

- A pani? - zwrócił się do Julii. - Ma pani ochotę na kieliszek martini?

- Chętnie.

Zanim zdążył zamówić, opowiedziała anegdotkę zasłyszaną we Włoszech, w miasteczku Pessione, gdzie zwiedzała muzeum wermutu Martini e Rossi. Zgrabnie opowiedziana historyjka ożywiła towarzystwo tylko na chwilę. Julia spróbowała jeszcze raz. Jej uwagę zwróciły irysy na ścianie, obraz w tonach idealnie dobranych do kolorytu wnętrza. Pokiwali głowami, że tak, że chyba tak, i dziewczyna ostatecznie zamilkła.

Karolina spojrzała na Konrada i wycelowała palec w jego pierś.

- Mówiłam ci już, że w naszej firmie jest jeden bezrobotny informatyk, który czeka na propozycje? Mówiłam, prawda?

Pytanie było z gatunku zaskakujących. Oczywiście nie wiedział, bo wcześniej na ten temat nie rozmawiali. Spojrzał na Serafina. Biedaczy-sko siedział z miną tak znudzoną, że trzeba się było mocno pilnować, żeby nie ziewnąć na sam jego widok.

-Pan?

- Skądże! Serafin jest wschodzącą gwiazdą biznesu. Widziałeś jego zegarek? Takie zegarki noszą teraz ludzie interesu. - Karolina jawnie kpiła z chłopaka, który spokojnie żuł gumę i niewiele sobie robił z całego gadania. - Julia jest informatykiem. Niestety, wyuczyła się też dwu języków obcych, jakby nie wiedziała, że kobiecie wystarcza jeden, ojczysty. Tak przynajmniej twierdzi nasz Mikula. Jaki pan, takie maniery! Widziałbyś Julię w swoim dziale? Miałbyś kim się wyręczać i na kogo krzyżeć. Ona tylko na oko wygląda na sopelek lodu, ale w środku to lawa, zaręczam ci.

Konrad słuchał w miarę spokojnie, dopóki dziewczyna kpiła z Serafina, a nawet z Julii. Każdy ma własny dowcip i może się bronić. Kiedy jednak żarty zaczęły godzić w niego, zjeżył się i spoważniał. Nie należał do mężczyzn obdarzonych przesadnym poczuciem humoru. Był skłonny przypuszczać, że Karolina bierze odwet za nieszczęsną lampkę wina.

- Czemu nic nie mówisz? - spytała.

- Nie chcę ciebie zagłuszyć.

Spojrzała spod rzęs i z wdziękiem eleganckiej damy zmieniła temat. Rozmowa się nie kleiła. Julia siedziała zamyślona, jej partner udawał

głuchego, a Konrad czuł się poirytowany. Sama Karolina nie dała rady rozruszać drętowego towarzystwa. Wyszli szybciej, niż zamierzali.

- Przepraszam, zagalopowałam się i głupio wyszło z tym etatem -powiedziała, ledwie znaleźli się na schodkach. - Nie zrozum źle, nie chcę ci nikogo narzucać... Po prostu chciałabym pomóc Julii. Żal mi dziewczyny, bo ją lubię.

I znowu poczuł się zaskoczony. Kobiety, które znał, były w zasadzie typowe: lubiły wiercić dziurę w brzuchu, wtrącać się w cudze sprawy i same z własnej woli nigdy nie przeproszały. W ogóle nie przeproszały, bo nie miały za co. A Karolina jednym zdaniem, jednym drobnym słówkiem uciszyła warczące w nim zwierzę. Udobruchany mruknął, że wszystko w porządku, że nic się nie stało, choć jeszcze pięć minut wcześniej miał zamiar się pieklić.

- Ta mała wygląda, jakby dopiero wybierała się na studia. Nie sądziłem, że jest...

- ...taka stara? - roześmiała się Karolina. - Stażystka, tylko w nieodpowiednim dziale. Mikula ma swoje zasady. Przy komputerze jest cieńszy od półprzewodnika i rozumuje z prostotą jednokomórkowca: to, o czym dyrektor, na dodatek mężczyzna, nie ma pojęcia, nie może być dostępne rozumowi kobiety. Czarno widzę przyszłość Julii - skończyła nieco ciszej i całkiem niechętnie, a może chcąc, ujęła Konrada pod ramię.

Wracali piechotą ze śródmieścia na Zazamcze. On przeważnie milczał, ona mówiła. Charakteryzowała ludzi, zwyczaje i samą firmę. Dyrektor Mikula - notoryczny kobieciarz, który prędzej pogodziłby się z zarzutem niekompetencji niż impotencji. Antytalent organizacyjny, bałaganiarz i karierowicz. Mikulowa - podlotek nie pierwszej młodości,

bezwzględny babsztyl, szczególnie chętnie grający rolę słabego kobieciątka. Edyta - perfekcjonistka, zawsze świetnie poinformowana i nigdy do końca szczerą. Myli się każdy, kto uważa, że ją poznał. Chochla - prywatnie erotoman i tuman, służbowo bardzo cienki Bolek, zdolny do niezbyt wyrafinowanych świństw. Kiciński - sympatyczny, kulturalny facet, który nie wytrzymał eksperymentów starego i nie potrafił ukreślić bicia z piasku. Dobrał sobie niegłupich chłopaków, na swoje szczęście w porę zrozumieli, że kariery u Miku-li nie zrobią.

- A ty? - spytał nieoczekiwanie Konrad. - Ty nie myślisz o karierze?

- Ja robię karierę. Dyrektor, choć niezły krętacz, czuje awersję do paragrafów i potrzebuje dobrego prawnika. Ujmując rzecz historycznie, facet kieruje już trzecią firmą. Przyjaciele nazywają go specem od reinkarnacji. Nie słyszałeś?

- Nie, ale chętnie posłucham.

Szli niespiesznie; dziewczyna, wsparta na jego ramieniu, od czasu do czasu unosiła głowę, by sprawdzić, jakie wrażenie wywołują jej słowa. Operowała faktami. Najpierw był Budampolex, dość prężna firma państwowa, która w ramach prywatyzacji przeszła w ręce kilku udziałowców. Jednym z nich był Mikula, ówczesny dyrektor. Rządził energicznie, dopóki nie wszedł w posiadanie większości udziałów. Mając w garści pakiet kontrolny, doprowadził firmę do bankructwa i stworzył swój własny Budampolex 1. Zaciągnął kredyty, wykołował kilku kontrahentów i zbankrutował po raz drugi. Nim ktokolwiek się połapał, Ola Mikulowa zarejestrowała Budampolex 2. Stanowisko dyrektora powierzyła... mężowi. Po prywatyzacji i przekształceniach organizacyjnych firma nie jest zbyt atrakcyjna dla szeregowych pracowników. Mikula nie widzi potrzeby

rozpieszczania ludzi wygórowanymi płacami. Zna dobrze sytuację na wrocławskim rynku, wykorzystuje bezrobocie i nieźle na tym wychodzi.

Przez chwilę milczeli. Konrad ważył zasłyszane słowa i budował sobie obraz Mikuli. Facet zanieczywał mniejsze zlecenia, bo miał zadęcie na wielkie roboty, chciał budować luksusowe osiedla, z wyprzedzeniem myślał o autostradzie i stopniu wodnym, wierzył, że kuzyn

Chochli przygotuje w ministerstwie odpowiedni grunt pod wygranie przetargów.

- Wystraszyłam cię? - spytała Karolina.

- Wyglądam na wystraszonego?

- Hm, jakby tu powiedzieć i nie urazić twojej męskiej dumy? - Zastanowiła się przez chwilę. - Niby nie wyglądasz, ale założę się, że nie miałbyś odwagi wejść ze mną na górę.

- Do firmy? - Uśmiechnął się jednym tylko kącikiem warg. - Mówiliśmy o firmie.

- A ja myślałam, że o odwadze.

Stali na środku przejazdu kolejowego. W świetle latarni widział jej błyszczące oczy i pełne usta. Już nie myślał, że jest szybka, już był

o tym absolutnie przekonany. Czuł pulsowanie w skroniach i z wielkim trudem powstrzymał się, żeby nie zacząć całować dziewczyny na ulicy, między torem pierwszym a drugim.

- Tu chyba nie mieszkasz, prawda? Skoro mnie tak ładnie zaprosiłaś, to chodźmy!



Był przygotowany, że zechce odwrócić kota ogonem i wyprze się wszystkiego. Miał nawet na tę okoliczność odpowiedź, lecz Karolina, uwieszona jego ramienia, niczego się nie wypierała. Szła obok i nawet stacją było na prowadzenie normalnej rozmowy.

- Powiedz mi jeszcze o tej informatycze, o Julii. Ją pominęłaś.

- Nie jestem książką telefoniczną, żeby mówić o wszystkich - prychnęła zabawnie. - Skąd mam wiedzieć, ile jest warta w swoim zawodzie, jeżeli na okrągło myje szklanki i odbiera telefony. Asystentka dyrektora asystuje sprzątacze i to też jest Budampolex. Już wiesz, gdzie pracujesz?

- Tak. Jestem ci bardzo wdzięczny za wprowadzenie.

- Jakie wprowadzenie? Wchodzić będziesz musiał sam. I do firmy, na drugie piętro tego oto domu - roześmiała się, patrząc prosto w ciemne, błyszczące oczy mężczyzny.

Już drugi dzień z rzędu Julię prześladował pieski nastrój. Najgorzej było rano, potem trochę się poprawiało, wieczorem wracała czarna rozpacz. Z niechęcią wspomniała wczorajsze, upiorne popołudnie. Karolina umówiła się z nią w Cafe Blue, gdzie zamierzała przyprowadzić Orzechowicza. I przyprowadziła. A ten mruk postawił na otarcie łez lampkę martini i dał do zrozumienia, że nie chce jej w swoim dziale. Wróciła do domu wcześniej, przed blokiem spławiła Serafina, bo czuła się tak zdołowana, że natychmiast musiała z kimś porozmawiać. Obojętnie z kim, obojętnie o czym, byle tylko oderwać się od niewesołych myśli. Na szczęście spotkała na schodach Renatę, sąsiadkę z naprzeciwka. Kończyły razem podstawówkę, znały się od lat, więc z radością przyjęła zaproszenie na ploteczki. Mąż Renaty osobiście podał im kawę i zajął się dziećmi, żeby przez godzinkę miały spokój. Potem Renata wychodziła do pracy.

- Ależ ten Krystian cię rozpieszcza! - zauważyła z zazdrością Julia.

- Żebyś wiedziała! Cały dom prowadzi. Sprząta, gotuje, zajmuje się dziećmi. Inny by na piwo, na wódkę polazł, taka jest prawda. Widzę, że się zadręcza, ale co chłopak winien? Takich jak on jest pełno. W gazecie wyczytałam, że co czwarty człowiek w mieście nie ma roboty. Pozamykali zakłady, posprzedawali, nic się już podobno nie opłaca, a ludzie poszli na bruk.

Pokiwały zgodnie głowami nad ciężką dolą ludu pracującego i zmieniły temat na weselszy. Przypomniały sobie dawne wygłupy, pośmiały się trochę i godzinka przeleciała nie wiadomo kiedy. Do pokoju zajrzał Krystian.

- Reniu, taksówka czeka!

Kiedy stanęły w przedpokoju, krzyczał właśnie przez okno do kierowcy, że żona już wychodzi. W domu Julia wpadła prosto w stęsknione ramiona matki.

- I gdzie ty łazisz, dziecko, całymi wieczorami? Pewnie znowu powlekłaś się z tą anielską trąbą?

- Chyba jerychońską - poprawiła odruchowo Julia.

- Mniejsza o ozdobniki, trąba jest trąbą! Dlaczego z nim nie zerwiesz? Ta znajomość nie ma...

- Byłam u Renaty - rzuciła pośpiesznie, żeby przerwać to, co miało dalej nastąpić, a czego nie była ciekawa.

- U Renaty? - Matka ze zdziwienia przysiadła na krześle. - Czy ty naprawdę nie możesz sobie znaleźć odpowiedniejszego towarzystwa? O czym ty z nią rozmawiasz?

- Mniej więcej o tym samym, co z tobą! - odpowiedziała zniecierpliwiona Julia.

- Ty mnie, dziecko, nie obrażaj! Ja uczciwie zarabiam na chleb

1 wypraszam sobie takie porównania.

Julia więcej się już nie odezwała.

To było wczoraj. A dzisiaj już przy śniadaniu zaczęło się to samo.

- I powiedz mi, po co ty polazłaś do tej Renaty? O czym ty z nią rozmawiasz?

Julia niezbyt delikatnie odstawiła kubek z mlekiem. Chlupnęło na stół i na talerzyk.

- Może nie zauważyłaś, ale ja już jestem pełnoletnia! - powiedziała i natychmiast wybiegła z mieszkania. Oczywiście wiedziała, że co się odwlecze, to nie popadnie w zapomnienie, i straciła ochotę na powrót do domu. W ogóle od rana nic się nie układało jak należy. Dyrektora nie było, w kuchence czekała sarta brudnych szklanek, których pani Henia z pewnością nie pomyła, Edyta zaś zostawiła cały sekretariat i gdzieś poszła. Sama sobie jestem winna, biadoliła w duchu Julia. Mogłam się postawić rodzicom, wypiąć na ich pieniądze i żyć po swojemu. Taka Karolina choćby! Wszystko, co ma, zawdzięcza sobie. Ojciec nie-znany, matka od piętnastu lat w zakładzie dla obłąkanych, a dziewczyna nie zginęła. Zechce wyjść za Orzechowicza, to wyjdzie. Nikt jej nie spyta, ile facet ma kapitału,

co sobą reprezentuje i kim są jego starzy! Ja to już na pewno zostanę starą panną, pomyślała z goryczą. Chyba że zjawi się On i powie jak Marek Ligii: „Tak, ona piękna, aleś ty stokroć piękniejsza. Ty się nie znasz, ocelle mil Zwróć oczy ku mnie...”.

Oddałaby wszystko, nawet przedni ząb, niechby jedynekę górną, by zagrać tę scenę i oczarować partnera filmowego. Ząb zawsze można wstawić, a pustego życia nie da się wypełnić myciem szklanek.

Wzdrygnęła się i odruchowo sięgnęła po lusterko, żeby sprawdzić, czy mimo wszystko górna jedynka siedzi mocno. Zakłęcia zakłęciami, lecz zęba byłoby żal.

- I co? Ładna jesteś?

Drgnęła gwałtownie, lusterko z suchym chrzęstem potoczyło się na podłogę. Siedem lat nieszczęścia w miłości, pomyślała z rozpaczą. Poranny pech jeszcze się nie skończył. To on przygnał panią prezes do sekretariatu, no bo przecież nie opatrność! Stała przed Julią wysmukła, władcza i z naganą kręciła głową.

- Czy kierownik Cholewa wrócił?

Zawsze z upodobaniem przekręcała nazwisko Chochli i zawsze bardzo ją to bawiło.

- Nie wiem - odpowiedziała Julia.

Nie wiedziała również, gdzie jest Edyta, co już wyraźnie zirytowało panią prezes.

- Personel powinien wiedzieć, co robią szefowie! - niemal krzyknęła.

- Myślałam, że wystarczy, gdy szefowie wiedzą, co robi personel! Julia nawet nie starała się być miła. Mikulowa tak ją zirytowała, że zapomniała o strachu. Zebrała potłuczone szkło i udawała, że czyta instrukcję. Nie zamierzała łąsić się ani wyskakiwać z kawą. Ostatecznie pani prezes była u siebie i mogła wszystko: stać, siedzieć, leżeć, wypić cały zapas wody mineralnej albo zatańczyć kankana, mogła wreszcie wyrzucić krnąbrną urzędniczkę na bruk, byle tylko nie obrażała jej głupimi uwagami.

- Wiesz, że ty masz rację! - wykrzyknęła nieoczekiwanie Mikulowa. Patrzyła na dziewczynę tak, jakby razem dokonały niesamowitego odkrycia.

Na szczęście wróciła Edyta i Julii nie zdążyło przewrócić się w głowie. Zajęła się instrukcją, a obie panie usiadły w gabinecie naczelnego. Spoza uchylonych drzwi docierały urywane głosy. Mikulowa najprawdopodobniej mówiła o mężu. Zwykle każdą rozmowę zaczynała od niego i na nim kończyła.

- Interesy w Warszawie? To dlaczego ja nic o tym nie wiem? Całe szczęście, że to już koniec. Teraz, jak załatwimy...

Dalej szeptały już ciszej, bo z gabinetu docierało zaledwie psykanie. I właśnie w tę psykającą ciszę wkroczył kierowca Czarek.

- Julka, szykuj tyłek, zapowiedź pierwsza! - oznajmił głośno i radośnie.

Zaszurały krzesła w pokoju magistrów. Obecność Mikulowej trzymała Leszka i Karolinę z daleka od sekretariatu, ryk Czarka przyciągał z siłą magnesu. Julia przyłożyła palec do ust i lękliwie spojrzała w stronę

uchylonych drzwi. Czarek mrugnął porozumiewawczo i dokończył szeptem:

- Szykuj tyłek, mówię, bo szef będzie cię lał. Nastawił się chłopina na dupczenie, a ty zamiast Karoliny podesłałaś mnie! Trzeba było widzieć jak jeb... rąbnął kopertą o ścianę. Mam ci powiedzieć, że już tu nie pracujesz. Więc ci mówię. Od siebie dodaję, żebyś się nie łamała. To tylko takie pier... pierniczenie dudka wystawionego do wiatru. Kto tam rajcuje? - wskazał głową drzwi sekretariatu.

- Mikulowa i Edyta - szepnęła Julia.

Czarek zmył się w ciągu sekundy, ustępując pola duetowi magistrów. Ich szepty nałożyły się na te dochodzące z gabinetu.

Błada i przejęta Julia nie bardzo rozumiała, co się wokół niej dzieje.

- Nie pękaj, mała! - Karolina nie wydawała się przestraszona. -Mikula lubi straszyć. Mnie bardziej martwią te dwie. One coś knują.

- Skazenie zawodowe - powiedział Leszek. - Przestań wietrzyć wszędzie spiski, bo padniesz ofiarą halucynacji. Na moje ucho te dwie łątki uprawiają filozofię kawową. Męskim osobnikom przypinają łątki, sobie medale, a przyjaciółkom obrabiają odwłoki. Filozofia męska, czyli piwna, traktuje sprawy...

- Pss! - Karolina położyła rękę na ramieniu rozgadanego Leszka. Pani prezes mówiła tonem poirytowanym, więc nieco głośniej:

- ...ją pierwszą precz! Znajdź powód do dyscyplinarki, będzie oszczędniej. Jedna, góra dwie osoby wystarczą ci...

Edyta widać czuwała, bo ciche stuknięcie zamykanych drzwi przerwało interesujący wywód.

Spojrzelili na siebie, zaskoczeni.

- Coś mi się zdaje, kochany, że poplątałeś definicje! - mruknęła Karolina. - Mówiąc językiem stukniętego entomologa, szykuje się grubsza dezynsekcja. I nie nazywam się Cierniak, jeżeli to nie mnie pierwszą zechcą wysikać z działu.

Julia, wiedzona strachem i współczuciem, przeszła za nimi do pokoju magistrów.

- Może nie będzie tak źle - powiedziała cicho.

- Gorzej, niż myślisz. Nie wiem, co te baby knują, ale intuicja podpowiada mi, że trzeba przygotować obronę. Cholera, żebym tylko mogła dostać do ręki opracowanie, które zdematerializowało się razem z Chochlą! Dokumenty źródłowe nie wróciły do księgowości ani do innych działów i zdechł pies. Jak myślisz, Leszku, co takiego stary chciał dostać, czego nie dostał?

- Przeprós za stukniętego entomologa, to ci coś pokażę.

- Pokaż, jeżeli już musisz, choć nie gwarantuję, czy utrzymam powagę.

- Przeprós, powiedziałem!

- Niech ci będzie, entomologu amatorze!

- Zobacz to! - Leszek widać uznał, że amator brzmi lepiej niż stuknięty, i położył na biurku Karoliny zieloną kartonową teczkę.

Otworzyła bez specjalnego zainteresowania, wciąż jeszcze głęboko poruszona własnymi myślami. W miarę przerzucania papierków jej twarz rozświetlała się wewnętrznym blaskiem. Miała przed sobą spis dłużników i wierzycieli, właściwie całe dossier firmy. Były to co prawda tylko kserokopie, ale obraz dawały godny oryginałów.

- Skąd to masz?

Leszek pokręcił głową z jawną dezaprobatą.

- Tego się nie spodziewałem. Mam i już... to znaczy mamy i już. Teraz trzeba przejrzeć papierek po papierku i wyciągnąć właściwe wnioski. Może nawet znajdziemy odpowiedź na najważniejsze pytania: co takiego knują nasze łątki i dlaczego Edyta nie zdecydowała się przekazać teczek staremu.

- Jednak miałam rację z tym knuciem! - stwierdziła z satysfakcją Karolina. - W przypadkowe zniknięcie Chochli też nie wierzę.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego - wyjaśnił spokojnie Leszek. - Gzik zaginął sobie, teczka sobie... choć, mówiąc poważnie, ona wcale nie zaginęła. Nerwowe poszukiwania to otoczka, mały spektakl na użytek mas.

- Gdzie wobec tego jest Chochla? - spytała Julia.

Leszek wzruszył ramionami. Karolina nawet nie dosłyszała pytania. Z wypiekami na policzkach przeglądała dokumenty zebrane w zielonej teczce. Niektóre widziała po raz pierwszy i te ją szczególnie interesowały. W końcu była prawnikiem, odpowiadała za treść umów i nie tylko. Leszek stał na wprost niej, oparty rękami o biurko.



- Od jakiegoś czasu Mikuli nie wystarczają donosy Heni?! Zobacz tylko, kupił kamerę przemysłową i urządzenia do monitorowania za trzydzieści parę tysięcy.

- Urządzenia razem z Henią to mały pryszcz! - Karolina z wrażenia zaczęła szeptać. - Mnie wychodzi, że jesteśmy najlepiej ubezpieczoną, a raczej najbezpieczniej zadłużoną firmą. Mikula, zamiast po bożemu korzystać z bankowych kredytów, siedzi w kieszeni Zakładu Ubezpieczeniowego Spokój, u jakiegoś Bujały. Znasz faceta?

Leszek nie znał faceta, poza tym, wertując dokumenty, zwracał uwagę na całkiem inne szczegóły niż Karolina.

- To co robimy z tym bigosem? - spytał.

- Chyba nie chcesz popełnić grzechu zaniechania! - oburzyła się Karolina. - Musimy wieczorem usiąść w dwójkę...

- ...w trójkę - dorzucił Leszek. - Wszystkim nam grozi wywalenie na ulicę. Poza tym informatyczka zawsze może się przydać.

Karolina spojrzała na Julię i kiwnęła głową. Tak byli oboje z Leszkiem przejęci, że świat dla nich przestał istnieć. Jedna Julia zachowała jaką taką ostrożność i wciąż stała w progu. Ale nawet ona nie usłyszała kocich kroków Edyty. Odwróciła się gwałtownie dopiero, gdy poczuła rękę na plecach. Była nieco wyższa od sekretarki, więc skutecznie zasłaniała widok na biurko Karoliny.

- Pani Edytko - zamrugła gwałtownie, a w jej wielkich oczach pojawiły się łzy. - Dyrektor Mikula mnie zwolnił.

Objęła kobietę i zmusiła do odwrotu. Całe serce włożyła w odegranie roli uciśnionego niewiniątka. Jej talent aktorski rozblęsnął niczym perła w otwartej ostrydze i wzruszył nawet niezbyt czułe serce Edyty.

- Naprawdę aż tak bardzo się przejęłaś? - spytała zdziwiona. - Ta decyzja leżała w kompetencjach asystentki dyrektora i dobrze, że wykazałaś trochę samodzielności.

Julia spodziewała się wszystkiego: napomnienia, wymówki, lecz na pewno nie pochwały. Z wyczuciem godnym najlepszych aktorów odstąpiła od dalszej rozpacz, by nie popaść w kabotynizm.

W Zajeździe było pusto. Konrad rozejrzał się i uznał, że kuchnia w renomowanym wrocławskim lokalu musi być wyjątkowo kiepska, skoro po piętnastej, a więc w porze obiadu, niemal wszystkie stoliki czekają na gości.

- Jesteś w błędzie, ssaczku - wyjaśniła Karolina. - Lepszej kuchni nie znajdziesz w całym mieście i lepszej czerniny nie zjesz nigdzie.

Skrzywił się na barbarzyńską zupę; pustki w restauracji nie dawały mu spokoju, więc zaczął opowiadać o lokalach Warszawy i Bydgoszczy, gdzie znalezienie wolnego stolika w porze obiadowej graniczy z cudem. Dziewczyna oderwała oczy od karty dań.

- Światowiec z ciebie, jak widzę, ale jednego nie rozumiesz: czymś w końcu muszą się różnić małe miasta od dużych. Tu nigdy nie ma szczytu, bo wrocławianie, których stać na obiad w lokalu, myślą tak jak ty: przetrączę coś w domu i też się najem. A ci, którzy lubią odrobinę luksusu, niestety, nie mają forsy. Arystokracja ducha w małych miastach jest biedniejsza niż w dużych. Mniej możliwości, mniej pieniędzy.

- Siebie zaliczasz do której grupy?

- Do żadnej. Ja uwielbiam luksus, bez względu na to, czy osobiście płacę, czy mam sponsora.

Posłała mu czarujący uśmiech i wróciła do lektury. Nim on zdążył przebrnąć przez zupy, ona wiedziała, że po czerninie zje pstrąga z rusztu i całość popije zimnym piwem. Zachowywała się jak stała bywalczy-ni, żartowała z kelnerką i nie miała wątpliwości, co kryje się pod wyszukanymi nazwami potraw.

- Ładne wnętrze - przyznał, gdy czekali na obiad. - Takie w starym, dobrym stylu.

- W starym, dobrym stylu - ucieszyła się Karolina. - Wiesz, kto powiedział jota w jotę tak samo? Powinieneś znać Bujalę... Co ja mówię: musisz go znać, przecież to twój były szef. Opowiedz mi o nim. Jaki to facet? Sprawia wrażenie... bufona.

- Skąd mam wiedzieć! - obruszył się nie na żarty. - Ty go znasz, nie ja.

- Ależ z ciebie dziwadło, ssaczku! Nie znam. Przytoczyłam słowa, które wpadły mi w ucho całkiem przypadkowo. Jak ci zacytuję Rockefellera, to też mnie posądzisz o zażyłość z jego milionami?

Nie jest prawdą, że tylko kobiety nie lubią, gdy w ich towarzystwie mówi się o innych kobietach. Mężczyźni są równie drażliwi, a może nawet drażliwsi. Konrad zaciął się w sobie i postanowił, że nie będzie rozmawiał z Karoliną na temat byłego szefa i w swoim mniemaniu słowa dotrzymał. Pod koniec obiadu dziewczyna wydawała się całkiem zadowolona. Czego nie dowiedziała się wprost, wyczytała między wierszami i otrzymała

portret ni to biznesmena, ni to gangstera. W każdym razie Bujala miał wszystko, co mężczyzna powinien mieć: pieniądze, dom, samochód i na dodatek jacht. Żonę też pewnie jakąś miał, lecz fakt ten chwilowo pozostawał bez znaczenia.

- Podwieziesz mnie? - spytała, gdy wyszli na pustawy plac Wolności.  
- Trochę się śpieszę, bo o szóstej wpadnie po mnie Julia i jedziemy pracować do Leszka. Stary zadał nam wyjątkowo wredną robotę.

Konrad milczał. Liczył, że po wspólnym obiedzie zjedzą wspólną kolację, może nawet przedłużą miłe chwile aż do następnego ranka, czyli do śniadania, jednak zachował ten pomysł dla siebie.

- Gniewasz się na mnie? - spytała, gdy już ruszyli. -Ja?

W jego głosie było wszystko: śmiech, zdziwienie, radosna pewność siebie, lecz na pewno nie było gniewu. Karolina zmarkotniała, co sprawiło mu dodatkową satysfakcję. Prawdziwy gniew dopadł go dopiero wówczas, gdy dziewczyna wysiadła. Poczul się wudzony za nos i lekceważony. Ruszył z piskiem opon i o mały włos nie wytrząsnął duszy ze starego forda. Ledwie podjechał na własny parking, obok samochodu wyrosła Żaneta z nieodłącznym synkiem. Jej ziemista, zniszczona twarz nie zdradzała zmęczenia ani radości. Najprawdopodobniej czekała od piętnastej. Inna kobieta na jej miejscu dawno by się zniechęciła, ale ona była cierpliwa i uparta. Od kilku miesięcy, to jest od czasu, gdy wpadła na trop Konrada, zaczęła pojawiać się przed jego domem. Najpierw raz na parę tygodni, potem coraz częściej miał wątpliwą przyjemność oglądania jej kolorowej spódnicy i męskiej kurtki.

- Radek, nie mam pieniędzy - powiedziała bez zbędnych wstępów.

- To się przejdź do opieki społecznej! - warknął.

- Tata? - spytał chłopiec.

- Nie, to nie tata - wyjaśniła Żaneta i dodała to, co mówiła przy każdym spotkaniu: - On mały, on na wszystkich facetów mówi tata.

Pociągała płaczliwie nosem i patrzyła błagalnie. Konrad dobrze wiedział, że dając pieniądze, nigdy nie uwolni się od Żanety i parszywej przeszłości. Drobne czy grubsze datki niczego nie załatwiały, to była studnia bez dna. Studnia, w którą on nie miał zamiaru skakać.

- Nie przychodź tu więcej - powiedział ostro. - Weź się do roboty i najlepiej zapomnij, gdzie mieszkam, bo w końcu wezwę policję.

Drzwi wejściowe trzasnęły głucho. Dopiero na górze nieco ochłonął, ale wciąż jeszcze miotła nim wściekłość. Z trudem uporał się z zamkiem. Własne mieszkanie wydało mu się dalekie i obce. Na meblach i wszędzie, gdzie spojrzał, pełno było kurzu. Ostatnio jakoś brakowało mu czasu dla domu. Z natury był pedantem. Przede wszystkim dbał o swój warsztat pracy, o komputer i sosnowe biurko. Tam wszystko musiało lśnić, co nie znaczy, że reszta go nie interesowała. Mieszkanie, odziedziczone po ciotce Ewelinie, pełne było bibelotów i różnych niepotrzebnych staroci. Kilka razy przymierzał się do remontu i zmiany wystroju, jednak nie miał pomysłu na nowe wnętrze. Odkurzał więc figurki, zdjęcia, obrazeczki, irytował się, że jest tego aż tyle, i zostawiał wszystko swojemu losowi. - Cholerny świat - mruknął niechętnie. -Może wreszcie dostanę solidnego kopa i wyjadę z tego grajdołka.

To nie do zniesienia. Tu wszyscy wszystkich znają. Ona i Bujala, kto by pomyślał! Sam już nie wiedział, czy bardziej dokuczało mu wspomnienie pięknej Karoliny, czy zaniedbanej Żanety. A może obu kobiet i na dodatek Bujaly.

Domofon Karoliny był popsuty i Julia musiała wchodzić na drugie piętro tylko po to, żeby się zameldować. Jamnik mojej Gajewskiej jak zwykle narobił hałasu na całą klatkę schodową. Obowiązkowo należało mówić „moja Gajewska”, tak jak mówiła Karolina. To nie była jakaś tam twoja, wasza ani nasza sąsiadka, ona była wyłącznie „moja”. Kiedy staruszka czuła się gorzej, Karolina biegała dla niej po zakupy, wyprowadzała Figę na spacer i wpadała na ploteczki. Moja Gajewska, w przeciwieństwie do większości staruszek, żyła dobrymi wiadomościami z przeszłości i współczesnymi romansami. Nie zrzędziła, nie krytkowała, cieszyła się, że młodzi mają teraz dobrze. Suczka Figa nie była już tak przyjaźnie nastawiona do ludzi, a jeśli nawet była, to swoją radość demonstrowała dość hałaśliwie.

Karolina otworzyła drzwi w spódniczce i staniku.

- Nie jesteś sama? - wystraszyła się Julia.

- Też coś! Przy gościu, o którym myślisz, biegałabym nago, nie w uniformie - odpowiedziała ze śmiechem. - Klapnij, gdzie ci wygodnie, zaraz będę gotowa.

Wyciągnęła z szafy kolorowe łaszki i w wielkim skupieniu zestawiała spódnice z bluzkami, bluzki z żakietami. Przechylała głowę, patrzyła krytycznie i próbowała następnych połączeń.

- Kupiłam spódnicę, widziałaś? - pochwaliła się Julia. - Czysta bawełna, żadnych dodatków. Fajna, nie?

Wstała z krzesła, żeby zademonstrować uroki nowego nabytku. Karolina słowem nie zdradziła zachwyty. Zerknęła tylko na suto marszczone cudo w kolorze zgniętego buraczka i wróciła do swoich wieszaków.

- Nie podoba ci się? - spytała zmartwiona Julia.

Przyjaciółka przysiadła na poręczu fotela. Lubiła tak przysiądać czy to na poręczu, czy na biurku.

- Nie mogłaś wybrać czegoś bez ogonów i w atrakcyjniejszym kolorze?

- Bawełna zawsze trochę się wyciąga - zmarkotniała Julia. - A kolor jest w moim guście.

- O, pardon! Jeżeli w guście, to wiadomo, że nie ma o czym gadać. Spódnica jest prześlicznie cudna, można z niej zrobić namiot dla trzech... może i czterech skautów!

Karolina zeskoczyła z fotela i wróciła do swoich zajęć. Za sprawą prostej czarnej spódniczki i turkusowej bluzki przemieniła się na oczach naburmuszonej Julii w elegancką kobietę. Musnęła rzęsy tuszem, pociągnęła wargi pomadką.

- Jestem gotowa. Możemy jechać.

- Ależ ty jesteś piękna! - westchnęła Julia z podziwem.

- W życiu bym nie pomyślała, że twój wyrafinowany gust jest tak bardzo podobny do Konradowego! - roześmiała się przyjaciółka.

- Mówił coś o mnie?

- Lebioda bez ambicji zawodowych.

Julię zatkało. Patrzyła szeroko otwartymi oczami i tylko dwa zaimki przeszły jej przez gardło.

- On o mnie?

- Czemu u licha on ma mówić o tobie, jeśli spotyka się ze mną?  
-spytała Karolina. - Wyraziłam własną opinię. Mam rozwinąć?

Julia skinęła głową. Dziewczyna, którą uważała za przyjaciółkę, przejechała się po niej jak narciarz po stoku. Za potulne siedzenie na tyłku, za wysługiwanie się Heni, za wewnętrzne rozmędlanie i senność, za ciuchy w stylu kopciuszka, brak makijażu i kobiecego wdzięku, wreszcie za to, że pozwoliła Mikuli o sobie zapomnieć. Julia mrugała szybko, żeby się nie rozplakać i nie dać Karolinie okazji do kolejnego epitetu.

- Jesteś niesprawiedliwa - wybąkała. - Edyta nigdy nic podobnego...  
Edyta mówi...

- Nie słuchaj Edyty, do jasnej cholery! Znajdź sobie inną wyrocznie, a najlepiej słuchaj swojego sumienia i sięgaj po to, co ci się należy. W firmie każdy ma własne plany, których nie odgadniesz. Myśl, nie siedź za biurkiem jak śpiąca Wenus. Mikula ci etatu na tacy nie przyniesie, bo to kretyn i zakuty antyfeminista. Nie wiem, jak ten cap łączy miłość do kobiet z taką cholerną pogardą dla nich. Szczerze mówiąc, guzik mnie to obchodzi. Ale ty mnie obchodzisz, bo cię lubię. Pogadaj z Kicińskim, pogadaj z Konradem, wydrzyj Mikuli ten etat z gardła i nie licz, że ktoś za ciebie załatwi twoje sprawy!

- Chciałam... już dawno chciałam...

- Jakbyś musiała, jakby nie było tatusia, mamusi i ich pieniędzy, to na chceniu byś nie skończyła. Rozumiesz?

- Tak! Nie... Ojejku! Jasne, że rozumiem, do cholery!



- Fiu, fiu! Może jeszcze będą z ciebie ludzie! - powiedziała nieco pogodniej Karolina.

Julia czuła się zbesztana i pogłaskana równocześnie. Opinia przyjaciółki wstrząsnęła nią, bo sama miała o sobie lepsze zdanie. Czegoś przecież w życiu dokonała, coś udowodniła i całkiem poważnie myślała o przyszłości.

- Z tą lebiodą przesadziłaś trochę, prawda? - spytała cicho.

- Niewiele! - pokręciła głową Karolina. - To szczerą prawdą.

Na ulicę Świętego Antoniego dotarli z półgodzinnym opóźnieniem. Leszek mieszkał w solidnej, przedwojennej kamienicy. Wygodne, szerokie schody z drewnianymi poręczami, mozaikowa posadzka i witrażowe szybki na półpiętrach sprawiały wrażenie mieszczańskiego dostatku. Jeżeli nawet krytyczne oko Julii wypatrzyło trochę kurzu czy wyłupany schodek, to już w mieszkaniu rozblysnęło czystym zachwytem. Wysokie, duże pokoje urządzone zostały z wielkim gustem i dbałością o szczegóły. Idealnie nadawały się na tło do marzeń o odrobinie luksusu na co dzień. Piękne stare meble, śliczne mahoniowe pianino, na ścianach obrazy i skrzyżowane szable. Była zaskoczona, choć nie powinna. Leszek bardzo do tego mieszkania pasował - ze swoją elegancją, doskonałą wodą po goleniu i nienagannymi manierami.

- Fantastycznie tu! - westchnęła z podziwem.

Uśmiechnął się i wyjaśnił, że to scheda rodowa, której nie pozwolił zniszczyć. Zadbął, odnowił i będzie jeszcze cieszyć oczy przez wiele lat.

- Fiu, fiu! - mruknęła Karolina. Jej uwagę zwrócił wielki szafkowy zegar w kącie pokoju. - Całe wieki temu mieliśmy w domu bardzo podobny - powiedziała cicho.

Leszek przygotował miejsce pracy w swoim gabinecie, gdzie oprócz wielkiego biurka i foteli stały dwie wyjątkowej urody szafy z książkami. Analiza dokumentów zebranych w zielonej teczce okazała się zajęciem frapującym i czasochłonnym. Cztery godziny strawili na twórczych dyskusjach. Jeden wniosek nasuwał się nieodparcie: firma była zadłużona ponad przyzwoitość. Kwoty pożyczone od wierzycieli znacznie przewyższały te, które Budampolexowi winni byli dłużnicy. Oczywiście to jeszcze o niczym nie świadczyło, ale zastanawiać mogło.

- Co ten jelonek rogacz kombinuje? - zastanawiał się Leszek głośno. Miał przed sobą kserokopie weksli wystawionych przez Mikulę na rzecz Grzegorza Bujaly. Wszystkie na urzędowych blankietach, prawidłowo wypełnione, łącznie z magiczną formułką „zapłacę bez protestu”, kwotą podaną w PLN i doliczonymi odsetkami. Do niczego nie można się było przyczepić. Podobnie zresztą jak w wypadku pożyczek branych pod zastaw maszyn i hal fabrycznych.

- Dziwne - powiedziała Karolina. - Stary cap w drobniejszych sprawach niczego nie zrobił bez mojej opinii, a tu, gdzie w grę wchodzi grube pieniądze, nawet się nie zająknął o Bujale i pożyczkach. Połowę tych papierków widzę po raz pierwszy.

- Ja też. Jednak zapewniam cię, że podpisy na oryginałach są starego - powiedział Leszek.

- Podpisy być może, ale czyj był pomysł kolejnego bankructwa? Coś mi mówi, że Bujala jest niezłym tropem. Pomaga Edycie i Mikuli, więc

jakbyśmy mu zabełtali w głowie, może i nam zechce pomóc. Co o tym myślicie?

Julia od dłuższego czasu wierciła się niespokojnie. Miała niejasne wrażenie, że wkraczają w cudze sprawy. Była córką właścicieli sporego biznesu i niejedno w domu słyszała. Rodzice uważali - a ona się z nimi zgadzała - że właściciel firmy ma prawo zrobić z własnością, co zechce, i nikomu nic do tego. Próbowwała wtrącić swoje trzy grosze do ogólnej rozmowy.

- Masz rację - przyznała Karolina. - Jak wyniesiemy się z Budam-polexu, to Mikulowie mogą zjeść cały ten majdan i popić wiślaną wodą. Wciąż jednak u nich pracujemy i jeśli zakład przestanie istnieć, znajdziemy się na bruku, a wierz mi, kiepsko się szuka pracy z tej pozycji. Jeżeli o mnie chodzi, przynajmniej do września nie mogę ruszyć się z miasta. Wyłożyłam za mieszkanie z góry i nie mam zamiaru tracić forsy. Mikula płaci śmiesznie mało, jednak płaci.

- Myślę, że jakąś, niewielką, szansę mamy - powiedział Leszek. -W każdym razie warto spróbować, nim nas wyleją.

Wielkie oczy Julii wędrowały od Leszka do Karoliny. Nie patrzyła na stół zavalony dokumentami, bo nie znała się przecież na wekslach, pożyczkach ani spisach dłużników. Dla niej najważniejsze było to, że siedziała wśród przyjaciół, którzy dopuścili ją do wielkiej tajemnicy. Czowała się wyróżniona, dowartościowana i wdzięczna za zaufanie. Ona też nie wyobrażała sobie życia bez pracy. Z głodu by nie umarła, ale z nudów i rozpaczony pewnie tak. Dlatego chciała pomóc Leszkowi i Karolinie, nawet gdyby przyszło troszeczkę złamać prawo. Liczyła, że troszeczkę wystarczy.

- Słuchajcie! - zawołała w przypiływie twórczego natchnienia. - Wy nie wiecie nic, ja nie wiem nic, nikt z nas nic nie wie, czyli najlepszy moment, żeby zawiązać spisek. Jest kwiecień, możemy się nazwać aprilistami i do dzieła. Tylko do jakiego?

- Idzisz ją! - ucieszył się Leszek. - Małe to, a zapobiegliwe jak wielodzietna mrówka! Nazwę nam wymyśliła, do dzieła chce się brać i wie, że nic nie wie!

- Spokojna głowa! - Karolina przerwała wesołe rozpasanie. - Mądre pytania są najważniejsze. Teraz wystarczy, że poszukamy właściwych odpowiedzi.

Logiczny wywód przyjaciółki, poparty ojcowskim całusem Leszka, ostatecznie przekonał Julię, że znalazła się po właściwej stronie.

- Do kogo należą grunty? - spytała od niechcienia, w ramach zadawania mądrych pytań, o których napomknęła Karolina.

- Jakie grunty?

- Biurowiec, hale, magazyny stoją przecież na jakimś gruncie, prawda? - wyjaśniła niepewnie Julia. - Pytam, do kogo należy ta ziemia, bo... jeżeli do Mikulowej, to... a jeżeli nie do Mikulowej... to uregulowanie praw własności wymaga... - plątała się coraz bardziej, przekonana, że pytanie, ściągnięte od rodzonej matki, nie było najmądrzejsze. Leszek patrzył na nią uważnie, wreszcie zerwał się z fotela i zaczął krążyć po gabinecie.

- Mógłbyś usiąść - poprosiła Julia. - Takie dreptanie przypomina mi Chochlę.

- Fúj! - Usiadł posłusznie. - Myślę, że grunty możemy sobie darować. Nie ma sposobu, żeby ustalić, kto jest właścicielem.

- Oczywiście, że jest sposób! - wtrąciła Karolina. - Tylko czy jest sens?

- Nie ma! - przyznał skwapliwie i sięgnął po zieloną teczkę.

Co wynikało z materiałów, to wynikało, ale zamierzeń szefów nie dało się z nich wyczytać. Kto znał prawdę? Mikulowie, może jeszcze ktoś, na pewno Edyta. Należało dotrzeć przynajmniej do jednej z tych osób. Sekretarkę wykluczyli pierwszą. Łatwiej byłoby włamać się do bankowego systemu komputerowego niż wyciągnąć z Edyty tajemnicę, której nie zamierzała zdradzić. Leszek obiecał wykorzystać swój męski czar i pociągnąć za język Mikulową. Nie robił większych nadziei sobie ani koleżankom. Szefowa lubiła jego towarzystwo w firmie, natomiast wcale nie musiała mieć ochoty na spotkanie poza firmą. Nie była kobietą skomplikowaną wewnątrz, lecz nie była też całkowicie pozbawiona rozumu.

- No dobra, spróbuję rozgryźć tę babkę wielojajeczną - mruknął.

- Kogo? - zainteresowały się dziewczyny, przyzwyczajone bardziej do owadów niż do nabiątu.

- Nie zauważyłyście, że ona każde zdanie zaczyna od ja? Jaja i jaja!

- Powiedziałabym raczej, że to nioska - roześmiała się Karolina.

- Nigdy nie wyrażam się aż tak źle o kobietach! - zaprotestował Leszek.

Mikulę zarezerwowała dla siebie Karolina. Miała pewne doświadczenie w postępowaniu ze starym capem, jak uparcie tytułowała dyrektora. Pozostawał jeszcze człowiek o nazwisku Bujała. Najgorsze, że dla nich pozostawał wyłącznie nazwiskiem, do którego nie potrafili dokleić żadnego faceta - ani młodego, ani starego. Z całą pewnością był prezesem firmy ubezpieczeniowej Spokój. A prywatnie? Podobno dom, podobno jacht. Ze skąpych informacji Leszka wynikało, że Bujała był personą znaną nie tylko w poważnym biznesie. W mieście mówiło się o jego powiązaniach z półświatkiem i miejscową mafią. Fortunę zrobił na handlu alkoholem i być może czymś jeszcze, wykorzystał sprzyjający moment, wszedł w spółkę z kapitałem zagranicznym i otworzył legalną firmę ubezpieczeniową. Na oko i w opinii wielu osób firma działała sprawnie.

- Do Bujały musi dotrzeć nasza mała! - stwierdziła Karolina.

- Ona? - spytał Leszek. Był nie mniej zdziwiony niż Julia.

- A kto? Ty? Mam przeczucie, że to powinna być kobieta.

- Dlaczego akurat kobieta? A może on już jedną ma! A może woli chłopaków? Jestem przeciwny załatwianiu poważnych spraw przez jakiegoś tiu, tiu. Poza tym Julia nie jest w typie gangsterów! - zdenerwował się Leszek.

Karolina spojrzała z jawną kpina.

- Chcesz nas przekonać, że sam nie jesteś gangsterem? - Mrugnęła porozumiewawczo i roześmiała się na widok speszzonej miny przyjaciela. - Z Juleczki zrobimy taką laskę, że głowa mała. Biorę to na siebie. Jak wejdzie do gabinetu Bujały, facet orla wywinie i trzeba go będzie reanimować.

- Mówicie o mnie tak, jakby mnie przy tym nie było! - zdenerwowała się Julia. - Dotrzeć mogę, ale co dalej?

- Dalej zagrasz tak pięknie jak dzisiaj z Edytą albo jak kiedyś z Chochlą. Pamiętasz? Nawet się biedny poczwarek nie domyślił, że zrobiłyśmy go w kolosalne jajo!

Julia natychmiast rozjaśniła się i uśmiechnęła. Opinia Karoliny sprawiła jej wielką przyjemność. Historia z Chochlą była zaledwie wprawką, maleńką etiudką, a ona czuła się stworzona do wielkich ról, co nie znaczy, że gardziła etiudami.

To było dawno, zaraz na początku pracy w komórce organizacyjno-prawnej. Któregoś ranka kierownik zagalopował się i klepnął magister Cierniak po siedzeniu. Klepnął radośnie, z idiotycznym chichotem i jak najbardziej zamierzenie. Karolina wściekła się, warknęła, że następnym razem odda z nawiązką. Chochła nie znał umiaru i chyba słabo znał kobiety, bo nie tylko powtórzył klepięcie, lecz wciąż z tym samym chichotem dodał, że to całkiem prywatne żarty. W ramach prywatnej odpowiedzi na prywatny żart dostał dwa razy w twarz. Roztropny mężczyzna powinien w takiej sytuacji wykazać się zbiorową mądrością swojej płci, przeprosić i wyjść. Kierownik nie popisał się po raz drugi. Nie dość, że sam sprowokował głupią awanturę, że oberwał na własne życzenie, to jeszcze pobiegł na skargę do dyrektora. Jedynym świadkiem zajścia była Julia. Dziewczyna nie zmarnowała swojej szansy. Prześlicznie odegrała monodram, który w ciągu paru minut przekonał Mikulę, że nikt nie został spoliczkowany. Nie było żadnych klepięć w tyłek czy w policzek, natomiast z całą pewnością kierownik prosił o dokument, którego pani magister nie chciała dać. Karolina za nic nie mogła sobie przypomnieć, o co chodziło, więc dyrektor zyskał pewność, że kierownik próbował

wpakować swój nos w sprawy ściśle poufne. Ostatni, bardzo burzliwy akt spektaklu rozegrał się w gabinecie. Chochla opuścił scenę blady, przerażony i całkiem oglupiał.

- Wkopałyście gzika za niewinność? - oburzył się Leszek.

. - Skądże znowu! - zaprotestowała Karolina. - Twój gzik wysłał mnie po blankiet delegacji. On mnie, rozumiesz? I dla zachęty wymierzył mi klapsa. Należała mu się nauczka za brak szacunku dla kobiet. A że Mikula w życiu by tego nie zrozumiał, więc Julia uprawdopodobniła sytuację. Chwyła w lot, co jest grane i za to ją polubiłam. Ten dzień zapoczątkował naszą przyjaźń, prawda Juluś? - Uśmiechnęła się do zarumienionej dziewczyny. - A teraz równie ślicznie zagrasz przed Bujala rolę informatyczki, która szuka pracy. Słyszałaś, że firma jest wzorowa, chciałabyś pod światłym kierunkiem pana prezesa... No co, mała, mam cię uczyć aktorstwa?

Oczy Julii błyszcząły niczym dwa jupitery. Nabrała szalonej ochoty na tę rolę i za nic nie mogła zrozumieć wątpliwości Leszka, który upierał się, że to zbyt niebezpieczne posunięcie.

- Co może być niebezpiecznego w szukaniu pracy? - spytała zdziwiona. - Czy ty wiesz, w ilu ja byłam zakładach, u ilu klamek wisiałam, zanim Mikula zgodził się mnie przyjąć?

- Mikulowa cię przyjęła, a to zupełnie zmienia postać rzeczy — denerwował się Leszek.

- Oj, chyba ci się pogorszyło! - prychnęła Julia. - Jak mówię, że Mikula, to chyba wiem, co mówię. Szefową pierwszy raz zobaczyłam dopiero w firmie.



Karolina zrecznie przerwała spór. Była autorką pomysłu i nie życzyła sobie żadnych zmian. Powoli przyzwyczajała się do roli przywódcy spisku. Przed wyjściem, gdy Julia na moment zniknęła w łazience, nachyliła się do ucha kolegi:

- Co jest, staruszkę? Zamazałeś się, twoja sprawa, ale roboty nam nie psuj. Nie chcesz chyba - pogroziła żartobliwie palcem - żebym uświadomiła ci żonę!

- Czemu nie, pod warunkiem, że zdobędziesz jej nowy adres. Od pałdziernika mieszkam sam.

Karolina spoważniała i delikatnie pogładziła ramię chłopaka.

- Przepraszam, nie wiedziałam!

- Wiem... Nie chwaleb się przesadnie, bo nie ma czym. I nie tęsknię przesadnie, bo nie ma za kim - powiedział cicho.

Od zniknięcia Chochli minęło kilka dni. Policja milczała, pozostawiając pracownikom domysły. W firmie powoli zwyciężała koncepcja romantyczna: miłosne opętanie, ucieczka i tak dalej. Najciekawsze było to i tak dalej, czyli co Chochla mógł robić z kobietą. Był typowym gawędziarzem seksualnym, a wiadomo, że gawędziarze niewiele mają wspólnego z ludźmi czynu.

Z samego rana Julia znalazła na swoim biurku kartkę. Tekst pod dwoma krwistymi serduszkami głosił, że ktoś nie może przestać o niej myśleć. Kto? Niestety, to była walentynkowa kartka, więc bez podpisu nadawcy. Rozbawiona zajrzała do pokoju magistrów.

- Leszku, to twoja sprawka, prawda? - pomachała kartką. Zamruczał, potarł ręką policzek.

- Hm... nie. Ja mianowicie wiem, że walentynki są w lutym - powiedział po chwili namysłu.

- A kto mianowicie nie wie?

- Mianowicie ktoś, komu dziewczyna podoba się dłużej niż jeden dzień.

- Znasz kogoś, kto obchodzi walentynki codziennie? - Julia nie dawała za wygraną.

- Musiałbym się zastanowić... A właściwie czemu ja? Przecież to twoja kartka, ty się zastanawiaj! - Roześmiał się i swoim zwyczajem zniknął za gazetą.

Wróciła do sekretariatu z miłym uczuciem ciepła na duszy. Wiedziała oczywiście, że Leszek darzył ją sympatią nieco większą niż inne biurowe koleżanki i nie miała nic przeciwko temu. Mógł się zachwycać kolorem jej oczu i włosów, mógł całować ją w czoło, bo magister Wy-droń nie wyglądał na człowieka, który przekracza towarzyskie normy. Julia była absolutnie spokojna, że walentynkowe wyznanie to jeszcze jeden niewinny i ładny żart. Ech, szkoda, że ta kartka nie nadeszła prosto z planu filmowego!

Dyrektor wrócił z Bydgoszczy i wpadł do firmy na dwadzieścia minut. Na Julię łypnął nieprzychylnie, ale o zwolnieniu nie wspomniał. Koniecznie chciał rozmawiać z magister Cierniak.

- Wyszła do Państwowej Inspekcji Pracy - powiedziała oschłym tonem Edyta.

Nie zważając na zły humor szefa, weszła za nim do gabinetu. Spokojnie wysłuchiwała gorzkich uwag na temat samowolnego opuszczania stanowiska pracy. Głos dyrektora grzmiał jak dzwon. Sekretarka mówiła cicho. Tylko jedno zdanie w całości dotarło do uszu Julii i mocno ją zaskoczyło.

- Z przerażeniem patrzę, że już nie głowa tobą rządzi, tylko ta część ciała, w której próżno szukać rozumu - powiedziała Edyta.

Zaraz potem Mikula ponownie wyjechał.

- Kiedy szef znajdzie dla mnie wreszcie czas? - spytała przygnębiona dziewczyna.

- Nie mów, że się stęskniłaś! To bardzo niebezpieczny facet. Ma zazdrosną żonę, kochankę i kobiety za nim szaleją - powiedziała Edyta.

- Jego harem, jego biznes! Pani Edytko, mówię pani pod słowem honoru: jeżeli szef nie da mi pracy przy komputerach, odejdę z firmy.

- Na twoim miejscu nie liczyłabym na komputery. Dyrektor ma poglądy konserwatywne i nie zatrudnia kobiet w działach technicznych. Uważa, że ściśle, logiczne myślenie jest domeną mężczyzn.

- Oszalał czy co? Kiedy na niego patrzę, nasuwa mi się całkiem inny wniosek! - wykrzyknęła Julia i przerażona zakryła usta dłonią.

Edyta pokręciła głową.

- W firmie obowiązują wnioski szefa, drogie dziecko. Im prędzej to zrozumiesz, tym dla ciebie lepiej.

W znacznie gorszej sytuacji był Konrad Orzechowicz. Jeszcze nie dostał angażu i zakresu obowiązków. Dział personalny nie mógł wydać dokumentów bez podpisu dyrektora, inżynier Kiciński oficjalnie wciąż był kierownikiem, więc Konradowi nie pozostawało nic innego, jak czekać. Jeśli chciał, potrafił być cierpliwy. Zresztą innego wyjścia nie miał. Codzienne urzędowanie zaczynał od wizyty w sekretariacie. Zwykle zastawał samą Julię, bo Edyta od rana biegła gdzieś z Mikulową.

- Jest dyrektor?

Uśmiechała się i rozkładała ręce, co znaczyło, że dyrektora wciąło. Miała wielką ochotę porozmawiać z Orzechowiczem o etacie, choćby tylko spytać, czy ma już kogoś na oku, niestety, ledwie otworzyła usta, odwaga ją opuszczała. Tłumaczyła sobie, że to przez te brwi i oczy, które czyniły go podobnym do filmowego Marka Winicjusza. Patrzyła na brwi, serce jej waliło i nie umiała sklecić rozsądnego zdania. Gdyby chociaż spytał ją o plany zawodowe! Ale nie, skądże. Jego interesował tylko dyrektor Mikula.

Dopiero w czwartek dyrektor pojawił się w firmie, za to od samego rana. Zabronił Edycie wpuszczać interesantów, nie pozwolił łączyć rozmów telefonicznych, czyli był, ale jakby go nie było. Konrad zjawił się kilka minut po siódmej.

- Zawiadomię pana, kiedy szef będzie wolny - obiecała Edyta i nim zdążyła cokolwiek dodać, Orzechowicz starannie zamykał drzwi od strony dyrektorskiego gabinetu.

Zerwała się, chciała za nim biec i stanęła jak wryta.

- Zachowuje się pan jak ostatni palant, jak harcerzyk w czasie podchodów - krzyczał Orzechowicz.

Mikula coś tłumaczył, gęsto padały słowa firma, wspólny interes, a Orzechowicz swoje: palant, harcerzyk!

- Edytko, wejdź tam, wywlecż tego samobójcę! - Karolina patrzyła błagalnie na sekretarkę.

- Którego? - Edyta odzyskała spokój i nawet zdobyła się na ironiczny uśmiech. - W niebezpieczeństwie jest Mikula. O ile się znam na ludziach, twój Orzechowicz ma już angaż w kieszeni.

- Dlaczego mój Orzechowicz?

- Chcesz powiedzieć, że nie zrezygnowałaś z Mikuli?

Karolina wzruszyła ramionami i zamilkła. Edyta, zajęta przeglądaniem papierów, wcale nie czekała na odpowiedź. Chciała delikatnie ugryźć panią magister, ugryzła i to jej w zupełności wystarczyło. Krzyki w gabinecie powoli ucichły, rozmowa przybrała cywilizowany charakter. Kilka minut później do naczelnego weszła personalna z plikiem dokumentów. Nie siedziała długo. Wybiegła wzburzona, z twarzą pokrytą czerwonymi plamami. Nawet Julia zrozumiała, że dyrektor musiał znaleźć kozła ofiarnego i padło na tę bidulkę. Edytka znowu miała rację, pomyślała z uznaniem. Tylko czemu ścięła się z Karoliną i o co? Bo chyba się ścięła? Spojrzała na jedną, potem na drugą. Sekretarka wyglądała jak uosobienie spokoju. Udawała, że rozmowa za drzwiami zupełnie jej nie interesuje. Karolina niczego nie udawała. Na kilometr widać było, że najchętniej wsadziłaby głowę do środka, żeby jeszcze lepiej słyszeć, co Orzechowicz miał do powiedzenia na temat komputerów najnowszej generacji. Wyszedł spokojny, po swojemu poważny i nikt by nie pomyślał, że kilkanaście

minut wcześniej wyzywał naczelnego od palantów. Spojrzał na Julię, zawahał się przez ułamek sekundy, ale nie powiedział nic. Karolina wybiegła za nim.

Krótki moment wahania był dla Julii niczym wiadro zimnej wody. Poczucie zmarnowanej szansy miało słony smak łez, o czym przekonała się, czując niemiłe drapanie w gardle. Pytania posypały się same. Dlaczego nie porozmawiałam wcześniej z Orzechowiczem? Dlaczego nie byłam jeszcze u Mikuli? I dlaczego, u diabła, to nie ja gram Ligię?

Ostatnie, choć wydawało się najmniej poważne, bolało najbardziej.

Koło południa została w sekretariacie sama i żeby nie oszaleć nad instrukcją obsługi kombajnu budowlanego, wzięła się do sortowania korespondencji. Była to praca rutynowa. Pieczęć sekretariatu, kolejny numer, data, sprawa i tak dalej. Każdą przesyłkę trzeba było otworzyć, pismo przeczytać. Podważyła brzeg niestarannie zaklejonej koperty i na biurko wypadły dwa zdjęcia. Odruchowo zerknęła na adres. Pod imieniem i nazwiskiem Edyty widniał dopisek: do rąk własnych. Całkiem niechcący i trochę bezmyślnie otworzyła prywatną korespondencję. Rozejrzała się bezradnie w poszukiwaniu kleju lub kawałka taśmy, żeby naprawić błąd. Oczywiście nie byłaby kobietą, gdyby przy okazji nie zerknęła na fotki. Raz, potem drugi. Miała przed sobą gotowe, choć nieco przestarzałe załączniki do sprawy rozwodowej. Pijaniutka para w pozach erotycznie jednoznacznych, na fotelu i na dywanie, gdzieś, w jakimś gabinecie. Nad nimi wielki napis na ścianie: Dobra robota, to obowią...

- Ale jajo - szepnęła zaskoczona. Porno w stylu retro?

Na odwrocie czarno-białych fotek widniał rok 1983. Edyta miała wtedy około trzydziestki, włosy długie do ramion i chyba nieco ostrzejszy makijaż. Julia patrzyła i patrzyła. Otrzeźwiała dopiero na dźwięk telefonu.

- Pan dyrektor zajęty, przekażę, proszę, dziękuję - odpowiadała machinalnie. Przytrzymując ramieniem słuchawkę, błyskawicznie za-kleiła kopertę i odłożyła na brzeg biurka.

Kto potrafi skupić się na nudnej pracy w momencie, gdy został dopuszczony, a raczej sam się dopuścił do wielkiej tajemnicy? Julia nawet nie próbowała udawać, że przegląda instrukcję. Z obrzydzeniem odsunęła papierzyska jak najdalej od siebie. W głowie i przed oczami miała tylko zdjęcia. Nędzne fotki tak bardzo nie pasowały do kobiety, którą podziwiała za opanowanie, takt, subtelność i w ogóle za całokształt, że czuła się niemal oszukana. Już raz w życiu doświadczyła podobnego uczucia. To było strasznie dawno, w pierwszej, może drugiej klasie, kiedy niejaka Asia, szkolna papużka od serca, opowiedziała jej, co tak naprawdę wyczyniają dorośli po nocach. Wiedza Asi pochodziła z podglądania rodziców i była rzetelna. „Moi na pewno nie robią takich świństw!” - oświadczyła Julia z całą powagą swoich siedmiu wiosen. Nie negowała faktu, nie zarzucała Asi kłamstwa, uznała, że wszyscy mogą, z wyjątkiem mamy i taty. Komu miała wykrzyczeć, że Edyta na pewno nie była zdolna do takich świństw? A jeżeli była?

Im dłużej myślała o tajemniczej przesyłce, tym bardziej skłonna była podejrzewać, że to głupi żart, fotomontaż albo coś w tym rodzaju. Edyta otworzy kopertę, parsknie krótkim śmiechem, wzruszy ramionami i starannie podrze falsyfikaty. Niestety, ten moment jej umknął za sprawą pani Heni i Karoliny. Jak zwykle wpadły do sekretariatu razem. Jedna na drugą patrzeć nie mogła, lecz tak się jakoś składało, że zawsze chodziły w

parze. Tym razem pomoc gospodarcza usiłowała się dowiedzieć, czy pani Aleksandra, czyli szefowa, jest już w firmie.

- Nie zauważyłam - odpowiedziała Julia.

Pani Henia wyglądała na mocno zafrasowaną. Niechętnie zerknęła na Karolinę, lecz magister Cierniak nie zamierzała opuszczać sekretariatu. Siedziała na biurku Julii i bawiła się linijką.

- Powinna już być - ciągnęła pani Henia - bo kazała dyrektorowi na siebie zaczekać. Gdyby nie kazała, już dawno by pofrunął ten... - ugryzła się najwyraźniej w język i dokończyła już innym tonem: - Że też taka piękna kobieta wzięła sobie na głowę taką zgryzotę!

- Widocznie kocha męża - bąknęła Julia.

- Kocha, kocha... jak psy dziada w ciasnej ulicy. Za te wszystkie romanse, za te zdrady to jemu można tylko chrześcijańskie miłosierdzie okazać, nic więcej. Z nawyku jest mu wierna. Drugiej takiej cnotliwej kobiety ze świecą szukać. Nie wierzysz?

- Ależ wierzymy, pani Heniu, wierzymy - wtrąciła Karolina. - Babki z wypchanym biustem muszą być cnotliwe, choćby z konieczności. Edyta panią prosi!

- Była tu?

- Właśnie wyszła.

Chwilę trwało, zanim pani Henia przetrawiła niesprawiedliwe słowa o wpływie biustu na cnotę i zdecydowała się wycofać. Edyta była jedyną osobą w firmie, przed którą czuła odrobinę respektu. Julia zerknęła na biurko sekretarki. Koperty nie było.



Pani Henia ponownie zajrzała do sekretariatu.

- Julciu, na momencik!

Przy magister Cierniak nie chciała wyskakiwać z wieczornym zebraniem kobiet, a prawdę mówiąc, wpadła tylko po to, by Julię zaprosić. Umówiły się o osiemnastej przed blokiem na Zbiegniewskiej.

- No, stara, widziałam angaż Orzechowicza! - Karolina nie mogła się już doczekać powrotu przyjaciółki. - Powiem ci, że całkiem dobre warunki sobie wykrzyczał.

- A co z Kicińskim?

- Od pierwszego odchodzi do Anwilu. To jego decyzja. Raczej pomyśl, co z tobą, i pogadaj z Orzechowiczem. On nie gryzie, mogę ci zaręczyć.

- Skoro ręczysz, to chyba spróbuję.

- Błagam, nie rób min jak Edyta! -jęknęła Karolina. - Na dzisiaj mam dość.

Musiała mieć dość, bo nie chciała powiedzieć Julii nic więcej i udawała, że nie pamięta żadnej sprzeczki.

Orzechowicz wreszcie był z siebie zadowolony. Przygotował się na potężną awanturę, sądził, że przyjdzie mu walczyć o pieniądze, i nawet nie zdążył pokazać na co go stać. Wystarczyło, że odrobinę podniósł głos, a już stary zmiękł, załatwił wszystko od ręki i pod dyktando. Ta jedna rozmowa przekreśliła Mikulę w oczach Konrada. Lubił twardych facetów, sam się do takich zaliczał i jak każdy macho gardził mięczakami. Nie odmawiał dyrektorowi sprytu, lecz o jego umiejętnościach menedżerskich miał jak

najgorsze zdanie. Przede wszystkim był rozczarowany bałaganem w firmie i wcale tego nie ukrywał. Liczył na gwałtowny protest, na zwykłe w takich wypadkach tłumaczenia i był zaskoczony, kiedy Mikula przyznał mu rację.

- Wiem, wiem! - powiedział. - Komputeryzacja, stworzenie odpowiedniego systemu, to wszystko ułatwi dostęp do dokumentów i właściwy ich przepływ. Kupimy sprzęt w drugiej połowie maja.

- Dlaczego nie wcześniej? Przecież szkoda czasu? Rozmawiali już całkiem spokojnie, prawie po przyjacielsku.

- Czasu szkoda, ale pojawiły się kłopoty finansowe. Skurczybyki, zlecają roboty, a płacić nie chcą. Co to za czasy, w których najtrudniej jest odzyskać własne pieniądze!

- Jest kilka wypróbowanych sposobów na odzyskanie pieniędzy. Niech mi pan udostępni listę dłużników, może da się coś zrobić?

- Ba! Nie ma takiej listy. Zginęła - powiedział Mikula.

Konrad domyślnie pokiwał głową. Zrozumiał, że nie w porę wyrwał się z propozycją i nie nalegał dłużej. W każdym razie załatwił prawie wszystko, co chciał załatwić, może z wyjątkiem jednego: nie wspomniał dyrektorowi o tej małej informatyce z sekretariatu. Dziewczyna widać zagustowała w myciu szklanek i parzeniu kawy, bo nigdy więcej nie wróciła do rozmowy, zapoczątkowanej kiedyś przez Karolinę. Nie chciał na siłę uszczęśliwiać śmiesznej myszki o roztargnionym spojrzeniu zakochanej kobiety.

Karolina wyszła z sekretariatu zaraz po nim. Wydawała się podekscytowana i przejęta. Jak na kogoś, kto nie był przy rozmowie, wiedziała bardzo dużo.

- Czy ty przypadkiem nie podsłuchiwałaś pod drzwiami? - roześmiał się Konrad.

- Oczywiście że tak! Potraktowałeś starego capa wyjątkowo elegancko i nie umiałam odmówić sobie tej przyjemności.

- Jesteś niesamowita! - przyznał Konrad.

- Dlatego, że nie kłamię?

- Dlatego, że zaprzeczasz i zgadzasz się w momentach najmniej oczekiwanych.

- Współczuję ci, ssaczku, musiałeś mieć do czynienia z wyjątkowo nudnymi kobietami! - westchnęła.

Chciała jeszcze coś dodać, ale zadzwonił telefon. Stała sobie przy oknie, żeby udowodnić, że nie ma zwyczaju podsłuchiwania wszystkich rozmów. Ta akurat nie była zbyt interesująca. Rozmówca tokował, Konrad słuchał, czasem wtrącił słówko tak, częściej nie, ze dwa razy przyznał, że czegoś nie wie. Zaintrygowała ją dopiero sama końcówka:

- Dobra, Grzesiu, zadzwonię do ciebie wieczorem, teraz nie mogę mówić - powiedział Konrad.

- Następnym razem daj mi znak i wyjdę! - zdenerwowała się Karolina. - Zareczam ci, że się nie obrażę. Każdy ma prawo do tajemnic służbowych.

- To była prywatna rozmowa z nudnym facetem i nie miałem ochoty jej ciągnąć - wyjaśnił.

- Grześ Bujala wie, że nazywasz go nudnym facetem? - spytała od niechcienia. Patrzyła przy tym prosto w oczy Konrada.

- Skądże znowu! Chyba nie zechcesz mu tego powtórzyć?

- Przecież mówiłam ci, że go nie znam.

- Całe szczęście. To jest facet, który ma o sobie wyłącznie dobre zdanie. Tak przynajmniej myślę. A mój koleś nazywa się Grzegorz Majdziak i naprawdę jest nudny.

Patrząc sobie głęboko w oczy, skończyli tę rozmowę, z której nic nie wynikało.

- A ciebie znowu gdzie niesie? Matka czujnie wychyliła się z kuchni.

- Widzisz, jak ty mnie słuchasz! - zawołała z wyrzutem Julia.

-Przecież wczoraj mówiłam, że mam wizytę u dentysty!

W wielkim pośpiechu narzuciła kurtkę i starannie zamknęła za sobą drzwi. Po pięciu latach spędzonych w stolicy i w akademiku wciąż jeszcze nie umiała się przyzwyczać do przesłuchań: gdzie, po co, z kim, na jak długo i czy w ogóle warto. Zdaniem matki nie było warto opuszczać domu, o czym starała się za wszelką cenę przekonać córkę. Emilia Blendowa była niezmordowana, Julia z kolei uważała, że jest dorosła i żeby nie popaść w kompleksy więźnia, wypracowała sobie niezawodny system przepustek. Dentysta, lekarz, mechanik samochodowy, to były słowa wytrychy, które otwierały jej drzwi do kilku godzin wolności.

Z wielką ulgą wyszła przed dom. Rzadko miała okazję robić właściwy użytek z nóg i spacerować po własnym osiedlu. Szła sobie niespiesznie, zdziwiona, że to już naprawdę wiosna. Zza szyb matiza jakoś

nie dostrzegała napęczniałych pąków na drzewach ani krokusów w ogródkach. Bez trudu odnalazła właściwy wieżowiec na Zbiegniew-skiej. Drzwi do drugiej klatki były sprytnie zabezpieczone, tak by nie trzeba było korzystać z domofonu. Przy windzie czekała okrągłutka siwa kobieta.

- Które piętro? - spytała i natychmiast poinformowała Julię, że ona jedzie na ostatnie.

- Ja też.

- Pani na sesję? - ucieszyła się tamta.

- Chyba tak - przyznała Julia i uśmiechnęła się na myśl, że ma uczestniczyć ni mniej, ni więcej tylko w sesji, na którą zaprosiła ją pomoc gospodarcza.

Kobieta była znacznie starsza od Julii, mogła mieć około pięćdziesięciu lat. Patrzyła na dziewczynę z wyraźną sympatią. Nim winda dojechała na górę, zdążyła wyjaśnić, że znikąd nie da się wynieść tyle mocy i energii, co z babskich sesji.

Niewielkie pomieszczenie blokowej suszarni zostało tego popołudnia zamienione na salę obrad. Kobiety siedziały na krzesłach przyniesionych z domu, na turystycznych fotelikach i zwykłych deskach położonych na taboretach. W przejściu ustawiły torby i siatki, jakby przybiegły na spotkanie prosto z zakupów. Julia przycupnęła na desce obok nowej znajomej. Rozejrzała się ciekawie. Brudne szyby nie przepuszczały dziennego światła, goła żarówka zniekształcała rysy i rzucała dziwne cienie na ściany. Uczestniczek było kilkanaście, wszystkie raczej w wieku dojrzałym, niezbyt zadbane. Nigdzie nie mogła dostrzec Heni. I nic dziwnego. W firmie Henia była pomocą gospodarczą w czerwonym fartuchu, na sesji występowała w charakterze guru: niebieska garsonka,

włosy prosto spod lokówki i obfita biżuteria. To ona właśnie wystąpiła na środek i rozpoczęła przedziwne misterium.

- Drogie kobitki! - powiedziała. - Żeby nam się lepiej medytowało, pomódlmy się najpierw do Świętego Ducha słowami naszego hymnu. Poproszę na środek panią Pasieczko.

Znajoma z windy spojrzała porozumiewawczo na Julię i ochoczo stanęła obok guru. Wysokim, niezbyt melodyjnym głosem zaintonowała coś, co podchwyciły tylko nieliczne panie. Widać nie wszystkie znały tekst, bo mamrotały pod nosem jedynie refren: „O Duchu, przyjdź i daj nam moc, żebyśmy miały siłę!”. Hymn był cudownie gra-fomański i tak niespójny, że momentami nie było wiadomo, czy bardziej przypomina litanie czy magiczne zaklinanie do świętej jogi. Joga z całą pewnością była indyjską świętą - tak wynikało z hymnu autorstwa pani Pasieczko.

Julia z trudem utrzymywała powagę. Stała niby w grupie, ale nie czuła żadnej więzi z pozostałymi kobietami. Patrzyła na nie oczami osoby z zewnątrz. Widziała poruszające się usta, słyszała nierówne głosy opiewające dusze białe jak lelije, przeczyste nadzieje i siłę medytacji świętej jogi. Fantastyczna scena, myślała gorączkowo, fantastyczna i nie do podrobienia. Tego nie można wymyślić, to trzeba zobaczyć, usłyszeć i sfilmować!

Hymn był długi, na szczęście miał też koniec. Zaróżowiona z emocji autorka wróciła na miejsce obok Julii.

- A teraz, wzmocnione przez Ducha, przystąpmy do medytacji -zarządziła pani Henia. - Postarajcie się oderwać umysły od powszedniości, nie myślcie o dzieciakach, o chłopach, tylko o rzeczach wielkich,

wzniosłych. Każda jedna kobieta jest stworzona do wielkich rzeczy i trzeba mocno chcieć, aby niemożliwe stało się możliwe. No, to medytujemy!

Uczestniczki sesji posłusznie złożyły ręce na piersi, pochylili głowy, jednak nie bardzo umiały oderwać się od powszedniości. Wokół krzeseł biegały z radosnym piskiem dzieci, z którymi mamy czy babcie nie miały co zrobić. Jedno domagało się soku, inne przewróciło torbę z zakupami i narobiło sporo bałaganu. Zniecierpliwiona pani Henia zadała medytacje do odrobienia w domu i otworzyła najważniejszą część obrad, czyli rozmowy psychologiczne. Jak żyć, żeby nie zwariować? Trzeba pokochać siebie i powtarzać przed lustrem: jestem wspaniała, jestem silna, dam sobie radę! - brzmiała odpowiedź. Co zrobić, gdy mąż pije? Powiedzieć, że się go kocha. Mężczyźni często piją z braku miłości. A co zrobić, jak bije?

- Odkąd poczułam w sobie moc, chłop ani razu po pijaku mnie nie uderzył! - pochwaliła się kobieta w granatowym skafandrze.

- Mnie też! — ochoczo dołączyła inna. - Tylko że ja uciekam, zanim wróci - wyjaśniła już ciszej, nieco zawstydzona.

Julia nie słuchała zbyt uważnie. Była na siebie zła, że usiadła tak daleko od drzwi. Dzięki naukom pani Heni czuła się silna, podniesiona na duchu i wzmocniona, jednak nie na tyle, by solo przepychać się wśród zafrasowanych kobiet i ich siatek. Posłusznie wstały, gdy pani Henia zarządziła łańcuch energetyczny, połączony z przekazywaniem znaku pokoju.

- Chwyćcie się za ręce i pamiętajcie, że przez was płynie teraz kosmiczna energia. Te, które mają nadmiar, obdzielą pozostałe i wszystkie wyjdziecie wzmocnione! - Pani Henia przekrzykiwała te kobiety, które

chciały dzielić się doświadczeniami i wciąż wracały do pijanych mężów i niesfornych dzieci.

Julia wyszła szczęśliwa, że to już koniec. W windzie znowu natknęła się na panią Pasieczko, a właściwie już nie panią, tylko Wandę. Uczestniczki sesji, bez względu na wiek, zwracały się do siebie po imieniu.

- Odprowadź mnie, Julio, to sobie porozmawiamy - zaproponowała Wanda.

I Julia zamiast w prawo skręciła w lewo. Przez chwilę szły w milczeniu.

- Czy pani... przepraszam, czy wierzysz w medytacje, w przekazywanie energii i w ten cały... w to wszystko?

- No tak! Czytałam w gazecie, że nawet bardzo mądre kobiety medytują.

- Też czytałam i wydaje mi się, że robią to trochę inaczej.

- Każdy medytuje, jak umie. Nasza Henia mówi, że kiedy już się skupi, doznaje kosmicznego olśnienia. Podobno w ten sposób nauczyła się kochać wszystkich ludzi. - Julia gwałtownie zakaszła i Wanda spojrzała na nią zafasowana. - Wiem, o czym myślisz: wszystkich pokochać nie można. Też tak uważam. Weź takich moich sąsiadów! Nie pokochasz, choler jednych, choćbyś medytowała ruski rok. Dlatego chodzę na sesje, żeby zgromadzić w sobie energię. Urzędów na nich nie ma, policji nie ma, to może chociaż pozytywna energia pomoże mi wysłać ich w kosmos.

Wanda, szczęśliwa, że poderwała słuchaczkę, zaczęła szczegółowo i kwiecście opowiadać o swoich kłopotach z sąsiadami. Julia kiwała głową



ze zrozumieniem, a jej myśli błądziły po planie filmowym. Stała obok Marka, za moment mieli grać jej ulubioną scenę uczyty... - Boska moja! Kochaj mnie - szeptał aktor.

- ...i wiem dokładnie, że ta biedna Pałubska w grobie się przewraca - mówiła Wanda.

Na dźwięk znajomego nazwiska Julia natychmiast oprzytomniała.  
-Kto?

- Bronią Pałubska świętej pamięci! Cały czas o niej opowiadam! Dwa lata temu zmarła i skończył się mój spokój. Mogła jeszcze pożyć, nie była stara. Stwierdzili u niej niewydolność nerek, spuchła biedaczka jak balon. A po niej to już się wprowadził taki element, że sodomka go-morka i żyć się nie da. Dom publiczny pod bokiem mi zrobili, ty wiesz, co to znaczy?! - zaszepiała znacząco.

Julia domyślała się, co to znaczy, lecz opowiadanie Wandy przestało ją interesować. Bronisława Pałubska, do tego świętej pamięci, nie budziła w niej żadnych emocji, podobnie jak nowi lokatorzy. Odprowadziła kobietę do najbliższego rogu i zaczęła pośpiesznie się żegnać.

- Wpadłabyś do mnie kiedy na kawę! O, tu już widać mój blok. Pogadamy, zobaczysz, jak mieszkam, obejrzysz moje książki z psychologii - kusila z natarczywością charakterystyczną dla ludzi samotnych i spragnionych towarzystwa. - Może akurat trafisz na sodomkę go-morkę i sama się przekonasz, jakie piekło muszę przeżywać.

Julia obiecała, że kiedyś wpadnie i nawet przez moment pomyślała, że mogłaby, czemu nie. Ledwie jednak pożegnała Wandę, wiedziała, że nie odwiedzi jej nigdy. Zawróciła i różnym krokiem poszła w swoją stronę. Przed sklepem z akcesoriami łazienkowymi mignęła jej charakterystyczna

sylwetka w paltociku, z rękami w kieszeniach. Na wszelki wypadek przyspieszyła kroku. Był wieczór, ciemno, a sylwetka tak podobna do Chochli, że nie chciała mieć sobie snów.

Edyta wściekała się zawsze na sucho, bez łez. Jej łagodne rysy nabierały nieprzyjemnej ostrości, a kąciaki ust nieznacznie opadały. To był niezawodny znak, że nosiła w duszy burzę z piorunami. W takich chwilach najbliżsi współpracownicy ostrzyli zęby na pyszną antystresową drożdżówkę. Przepis Edyty brzmiał mniej więcej tak: „Rozczyń ciasto drożdżowe według dowolnego przepisu; gdy wyrośnie, uformuj kulę, wyobraź sobie wredną gębę prywatnego wroga i wal tak długo, aż wyczerpiesz wszystkie epitety, łącznie z nieprzyzwoitymi. Kiedy ochłoniesz, ciasto będzie doskonale wyrobione, a ty wyluzowana. Bez cienia obawy możesz je upiec i zjeść w gronie przyjaciół”.

W przedświąteczny piątek Edyta przyniosła do biura pięknie wyrośniętą drożdżówkę.

- Jasny gwint! - westchnął łakomie Leszek. - Piekłaś dla higieny psychicznej czy już na święta?

- A to nie wszystko jedno?

- Niby tak, choć lubię wiedzieć, na czyją intencję grzeszę obżarstwem.

- Jedz! Wyrobiłam solidnie, więc powinno być strawne.

Znów była spokojna i bardzo dystygowana. Nic, ani jeden mu-skuł, ani jedna kurza łapka nie mówiły o emocjach dnia poprzedniego, z wyjątkiem drożdżówki. Swoją miną mogła wyprowadzić w pole Karolinę i Leszka, ale nie Julię. Prawdę mówiąc, Julia też nie była pewna do końca.

Dręczył ją anonimowy nadawca przesyłki. Fotograf? Możliwe. Życzliwi bliźni? Tych nie da się wykluczyć. Partner z balangi? Facet wydawał się znajomy. Z całą pewnością widziała już gdzieś ten charakterystyczny zarys podbródka i te uszka sterczące jak kokardki. Niestety, z dwóch klocków nie dało się ułożyć całego chłopca, na dodatek postarzonego o kilkanaście lat. Edytę poznała bez trudu, jego nie mogła i to ją męczyło.

Piątek był normalnym dniem pracy. Dyrektor wyjechał i nikt, łącznie z Edytą, nie miał serca do papierków. W powietrzu czuło się przedświąteczną atmosferę. Siedzieli, gawędzili o wielkanocnych przysmakach i było bardzo swojsko. Julia dyskretnie wyszła z pokoju. Postanowiła, i to za cenę utraty szacunku dla samej siebie, że jednak porozmawia z Orzechowiczem. Jeżeli on się zgodzi, myślała logicznie, ułatwi mi rozmowę z Mikułą. Nieśmiało uchyliła drzwi pokoju i byłaby uciekła, gdyby Kiciński jej nie zauważył. Zachował się bardzo ładnie. Nazwał Julię koleżanką i przedstawił Orzechowiczowi jako młodą, ambitną siłę.

- Myślę, kolego, że dla takich pięknych oczu warto przełamać anty-feminizm dyrektora! - powiedział i uśmiechnął się do Julii.

Miał miły sposób żartowania i w ogóle był ujmującym starszym panem. Nawet Orzechowicz przy nim wyglądał mniej groźnie, choć spoglądał na Julię z ironią i wcale nie skakał z radości, że nowy narybek sam pcha mu się w ręce.

- Dość długo zwlekała pani z przyjściem do nas - zauważył chłodno.  
- Myślałem, że się pani wystraszyła.

- Kogo? - Podniosła na niego wielkie oczy, przekonana, że odgadł jej najtajniejsze myśli. - Pana?

- Aż tak zarozumiała nie jestem. Myślałem raczej o myszy. To jest, wie pani, takie urządzenie połączone ogonkiem z komputerem - parsknął śmiechem, zadowolony z żartu.

Julia rzeczywiście bała się tej rozmowy, jednak wobec niezbyt wyrafinowanego dowcipu Konrada poczuła przypływ odwagi. Tak to już z nią było, że mobilizowała się w chwilach trudnych, gdy nie miała innego wyjścia. Spojrzała chłodno na roześmianego inżyniera.

- Mogę pana uspokoić. Według chińskiego kalendarza urodziłam się w roku kota. To myszy się mnie boją, nie odwrotnie - powiedziała z powagą. Była pewna, że podobnie jak ona, nie miał zielonego pojęcia o chińskim kalendarzu.

Kiciński zaczął wypytywać o studia i przebieg pracy zawodowej. Niewiele miała do opowiadania. Dyplom politechniki, specjalizacja taka i taka, biegła znajomość angielskiego i niemieckiego, ciekawa praca w Warszawie i kłopoty we Włocławku. Kiedy przeszli do tematów fachowych, uspokoiła się całkiem. Wyszła podbudowana. Orzechowicz już więcej nie próbował żartować, obiecał wystąpić do dyrektora z oficjalnym wnioskiem o przeniesienie. Biegąc do sekretariatu, czuła u ramion skrzydła, które niestety opadły dość szybko. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, wszyscy skupili się wokół pani prezes, która nietaktownie zwracała się wyłącznie do Edyty.

- A Cholewa, pardon, Chochła nie znalazł się, co? Ciekawostka, swoją drogą, nie uważasz? Nic ci się o słuch nie obilo? Myślisz, że on jeszcze żyje? Boja mam wątpliwości.

- Jak go psy nie rozszarpały, to na pewno żyje! - Głos Edyty zabrzmiał dziwnie twardo.

- Ja myślałam raczej o porachunkach, o jakimś napadzie, przypadkowym, ma się rozumieć. Nasze miasto nie jest już zaściankiem. A to się biznesmeni postrzelają w klubie, a to klub się spali. Mamy trochę atrakcji, nieprawdaż? Mógł i Cholewa w coś się zaplątać, nie uważasz? Ja uważam, że mógł.

- Najpewniej w troki od kalesonów - mruknął Leszek, czym rozbawił Karolinę i Julię. Z trudem zapanowały nad wesołością. Pani prezes śmiała się wyłącznie ze swoich dowcipów i nie wypadało z nią konkurować. Leszek kilkakrotnie i ostentacyjnie westchnął.

- A tobie co? - zdziwiła się Edyta.

- Serce mi z bólu pęka, że pani prezes nie ma apetytu.

- Ależ ja mam! - Mikulowa spojrzała na swój talerzyk, na którym spoczywał nietknięty kawałek drożdżówki i wybuchnęła śmiechem. -No tak, jak ktoś ma tyle do powiedzenia co ja, to nie ma czasu jeść.

- Sam nie wiem, czy wolę patrzeć, jak pani je, czy słuchać pani głosu - znalazł się szarmancko magister Wydroń.

- Oj, panie Leszku! Jeszcze moment, a uwierzę panu. Jak myślisz, Edytko, mam uwierzyć czy nie?

- Jemu się nie wierzy, jego się słucha - wyjaśniła spokojnie Edyta, nie podnosząc głowy znad papierów.

- Aleja mam do pana Leszka słabość - mizdrzyła się Mikulowa. -Ja...

- Auu! -jęknęła Julia i wszyscy, nie wyłączając pani prezes, spojrzeli w jej stronę.

- Uważaj, na tych krzesłach są zadry - powiedziała Karolina, choć wcześniej to jej palec ugodził Julię pod żebro.

Mikulowa chichotała już tylko z Leszkiem i od czasu do czasu brała na świadka Edytę.

- Ojej, powiedz mu coś, Edytko, no powiedz, bo ja już ze śmiechu nie mogę...

Dla Julii i Karoliny było jasne, że magister Wydroń przystąpił do realizacji planu aprilistów. Siedziały poważne, bo nie wypadało wychodzić z pokoju, w którym królowała pani prezes. Nie wypadało też gadać.

Julia obserwowała Mikulowa i stwierdziła, że szefowa wygląda bardzo efektownie i wiosennie. Świeżo ufarbowane włosy były żółtsze niż puch kurczaka, zielona spódniczka krótsza, niż nakazywała metryka, lecz uwagę zwracała przede wszystkim radosna, rozświetlona twarz. Takie twarze miewają zakochane kobiety. Julia pomyślała nawet, że dyrektor wreszcie się ustatkował i wrócił na łono rodziny.

W drodze do domu usiłowała porozmawiać na ten temat z dziwnie zamyśloną Karoliną.

- Wierzę, że ona się zabujała, ale żeby we własnym chłopie, to raczej mało prawdopodobne! - orzekła przyjaciółka. I dodała, zasepiona: - Tylko czekaj! Dla naszego spisku takie zakochanie Mikulowej tak czy tak źle wróży.

- Myślisz, że zechce nam zmienić dyrektora? - spytała Julia.

- Kto wie, co jej biega po tej żółtej głowie! Tylko nie licz, że facet będzie mądrzejszy od Mikuli. Żaden geniusz nie poleci na nią, chyba że stuknięty.

- Podobno każdy geniusz jest lekko stuknięty.

- Nie wiem, nie znam żadnego! Gadaj lepiej, co załatwiłaś z Konradem?

- Właściwie to chyba wszystko. Zastanawiam się, jaki on jest naprawdę.

- W łóżku fantastyczny!

- Idź, ty cyniczko! Chodzi o to, jaki jest w życiu.

- Skąd mam wiedzieć? Za krótko go znam. Ten facet wymaga oswojenia, rozumiesz?

- Ani w ząb! - przyznała Julia. - Idziesz do łóżka z nieoswojonym facetem?

- Jasne! Tylko taki może mnie zaskoczyć.

Julia doceniała szczerść, jednak czuła zakłopotanie, ilekroć przyjaciółka zachowywała się tak, jakby pojęcie intymności było jej całkowicie obce. Dla Karoliny nie istniały tematy tabu. Opowiadała o orgazmie lub wymyślnych pieszczotach i nie zmieniając tonu, z taką samą miną przechodziła do niedomagania wątroby lub sposobów ochrony organizmu przed zimą. Julia, która była idealistką i romantyczką -tak przynajmniej o sobie myślała - w zetknięciu z naturalizmem Karoliny czuła zażenowanie i najchętniej zmieniała temat.

- Co robisz w święta? Może wpadniesz do mnie?

- Dzięki, że o mnie pomyślałaś. Wprawdzie nie zanosi się, żebym była sama, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Nie musisz wpadać sama - uśmiechnęła się Julia. - Mam zamiar cię zaskoczyć. Jutro wybieram się na zakupy i w święta będę nie ta sama.

Karolina gwałtownie zaprotestowała. Nie po to od kilku dni obmyślała nowy styl dla przyjaciółki, by ta pobiegła do pierwszego lepszego sklepu i za wielkie pieniądze kupiła kolejny namiot dla skautów. Obowiązkowo buri i z ogonami. Karolina pragnęła opakować piękne ciało Julii po swojemu, zgrać kolory z fasonami, zastanowić się nad fakturą tkanin, nad włosami, nad makijażem i w ten sposób zrobić z małej ósmym cud świata. Ale na to potrzebny był czas. A w ostatnią przedświąteczną sobotę Karolina oczywiście czasu nie miała. Musiała ogarnąć mieszkanie, przetrzeć okna, kupić coś do jedzenia, żeby nie zagłodzić Konrada. Wielkie przemienienie należało odłożyć do wtorku. Julia kiwnęła głową na znak zgody, choć z góry wiedziała, że nie dotrzyma obietnicy. Szybko zapalała się do nowych pomysłów i jak każdy słomiany ogień była bardzo niecierpliwa. Nie miała zamiaru czekać do wtorku.

Wysadziła przyjaciółkę na Budowlanych i zawróciła na osiedle Południe.

W sobotę od rana matka miotła się po domu spocona, zmęczona i zła jak osa. Jej gniewne burczenie docierało do pokoju Julii.

- Kto to wymyślił święta? Żeby nie dziecko, palcem bym nie ruszyła. Zdzisiek, ty mnie słyszysz?!



Zawieszala głos, robiła efektowną pauzę w oczekiwaniu, że mąż lub córka zaofiarują swoją pomoc. Wcale nie chodziło o pomoc, tylko o wytknięcie domownikom, że do żadnej pracy się nie nadają. Jeżeli milczeli, zmieniała nieco tekst.

- Wszystko na mojej głowie! Więcej nie dam się zrobić w żadne święta!

Nikt jej nie wrabiał, działała z własnej nieprzymuszonej woli, choć z upodobaniem obnosiła minę cierpiętnicy. Znosiła do domu zakupy, piekła, gotowała, żeby córka zachowała piękne wspomnienia z dzieciństwa. Córka miała co prawda lat dwadzieścia z ogonkiem, ale w domu wciąż występowała jako dziecko, małeństwo, które musi dostać makowiec na Wigilię i mazurek na Wielkanoc.

Julia bardzo lubiła święta, dopóki żył dziadek. Mieszkali wtedy w niewielkim domu z ogrodem na peryferiach miasta. Dziadek dbał o to, co się nazywa kolorytem i atmosferą świąteczną. Przed Wielkanocą znosił do domu donice ze specjalnie pędzonymi hiacyntami. W święta cały dom pachniał nie tylko jedzeniem, lecz także kwiatami. Stół przybrany był gałązkami bukszpanu, na środku stała wielka misa kraszanek, gotowanych w łuskach cebuli. Była też obowiązkowo szynka z kością. Dziadek sam ją peklował, sam wędził na podwórku. Zapach wonnego dymu był pierwszą oznaką zbliżających się świąt.

Zmarł, gdy Julia chodziła jeszcze do podstawówki. Rodzice natychmiast sprzedali stary dom z ogrodem, żeby nie pakować pieniędzy w remonty i choć stać ich było na nowy, wygodny, wybrali mieszkanie w blokach. Nie za wielkie, dwa pokoje z kuchnią na osiedlu Południe. Skromne mieszkanie nie kłuje ludzi w oczy, nie kusi złodziei, tłumaczyli córce. Byli ludźmi zamożnymi, ale skrzętnie tę zamożność ukrywali.

Oczywiście najedzeniu oszczędzać nie musieli. Nikt im też do garnków nie zaglądał, bo życie wiedli mało towarzyskie. Święta spędzali przed telewizorem. Patrzyli w ekran, posilali się, drzemali. Tak było od wielu lat. Drewniane jajka wielokrotnego użytku równie pięknie zdobiły stół jak kiedyś dziadkowe kraszanki, sztuczne żonkile przy stroiku nie gubiły płatków jak żywe hiacynty. Czar prysnął. Julia protestowała przeciwko takim świętom i prawie nie wystawiała nosa ze swojego pokoju, choć całe zamieszanie było przecież z myślą o dziecku, to znaczy o niej.

Tym razem dziecko miało całkiem inne problemy. Kupiło w kiosku kilka kobiecych pism i szukało dla siebie natchnienia. Wamp czy słodka idiotka? Kobieta sukcesu czy wyrafinowany kopciuszek? Jeżeli chodzi o kopciuszka, Karolina wystarczająco obrzydziła Julii ten wizerunek. Im dłużej wertowała magazyny poświęcone modzie, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że kreatorzy wolą chyba z kobiet kpić, niż je ubierać. Żadna z propozycji nie przypadła jej do gustu. Poczła nagły przypływ żalu, że nigdy nie będzie elegancką damą, jak choćby Edyta lub Karolina. Pierwsza preferowała styl klasyczny: szmizjerki, kostiumy i od czasu do czasu garnitury, druga odważnie zestawiała kolory, podkreślała biust i zgrabne nogi. A co miała podkreślać ona, Julia? Stała przed lustrem i spojrzała na siebie krytycznie, oczami bezstronnego obserwatora.

- Przypominam koszmarka zagubionego w lesie - mruknęła niechętnie. - Wszystkiego za dużo, a urody chyba za mało?

Gwałtownie zapragnęła być inna, energiczna i piękna jak Karolina, dystygowana jak Edyta, marzycielska jak pewna nieznajoma dziewczyna, którą знаła wyłącznie ze zdjęć w kolorowych tygodnikach. Muszę się zmienić radykalnie, za jednym zamachem, postanowiła. Włosy ufarbuję, piegi przykryję fluidem, co do ciuchów, to zobaczę w sklepach.

Był sobotni ranek, lecz Julia, kiedy już wbiła sobie coś do głowy, to skutecznie. Zebrała się do wyjścia i dla spokoju sumienia spytała, czy nie trzeba pomóc.

- Wy z ojcem akurat nadajecie się do pomocy! - wykrzyknęła matka.  
- Najpierw trzeba wam pokazać krok po kroku, a potem jeszcze poprawić. Nie mam czasu na takie zabawy! Tylko proszę: żadnych gości w święta. Chyba nikogo nie zapraszałaś, co?

- W drugi dzień odwiedzi mnie koleżanka. Posiedzimy u mnie.

- Jasne, na gotowe to każdy chętny! Ta koleżanka nie ma swojego domu, żeby tak w święta zwać się komuś na kark?

- I oczywiście Serafin będzie - dopowiedziała Julia z dziką satysfakcją.

Dlatego z dziką, że Serafin w ogóle nie był w planie. Okłamała chłopaka, wymyśliła wyjazd z rodzicami, byle mieć go z głowy na całe dwa dni. Gdyby matka nie była taka niechętna wobec jej znajomych, gdyby nie wyzłośliwiała się w ciemno na każdego, o kim Julia ledwie wspomniała, nie straszylaby jej Serafinem. A tak nie mogła się oprzeć. Matka prychnęła gniewnie kilka razy.

- Ty wychodzisz? - spytała z niepokojem.

- Tylko do drogerii. Skończył mi się krem.

- To kup pastę do zębów. Ja w twoim wieku żadnych kremów jeszcze nie używałam!

Sobotnie przedpołudnie wbrew wszelkim obawom okazało się porą idealną na zakupy. Kobiety, zajęte ostatnimi przygotowaniem do świąt,

krzątały się po domach. Wszędzie, gdzie wchodziła, była jedyną klientką. Starannie ominęła dwa sklepy, w których kupowała swoje zamaszyste spódnice i wielkie swetry. Jak się zmieniać, to się zmieniać, pomyślała. Na początek wstąpiła do Galerii, gdzie najczęściej bywała Karolina. Niewielki sklep na rogu Kilińskiego nastroił ją optymistycznie. Pojedyncze serie, prosta elegancja, wszystko chciałoby się mieć. Rozejrzała się bezradnie po wieszakach. W oczach miała tęczę, w duszy rozterkę. Umiejętność wyboru nigdy nie była jej mocną stroną.

- W czym mogę pomóc? - spytała rutynowo ekspedientka.

- Proszę mnie ubrać - odpowiedziała Julia bezradnie i natychmiast dodała, że szuka czegoś do pracy i czegoś na wyjście. Mówiąc o wyjściu, wskazała bardzo elegancką białą bluzkę.

- Niech pani to odłoży - skarciła ją ekspedientka. - Błękitna biel nie jest dla pani. Ecrú, w ostateczności kość słoniowa. Proszę przymierzyć to!

Julia w staniku i w majtkach stała za kotarą, a ekspedientka donosiła jej spódniczki, bluzki i suknie. Patrzyła przy tym krytycznym okiem.

- Tego pani nie sprzedam. Wisi jak na haku.

- Z przodu leży ładnie! - protestowała Julia.

- Oprócz przodu jest jeszcze tył - wyjaśniła ekspedientka. - Co pani myśli o tym garniturze? Tabaczkowy brąz idealnie pasuje do pani karnacji, marynarka ma ciekawy krój.

- Dopóki mężczyźni nie zaczną biegać w sukienkach, nie włożę garnituru - odpowiedziała ze śmiechem.

Powoli zaczynała się czuć w przymierzalni jak ryba w wodzie. Nie męczyło jej wciąganie i zapinanie, rozpinanie i zdejmowanie, bo wszystkie te piękne szmatki odmieniały ją w sposób niewiarygodny. Kolory! Do tej pory знаła dwa: ładny i brzydki. Teraz, patrząc uważnie w lustro, przekonała się, że są co najmniej jeszcze dwa: twarzowy i nie-twarzowy. Srebrzysta, połyskliwa bluzka, która przepięknie wyglądała na wieszaku, na Julii straciła całą swoją urodę.

- Jest taka śliczna - westchnęła dziewczyna.

- Dla pani śliczniejsze będzie stare złoto.

Julia gratulowała sobie, że zaparkowała samochód na tyłach budynku, bo wyszła obciążona jak wielbłąd. Unosiła w objęciach lekki wiosenny kostium, elegancką suknię, dwie bluzki sweterkowe, dwie z materiału, żakiet i spódnicę. Uwierzyła ekspedientce i swojemu odbiciu w lustrze, że najpiękniejsze dla niej kolory to mahoń, ugier jasny, rdza, oliwkowa zieleń i ecru. Zostawiła w sklepie równowartość dwu swoich pensji i gdyby w porę nie przypomniała sobie o butach, zostawiłaby więcej. Wpadła w zakupowy amok. Buty, kosmetyki, fryzjer... buty, kosmetyki, powtarzała, wycofując samochód. Z Kilińskiego pojechała na plac Wolności. Szukała eleganckich pantofli, lecz wciąż patrzyła na ciężkie z wyglądu platformy. Przywykła do szerokich, wygodnych trepów i nie bardzo potrafiła z nich zrezygnować.

- Czy to jest skóra?

- Ekologiczna.

- Ale ja bym chciała bydłą!

- Pani wie, ile kosztuje prawdziwa skóra? - spytała wyniośle ekspedientka.

Julia nie wiedziała, domyśliła się jednak, że nie wygląda na klientkę wartą skóry bydlęcej i posmutniała. Zerkając nerwowo na zegarek, obiegała kilka sklepów. Jak pasował rozmiar, to nie było odpowiedniego koloru i tak w kółko. Czas naglił. W świąteczną sobotę sklepy otwarte były znacznie krócej. W biegu niemal zdecydowała się na pantofle - ładne, lecz niezbyt wygodne. Kiedyś je w końcu rozczłapię, pomyślała optymistycznie, pędząc do perfumerii. I znowu dostała oczo-pląsu. Wbiła już sobie na szczęście do głowy, że kosmetyki muszą być zgrane z typem urody, czyli w ciepłych kolorach jesieni. Na inne w ogóle nie patrzyła, od razu poprosiła o brązowy tusz do rzęs, podkład jak najbardziej zbliżony do karnacji oraz zieleń i nefryt na powieki.

Do fryzjera wpadła piętnaście minut przed zamknięciem.

- Obciąć proszę i nałożyć kolor - wysapała.

Na szczęście fryzjerka nie miała zamiaru spędzać Wielkiej Soboty w zakładzie. Zgodziła się ostrzyć Julię, lecz o kolorze nie chciała słyszeć. We wtorek obiecała ją ufarbować nawet na zielono. I nie spytała, po co dziewczynie kolor, skoro jej własne włosy były niepowtarzalne i prześliczne.

Podjechała pod dom zmęczona i bardzo szczęśliwa. Chwilowo jeszcze jej uroda spoczywała w licznych torbach i reklamówkach, od czego jednak bujna wyobraźnia! Julia oczami duszy widziała już swoje nowe wcielenie. Może rzeczywiście Bujala wywinie orła na mój widok, pomyślała.

Konrad doszedł do wniosku, że jest nienormalny. Patrzył na świeżą zielen za oknem, na świat budzący się do życia i zamiast też się obudzić, jak te ptaszki i kwiatki, stał markotny w oknie. Uległ życzeniu pięknej kobiety, miał z nią spędzić święta i nie odczuwał najmniejszej radości. Mało tego! Nagle zaczął żałować, że ominie go śniadanie u Orskich. A przecież wystarczyłby jeden telefon, jedno krótkie wyjaśnienie, że przyjdzie z dziewczyną. Miód na uszy Grażyny. Oj, te baby, baby! - pomyślał z niechęcią. Miał wszystkie cechy prawdziwego faceta, od fizycznych poczynając, na charakterze kończąc, i tylko z babami nie potrafił dojść do ładu. Tylko z babami! Albo one z nim, bo jeszcze żadnej nie udało się zatrzymać Konrada Orzechowicza na dłużej niż kilka miesięcy.

Na wspomnienie Karoliny poczuł dziwne uczucie, którego nie umiał nazwać. Ni to fascynacja, ni lęk. Była jedyną istotą w firmie, oprócz Kicińskiego, która wykazywała żywe zainteresowanie jego sprawami. Z Kicińskim, mimo różnicy wieku, prawie się zaprzyjaźnił, wobec Karoliny zachowywał dystans i nie bardzo rozumiał dlaczego. Gdyby jeszcze była brzydka, gdyby mu się tak bardzo nie podobała, to co innego!

- Coś mi się zdaje, panie kolego, że ten uroczy dołek w brodzie już należy do pana - zażartował niedawno Kiciński. - Gratuluję panu, to wyjątkowo piękna i atrakcyjna kobieta.

- Piękna - przyznał posepnie. - Ma w sobie coś!

- Pipeczkę, a co? Jak każda! - roześmiał się Kiciński. Konradowi nawet w połowie nie było tak wesoło. Jego wątpliwości w żadnym stopniu nie dotyczyły anatomii. Pod tym względem Karolina była bez zarzutu, o czym przekonała go już na pierwszej randce. Chodziło o całkiem inną sferę doznań. Ona pociągała go i jednocześnie odpychała. Przy niej robił się jeszcze poważniejszy niż zwykle. Celne riposty przychodziły mu do głowy

dopiero wtedy, gdy za dziewczyną zamykały się drzwi. Zaczynał żałować, że odeszła, brakowało mu jej żartów i śmiechu. Ona jest jak tajfun, myślał, gapiąc się smętnie w okno. Szybka, gwałtowna i niebezpieczna. Dla mnie chyba zbyt szybka.

Święta u Karoliny w niczym nie przypominały tych dawnych, u ciotki Eweliny czy u Orskich. Dziewczyna wynajmowała niewielką kawalerkę w bloku, korzystała z cudzych mebli i naczyń. Nie dał poznać po sobie, że zaskoczyło go nakrycie stołu, a mówiąc dokładniej -ławy. Obrus w kratkę, każdy talerzyk z innego kompletu i gdyby nie bazy w wazonie, nic nie wskazywałoby na uroczysty charakter śniadania. Karolina za to wyglądała jak zjawisko. Czarowała dekoltem czerwonej, obcisłej bluzki, czarowała klipsami i wielką gracją, z jaką poruszała się w zatłoczonym wnętrzu. Była radosna jak poranek.

- Mam nadzieję, że na wielkie obżarstwo nie liczysz? - zawołała ze śmiechem, wskazując Konradowi krzesło.

- Na wielkie nie, coś bym jednak zjadł - przyznał.

Nie celebrowała uroczystości - nie było pisanek, koszyczka ze święconym ani życzeń. Posiłek składał się z jaj w majonezie, białej kielbasy, wędlin, chrzanu i rzodkiewek. Z wdziękiem wyjaśniła, że jako dama czuje się świetnie tylko na salonach, nigdy w kuchni.

- Często bywasz na salonach?

- Rzadziej, niż na to zasługuję. Znasz przysłowie, co się odwlecze i tak dalej? Już niedługo będę miała własny dom, salon i osobistą kucharkę.

Mówiła tonem lekkim i bardzo pewnym. Konrad milczał. Oczywiście mógł spytać, co planuje: napad na bank czy bogate



małżeństwo, uznał jednak, że to jej sprawa. Jeżeli nawet małżeństwo, to na pewno nie z nim. Poczł ulgę i zaraz za moment ostrą igielkę zazdrości. Człł tę igielkę, ilekroć dziewczyna wspominała o innych męczyznach. Znali się krótko, nigdy nie myślał o niej jak o przyszłej żonie, więc skąd ukłucie zazdrości? Chyba że to nie była zazdrość?!

- A twoje plany? - spytała Karolina. - Mam na myśli najbliższą przyszłość.

Wyrwała go z zamyślenia. Spojrzał spod zsuniętych brwi i uśmiechnął się jednym kącikiem ust. To był taki charakterystyczny uśmiech, którym zwykle pokrywał niepewność. Czeka na wyznanie, pomyślał, ale ją rozczaruję.

- Moje plany? Te dalsze, to bogate małżeństwo, willa z ogrodnikiem, choć bez kucharki, bo lubię gotować, samochód młodszy od mojego forda i tuzin dzieciątek. Te najbliższe są równie ambitne. Chętnie pozmywam po śniadaniu, potem zaproszę piękną dziewczynę na spacer. Wieczorem, do poduszki, skończę czytać Lema.

- Pytałam poważnie.

- Tak to właśnie zrozumiałem. W przeciwieństwie do ciebie lubię gotować, nie uciekam z kuchni i spokojnie możesz mi powierzyć zmywanie naczyń.

Roześmiała się i zaprotestowała tylko dla przyzwoitości. Na czas zmywania sama również przeniosła się do kuchni i próbowała pomagać. Zagracone pomieszczenie okazało się zbyt ciasne dla dwu osób. Z konieczności wciąż na siebie wpadali, choć może nie z konieczności, może to raczej Karolina tak manewrowała, żeby musiał poczuć jej bliskość. Na spacer już nie starczyło im ochoty, zdołali dojść jedynie do tapczanu.

Mocno spóźniony obiad składał się z jaj w majonezie, białej kiełbasy, wędlin i chrzanu. Rzodkiewki skończyły się przy śniadaniu.

- Jutro spróbuję coś ugotować. - Karolina przeciągnęła się leniwie. - Lubisz zapiekany makaron z wędliną?

- To może raczej ja coś ugotuję. - Konrad spojrzał na dziewczynę i błyskawicznie zmienił zdanie. - Nie. Jutro zapraszam cię do Zajazdu, zgoda?

Od czasu pamiętnego napadu matka nie dopuszczała Julii do drzwi. Na dźwięk każdego dzwonka biegła osobiście do przedpokoju. W drugi dzień świąt też nie dała się wyprzedzić.

- Jacyś obcy - zamachała gwałtownie ręką. - Facet i babka. Pewnie z tych, co nawracają ludzi. Siedź cicho, to sobie pójdą!

Cały szkopuł polegał na tym, że wcale cicho nie mówiła. Jeżeli Julia słyszała wyraźnie, to ci za drzwiami także musieli słyszeć.

- To na pewno do mnie! - powiedziała.

Matka stała z okiem przy judaszu i nie zamierzała opuszczać zajętej pozycji. Z wielkim trudem udało się Julii dopchać najpierw do wizjera, potem do zasuw. Wśród zamieszania i radosnych okrzyków Karoliny musiała jakoś dokonać prezentacji. Z przyjaciółką nie miała kłopotu, Konrada przedstawiła jako swojego przyszłego szefa, co pozytywnie podziałało na matkę. Szef to szef, wiadomo!

- To ja nakryję do stołu w salonie - powiedziała pani Emilia.

- Nie, nie - zaprotestowała Julia. - Posiedzimy u mnie, porozmawiamy. Nie przeszkadzajcie sobie z tatą.

- Właśnie wracamy z obiadu - dodała Karolina.

- Od rodziców? - spytała pani Blenda.

Dopiero w pokoju Karolina rzuciła się na przyjaciółkę i zaczęła ją oglądać, dokładnie, po kobiecemu. Wprawdzie Julia nie zmieniła się aż tak radykalnie, jak sobie zaplanowała, jednak i tak było na co popatrzeć. Nie czesała się już w harcapik owiązany rzemykiem, lecz skróciła włosy do ramion. Bluzka z dzianiny podkreślała biust, a mahoniowy brąz spódnicy zgrabnie opinał biodra. I jakby tego było mało, dziewczyna zdobyła się na delikatny makijaż. Piegów nie udało się przykryć, bo wyłaziły spod fluidu, zwabione wiosennym słońcem, natomiast rzęsy pociągnięte brązowym tuszem dodały głębi jej wielkim, dziecięcym oczom.

- Dla mnie bomba! - krzyknęła Karolina. - Dlaczego ja uważałam, że masz krzywe nogi?

- Krzywe? - zdziwiła się Julia.

- No nie, ale tak myślałam. Żadna normalna dziewczyna nie zakrywa zgrabnych nóg aż po kostki. O biust też cię nie podejrzewałam, a tu proszę, co najmniej mała trójeczka! - wołała ubawiona.

Szczere zachwyty cieszyły Julię i peszyły równocześnie. Gdyby były same, to co innego, lecz wesolotka Karolina mogła powiedzieć dużo różnych rzeczy, niekoniecznie przeznaczonych dla ucha mężczyzny. Bezradnie spojrzała na Konrada i jeszcze bardziej się zmieszła. Nie uczestniczył w rozmowie, ograniczył się do patrzenia. Wcześniej nie posądzał Julii o krzywe nogi ani o brak biustu, ponieważ nawet nie zauważył, że ona ma jakieś nogi i jakiś biust. Mężczyźni myślą wyłącznie o detalach tych kobiet, które im się podobają. Julia była myszką, sierotką,

nikim więcej. I nagle zamiast sierotki zobaczył śliczną dziewczynę, którą Karolina oglądała ze wszystkich stron.

- Daj spokój! - wmieszał się do rozmowy. - Wystraszysz panią.

- Niech tylko spróbuje! Wykopię ją z sekretariatu na bruk, chyba że wcześniej ucieknie pod twoje skrzydła.

Posłała Konradowi przeciągłe spojrzenie spod rzęs, które ożywiłoby nawet zasuszonego śledzia.

Pokój Julii nie był duży i musiał pomieścić wszystko, co potrzebne do życia: rozkładany fotel, który w nocy zamieniał się w łóżko, biurko z komputerem, telewizor, wieżę i jeszcze maleńki, okrągły stolik. Z konieczności siedzieli bardzo blisko siebie, Karolina z Konradem aż za blisko, co nie umknęło uwagi mamy Blendowej. Wniosła do pokoju córki tacę zastawioną domowej roboty wypiekami. A jak już weszła, to przysiadła na fotelu i włączyła się do rozmowy. Mówiła o świątach, o swoim wielkim zmęczeniu i przez cały czas uważnie wpatrywała się w Konrada.

- Ojej, państwu chyba niewygodnie, co? Tam jest jedno krzesło czy dwa?

- Dwa, mamó - powiedziała chłodno Julia.

- Bo jak jedno, to ja zaraz doniosę drugie.

- Dwa - powtórzyła dobitnie córka. - Pomożesz mi zrobić coś do picia?

Sposób nie był zbyt wyrafinowany, a mama Blendowa nie zamierzała poddać się bez walki. Żeby dać córce po nosie, zaczęła mówić o jej nowych fatalaskach i o braku umiaru.

- Całkiem zwariowała ta moja Julia. Najpierw nosiła wszystkiego za dużo, aż jej nie było widać spod szmatek. Teraz takie to wszystko kuse, że aż nieprzyzwoite. Ja tego nie rozumiem, ja całe życie noszę suknie do pół łydki, to najbezpieczniejsza długość.

- Czy ja wiem? - udała zastanowienie Karolina. - Nogi wyglądają wtedy jak ucięta butelka, choć to oczywiście zależy od nóg.

- Jasne! - przytaknęła pani Emilia, która nic złego nie dostrzegła w butelce. - Te krótkie to ani ładne, ani moralne, a jakie drogie! Pani by też całą pensję wydała na ła chy? - zwróciła się do Karoliny.

- Z przyjemnością! - wykrzyknęła. - Oczywiście gdybym mogła sobie na to pozwolić.

- A ja nie. Mnie wpajano od dziecka, że szata nie zdobi człowieka.

- O, to zależy od okoliczności - wyjaśniła poważnie Karolina. - Kiedy ubieramy się, żeby innym babom oko zbiełało, to zdobi, a kiedy rozbieramy się dla swojego mężczyzny, to ma pani rację, wtedy jest bez znaczenia.

- Uhu, wie pani, to już poglądy zbyt śmiałe... ja nie wiem... inaczej pojmuję moralność - plątała się mama Blendowa.

- Przecież rozmawiacie o szatach, nie o moralności - wtrąciła Julia.

Pora była najwyższa, by delikatnie wyprowadzić matkę. Fukała potem, hałasowała w kuchni, kręciła się po przedpokoju, ale nie wróciła. Dopiero po wyjściu gości weszła, by przekonać Julię, że otacza się niewłaściwymi koleżankami. Karolina, jak było do przewidzenia, nie zyskała aprobaty, została odsądzona od czci, inteligencji, kultury i wiedzy. Mama Blendowa nie zostawiła na dziewczynie suchej nitki i wcale nie

słuchała wyjaśnień Julii. Córka była głupia, nie znała życia, a matka znała. Za to Konrad wzbudził pozytywne zainteresowanie. Został oceniony jako mężczyzna kulturalny, choć niezbyt stanowczy.

- Widać, że chłopak z dobrego domu! To wrocławczyk? Żonaty czy rozwiedziony? Co robią jego rodzice? Dlaczego on utyka, miał wypadek?

Na żadne z tych pytań Julia nie znała odpowiedzi.

- Zlituj się, mamo! Miałam go na progu odpytać z życiorysu?

- Po co zaraz na progu?! Nie mówię, żeby ordynarnie i wprost, tylko dyplomatycznie. Ja po godzinie rozmowy wiem o człowieku wszystko.

- Wszystko, co chce ci powiedzieć - westchnęła Julia.

- O, nie! Tobie można wmówić każdą głupotę, ale ja znam się na ludziach. Tę twoją, pożałuj Boże, przyjaciółkę, od razu rozszyfrowałam. Nic dobrego, pospolita łowczym męża.

Wieczorem Julia zauważyła, że Marek Winicjusz ma jakieś inne oczy. Stali wśród cyprysów w ogrodzie Linusa, trzymali się za ręce.

- Czy nic złego spotkać cię nie może, Marku, za to, że opuściłeś Ancjum bez wiedzy cezara?

- Nie, droga moja - odpowiedział.

Potem mówił o swojej wielkiej tęsknocie, o lęku o nią i patrzył. Oczy miał inne, głębiej osadzone i ciemniejsze. Konrad to piękne imię i takie romantyczne, zauważyła bez większego związku ze sceną, którą rozgrywała w myślach. Kiedyś, wcale nie tak dawno, bo jeszcze w ostatniej klasie liceum, kiedy była pewna, że zostanie aktorką, marzyła o repertuarze

romantycznym. Tydzień przed wysłaniem papierów na studia ojciec kategorycznie zapowiedział, że nie pozwoli jedynej córce biegać z gołym biustem po ekranie i grosza nie da na takie bezceństwa. Z konieczności wybrała więc informatykę i nigdy nie przestała żałować, że świat nie obejrzy jej w roli Balladyny czy Marii Kalergis. Całkiem niedawno doszła do wniosku, że romantyczny repertuar wyraźnie faworyzuje mężczyzn. - Zupełnie jak Mikula - mruknęła w poduszkę. Na szczęście nie było to odkrycie naukowe, tylko takie na granicy zasypiania.

Utarło się, że pierwszy dzień po świętach zwykle upływa na narzekaniach. Z wyjątkiem pracoholików wszyscy inni ludzie wolą siadać przy zastawionych stołach niż przy zawalonych papierami biurkach i na to nie ma rady. Inżynier Orzechowicz pracoholikiem wprawdzie nie był, lecz z przyjemnością wracał do codziennych zajęć. Ranek był ciepły, nastrojał do rozważań. Próbował zebrać myśli i uporządkować fakty. Święta spędzone z Karoliną przewróciły do góry nogami jego spokojne życie. Wystarczyło, że parę razy złapał się na tęsknocie za własną rodziną, taką prawdziwą, z żoną, z dziećmi, i już wpadł w popłoch, że się roztkliwia jak stara panna. Był samotnikiem nie tyle z wyboru, ile ze strachu, tak przynajmniej twierdziła Grażyna Orska. Denerwował się na to gadanie, bo samo posądzenie o strach czy tchórzostwo było mu niemiłe, jednak w duchu przyznawał jej rację. Lubił swoją samotność i nie lubił. Przykre były zwłaszcza powroty do pustego mieszkania. Nikt nie czekał, nikt nie pytał, jak minął dzień, jak załatwił tę czy inną ważną sprawę.

- Czemu się tak zamyślasz? - pytała Karolina, ilekroć uciekał w te swoje rojenia o domu i żonie. Odpowiadał różnie, jak mu tam przyszła fantazja. Raz nawet zażartował:

- Próbuję ci udowodnić, że różnię się od czworonogów.

- Myślisz, że sama bym na to nie wpadła? Podrap mnie lepiej po plecach, ssaczku, przynajmniej będzie jakiś pożytek z twojej zadumy.

Rozciągnęła się wygodnie na wersalce. Wodził opuszkami palców po nagich plecach, a dziewczyna pomrukiwała z wdziękiem zadowolonej kotki. Wcale nie miał jej za złe, że ubierała się tylko wówczas, gdy wychodzili z domu. W jej neglizju, właściwie w nagości, nie było nic bezwstydne. Natura obdarzyła ją tak hojnie, że nie uważała za stosowne chować pod łaskami tych darów. Zachowywała się z prostotą człowieka pierwotnego i jednocześnie z wyrafinowaniem godnym salonów.

- Byłeś kiedyś żonaty? - spytała.

- A co, tak dobrze drapię, jakbym był?

Uniosła głowę, potem usiadła na podkulonych nogach.

- Nie musisz stosować uników, nie musisz odpowiadać, jeżeli nie chcesz. Spytałam tak sobie. Dobrze mi z tobą, ale nie chciałabym, żebyś miał jakieś złudzenia. Z nas nie będzie pary.

- Więc dlaczego jesteśmy razem?

- Dlaczego nie, jeżeli sprawia to nam przyjemność?

Nie odpowiedział, skinął tylko głową na znak potwierdzenia, że pary z nich nie będzie i niemal natychmiast poczuł zazdrość. Wcale nie chciał, by inni mężczyźni bezkarnie oglądali jej piękne ciało, te wszystkie cudowne wypukłości i wklęsnięcia.

- Wiesz co - powiedział powoli - z czterech działań arytmetycznych najmniej lubię dzielenie. A już z całą pewnością nie wyobrażam sobie dzielenia się z kimkolwiek szczotką do zębów i kobietą.



- Wiem. Wyglądasz na faceta zachłannego. Co do zębów, twoja sprawa, co do kobiety, powiem ci coś: w moim życiu zawsze jest tylko jeden mężczyzna. Jeżeli zainteresuję się drugim, po prostu odchodzę. Teraz jesteś ty i chcę być wobec ciebie uczciwa. Mam swoje plany, w których stały związek jest na ostatnim miejscu... lub na pierwszym, wszystko będzie zależało od okoliczności. Mam nadzieję, że nie czujesz się zgorzony ani kopnięty w ambicję?

Cały kłopot polegał na tym, że sam nie wiedział, jak się czuł, w każdym razie na pewno nie był zadowolony. Karolina miała niesamowity dar uszczęśliwiania mężczyzny i jednocześnie odzierania ze złudzeń. Zamierzał wstać i wyjść. Na zamierzeniu się skończyło. Wyszli, owszem, ale razem - najpierw na obiad do Zajazdu, potem do Julii. Nie miał ochoty na świąteczne wizyty, wystarczyło jednak, że ona miała.

Kiedy wieczorem zasypiał w swoim mieszkaniu i w swoim łóżku, wydawało mu się, że ktoś jest w pokoju. Pomyślał: Karolina, a nie wiadomo czemu zobaczył wielkie, nieco przestraszone oczy Julii. Całkiem fajna ta mała, pomyślał. Przewrócił się na drugi bok. O mamusce już tego powiedzieć nie można, dodał, i była to ostatnia myśl przed zaśnięciem. Chociaż nie, mignęła mu chyba jeszcze raz twarz Julii.

Inna fryzura, inna sukienka i właściwie całkiem inna kobieta. Julia nie miała pojęcia, że będzie to zmiana tak widoczna. Poruszała się inaczej, chodziła inaczej i każde spojrzenie w lustro czy w szybę utwierdzało ją w przekonaniu, że wygląda o wiele lepiej. Co tam lepiej! Wyglądała bardzo dobrze, a to dodało jej pewności siebie. Ledwie pojawiła się w firmie, natychmiast wywołała maleńkie zamieszanie. Kierowca Czarek w ogóle jej nie poznał, natomiast Leszek Wydroń z wrażenia rym-snął na kolana.

- Droga pani inżynier! Jak to cudownie, że wreszcie wiem, gdzie się pani zaczyna, a gdzie kończy! - wykrzyknął zachwycony.

Długo potem udawał, że zbyt obszerne stroje są tym dla kobiety, czym worek dla kota. Zerkał przy tym z upodobaniem na Julię.

- Tylko się nie zakochaj, mój drogi, bo takiej zdrady nie przeżyję - uśmiechnęła się Edyta.

- O żadnej zdradzie nie ma mowy! - zaprzeczył gwałtownie. - Też dostaniesz swoją porcję komplementów, bo sam już nie wiem, czy wiosna na was podziałała czy co, że tak wypięknialiście?

- Jeżeli o mnie chodzi, wyglądam na swoje trzydzieści pięć lat i nie musisz się wysilać - zapewniła sekretarka.

- Ostatnio już miałaś czterdzieści - przypomniał Leszek.

- Kobieta jestem i nic co babskie nie jest mi obce, nawet lata - odparła spokojnie. - Jeżeli czułam się na czterdzieści, to musiał mi podpaść ktoś niestrawny. Dziś mam trzydzieści pięć i ani miesiąca więcej.

Był to znany sposób Edyty na podporządkowanie sobie czasu. Zegar biologiczny cykał, a ona chwaliła się codziennie innym wiekiem, dbając jedynie o to, by przy żonglowaniu czasem nie przekroczyć granicy śmieszności i nie dać sobie lat osiemnastu. Miewała już siedemdziesiąt, szczególnie po naradach u szefa, lecz osiemnastu nigdy.

Julia śmiała się razem z nimi do momentu, gdy Orzechowicz przeszedł przez sekretariat i zniknął w gabinecie dyrektora. Potem już nikt nie potrafił jej rozruszać. W zastępstwie pani Heni zrobiła Edycie i Leszkowi herbatę, jednak do żadnej pracy umysłowej nie była zdolna.

Orzechowicz, wychodząc z gabinetu, zatrzymał się na moment przy jej biurku.

- Głowa do góry, pani Julio! - powiedział. - Przy najbliższej okazji porozmawiam jeszcze raz z dyrektorem.

- To znaczy, że się nie zgodził? - szepnęła.

- Głowa do góry! - powtórzył.

Nie po raz pierwszy Julia miała ochotę zapłakać szczerze i po babsku. Na szczęście przypomniała sobie o makijażu i bohatercko zapanowała nad łzami. Nie tylko ja mam kłopoty, pocieszyła się, wspominając Leszka i Karolinę. Pomogło. Całkiem spokojnie doczekała chwili, gdy zostały z Edytą same.

- Jak pani myśli, dlaczego dyrektor się nie zgodził? Jakie on ma wobec mnie zamiary?

- Jakie zamiary? - Sekretarka uniosła głowę i spojrzała bardzo poważnie. - Powiem ci jakie, dla mnie to nie jest tajemnicą. Mikula przyjął cię, bo zamierza mnie zwolnić. Ty zostaniesz jego sekretarką czy tam asystentką, jeszcze się waha, dlatego wciąż czekasz na zakres obowiązków.

- Myślałam, że rozmawiamy poważnie - westchnęła Julia.

- Bardzo poważnie.

- Wciąż pani powtarza, że Mikula durniem nie jest. Żaden mądry szef nie zwolni najlepszego w dziale fachowca, żeby go zastąpić niefachowcem. Równie dobrze mógłby za tym biurkiem usadzić Chochłę... gdyby się przypadkiem znalazł. Wiem, że nietrudno jest być lepszą od Chochli i nie o to mi chodzi.

- O kompetencje też nie chodzi, droga Julio. Łatwiej jest wychować sobie zupełnie zielonego pracownika niż podporządkować doświadczonego, z dobrą pamięcią. - Spojrzała na Julię i natychmiast zmieniła ton. - No, no, Julka, tylko bez fontanny. Nie życzę sobie, żebyś zaryczaną mordką psuła wspaniałą image firmy. Jeszcze tu jestem i coś wspólnie wymyślimy. Widzisz, do czego doprowadziłaś? Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam się jak kobieta pięćdziesięcioletnia. To straszne!

Dziewczyna uśmiechnęła się blado. Poranne zadowolenie wyparowało z niej bez reszty i nie pomogła nawet zaskoczona mina pani prezes. Mikulowa wpadła do sekretariatu wypachniona i świeżutka. Jej wprawne oko natychmiast dojrzało Julię. Podfałszowane ołówkiem brewki powędrowały na środek czoła, wróciły na swoje miejsce, a pani prezes z ulgą potrząsnęła żółtymi lokami. Była przekonana, że w firmie pojawiła się nowa twarz i to bez jej wiedzy.

- Koniecznie powinnaś zmienić kolor włosów - stwierdziła. -O wiele lepiej będzie ci w czarnych... nie, chyba raczej w blond! Nie, jednak w czarnych, z całą pewnością. Mam rację?

Julia uśmiechnęła się z wyższością kobiety eleganckiej i pokręciła głową na znak, że koloru włosów nie zmieni. Mikulowa prychnęła obrażona i przestała zajmować się cudzymi włosami. Przeszła z Edytą do pustego gabinetu dyrektora i wiadomo było, że zabawią tam jakiś czas.

Julia bez większego zapału wzięła się do porządkowania korespondencji. Próbowwała wrócić na plan filmowy, ale nawet to jej nie wychodziło. Już prawie była Ligią, już nawet zbliżała się do Winicjusza, lecz zamiast słów miłości miała w głowie Mikulę, etat, Konrada i

rzeczywistość brała górę nad marzeniami. Jeszcze kilka takich rozmów, a zgłupieję totalnie, mówiła sobie.

- Przesyłka dla szanownej pani! - Leszek położył na biurku zaklejoną kopertę.

Zaciekawiona zajrzała do środka. Choćby nawet nie chciała, choćby nawet miała sto większych zmartwień, musiała się uśmiechnąć na widok kartki. Radosna dziewczuszka, mały śmieszny bobas z wielką kokardą na głowie, siedziała tuż obok stareńkiej maszyny do pisania, bodaj jakiegoś continentalą. Białe literki na górze zachęcały: Nie zwlekaj, napisz.

- Co mianowicie mam napisać? - spytała.

- Na twoim miejscu mianowicie obejrzałbym zadek tej małej. Na odwrocie jest wyjaśnienie.

Odwróciła kartkę. Nie zwlekaj, Biedronko Siedmiokropko, i napisz, czy pójdziesz ze mną w sobotę potańczyć?

- Muszę pisać? Nie mogę ci mianowicie powiedzieć, że z największą przyjemnością... chyba że wolisz towarzystwo pani Oli. - Dyskretnie wskazała głową gabinet dyrektora, gdzie szefowa wciąż rajcowała z Edytą.

- Załatwione. Mam zarezerwowany kawałek stolika w Teatralnej. Dlatego kawałek, że tam są potężne stoły, gdybyś nie wiedziała. Niestety, z Olą kłapa - zaszeptał. - Dostałem kosza i mianowicie nie wiem dlaczego. Ciasto drożdżowe z ręki mi jadła, a potem fik mik i ble!

- To dla niej zarezerwowałeś ten stolik? - spytała domyślnie.

Skinął głową. Nie zauważyła, że zawahał się, jakby chciał coś wyjaśnić, odrobinę posmutniał i wyszedł, nie dodając już nic. Byli

umówieni. Julia z radością pomyślała, że choć raz pobawi się w towarzystwie znacznie ciekawszym niż Serafin. Dotarło do niej, że bardzo dawno nie widziała anielskiego chłopaka, ale to był fakt bez znaczenia.

Podniesiona na duchu, wróciła do przeglądania poczty. Biurko zawałały głównie prospekty reklamowe, które konsekwentnie wrzucała do kosza. Że też ludziom nie szkoda lasów. Na jednej z kopert dojrzała nazwisko Karoliny Ciemiak z adnotacją: do rąk własnych. Bez trudu poznała kopertę i charakter pisma. W środku namacała sztywne kartoniki, coś jakby zdjęcia. Pośpiesznie wepchnęła kopertę do swojej szuflady. Od tego momentu z biciem serca czekała na powrót przyjaciółki z sądu.

Karolina wpadła do firmy tuż przed piętnastą. Była zmęczona, ale radosna. Julia pomyślała ze smutkiem, że za moment całe zadowolenie z wygranej sprawy diabli wezmą. Taki to już widać był dzień, że gasił wszelką radość. Wyczekała na odpowiedni moment i bez słowa oddała kopertę.

- Czy to głównie przyszło z pocztą? - spytała Karolina, wynurzając się chwilę później ze swojego pokoju.

- Tak. To ja segregowałam korespondencję i nie musisz się bać.

- Skąd wiesz, że mogę się bać?

- Uff, jakby ci tu powiedzieć? Przed świętami identyczna koperta przyszła do Edyty. Zagapiłam się, otworzyłam i wiem. Potem jedliśmy drożdżówkę.

Karolina bez słowa rzuciła na biurko zmiętą kartkę i cztery zdjęcia, znacznie frywolniejsze niż te Edyty. Na jednym widać było także partnera. Nie mogło być żadnych wątpliwości, kim jest mężczyzna.

- Z Edytą też on był? - Karolina pstryknęła paznokciem w brzuch Mikuli.

- Nie wiem, zdjęcia były retro, oni też retro... zresztą możliwe, bo uszy jakby podobne. Reszta mogła się zmienić, ale uszy nie tak bardzo, jak myślisz?

- Do głowy by mi nie przyszło, żeby rozpoznawać gołych facetów po uszach - roześmiała się Karolina i natychmiast spoważniała. - Parszywy gnojek! Gdybym go tylko dorwała, to marne jego szansę wśród żywych. - Walnęła ręką w biurko. - Popatrz, co mi ten cham napisał!

Rozwinęła zmięty arkusik wypełniony wielkimi kulfonami. Widać, że nadawca się śpieszył, bo darował sobie interpunkcję, staranność i podpis. Właściwie na kartce były dwa zdania, które sprawiały wrażenie jednego: O to ci chodziło no to masz co chciałaś.

- Myślisz, że to Mikula?

- Nie, co ty! Chyba na starość nie został ekshibicjonistą? W innym wypadku po cholere miałby mi przysyłać swój nagi portrecik? Wziął tyłek w garść, wyjechał, a Mikulowa być może ślęczy teraz nad identyczną przesyłką. To dopiero byłoby jajo!

- Jeżeli nie stary, to kto?

- Ten, kto ma bzika na punkcie fotografii i dodatkowo seksualne obsesje. Jeszcze nie wiesz kto? Nadworny pstrykacz i mentalny analfabeta, Chochla! Spójrz na ten list. Przecież nie wiadomo, czy to informacja, wyznanie czy szantaż! Oddam królestwo za wiadomość, gdzie ten pluskolec się zaszył!

- Schowaj sobie królestwo na potem. Za darmo ci powiem, że widziałam go dwukrotnie na Południu.

- I nic nie mówiłaś?

- Też mi rewelacja: Chochla snujący się po ulicy. Poza tym nie byłam pewna, czy to on.

- Na Południu, mówisz? Pamiętasz gdzie i kiedy?

- Pierwszy raz jakieś dwa, trzy dni po zaginięciu laźł w stronę Kujawskiej, a drugi raz... tuż przed świętami... też gdzieś w tej okolicy.

- W stronę Kujawskiej? - Karolina zastygła z ręką na czole. - Czekaj, czekaj, to całkiem możliwe! Dlatego Wacek nie umiał znaleźć... Ju-leczko, no to chyba mam karaczana! Złapię i usadzę na amen! Podwiesz mnie?

W chwili kiedy Konrad dostał angaż do ręki, w zasadzie miał już naszkicowany plan komputeryzacji przedsiębiorstwa. Nie zamierzał wyważać otwartych drzwi, korzystał ze sprawdzonych wzorców, które dostosował do konkretnych warunków Budampolexu 2. Coś musiał robić przez te wszystkie dni, kiedy na próżno usiłował dostać się do dyrektora. A ponieważ wierzył, że swoją sprawę wygra i potrafi wymóc na Mikuli dotrzymanie obietnicy, wykorzystywał czas na zbieranie informacji o sprzęcie i o programach. Zadanie wcale nie było proste. Gdziekolwiek się zwrócił, napotykał mur obojętności i niewiedzy. Działu właściwie nie było; inżynier Kiciński po koleżeńsku, z czystej sympatii, sporo podpowiedział swojemu następcy, ale żył już nową pracą. Proponowane zmiany przede wszystkim wymagały nakładów oraz co najmniej dwóch dodatkowych etatów. Pieniądze dyrektor obiecał dopiero w maju. Konrad zamierzał jeszcze raz porozmawiać w tej sprawie i przyspieszyć zakup sprzętu. Przy okazji chciał też przedstawić konkretne propozycje obsadzenia etatów.



Znał wielu dobrych informatyków, z kilkoma rozmawiał i był gotów operować nazwiskami. Obiecał też etat Julii. Idąc do starego, był pełen optymizmu.

Dyrektor słuchał niezbyt uważnie, szukał czegoś w otwartym biurku, kazał sobie powtarzać rzeczy oczywiste, najważniejsze zbywał machnięciem ręki. Zgodził się na wszystkie projekty inżyniera Orzechowicza, z wyjątkiem przyspieszenia zakupów i przeniesienia magister inżynier Blendy.

- Wie pan, panie kolego, ja tam, broń Boże, nie jestem antyfeministą, uważam jednak, że miejsce baby jest w łóżku i w domu. Można je wyuczyć tego i owego, szczególnie fajtając przed nosem marchewką, ale ich horyzonty zawsze będą tycie - na palcach pokazał zdumionemu Konradowi te damskie horyzonty, które nie były wyższe niż pół centymetra. - Nie wierzę, panie kolego, w umiejętności techniczne kobiet, chyba że chodzi o technikę rodzenia. To są oczywiście żarty... chociaż w każdym żarcie jest trochę prawdy.

- Rozmawiałem z panią inżynier Blendą i nie uważam, żeby była niedouczone. Jest chyba bardziej potrzebna w moim dziale niż w sekretariacie.

- Ocenę pracy sekretariatu, panie kolego, zostawmy Pałubskiej - powiedział z dobrotliwą przyganą Mikula. Uśmiechnął się nawet na znak, że nie przywiązuje wagi do drobnej niezręczności młodego inżyniera. - W tajemnicy panu powiem, że choć zdecydowanie wolę pracować z mężczyznami, a spać z babami, to nie upierałbym się przy tej Blendzie. Jest w końcu inżynierem, niechby sobie siedziała przy komputerze w pańskim dziale. Chodzi jednak o to, że ona jest potrzebna sekretarce. Zna języki, w przyszłości obsłuży komputer i tak dalej. To Pałubka się uparła, a ja dałem

słowo, że nie będę ingerował w sprawy jej działu. Proszę więc, panie kolego, żeby nie stawiał mnie pan w kłopotliwej sytuacji. I niech pan to jakoś tej małej wytłumaczy, co?

Dyrektorska szczerowość zaskoczyła Konrada. Nie chodziło o męskie przechwałki, te puścił mimo uszu, lecz o Julię. Nie podzielał opinii Mikuli, uznał jednak, że sprawa jest drażliwa i przy pierwszej rozmowie nie wolno przesadzić z uporem. Był zdecydowany poczekać na sprzyjającą okazję. Nagle zaczęło mu bardzo zależeć na tej dziewczynie jako na sile fachowej. Poza tym żał mu było biedaczki. Dusila się w sekretariacie, gdzie nie miała okazji wykorzystać swojej wiedzy ani rozwinąć skrzydeł. Wychodząc z gabinetu, próbował podnieść ją na duchu i już do końca dnia prześladował go widok wielkich, smutnych oczu. Co sobie o nich przypominał, zalewała go fala ciepłej sympatii. Podobnych uczuć nigdy wcześniej nie doświadczał. Lubił kobiety, niektóre mniej, inne więcej, ale żeby się nad nimi roztkliwiać?! Nawet kiedy myślał o Karolinie, czuł złość lub podniecenie, czasem tęsknotę i nic więcej. Czyżby ta mała jędza rzuciła na mnie urok? - pomyślał i zachciało mu się śmiać, że tak ściśle i po inżyniersku ujął tę kwestię. Mogłem jej chociaż powiedzieć na pocieszenie, że nie mam zwyczaju cofać raz danego słowa! Uznał jednak, że wrażliwa dziewczyna mogła potraktować takie zapewnienie jako przechwałkę, a tego nie chciał.

Włocławek z całą pewnością do metropolii nie należy, jednak w godzinach szczytu można odnieść wrażenie, że to nie przymierzając Łódź lub Warszawa. Błękitny matiz co chwila utykał w korkach. Początkowo Karolina milczała, zapatrzona w jakiś punkt przed sobą. Julia pilnowała kierownicy i zerknęła od czasu do czasu na przyjaciółkę.

- Co właściwie zamierzasz? - spytała. - Nie chcę być wścibska, tak sobie jednak myślę, że do usadzenia Chochli potrzebny jest jakiś sensowny

plan. Pokażesz zdjęcia i co? Rozwścieczysz faceta i dopiero wtedy gotów ci narobić brudu.

Wreszcie Karolina pękła. Jak najszybciej chciała się uwolnić od nagromadzonego żalu, więc wyrzucała słowa z prędkością karabinu maszynowego. Julia nie wszystko rozumiała, nie wszystko chwytła, jednak pytania odłożyła na później. Z dość nieskładnej wypowiedzi zdołała zrozumieć, że Mikula mieszkał z żoną na Zawisłu, w ładnym nawet domu, a drugie mieszkanie miał w pobliżu ulicy Kujawskiej bądź przy samej Kujawskiej. Małe, jednopokojowe, a nawet jednoosobowe, niczego nie potrafił znaleźć i wciąż się gubił między kuchnią i łazienką. Karolina odwiedziła go kilka razy, bynajmniej nie w celu podyskutowania o kłopotach firmy. Na dowód miała właśnie cztery zdjęcia. Pytanie najistotniejsze brzmiało: kto fotografował i na czyje życzenie? Zupełnie w tym galimatiasie zabrakło miejsca dla Chochli. Nie mógł sterczeć z aparatem fotograficznym w nogach tapczanu, bo Karolina, choćby najbardziej zajęta, musiałaby go zauważyć.

- Gdzie mam jechać? - spytała Julia, gdy już przebrnęły przez wiadukt na Wroniej.

- Adresu nie pamiętam, ale trafić na pewno trafię. Jestem więcej niż pewna, że ten skunks zaszył się właśnie tam.

- Dlaczego Chochla miałby się zaszywać w mieszkaniu Mikuli?  
-zdziwiła się Julia.

- Dowiemy się, jak trafimy. Oni mają jakieś ciemne interesy. Zauważyłaś, że stary cap wściekał się na brak dokumentów, lecz Chochli z roboty nie wywalił i specjalnie nie przejął się jego zniknięciem. Nawet policja była bardziej zainteresowana niż on, pracodawca niby.

- No, dobra, załóżmy, że masz rację: zaszył się u Mikuli i siedzi. A co my zrobimy?

- Postoimy na parkingu. Fachowo nazywa się to inwigilacją.

- Wiem. On nas zobaczy przez okno, pozna samochód i będzie obserwował. Tylko po co?

- Odwrotnie, to my... Julka, przestań! Nie mam teraz głowy do żartów! -jęknęła Karolina.

Błękitny matiz zgrabnie podjechał pod wskazaną klatkę. Julia, patrząc na rozdygotaną Karolinę, zdała sobie sprawę, że osobiste zaangażowanie bardzo przeszkadza w logicznym myśleniu. Chłodna, zwykle opanowana pani magister miała w oczach żądzę mordy. Ręce jej drżały, kiedy próbowała odpiąć pas. Dać tej biedaczce rewolwer do ręki, to gotowa wystrzelać wszystkich, nawet babinkę z parteru, pomyślała przytomnie. W tym momencie poczuła się odpowiedzialna za przyjaciółkę. Przytrzymała rękę, szarpiącą pas.

- Zostań! Pójdę sama, powiedz tylko, co mam sprawdzić?

- Do kogo należy mieszkanie na drugim piętrze... środkowe. Julia wysiadła i spokojnym krokiem podeszła do drzwi. Na tabliczce

przy domofonie ustaliła, że lokal musi mieć numer 23. Biały prostokącik tuż przy guziczku niezbitnie dowodził, że właściciel skorzystał z przysługującego mu prawa do ochrony dóbr osobistych. On jeden w całej klatce. Nad nim było nazwisko W. Pasieczko, pod nim... Zaraz, zaraz! Pasieczko? - zastanowiła się Julia. Z całą pewnością słyszała już gdzieś to nazwisko. Błyskawicznie próbowała przypomnieć sobie wydarzenia z

ostatnich dni. - Jasne - zaszepiała gorączkowo. - „O Duchu Święty, daj nam moc!”. Coś mi się zdaje, że jednak będę musiała do niej zajrzeć!

Bez zbędnego pośpiechu wsiadła do samochodu i ruszyła powoli, jak ktoś, kto właśnie się pomylił. Szukał znajomego, nie znalazł, więc odjeżdża. Dopiero na Kaliskiej dodała gazu, a rozgadała się w domu. Za wiele nie umiała powtórzyć, bo niezbyt uważnie słuchała wynurzeń Wandeczki, ale zawsze coś tam jej w głowie zostało.

Pod nieobecność rodziców mieszkanie było oazą spokoju. Rozsiadły się w kuchni. Julia odgrzała swój obiad, który sprawiedliwie podzieliła na dwie porcje. Karolina, choć zasłaniała się brakiem apetytu, zjadła pierwsza i nerwowo krążyła po niewielkim pomieszczeniu.

- Usiądź, bo mnie szlag trafi - poprosiła Julia. - Pracuj głową, nie nogami.

- Kiedy ja muszę kompleksowo - wyznała przyjaciółka, ale oparła się o szafkę przy zlewie.

Co do jednego zgadzały się bez zastrzeżeń: przeciwnik był paranoikiem, a jeżeli nawet nie był, to zachowywał się jak rasowy paranoik - atakował z ukrycia i każdy następny ruch mógł być nieobliczalny w skutkach. Dopóki nie stawiał żądań, nie zdradzał intencji, wszystko było możliwe, zarówno chory żart, zemsta, w ostateczności nawet szantaż. Karolina chciała działać jak najszybciej.

- Opanuj się, jesteś prawnikiem, nie możesz tak na łapu-capu - tłumaczyła Julia.

- Ja się znam na kondycji firm, nie wariatów!

- Oprócz psychiatrów kto jeszcze zna się na wariatach? Nie adwokaci przypadkiem? - dopytywała się Julia. - Masz przyjaciół wśród prawników w Toruniu. Popytaj, podzwoń, jak będzie trzeba, chętnie z tobą pojedę. Poza tym wybiorę się do Wandzi Pasieczko. Jako najbliższa sąsiadka, nie wiem zresztą czyja, może być skarbnicą wiedzy.

Karolina uniosła wreszcie głowę znad pustej filizanki. Patrzyła badawczo, z pionową zmarszczką między brwiami.

- Dlaczego angażujesz się w sprawę, która ciebie nie dotyczy?

- Nie angażuję się w sprawę, tylko w pomoc przyjaciółce. Gołym okiem widać, że nie da się pomóc bez wlezenia w bagienko. Trudno, wyższa konieczność!

Bodaj pierwszy raz Karolina przytuliła się do Julii i pocałowała ją w policzek. Normalnie nie uznawała babskich powitań, uścisków i buziaków rozdawanych w okolicy ucha. To był pocałunek na zasadzie wyjątku, dlatego cenny.

- Podzwonię. Popytam! - powiedziała już znacznie energiczniej. -A ciebie nie poznaję. Mam ochotę zanucić: gdzie się podziały lebiody z tamtych lat. Mówisz, że to Henia tak cię wyposażyła w moc?

- Spróbuj się z nią zaprzyjaźnić, ona podobno kocha wszystkich ludzi.

Droga od wielkiego smutku do wielkiej radości bywa czasem bardzo krótka. Wspomnienie Heni tak podziało na dziewczyny, że nie mogły przestać się śmiać.

„Naiwność jest piękną cechą, dopóki gnieździ się w pokoju dziecięcym”, lubił powtarzać Konrad. Sam bynajmniej nie uważał się za człowieka naiwnego, jednak w ostatnim czasie aż trzy razy zdziwił się mocno i po dziecinnie. Raz na wiadomość, że Edyta Pałubska nie chce mu oddać pani inżynier. Z tego, co wiedział od Karoliny oraz od samej Julii, wynikało, że upierał się dyrektor, sekretarka zaś obiecywała dziewczynie pomoc. Ktoś namieszał, tylko nie bardzo było wiadomo kto.

Drugi raz zdziwił się, kiedy Karolina spytała, czy chciałby zostać jej mężem.

- Przecież sama mówiłaś, że nie będzie z nas pary.

- Ja? - Wlepiała w niego zielone oczy wypełnione bezbrzeżnym zdumieniem. - Przecież ja, ssaczku, z reguły mówię rozsądnie.

Wtuliła mu swoje loki między brodę a obojczyk i milczała. Siedzieli w jej mieszkaniu, na niewygodnej wersalce; zupełnie nie wiedział, co z tym wyznaniem zrobić. Mimo że krótko byli razem, zaszli bardzo daleko, bo do rozmów o wspólnej przyszłości. Drażniło go, że odbierała mu całą inicjatywę, chciała o wszystkim decydować i przesądzać. Na krótki dystans mógł jej pozwolić, lecz małżeństwo to już nawet nie długi dystans, to cały maraton. Konrad zbyt mocno cenił sobie samodzielność i niezależność, by zrezygnować z własnego zdania. Może gdyby był zakochany do szaleństwa... On jednak nie był zakochany. Tak przynajmniej uważał.

- Czemu zamilkłeś, ssaczku? Żle ci ze mną?

- Dobrze mi z tobą, tylko widzisz, przy mnie nieprędko dorobisz się luksusowego samochodu i willi z kucharką.

- Po co nam kucharka? Przecież mówiłeś, że umiesz gotować. -  
Roześmiała się psotnie jak dziecko, zawisła mu na szyi, by powoli zjechać  
niżej, potem jeszcze niżej. Jej długie, szczupłe palce mocowały się przez  
chwilę z paskiem u spodni, potem zajęły się zamkiem błyskawicznym. Ona  
znowu przejmuje inicjatywę, pomyślał, i nim Karolina zdążyła pisnąć,  
jednym silnym ruchem ramion zmienił całą konfigurację. Nie narzekała z  
tego powodu, a nawet wydawała się bardzo zadowolona.

Trzeci raz Konrad Orzechowicz zdziwił się za sprawą Henryki Luty.  
Rozmawiał właśnie w swoim gabinecie z Karoliną o prawnych aspektach  
komputeryzacji, gdy wydało mu się, że od strony korytarza ktoś majstruje  
przy zamku. Wstał i gwałtownie otworzył drzwi. Na wysokości pasa  
zobaczył pochyloną damską głowę. Żeby nie być posądzoną o  
podśluchiwanie, pani Henia schyliła się jeszcze niżej i zaczęła poprawiać  
wycieraczkę.

- Magister Cierniak proszona do telefonu! Dyrektor dzwoni! -  
powiedziała bez cienia zmieszania.

Karolina wybiegła. Henryka Luty zajrzała do pokoju i zlustrowała  
kąty. Zdumionemu Konradowi wytłumaczyła, że sprawdza kurze. Szef

informatyków nie miał dodatkowego zapotrzebowania na żadne  
usługi, z odkurzaniem włącznie, i nawet nie silił się na uprzejmość. Stał w  
otwartych drzwiach i czekał, aż pomoc gospodarcza opuści gabinet.

- Pojedzie za nim do Warszawy, zobaczy pan! - powiedziała poufale.  
- Wystarczy, że on zadzwoni albo palcem kiwnie. A przecież to człowiek  
żonaty. Co z żonatym za przyszłość dla wolnej kobiety? Tylko niech pan nic  
nie mówi, bo znowu na mnie wsiądzie. Prawda w oczy kole.



Wykreśliła się na pięcie i wyszła. Konrad stał w progu jak pomnik zdziwienia. Własnym uszom nie wierzył i gotów był sam siebie posądzić o halucynacje. Jednak słyszał kobiecy głos i w mózg wwierciły mu się słowa o Warszawie, kiwnięciu palcem i romansie Karoliny z Mikulą.

Prywatne śledztwo aprilistów chwilowo utknęło w martwym punkcie. Wydawało się, że Leszek na próżno wychodzi ze skóry i zasypuje panią prezes komplementami. Śmiała się, napraszała o więcej, ale gawędzili wyłącznie przy świadkach. W języku Leszka nazywało się to urabianiem gruntu. Orał więc biedak bez żadnej pewności, czy kiedykolwiek wykiełkuje mu jakieś ziarno. Pani magister, choć dworowała sobie z kolegi, sukcesy miała jeszcze mniejsze. Mikula siedział gdzieś w Polsce i tylko co jakiś czas dzwonił. Wiadomo, że przez telefon nikt nie porusza delikatnych tematów. Poza tym Karolina miała na głowie Chochłę, który w każdej chwili mógł ją postawić w bardzo kłopotliwej sytuacji. Julia zaangażowała się w pomoc przyjaciółce i choć fizycznie była przygotowana do spotkania z Bujalą, odkładała wizytę z dnia na dzień.

Wybrała się natomiast do Wandzi Pasieczko i to wcześniej, niż zamierzała. Mówiąc prawdę, nie sądziła, że kiedykolwiek się wybierze, lecz w świetle ostatnich odkryć Wanda nabrała ceny worka złota. Julia obiecała sobie, że tym razem nie uroni ani słowa z opowieści, choćby nawet przyszło jej wysłuchiwać rzewnych wspomnień o dzieciństwie, mężu nieboszczyku i twórczości artystycznej.

Zadzwoiła delikatnie. Drzwi, chronione łańcuchem, uchyliły się, w ciemnej szparze błysnęło oko. Niemiły, burkliwy głos usiłował odpędzić intruza:

- Pomyłka. Środkowe drzwi.

- Wandziu, to ja, Julia!

- Kto? - Szpara nieco się powiększyła. - Ach, Julia! Trzeba było od razu tak mówić... tylko po głosie cię poznałam, tak się wysztafirowałaś!

Ani śladu nieufności, sama radość biła z twarzy Wandy Pasieczko. Nie wiedziała, biedna, gdzie posadzić gościa. Na krzesło za twardo, na fotelu za nisko, wreszcie usadowiła speszoną dziewczynę na wielkiej otomanie, przysunęła mały stolik, który natychmiast zastawiła łąkociami.

- Skosztuj ciasteczko... Ależ ty nic nie jesz... Częstuj się, kochana... - powtarzała w kółko, zaróżowiona i szczęśliwa.

Gotowa była nieba Julii przychylić, chwaliła jej kostium, chciała pokazywać swoje wiersze i książki z psychologii, zachęcała dziewczynę do jedzenia i skakała z tematu na temat. Wobec niespodziewanej wizyty wszystko zeszło na plan dalszy, nawet utarczki z sąsiadami. Julia odpowiadała na dziesiątki nieistotnych pytań, kiwała głową, wreszcie jakoś do tych sąsiadów nawiązała.

- O których sąsiadów pytasz, złotko? Bo ja mam samych diabła wartych. Ci z naprzeciwka na przykład... - Zerwała się nagle i wybiegła do przedpokoju. Julia bardziej się domyśliła, niż zobaczyła, że Wandzia dopadła wizjera. Na klatce schodowej dał się słyszeć jakiś hałas, trzasnęły drzwi i kobiecina wróciła.

- O czym to mówiłyśmy?

- Pytałam o sąsiadów. Skarżyłaś się ostatnio, że masz pod bokiem dom publiczny.

- A, to ci spod dwudziestego trzeciego. Ostatnio cicho tam, jak w akwarium. Nawet się zastanawiałam, czy gdzie nie wyjechali. Gorszi są ci z naprzeciwka, wciąż się kręcą, a jest ich...

- Kto mieszka pod dwudziestym trzecim? Rodzina czy jakiś samotnik?

- Kiedyś mieszkała Bronią Pałubska, świeć Panie nad jej duszą. Wcale jeszcze nie była taka stara, na nerki jej padło... Ale ty się w ogóle nie częstujesz! No, moja złota, skosztuj jeszcze delicji.

- Dzięki. Więc co z Bronią?

- Ano umarła. Takie jest życie. Naprawdę nie chcesz zobaczyć moich wierszy? Może ci przeczytam choć jeden. Piszę nie tylko hymny, mam kilka patriotycznych i uczuciowych.

- Piszesz erotyki? - zdziwiła się Julia.

- Jeszcze by tego brakowało! Czy ja wyglądam na taką, co świństwa wypisuje? - oburzyła się Wanda. - Uczuciowe wiersze mówią o miłości do ludzi, tak w ogólności. To co, przeczytać ci jakiś?

Zrezygnowana Julia kiwnęła głową. Nie było innego wyjścia. Wanda widać postanowiła bardzo drogo sprzedać swoje cenne informacje.

Podeksytowana, rozłożyła na stoliku gruby brulion, wsadziła okulary na nos i zabrała się do prezentacji poematu o urokach rodzinnego miasta. Czytała, ale uwagę miała podzieloną. Co usłyszała jakieś podejrzanym szmery, biegła do przedpokoju i przyklejała się do wizjera.

- Czekasz na kogoś? - spytała wreszcie Julia.

Była już tak znudzona poematem, że wołała bodaj posłuchać o sąsiadach z naprzeciwka niż o „strzelistym bulwarze nadwiślańskim, utkanym z domów i lamp”.

- A na kogo ja bym miała czekać? - zdziwiła się Wanda. - Mało kto tu do mnie wpada. Bratanica Pałubskiej czasem albo sąsiadka z góry, i to całe moje towarzystwo. Teraz mam ciebie i bardzo się cieszę. Może herbatki ci jeszcze zrobię albo kawusi?

- Bratanica Pałubskiej tu mieszka? - zdziwiła się Julia. Skojarzyła już wcześniej nazwisko pani Bronisławy z Edytą i przez

skórę czuła, że najciekawsze wiadomości ma przed sobą. Była niemal pewna, czyje imię za moment padnie. Wanda, tuląc do piersi brulion z wierszami, niechętnie oderwała się od spraw wzniosłych. Rozumiała jednak, że gość ma swoje prawa i należy zaspokoić jego ciekawość. Wyjaśniła możliwie najkrócej jak się dało, że bratanica Pałubskiej ma własnościowe mieszkanie na Reja, a to, odziedziczone po ciotce, wynajmuje lokatorom za pieniądze. Dla sąsiadów byłoby lepiej, gdyby sprzedała porządnym ludziom o sprawdzonej moralności. Najemcy się zmieniają, trudno wyczuć, kto jest kim, różni się kręcą, różni nocują i czasem bywa nieprzyjemnie. Ściany cienkie, a oni wszyscy jurni są nad podziw. Konsumują kobiety i alkohol, stałych lokatorów mają w poważaniu.

- Jak chcesz, to sama posłuchaj! - zachęcała Wanda. Sięgnęła na półkę po pustą szklankę i podeszła do ściany. Przytknęła ucho do denka i przez moment nasłuchiwała. - Cichutko! Edyta to się nawet wystraszyła, czy morderstwa jakiego nie było, odpukać w niemalowane.

- Jaka Edyta? - spytała obojętnie Julia.

Wanda spojrzała uważnie. W łagodnych dotychczas oczach pojawił się błysk nieufności.

- Przecież ty musisz znać Pałubską?!

Jej okrzyk miał moc nagłego i niemiłego odkrycia. Julia wzruszyła ramionami na znak, że może zna, może nie, lecz przypomnieć sobie nie potrafi.

- Henię znasz z pracy, to i Pałubską musisz znać! - nacierała Wanda.

- Sto osób pracuje w tej firmie, albo i więcej, a ja dopiero od dwu miesięcy - wyjaśniła ze znużoną miną.

Jej czas z całą pewnością dobiegł końca. Na więcej wiadomości o Edycie i sąsiadach nie miała co liczyć, poematy zaś pani Pasieczko nie zdołały jej zachwycić. Obiecała, że jeszcze kiedyś wpadnie, i znowu rozstawała się z Wandą w przekonaniu, że na pewno nie zajrzy do niej nigdy więcej.

Wracając do domu na skróty znajomymi uliczkami osiedla, próbowała wyciągnąć jakieś sensowne wnioski ze zdobytej wiedzy. Niestety, nic nie chciało się trzymać kupy. Najmniej kłopotów było z Mikulą. Najzwyczajniej okłamał Karolinę, kiedy mówił o własnej garsonierze. U facetów to normalne, lubią szpan. Ale jak pogodzić właścicielkę mieszkania numer 23, nobliwą i dystyngowaną Edytę, z burdelem? Wiedziała, co się dzieje pod jej dachem, czy nie wiedziała? Dlaczego Wanda dostała nagłej amnezji, gdy uświadomiła sobie, że Julia może znać Edytę? Co ja właściwie wiem o Edycie, zastanowiła się dziewczyna. Tyle co sama powie, trochę z plotek Heni, czyli prawie nic. Piękna samotnica z wyboru. Podobno w młodości jakaś wielka miłość, podobno zranione serce, ale kto, co? Nie wiadomo. A co wiadomo? Kobieta

samodzielna, wyzwolona i zamożna. Mieszkanie po ciotce to pryszcz wobec spadku, jaki odziedziczyła po wuju, przemysłowcu z Anglii. Ciuchy w znakomitym gatunku, piękna biżuteria, zainteresowania wyższego rzędu: teatr, koncerty, wystawy. Pod tym względem Włocławek nie był pustynią: działo się sporo, choć może niezbyt często. Przyjaciele? Nie, przyjaciół chyba nie miała. W ogóle nie używała tego słowa. Czasem mówiła o koleżankach, częściej o znajomych, nigdy o życiu towarzyskim. Wyżywała się w pracy na trzech stanowiskach: swoim, Chochli i nierzadko Mi-kuli. Nikt w dziale nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak bardzo chroniła Chochlę. Roztoczyła nad jełopem już nie tylko parasol, lecz całą cyrkową kopułę i nigdy z tego powodu nie narzekała.

Absolutnie dziwna kobieta, pomyślała Julia. Wydaje mi się, że coś o niej wiem, a nie wiem nic. Tak pewnie powiedziałby Leszek.

Na wspomnienie Leszka uśmiechnęła się ciepło. Była sobota. Wieczorem czekała ją dyskoteka i tańce w miłym towarzystwie, choć w niewygodnych butach. Starła się iść sprężysto, lecz prawa pięta coraz bardziej bolała. Pochyliła się, żeby poprawić wkładkę i wtedy zobaczyła wlepione w siebie oczy obcego mężczyzny. Stał obok trawnika i patrzył na Julię z takim zachwytem, że z miejsca poczuła się młoda, piękna i bardzo szczęśliwa. Czasem naprawdę niewiele trzeba, by wyzwolić w kobiecie energię. Wystarczy zachwycone spojrzenie starszego pana, pomyślała.

Ledwie jednak przekroczyła próg mieszkania, wyparowała z niej cała energia, a boląca pięta odezwała się ze zdwojoną siłą. Zaboląła też dusza. Poprzedniego dnia matka z dziesięć razy przypominała o wizycie agentki ubezpieczeniowej. Wyszukała polisę, spisała na kartce, co i jak należy załatwić, odliczyła pieniądze. Julia dała słowo, że odnowi ubezpieczenie, po czym kompletnie zapomniała o obietnicy i zniknęła na

całe przedpołudnie. Nerwowo zaczęła szukać starej polisy, kartki i pieniędzy. Przetrasnęła kuchnię, przedpokój, w końcu zajrzała do pokoju rodziców. Nic, tylko diabeł przykrył ogonem, pomyślała z rozpaczą. Nie tyle przejmowała się czekającym ją kazaniem, co czuła wyrzuty sumienia, że nigdy nie potrafi niczego do końca załatwić. Zajrzała do kilku szuflad. Z rozmachu ruszyła nawet jedną, opatrzoną patentowym zamkiem. Ku jej zdziwieniu była otwarta. Papiery, umowy, lokaty terminowe. Wzięła do ręki pierwszą z brzegu książeczkę, wystawioną akurat na nią. Na koncie miała trzydzieści tysięcy. Poczula się jak ostatnia łachudra. Staruszkowie o niej myślą, odkładają pieniądze, a ona głupiego ubezpieczenia nie potrafi załatwić! Starannie zamknęła szufladę i wyszła do siebie. Polisa leżała na stoliku jak wół i kłuła w oczy. Jakies pół godziny później przyszła również agentka ubezpieczeniowa i Julia znowu poczuła się dobrze.

Całe sobotnie przedpołudnie Konrad spędził przy komputerze. Śpieszył się, żeby oddać pracę w terminie. Grzegorzowi bardzo na niej zależało, od kilku dni naciskał i nie było pomiłuj. Konrad z każdym mógł dyskutować o terminach, tylko nie z Grzegorzem. To był kontrahent, dzięki któremu zaczął wreszcie zarabiać prawdziwe pieniądze. Wystarczyły trzy lata współpracy, by Orzechowicz bez wstydu mógł patrzeć na wyciągi ze swojego konta bankowego. Na razie żył skromnie, niewiele wydawał, bo nie miał takiej potrzeby. Samotnemu facetowi wystarczyło mieszkanie po ciotce Ewelinie. Co innego, gdyby zdecydował się założyć rodzinę. Uśmiechnął się na myśl, że wymarzona willa Karoliny właściwie jest w zasięgu jego możliwości. Może nie przesadnie wielka, z basenem i oranżerią, jednak na pewno przyzwoita.

Karolina raz tylko napomknęła o wspólnej przyszłości i więcej do tematu nie wracała. On też nie i na pozór wszystko zostało po staremu. Ale tylko na pozór. W gruncie rzeczy nie darowała mu milczenia. Dziury w

brzuchu nie wierciła, udawała zimną, obojętną lub rozkojarzoną. Śmiał się w duchu, że usiłuje go zmiękczyć.

- Czy w twoim życiu pojawił się nowy facet? - spytał, kiedy po raz któryś z rzędu nie zatrzymywała go na noc.

-Kto niby?

- Ktoś, komu powinienem zwołać miejsce. Sama mówiłaś, że nigdy nie jesteś z dwoma jednocześnie.

- Tak mówiłam? No to siedź na tyłku i nie zawracaj głowy. Jak się pojawi, na pewno ci powiem.

To była cała Karolina. Słodka jak sama miłość, za moment zła jak szerszeń. Wciąż byli razem, lecz Konrad, choć jeszcze nie przyznawał się do tego nawet przed sobą, rozglądał się już za pretekstem do odejścia. Zaczynał się bać, że jeszcze miesiąc, dwa i uzależni się od Karoliny bardziej niż narkoman od marihuany. Wmawiał sobie, że nie kocha, jednocześnie był zazdrosny aż do zwariowania i za żadne skarby nie chciał się do tego przyznać.

- Co ciebie łączy z Mikulą? - spytał dzień wcześniej.

- Umowa o pracę, tak jak ciebie, plus wiedza o kilku niezbyt czystych interesach. Spowiednicy i prawnicy zwykle są najlepiej poinformowani. Czy o to ci chodziło?

- Naprawdę nigdy nie byłaś z nim bliżej?

- Raz byłam. Wiózł mnie na ramie roweru, no, ale to była damka. I nie mów mi, ssaczku, że to głupia odpowiedź. Na głupie pytanie innej nie



dostaniesz. I jeszcze sobie zapamiętaj, że z facetami nigdy nie dyskutuję o innych facetach.

Patrzyła na niego ze złą, zaciętą miną. Kobiety z taką miną prędzej spalą za sobą mosty, niż zgodzą się odpowiedzieć na niewygodne pytania.

- Udajesz taką twardą czy rzeczywiście jesteś twarda? - spytał cicho.  
- Nigdy niczego się nie boisz?

- Potwornie boję się czterech żywiołów i wielkiej mocy plotki oplukującej. Z całą resztą, dzięki pomocy mojego aniołka stróża, jakoś sobie radzę.

Wczoraj też nie poprosiła, by został do rana. Obiecała zadzwonić w sobotę. Przedpołudnie minęło, a ona milczała.

Skończył pracę nad nowym programem, sprawdził całość i przegrał na dyskietkę. Telefon zadzwonił w momencie, gdy jedną nogą był już na klatce schodowej. Zamiast Karoliny usłyszał zachrypnięty głos Grzegorza i trochę się rozczarował. Odtajał dopiero pod wpływem pochwał.

- Masz jakieś plany na wieczór? - zainteresował się Grzegorz. - Jeśli nie, to może wyskoczysz z nami na tańce? Poderwałem niezłą lam-pucereę - zachichotał - ale towar chwilowo zastrzeżony. Mniejsza o dupę, mnie mianowicie chodzi o coś innego. Będzie też mój kuzyniak, z którym powinieneś pogadać.

Konrad nie przepadał za balangami w towarzystwie Grzegorza i jego paczki. Interesy interesami, jednak wieczory wolał mieć dla siebie.

- Hasło: piękna kobieta! - roześmiał się do słuchawki. Zaraz potem spoważniał. Piękna kobieta najwyraźniej machnęła na niego ręką.

Choć raz Julia wychodziła wieczorem z domu niezatrzymywana przez nikogo. Staruszkowie wyjątkowo dali się namówić znajomym na towarzyskie spotkanie. Wiele było z tego powodu zamieszania, sporów, marudzenia, na szczęście pojechali i mogła spokojnie zająć się sobą. Staranniejszy niż zwykle makijaż, trochę inne uczesanie i nowe ciuchy zrobiły z niej wyskokową dziewczynę. Z przyjemnością spojrzała w lustro. Nie miała wygórowanej opinii na temat własnej urody, uważała na przykład, że przy Karolinie jest zaledwie ładna, ale kompleksów też nie miała. Przynajmniej Leszek nie będzie miał powodów do narzekania, pomyślała ubawiona. Zawiesiła na szyi delikatny złoty łańcuszek ze swoim znakiem zodiaku i sięgnęła po buty. Pięta bolała jak nieszczęście. A jednak Leszek będzie miał powody do narzekania, stwierdziła zmartwiona. Przerzuciła błyskawicznie stertę starych butów. Nie pasowały wyglądem ani kolorem do całości, były to przeważnie ciężkie buciska na wysokich spodach, z jakich zrezygnowała raz na zawsze. Postanowiła zacisnąć usta i zapomnieć o pięcie. Niewielki opatrunek złagodził ból na tyle, że powitała kolegę promiennym uśmiechem.

- Ależ ty jesteś piękna! - westchnął zachwycony.

- Niedawno to samo powiedziałam Karolinie - zawołała ze śmiechem.

- Tak, ona jest piękna, ale ty piękniejsza.

- Czy wiesz, że całkiem niechcący kogoś zacytowałeś? - spytała, poważniejąc.

- Wiem. Leszka Wydronia.

Skłonił się elegancko i pomógł Julii włożyć zakiet. Zbiegając po schodach zastanawiała się, jak to jest: tyle razy marzyła, żeby ktoś chwalił

jej urodę słowami Marka Winicjusza. Znalazł się Leszek, pochwalił - i nic. Może nie o tego mężczyznę chodziło, a może marzenia są przyjemniejsze od rzeczywistości?

Nigdy wcześniej nie była w kawiarni Teatralnej. Zwykle lokale wybierał Serafin, który gustował w ciemnych piwnicach i hałaśliwym otoczeniu. W Teatralnej Serafin nie miałby czego szukać. Towarzystwo było eleganckie i zróżnicowane: od ludzi bardzo młodych po wiek średni. Muzyka też była zróżnicowana, od dansingowej po dyskotekową. Julii wszystko się podobało: wielkie lustro w szatni, foyer ze zdjęciami znanych aktorów, lekkie schody prowadzące na piętro i sama kawiarnia. Może najmniej zachwycona była towarzystwem przy wspólnym stole. Oprócz nich siedziały dwie obce pary. Na pierwszy rzut oka uznała, że panowie są mężczyznami sukcesu, panie zaś pnączkami. Lepiły się do swoich facetów, jeszcze zanim drinki wjechały na stół.

- Czemu zamilkłaś, biedronko?

Leszek pochylił się nad nią. Nigdy nie siedzieli tak blisko. Wyraźnie czuła ekscytujący zapach jego wody po goleniu. Pomyślała nawet, że tak blisko mogą siedzieć tylko zakochani, bo dla przyjaciół jest to trochę kłopotliwe. Ramię przy ramieniu, skroń przy skroni i nie bardzo wiadomo, co zrobić z oczami. Leszek jak zwykle był nienagannie elegancki. Przy ich stoliku on jeden nie ściągnął marynarki. Dwaj pozostali mężczyźni siedzieli w koszulach. Dumnie prezentowali rozpięte kołnierzyki i powywijane mankiety. Podobno był to nowy styl bycia w nowym wrocławskim biznesie, jak to niedawno określiła Karolina. „I nie zdziw się - powiedziała - jak przy powitaniu ominą cię łukiem. Oni witają się tylko między sobą”. Żadna z tych uwag nie dotyczyła na szczęście Leszka.

- Jak byś nazwał naszych współbiesiadników? - spytała szeptem, żeby nie przedłużać krępującego milczenia.

- Brunecik to kłopotek czarny, ten obok tutkarz bachusek, obie babki to osnuje - odszepnął natychmiast, wcale przy tym nie patrząc na sąsiadów.

- Ściemniasz! Nie ma mianowicie takich owadów.

- Widać, że w szkole nie lubiłaś biologii. Są. Masz moje zapewnienie. Zanim poszli tańczyć, kłopotek parę razy zerknął w ich stronę. Oby

tylko nie chciał się z nami bratać, pomyślała z przestraczem. Facet był nawet przystojny, gdyby włożył marynarkę i krawat, byłby też dobrze ubrany, lecz nie budził sympatii. Nie lubiła u mężczyzn modelowanych fryzur, wyłupiastych oczu i zębów równiutkich jak sztachety w płocie. Na wspomnienie twarzy kłopotka wzdrygnęła się i przytuliła do Leszka. W tangu było to naturalne, w stosunkach koleżeńskich jakby nieco mniej. Próbowwała się wycofać, na co jej nie pozwolił. Dotańczyli do końca mocno wtuleni w siebie.

- Świetnie, że jesteście - powitał ich kłopotek. - Chciałem mianowicie wznieść toast za zdrowie naszego stołu!

- Czyżby mianowicie okulał? - spytała Julia.

Nie zdziwiło jej zdrowie stołu, lecz słówko „mianowicie”, którym lubiła przerzucać się z Leszkiem. Nie widziała powodów, by jakiś wyli-niały kłopotek korzystał z ich szyfru.

- Dowcipna! Brawo! - Zaśmiał się hałaśliwie. - Lubię laski z ikrą. Najlepsza byłaby flądra na kiju, pomyślała i nawet miała zamiar podzielić

się tą cenną uwagą, poczuła jednak, że Leszek delikatnie ścisnął jej rękę, jakby dawał sygnał do zawieszenia broni. Uśmiechnęła się zdawkowo, co miało znaczyć, że dla świętego spokoju gotowa jest wypić zdrowie stołu, krzeseł, wszystkich gości i jeszcze flądry na dodatek. Kłopotek zamówił sześć drinków.

- Mam taki pomysł, żebyśmy mianowicie bawili się razem! - Wzniósł szklanekę do góry i zatrzymał wzrok na Julii. - Mnie nazywają boss, panie to Arletka i Mila, albo odwrotnie, kolega też ma jakieś imię... Masz, stary, no nie? Mówimy na niego amant, bo kobitki za nim szaleją. Teraz wasza kolej.

Leszek chrząknął, lecz Julia nie dopuściła go do głosu.

- Ja nazywam kolegę patyczakiem, on mnie biedronką.

- Bez jaj, proszę państwa! - zaprotestował boss. - Na chrzcie dali wam chyba jakieś imiona, co?

- Nigdy nie słyszałam o świętym bossie - wyjaśniła spokojnie Julia. Minę przy tym zachowała bardzo niewinną.

Boss znowu zarechotał i pokiwał głową z uznaniem. Logika wyводу musiała trafić mu do przekonania, bo w nagrodę wyciągnął Julię na parkiet. Wyszła, przeklinając obolałą piętę i błogosławiąc jednocześnie didżeja za wiązanekę szybkich, dyskotekowych melodii. Teoretycznie tańczyła z bossem, praktycznie trzymała go na dystans. Płasał dość zwawo, pocił się przy tym, posapywał i aż strach było patrzeć, co się porobiło ze starannie wymodelowanych włosów.

- Chodź, miss paragraf, napijemy się czegoś. - Otarł czoło i pociągnął ją w kierunku bufetu. - Co ci postawić?

Była zła, że wyrywa ją z tanecznego kręgu jak bezwolną kukłę i wcale nie miała ochoty tkwić z nim przy barze.

- Sam sobie postaw! - mruknęła niezbyt uprzejmie. Dopiero kiedy parsknął śmiechem, zdała sobie sprawę z niestosowności propozycji.

- Nie muszę - rżał jak młody koń - sam mi staję na widok ładnej laski!

- Poproszę o tonik - powiedziała, puszczając mimo uszu głupawy żart.

- Nie wierzysz? Możesz się łatwo przekonać - odsłonił w szerokim uśmiechu swoje sztachetki. - Jesteś tak piękna, że mnie z wrażenia zatyka.

- Mnie też zatyka - przyznała Julia. Spojrzała na pewną siebie, mocno zadowoloną twarz bossa i nabrała ochoty na minutkę szczerości. Ciekawe, czy nadal by się tak cieszył, gdybym mu powiedziała, że przypomina mi kozła na rykowisku ze starej makatki? Przewornie jednak zachowała swoje myśli dla siebie. Mógłby się nie poznać na wyrafinowanym komplemente. Wyglądał na faceta głupiego, lecz silnego. Co tam, okażę mu miłosierdzie, zdecydowała.

Lekki półuśmiech dziewczyny wprowadził bossa w błąd.

- Udałaś się rodzicom, Karolinko, słowo daję! - Spojrzał na nią rozbawiony.

Odpowiedziała mu równie rozbawionym spojrzeniem. Dla niego mogła być nawet Kunegundą, wołała jednak Karoliną. Zawsze miała słabość do tego imienia.

- Muszę iść, kolega czeka - powiedziała, odstawiając pustą szklanę.

- To poczeka jeszcze chwilę. - Przytrzymał jej ramię. - Jesteś bezbłędna i działasz na mnie jak afrodyzjak. Widzę wielkie okrągłe łoże, ciebie i siebie. Leżymy, mianowicie, rozumiesz?

- Siedzimy! Jeszcze siedzimy i przestań się roznamiętniać, bo spadniesz, a łoże daleko.

- Myślę po męsku. Przyszłościowo. Piękne kobiety są dla mnie wyzwaniem.

Już cię lubię, facet, fajny jesteś jak stado komarów, myślała nieprzychylnie. Skwitowała jego komplementy przelotnym uśmiechem. Od pewnego czasu, pod wpływem nauk Karoliny, oduczyła się dziękować za miłe słowa. Nie chciała się podobać bossowi, lecz nie miała na to wpływu. Podświadomie czuła, jak wyłupiaste ślepka przebijają materię sukienki, przenikają przez bieliznę i dotykają gołej skóry. Na szczęście siedział w bezpiecznej odległości i ręce trzymał na szklance z piwem.

- Masz jakieś plany na jutro? - spytał, odrywając wzrok od jej sukni.  
- Jeśli nie, to może wyskoczmy razem za miasto? Mam nad jeziorem szalową chatkę, naprawdę wartą obejrzenia. Podaj godzinę i adres. Podjadę po ciebie.

- Chcesz, żeby twoje Arletki obdarły mnie ze skóry?

- One? - Wykrzywił się pociesznie. - A co one mają do gadania? Pytam o twoje plany.

- Mam plany na jutro, na cały tydzień i na kilka następnych.

- A wiesz, mała, że boss dwa razy nie prosi?

- To dobrze, bo nie wiem, czy drugi raz umiałabym odmówić!  
-Obrzuciła go powłóczytym spojrzeniem, podpatrzonym u Karoliny, trzepnęła rzesami i lekko zeskoczyła ze stołka. Pięta bolała coraz bardziej. Z ulgą opadła na krzesło obok Leszka.

- Nie chcę ci robić wyrzutów, drogi kolego, jeśli jednak porównam nasz stolik do kompotu, to my jesteśmy te dwie śliwki. - Westchnęła ciężko. - Boss jest łobrzydliwy!

- Tak? Goniałś przez całą salę łobrzydliwego facia i jeszcze się skarżysz?

- Biegłam, bo mnie ciągnął. Nie widziałeś?

- Jakoś mi umknęło!

Zacisnął jej dłoń w swoich i bardzo leciutko pocałował. To była drobniutka, delikatna pieszczota, która mieściła się w granicach towarzyskiej i koleżeńskiej normy. Sam Leszek zachowywał się jednak zupełnie inaczej niż zwykle. I wcale nie chodziło o to, że tam firma, tu dyskoteka. Zniknęła gdzieś jego naturalna swoboda. Silił się na żartobliwy, lekki ton i czule ucho Julii bezbłędnie wyłapało drobne fałszy. Sama też była rozczarowana. Cieszyła się na wspólny wieczór z dwu powodów: chciała potańczyć i chciała porozmawiać z Leszkiem. Obok Edyty był drugą chodzącą encyklopedią wiedzy o firmie. Przygotowała sobie litanię pytań, na które tylko on mógł odpowiedzieć. Niestety, pięta nie pozwalała na tańce, niechciane towarzystwo zaś na rozmowy. Boss jeszcze nie wrócił, ten drugi lał w siebie piwsko, jakby na potwierdzenie, że bardziej zasługuje na przezwisko tutkarza bachuska niż amanta. Był nieznośnie hałaśliwy i coraz bardziej chamski. Prężył okazały tors i demonstrował bicepsy. Gdyby doszło do jakiejś przepychanki, Leszek nie miał przy nim szans.



- Pij, mała! Jak nie ma bossa, ja jestem duszą tego...

- ...stołu - odpowiedziała Julia.

Podchwycił i na znak radości ucałował dekolt jednej z Arletek. Potem długo i zawile opowiadał o balandze na Wiśle bądź w Wiśle, tego już nie udało się ustalić. Julia spojrzała na Leszka.

- Pobladłeś coś, kolego! Żle się czujesz? - dotknęła czubkami palców bladego policzka.

- Nie najlepiej - przyznał.

Odczekała, aż bachusek porwał panny do tańca i zarządziła odwrót. Marzyła już tylko o prysznicu i domowych pantoflach bez pięt. O bossie nawet nie pomyślała, a właśnie na niego natknęli się w szatni.

- Co jest grane, Lechu! Chcesz się zmyć, brachu, jak ostatnia łachudra?

Przytrzymał Leszka za klapę marynarki. Stał prosto jak struna i to właśnie wydało się Julii podejrzane. To była pozycja, jaką demonstrują kompletnie zalani faceci, którzy chcą uchodzić za trzeźwych. Leszek nie wydawał się zaskoczony, co ją znacznie uspokoiło. Powoli podeszła do lustra, wyjęła grzebień i stanęła tak, by widzieć odbicie obu mężczyzn. Coś jej nie pasowało, ale sama nie wiedziała co. Moment nie był najlepszy na sklepanie okruchów informacji. Uważnie patrzyła w lustro i z ruchu ust próbowała odgadnąć treść sprzeczki. Widziała złą twarz bossa i wściekłą minę Leszka. Z całą pewnością nie wymieniali komplementów. Leszek warknął, boss zaklął. W swoim zacierzeniu coraz bardziej przypominali dwa koguty. Efekt tragiczny zmieniał się w komiczny i dziewczyna zdecydowała się działać. Ściągnęła but i kulejąc weszła między

nich. Bez słowa pokazała zakrwawioną piętę Leszkowi. Zrobiła to tak, żeby boss również mógł popatrzeć. Widok był znacznie paskudniejszy niż wielkość obrażenia i zadziałał piorunująco. Faceci są beznadziejni, zdążyła jeszcze pomyśleć Julia, zanim spadła na nią fala męskiej czułości. Boss usiłował ją podtrzymać ramieniem, jakby miała nagle paść, Leszek jedną ręką gładził ją po głowie, drugą rozpaczliwie szukał numerków do szatni.

- Odwiozę cię! - zdecydował boss. - Jestem tu autem.

- Ja też! - odpowiedziała pośpiesznie.

Dopiero kiedy wyszli przed teatr, pozwoliła Leszkowi zadzwonić na postój.

Chłopak całą drogę milczał. Julia próbowała powiązać w całość te elementy, które jej podpadły.

- Leszku, czy mi się zdawało, czy ten boss-kłopotek znał twoje imię?

- spytała, gdy podjeżdżali już pod dom.

- Nie sądzę... Chyba że nas podsłuchał.

- W szatni powiedział: „Co jest grane, Lechu”.

- Powiedział: brachu. Wiesz, jak jest ze sprawnością językową u nawalonego faceta!

- Skąd niby mam wiedzieć? Ale przyznasz, że to łobrzydliwy facet.

- Karaluch z nim tańczył! - mruknął Leszek.

I to mruknięcie też Julii podpadło. Przy drzwiach wejściowych uśmiechnęła się na dobranoc. Nie wymagała od zmęczonego kolegi, by ją

odprowadzał na górę, choć miał taki zamiar. Wyraźnie próbował jej coś powiedzieć, przytrzymać rękę, nie zdążył, bo drzwi się zamknęły.

Transakcje z Grzegorzem miały tę dobrą stronę, że płacił za wykonaną pracę od razu, z ręki do ręki. Konrad nigdy nie pytał, czy to, co robi na zamówienie, jest w zgodzie z prawem. Od martwienia się o prawo i od pomysłów był Grzegorz, on natomiast był informatykiem artystą. Oprócz wiedzy miał w sobie tę iskrę, która niezbędna jest w każdym zawodzie. To ona odróżnia van Gogha od pospolitego pacykarza, a Carusa od wyjca. W technice wcale nie jest inaczej. Jeden inżynier zaprojektuje most wiszący, a drugiemu zawali się kładka nad strumykiem. Konradowi nic się nie zawalało. Bez większego wysiłku potrafił stworzyć program, nad którym gdzie indziej ślęczało kilku fachowców. A że w technice liczy się również szybkość, w zasadzie był bezcenny. Brakowało mu tylko znajomości i kontaktów, by rozpocząć działanie na własną rękę. Chwilowo nie zależało mu aż tak bardzo na samodzielności.

Późnym popołudniem podjechał do Michelina. Bez większych emocji patrzył na luksusowe wille i wielkie ogrody. Kiedyś też myślał, żeby właśnie tu postawić niewielki dom w lesie. Wtedy były to czyste mrzonki, teraz, gdy doszedł do jakich takich pieniędzy, Michelin przestał mu się podobać.

U Grzegorza nie zabawił długo. Cześć, cześć, dyskietka, kasa i po transakcji.

- Stary, oczywiście pamiętasz o naszej umowie? - upewnił się Grzegorz.

Przytaknął, że pamięta, wskoczył do samochodu i nie bardzo wiedział, jak zakończyć ten pracowity dzień. Miał do wyboru trzy domy:

własny, Orskich i Karoliny. Wybrał ten ostatni. Po drodze rozważył trzy następne możliwości: pocałuje klamkę, przeszkodzi w praniu, zastanie dziewczynę z innym facetem. Tę ostatnią od razu wykluczył. Na dobrą sprawę człowiek nigdy nie wie, jak się zachowa w przykrew sytuacji, dopóki się w niej nie znajdzie. Nie życzył sobie zastawać Karoliny z obcym facetem i już. Na szczęście była w domu, sama. Nie wyglądała też na zdziwioną.

- Stało się coś, ssaczku? Masz taką śmieszoną minę?

- Chyba pierwszy raz widzę cię w spodniach. Świetnie wyglądasz!

- Przejechałeś taki kawał drogi, żeby mi o tym powiedzieć?

- Jeżeli przeszkadzam... - Zrobił ruch, jakby chciał wyjść. Roześmiała się i chwyciła go za rękaw.

- Ty mi nigdy nie przeszkadzasz. Wejdz, dostaniesz szklanekę herbaty, ciepłe słowo, buziaka na dobranoc, ale na więcej dzisiaj nie licz.

Nie mam w domu nawet sucharka. Zapomniałam o zakupach, a teraz już mi się nie chce wychodzić.

Posadziła go na niewygodnej wersalce, zamiast stolika przyciągnęła kuchenny taboret, bo przy ławie nie dało się wypić herbaty. Na całej powierzchni leżały notatki, skoroszyty i książki. Górę piramidy ozdobił kodeks karny. Karolina nie była wdzięczną rozmówczynią. Odpowiadała na pytania, nawet zdobyła się na żart, jednak oczy wciąż miała skierowane na ławę. Konrad dobrze znał to uczucie. Sam też nie znosił, gdy ktoś odrywał go od pracy. No, ale on nie był zwykłym ktosiem, on chciał być kimś ważnym, przynajmniej dla Karoliny.

- To ja już pójdę - powiedział z ociąganiem.

- Idź, ssaczku, bo czy chcę, czy nie chcę, muszę to skończyć. -  
Musnęła ustami jego policzek.

W drzwiach natknął się na kolejnego gościa.

- Panowie się znają, prawda? - spytała Karolina.

Skinęli głowami, uścisnęli sobie ręce. Zbiegając po schodach, Konrad rozmyślał nad złośliwością losu. Bał się, że zastanie Karolinę z mężczyzną. Do głowy mu nie przyszło, że może ją zostawić z Mikulą!

W poniedziałek dyrektor odwołał cotygodniową operatywkę i zarządził naradę ścisłego kierownictwa, z udziałem właścicielki Budampolexu 2. Zeszło się raptem pięć osób, z sekretarką włącznie, a krzyku narobiły za piętnaście. Julia zdążyła przyzwyczaić się do tembru głosu Mikuli i językowych umiejętności kadry, ale możliwości pani prezes jeszcze nie znała. Mikulowa, jeżeli nawet uczestniczyła w naradach, to na zasadzie wolnego słuchacza. Czasem wtrącała swoje trzy grosze, częściej milczała, jak przystało na osobę, która niezbyt orientuje się w działalności firmy. Tego ranka było zupełnie inaczej. Wysoki, piskliwy głosik dominował nad pozostałymi, zagłuszał argumenty i uwagi innych. Pani prezes zwracała się do dyrektora per jęłopie, durniu, kapuściana głowo i konsekwentnie usiłowała przekształcić naradę służbową w ostrą sprzeczkę małżeńską. Jeżeli chodzi o Mikulę, zachował daleko idącą powściągliwość, nie poruszał innych spraw poza merytorycznymi, nie odpowiadał na zaczepki prywatne, za to służbowo był wpięklony na żonę jak nieboskie stworzenie. Dwa tygodnie wcześniej zdecydował, że Budampolex 2 stanie do przetargu na budowę drogi przy hali sportowej, kazał zgromadzić i złożyć niezbędne dokumenty, ona zaś wycofała firmę z przetargu i jeszcze próbowała obciążyć winą dyrektora.

- Chodnik do hali sportowej ci się marzy? A gdzie sprzęt, gdzie fachowcy? Dywanu w domu nie potrafisz odkurzyć, jełopie, to chodnik wybudujesz? - wykrzykiwała histerycznie. Zacięła się przy tym w uporze i za nic nie chciała wytłumaczyć, jaki widzi związek między ulicznym chodnikiem a pokojowym dywanem.

- Edytki nie ma? - Henia zajrzała do sekretariatu, upewniła się, że drzwi gabinetu są zamknięte i z ulgą zajęła fotel dla gości. - Co oni tak hałasują, jakby ich kto ze skóry obdzierał? - spytała zdziwiona. - Wielka mi inteligencja, jeżeli wrzeszczy głośniej od prostaków! Mam rację? Mam. Jeszcze rok temu powiedziałabym: krzyczą, bo są zdenerwowani. Teraz w życiu tak nie powiem! Człowiek rozumny umie zapanować nad złością, nad bólem i wszystkim. Wiem, bo świeżo jestem po dwudniowym kursie psychologii i medytacji. Fantastyczna sprawa, Julciu. Tam dopiero człowiek rozumie, ile stracił, nie zmieniając własnej osobowości i nie pracując nad sobą! O tym, jaka jesteś, nie decydują żadne tam cechy wrodzone, tylko ty sama! Rozumiesz? Ale najpierw musisz pokochać siebie. Jak pokochasz siebie, to w drugim etapie musisz pokochać wszystkich ludzi, bo to jest sens najważniejszy naszego istnienia.

- Więc kiedy w końcu mam siebie pokochać: przed zmianą czy po zmianie osobowości?

- Siebie masz obowiązek kochać zawsze. Od siebie przechodzisz do innych ludzi i spełniasz się jako człowiek. Rozumiesz?

- Nie bardzo.

- To przez te ryki umysł ci się zlasował. Przyjdź jutro na medytacje, będę to wszystko wykladała jeszcze raz. Słyszysz starego, jaki kulturalny?

Jego, to ja bym... no, może nie na hak, nie na suchą gałąź, ale w kosmos wysłała, żeby pomedytował i żebym nie musiała go oglądać.

- Nie wolno ci! Jak już kochasz wszystkich, to wszystkich, z Miku-lą włącznie! - zaprotestowała Julia.

- Ma się rozumieć, tylko że miłość dotyczy... porządnych ludzi. A ty wiesz, co mi się dzisiaj śniło? Małpę dostałam w upominku.

- I co?

- Obudziłam się i nic. Luty chrapał obok. Paskudny to on jest... choć bardziej ratlerka niż małpę przypomina. Nie wiesz czasem, kto u nas zajmuje się snami?

- Pan Leszek - odpowiedziała Julia z przekonaniem i powagą, której nie zmąciły dziwne odgłosy chrząkania, docierające z pokoju magistrów.

- Jest u siebie?

- Oczywiście - przytaknęła zadowolona, że choć na chwilę pozbędzie się Heni. Jednak najprostsze rozwiązania nie zawsze bywają najlepsze. Pomoc gospodarcza nie chciała iść do pokoju, gdzie siedziała magister Cierniak, więc poprosiła pana Leszka do sekretariatu. Nie wszedł, tylko stanął w progu; Julia była pewna, że za jego plecami czatuje Karolina.

- Paskudny sen! - Leszek zmarszczył czoło. - Paskudny. Wróży kolosalne nieprzyjemności spowodowane tymi... no... o właśnie, spowodowane plotkami. Aha i jeszcze jedno: możliwe, że ktoś czyha na pani cnotę. Proszę uważać!

- Na moją cnotę, mówi pan? E, niemożliwe. Sen można tłumaczyć na wiele sposobów, i tak wiadomo, że sprawdza się jeden. Mnie wyłącznie

te plotki zmartwiły. Przecież pan wie i Julcia wie, że ja zawsze prawdę mówię. Chyba żeby nie daj Boże ktoś coś o mnie? Możliwe to, jak pan myśli?

- Możliwe!

Henia wyraźnie spochmurniała. Co o sobie mówiła, to mówiła, jednak do niej należała palma mistrzyni plotki opluskwiającej. Nie było złośliwszego języka w całej firmie, może z wyjątkiem kierownika Chochli, który od pewnego czasu „był na zaginięciu”. Myśl, że ktoś mógłby ją pokonać jej własną bronią, tak zwarzyła kobietę, że bez słowa wyszła.

- Nieźle to wykombinowałeś - roześmiała się Julia. - Brawo!

- Byłem tylko tubą - przyznał uczciwie Leszek.

- Ale się przejęła, widzieliście? - cieszyła się Karolina. - Polowanie na czarownice to małe piwo w porównaniu z tym, co wyszykuje Henia.

- I jak to jest? - zastanowiła się Julia. - Komputery, rakiety, telefonia bezprzewodowa i senniki? Jedno do drugiego nie pasuje.

Leszek z czułością ucałował dziewczynę w czoło.

- Według mnie, biedroneczko, w każdym komputerze siedzi malutki diabełek i tak rączkami macha, tak macha, tak te wszystkie dane z szufladek wyciąga, że tylko dym leci. Nie inaczej w komórce i w telewizorze. Jak się czegoś nie rozumie, to się ma czarnego diabełka, kulę albo sny.

Jeszcze nawet nie zdążyli porządnie zabrać się do pracy, kiedy w drzwiach sekretariatu stanął olbrzymi bukiet kwiatów. Tak to właśnie wyglądało: olbrzymi bukiet, a dopiero za nim niewielki człowieczek.



- Dla pani Karoliny! - powiedział posłaniec i złożył swój ciężar na biurku Julii. Z wdzięcznością przyjął drobne za fatygę, jednak nic więcej nie umiał lub nie chciał powiedzieć: ani od kogo, ani z jakiej okazji.

- Kwiaciarnia - tłumaczył - dostała telefoniczne zlecenie, ja dostałem polecenie od kierowniczkki, przyniosłem i rączki całuję.

Ze zdziwieniem oglądali potężne cudo sztuki kwiaciarskiej.

- Ty masz szczęście! - westchnęła Julia. - Domyślasz się, kto za tym stoi... oczywiście wyłączając posłańca?

- Ani w ząb! - przyznała Karolina. - To musi być romantyczny facet w rozmiarze maxi. Ja takiego nie znam.

- Całą trumnę by nakrył takim wiechciem - zadumał się Leszek.  
-Może w środku jest bomba?

- Oszalałeś? - wzdrygnęła się Julia.

Rozchyliła delikatnie wielkie liście. Do najokazalszego irysa przyczepiona była malutka karteczka. Bez słowa podała bilecik przyjaciółce.

- Najpiękniejszej Miss Paragraf- zawiedziony wielbiciel- przeczytała półgłosem Karolina. - Jeżeli myślicie, że rozjaśniło mi się w głowie, to jesteście w błędzie.

Za to Julia miała już pełną jasność. Była całkowicie pewna, że bukiet przeznaczony jest dla niej. Wiedziała również, kto go przysłał.

Karolina odszukała w kuchni spore wiaderko, wstawiła kwiaty do wody i natychmiast gdzieś wybiegła.

- Czemu się tak zamyśliłaś, biedroneczko? - Leszek pociągnął Julię czule za kosmyk włosów. - Kupię ci po południu jeszcze większy bukiecior od tego. Albo lepiej całą kwiaciarnię, chcesz?

- Nie chcę. Jeden bukiet już mam - wskazała głową wiadro z kwiatami. - Posłuchaj i pomóż mi, bo oszaleję. Twój kłopotek...

- Co moje?

- No, ten facet, ten boss, czy jak mu tam, był...

- Nie mój!

- Zgoda, nie twój! Więc on był przekonany, że mam na imię Karolina. Początkowo myślałam, że to przypadek. Jak galopowaliśmy przez salę do bufetu, nazwał mnie miss paragraf. To też puściłam mimo uszu. Wreszcie w szatni raz powiedział do ciebie brachu, raz Lechu. Słuch mam dobry i na pamięć nie narzekam. Czy znajdujesz jakieś logiczne wytłumaczenie, dlaczego mnie pomylił, ciebie nie pomylił, a sam się nie przedstawił?

- Boss to boss. Każdy facet w miarę pękaty ma prawo nazwać się bossem i nawet w to uwierzyć. Może rzeczywiście to spotkanie było nieprzypadkowe? Może on śledzi mnie, a podrywa ciebie lub odwrotnie... No nie, odwrotność raczej odpada. Przejdę się do teatru, popytam. I co? Odbierzesz Karolinie bukiet?

- Co mi radzisz?

- Na twoim miejscu nic bym nie mówił.

Do południa Karolina była nieuchwytna, po południu wyszedł Leszek i właśnie wtedy do sekretariatu wbiegła rozszalona Henia. Ręce jej

drżały, głos się łamał i dopiero napojona przez Edytę wodą sodową wstydlawie, choć głośno przyznała, że jest molestowana seksualnie przez magistra Wydronia. Edyta próbowała ją uspokoić, zażegnać burzę, jednak Henia nie pozwoliła się uspokoić. Coraz głośniej i głośniej mówiła o świństwach, jakie toleruje się w tej firmie, aż wywołała z gabinetu dyrektora Mikulę. Postał, popatrzył i zgrabnie, po męsku, umknął z sekretariatu. W biegu zlecił Edycie zbadanie sprawy. Sam obiecał zadowolić się wnioskami.

Henia była poszkodowaną i równocześnie jedynym świadkiem. Jej zeznania obciążały w równej mierze kierownictwo zakładu, jak i magistra Wydronia, a może nawet Wydronia nieco mniej. Pomoc gospodarcza, posługując się cytatami z książek psychologicznych, dowodziła, że w sprzyjających okolicznościach, gdy istnieje jawne przyzwolenie dla draństwa, mężczyzna - szczególnie samotny i porzucony przez żonę - może szukać rekompensaty gdzie indziej. Wydrón poszukał i trafił na nią. Jako kobieta świadoma swojej wartości, do tego mężatka, nigdy w życiu nie zgodzi się na proponowane jej bezeceństwa.

- Ale co on pani zrobił? - dopytywała się Edyta. - Uwiódł? Zgwałcił?

- No też coś, pani Edyto?! O gwałtach to ja mam swoje zdanie. Co druga zgwałcona kobieta sama prowokuje nieszczęście. Ja mówię o molestowaniu. Całowanie po rękach, jakieś przytulanki, zgrabne słówka. Dziećmi nie jesteśmy, wiemy, o co mężczyznom chodzi, prawda?

Posapała jeszcze chwilę, dorzuciła kilka nieistotnych szczegółów i wyszła. Jeżeli mogła sobie czegoś pogratulować, to na pewno zaszokowania Edyty. Mało komu udało się ta trudna sztuka. Sekretarka patrzyła bezradnie na Julię i Karolinę. Były świadkami nieudolnej mistyfikacji, to nie ulegało wątpliwości, tylko dlaczego oskarżenie padło na Leszka,

człowieka powszechnie lubianego i bardzo grzecznego? Owszem, całował panie po rękach, lecz wyłącznie z czystej sympatii, bez podtekstów erotycznych. Komplementy prawil bezinteresownie i zachowywał się tak, jakby uwielbiał wszystkie kobiety, nie wyłączając pomocy gospodarczych.

Edyta była bezradna.

- Dziewczyny, spróbujcie odgadnąć, dlaczego ona zadziałała z takim opóźnieniem? Przez dwa lata cieszyła się jak żaba w deszcz i dopiero dzisiaj przypomniała sobie, że jest molestowana? Nie mówcie mi, że to przypadek. Nie uwierzę, zbyt długo pracuję z ludźmi.

- Może chodzi o sen? - zastanawiała się głośno Julia. - Leszek trochę z niej zażartował.

- Tylko tego brakuje, żebyśmy zaczęły analizować sny starej wariatki! - Karolina wzruszyła ramionami. - Według mnie, Edytko, to sprawka twojej przyjaciółki Mikulowej. Nie obraż się, takie mam wrażenie. Spróbujmy pójść tym tropem.

- Jeżeli mnie podpuszczasz, to rozumiem - powiedziała wolno Edyta - lecz jeśli mówisz poważnie, jesteś w błędzie. Henia nie cierpi Mikulowej i wszystko, co nam tu opowiada o pięknej pani prezes, jest czystą grą. Ona jest kuzynką i człowiekiem Wacka. Dziwię się, że na to wcześniej nie wpadłaś.

- Myślę - odpowiedziała Karolina - że niewłaściwie obsadziłaś tego tłuca. Ona nie zagrałaby nawet czaszki Yorika, a ty jej wypychasz rolę Hamleta. To jedna z najtrudniejszych kreacji i wymaga doskonałego aktora. O, ty byś się nadała z całą pewnością, lecz nie taki prymitywny naturszczyk jak Henia.

Przez chwilę mierzyły się oczami. Żadna nie chciała skapitulować. Karolina pierwsza odwróciła się i z gracją wyszła do swojego pokoju.

Główny winowajca wrócił przed piętnastą i trafił na wielkie milczenie. Mężczyzna wrażliwy, który pracuje wśród trzech, właściwie czterech kobiet, zna różne stany damskiego ducha i rzadko kiedy się dziwi.

- Przepraszam, czy ktoś nam wykopał topór wojenny? - spytał uprzejmie.

- Owszem! - przytaknęła Edyta. - Nie nam, tylko tobie i nie ktoś, tylko pani Henia. Oskarżenie jest najcięższego kalibru, chodzi o molestowanie seksualne.

- Kto niby mnie molestuje? - spytał.

- Ciebie nikt, to ty podobno robisz nieskromne propozycje pani Heni.

W miarę jak Edyta mówiła, przyjazny uśmiech Leszka zmienił się w grymas obrzydzenia. Samo molestowanie jako takie było mu wstrętne, a jeszcze pani Heni?! Westchnął ciężko i miał zamiar odejść do swojego pokoju. Gwałtowny sprzeciw Edyty zmusił go do powrotu. Sprawa była głupia, jednak głośna, należało ją wyjaśnić i zamknąć.

- Jak już musisz, to powiedz staremu, że to prawda - mruknął z rezygnacją. - Napadłem na gruboudkę, nie mogłem się pohamować. Tak ją dzisiaj obsobaczyłem, że rodzony chłop lepiej by nie potrafił!

- Ale za co?

- Za całokształt. I to ci jeszcze powiem, że należało jej się dawno.

- Pytam po raz drugi: za co konkretnie obsobaczyłeś panią Henię? - denerwowała się Edyta.

- Nie powiem, bo musiałbym powtórzyć to, czego nie chciałem słuchać.

Dalsze dociekania nie miały sensu. Leszek należał do nielicznego grona mężczyzn, którzy jakimś cudem nie zatracili jeszcze takich cech swojej płci, jak rycerskość wobec kobiet i wstręt do plotek. Można powiedzieć: ostatni Mohikanin.

Ani sprzeczka Edyty z Karoliną, ani wyjaśnienia Leszka nie dawały odpowiedzi na pytanie, dlaczego Henia poczuła się nagle molestowana. I nie było to jedyne pytanie, na które nie sposób było znaleźć odpowiedź.

Tuż po pracy Julia wyciągnęła Karolinę do miasta. Planowała drobny sprint po sklepach. W ostatniej chwili wspaniałomyślnie zrezygnowała z zakupów na rzecz obiadu w Zajeździe. Trudno rozmawiać o poważnych sprawach, biegając z wywieszonym językiem od lady do lady. W pustawym lokalu bez żadnych przeszkód zajęły ulubiony stolik Karoliny, w niszy, z widokiem na ulicę Brzeską i klasztor.

- Jak widzę tyle dań, to albo jadłabym wszystkie po kolei, albo żadnego -jęknęła Julia. - Wybierz coś dla mnie.

- Proszę uprzejmie! Zupka z cykuty, a na drugie pajak w śmietanie. Pasuje ci taki zestaw? Nie ma lekko, kochana! Płacz i ucz się wybierać. Na tym polega życie.

Julia zastanowiła się chwilę i zamówiła to samo co przyjaciółka, czyli w swoim mniemaniu dokonała najtrafniejszego wyboru. Bardziej niż na kołdunach w rosole zależało jej na wyjaśnieniach Karoliny. Co na

przykład mówił Mikula o zdjęciach? Jakie plany mają Mikulowie wobec firmy i pracowników? Co z Chochłą? Co z Bujalą? Magister Cierniak tylko głową kręciła. Wiedziała niewiele więcej od Julii. Jednego była pewna: Mikulowie weszli w trwały konflikt. Ona z dnia na dzień zaczęła znać się na kierowaniu firmą i popełniła kilka kardynalnych błędów, narażając Budampolex 2 na poważne straty. Zmieniała decyzje męża, obcinała jego kompetencje, a Mikula robił wielkie oczy, bo nic innego zrobić nie mógł. Prosił nawet Karolinę, żeby znalazła jakieś paragrafy pozwalające ubezwłasnowolnić głupią babę. Sam osobiście pomagał wertować opasłe tomy, by dojść do wniosku, że paragrafy przemawiają na korzyść właścicielki, bez względu na stan jej umysłu. Pluł sobie w brodę, że tak bardzo zaufał żonie i poza jej plecami zaczął ratować, co się dało, czyli uciekać z majątkiem firmy. Jednak nawet przed Karoliną nie przyznał się do pożyczek zaciąganych tu i ówdzie, przede wszystkim u Bujalę. Magister Cierniak miała związane ręce: nie mogła zapytać wprost bez zdradzenia źródła informacji.

- Stary truje! - zaprzeczyła gwałtownie Julia. - Edyta z Mikulową mają wszystkie dokumenty, w tym weksle... lub ich kserokopie! Wiedzą o zadłużeniu. On może działać wbrew żonie, lecz w żadnym wypadku za jej plecami.

- A skąd pewność, że Mikulową zna zawartość zielonej teczki?  
-Karolina wzruszyła ramionami. - Równie dobrze stary mógł dogadać się z Edytą i razem zamierzają wykołować nadobną Olutkę!

Julia odsunęła talerz i głęboko się zamyśliła. Jej inżyniersko-artystyczna dusza buntowała się przeciwko zdradom, knowaniom i spiskom, chyba że spisek miał na względzie dobro przyjaciół i własne. Coraz bardziej zależało jej na powodzeniu grupy, której nadała nazwę aprilistów. Jeżeli

Mikulowie rzeczywiście nie grali do jednej bramki, to z kim trzymała Edyta? Karolina uparcie twierdziła, że Edyta może trzymać wyłącznie ze sobą.

- Ta babka coraz bardziej mnie intryguje - mruknęła Julia.

- Dopiero teraz? - Przyjaciółka uśmiechnęła się złośliwie. - Myślałam, że wciąż jesteś pod jej urokiem. Zaczęłaś już nawet podobnie się szczerzyć i przybierać identyczne pozy.

- Lubię... to znaczy bardzo lubiłam Edytę, jednak dochodzę do wniosku, że ona coś za często występuje w duetach: to z Mikulową, to ze starym, teraz z Chochlą. Z kim ona trzyma, nie wiem, ale że trzyma Chochlę w mieszkaniu po ciotce, w tej niby garsonierze, tego jestem pewna. Powiedziałaś Mikuli, czyja jest chata?

Karolina westchnęła ciężko.

- A po co? On mi też wszystkiego nie mówi. Ten faun lubieżny jest głupszy niż ustawa przewiduje. Niestety, na jego tle wcale nie wypadłam mądrzej. Powinnam się domyślić, że facet, który nie wie, czy ma w łazience wannę, czy kabinę z natryskiem, nie może być u siebie. Rezerwację i klucze zawsze załatwiał Chochla, więc cap nie łamał sobie głowy prawami własności. Na widok zdjęć o mały włos nie dostał zawału i jestem pewna, że nie udawał. Nie mam pojęcia, kto fotografował i kiedy. W mieszkaniu wielkości przedziału kolejowego nie mógł się zmieścić nikt, kogo bym nie zauważyła. Aż tak bardzo nie byłam pochłonięta pieścotami Wacka. Bez przesady.

- Człowiek by się nie zmieścił - powiedziała wolno Julia - ale... Pamiętasz, jak Leszek się dziwił, że stary kupił dla firmy kamerę przemysłową? Niewielka kamera da się schować nawet w małym



mieszkanii. Może stary kazał ją zainstalować w garsonierze nad tapczanem? Choć z drugiej strony, po lichu miał to robić w cudzej chałupie? Jak myślisz?

- Stary cap odpada - powiedziała z przekonaniem Karolina. - Jeżeli nawet przypadkiem wie, do czego służy kamera, to nie miałby pojęcia, jak ją wykorzystać. To techniczne zero. On nawet wtyczki do kontaktu nie wsadzi właściwie.

- Więc zostaje Edyta, Chochła lub oboje razem. Pasują do siebie jak pies do jeża, jednak coś ich na pewno łączy. Muszą być jakieś powody, dla których Edyta bez protestów odwaliała biurową robotę za Marcinka. Nie ulega wątpliwości, że on jest skończonym idiotą, ale coś mi się widzi, że swój rozum ma.

- Każdy idiota ma swój rozum, czego już nie da się powiedzieć

o wielu ludziach rozumnych - mruknęła Karolina. Nie mogła sobie darować wpadki w garsonierze i tego, że uwierzyła Mikuli.

Twierdzenie o rozumie Chochli Julia oparła na dość wątkich przesłankach. Zastanowiły ją zdjęcia, które przed świętami otrzymała Edyta. Ten drobny na pozór fakt zdecydował, że skupiła podejrzenia na kierowniku. Od wielu lat uwieczniał na zdjęciach wszystkie oficjalne akademie i uroczystości w zakładzie. Całkiem prywatnie i jakby mimochodem mógł też fotografować część nieoficjalną, czyli tę radosną chwilę wieczoru, gdy znudzeni przemówieniami pracownicy organizowali sobie zajęcia w grupach. Trudno przypuszczać, by Chochła pstrykał dla czystej przyjemności, musiał mieć na uwadze jakiś cel. Kiedy liczba przyjęć gwałtownie zmaląa, a jemu znudziło się polowanie na pojedyncze pary,

zainstalował kamerę w miejscu, gdzie te pary same przychodziły. Bez kłopotów i zabiegów miał gotowy materiał, choćby do szantażu.

Julia sama zdziwiona była swoim odkryciem. Wcześniej jakoś nie wpadła ani na kamerę, ani na szantaż, dopiero po zjedzeniu łososia, czyli po sporej dawce fosforu, spłynęło na nią olśnienie. W oczach Karoliny dostrzegła szczery zachwyt.

- Rozumujesz logiczniej niż niejeden nadinspektor. Leszek miał genialne wyczucie, że zaprosił cię do analizy zielonej teczki - powiedziała.

- Leszek mi pod... - zaczęła Julia, lecz nie skończyła.

Karolina z wielką uwagą patrzyła w okno. Minę miała tak zaskoczoną, że Julia również się odwróciła. Po drugiej stronie jezdnii, na tle klasztornej muru, stała pani prezes. Jej twarz promieniała, co dało się zauważyć nawet ze sporej odległości.

- Z czego ona tak się cieszy? - spytała zdziwiona Julia.

- Z życia się cieszy, poczekaj na ciąg dalszy! - szepnęła przyjaciółka.

- Facet klusem pobiegł w stronę kiosku z kwiatami, zaraz będzie się oświadczał.

Pomyliła się jednak w ocenie faceta. Obok kiosku, niewidocznego z okien restauracji, była smażalnia, reklamująca się wesołym napisem: Nie bądź taki, jedz kurczaki. Chwilę później do Mikulowej podszedł wyrośnięty men ze sporym pakunkiem w firmowej reklamówce. Pani Ola filuternie pogroziła mu palcem. Szła potem, a właściwie płynęła u jego boku, uwodzicielsko kołysząc biodrami.

- Ja go znam - wybąkała zaskoczona Julia. - Był w Teatralnej z bossem.

- Rozwijasz się jak rozmaryn. - Karolina pokręciła głową. - Nie wstyd ci hulać w takim towarzystwie?

- Co chcesz! On podobno jest przystojny. Karolina wykrzywiła się z niechęcią.

- To tylko opakowanie zewnętrzne, ale ręczę ci, że cała maszyna w środku jest do niczego. Sztuczny kulturysta, pędzony na sterydach. Zauważyłaś, jak daleko trzymał łapy od tułowia? Oni wszyscy tak chodzą, jakby pod pachami mieli kaktusy. Zresztą nie tylko pod pachami. Widziałaś, jak on szeroko stawia nogi. Fuj! Pożytku z takiego tyle, co kot nasikał.

- Chyba napłakał?

- Płakać to będzie ta idiotka. Na oko widać, że facio z dychę młodszy od niej i na subtelnego nie wygląda. Mam nadzieję, że zdążę prysnąć z Budampolexu, zanim Olutka mianuje go dyrektorem.

- Karaluch z nimi tańczył, jak mawia Leszek - mruknęła Julia i na wspomnienie magistra Wydronia wróciła jej ochota, by podzielić się z Karoliną swoimi wątpliwościami. Po sobotniej dyskotecie wciąż miała nieodparte wrażenie, że serdeczny przyjaciel zaprosił ją do Teatralnej nieprzypadkowo, że zagrał nieczysto i coś próbował ukryć. Z detalami zrelacjonowała imprezę i swoje domysły.

- Podobno za nikogo nie wolno ręczyć głową - powiedziała Karolina - ale powiem ci, że gdybym miała dwie głowy, jedną bym za Wydronia oddała. On nie jest zdolny do świństw, a już na pewno nie wobec

przyjaciół. Poza tym ten bukiet, którego w chałupie nawet nie miałabym gdzie wstawić, wcale nie jest twój - roześmiała się przekornie - facet myślał, że ty to ja, więc nawet gdyby coś, to spodziewał się mnie, nie ciebie. Jaśniej nie umiem tego wyłożyć. Podobnie jak Edyta nie wierzę w nadmiar zbiegów okoliczności, natomiast Leszkowi wierzę.

Przegadały w Zajeździe prawie trzy godziny, lecz z tego gadania wyklął się jedynie ogólny plan, właściwie zarys planu działania. Kłopoty w firmie, dociekania aprilistów i wizyta u Bujały, to był jeden biegun zainteresowań, na drugim zaś usadził się paranoik Chochła ze swoimi zdjęciami. Dla Karoliny Chochła był najważniejszy. Gdyby kompromitujące fotki dostały się w ręce Mikulowej, a także paru innych osób, mogły narobić sporo zamieszania. W małym mieście małe sensacje rozchodzą się dużo szybciej niż wielkie w dużym. Magister Cierniak nie życzyła sobie aż takiej popularności. Dlatego najpierw chciała zająć się Chochlą. Julia stanowczo odradzała rozmowy, wizyty w garsonierze i tym podobne zabiegi. Jej zdaniem tylko dobry i na dodatek znajomy adwokat mógł po przyjacielsku podpowiedzieć, jak unieszkodliwić głupiego Marcinka, odbierając mu zdjęcia i negatywy. Musiał być jakiś sposób, upierała się przy swoim. Dłużej niż do soboty nie mogły zwlekać z wizytą w Toruniu, bo po niedzieli Karolina jechała służbowo do Warszawy i miała tam zostać nieco dłużej. Obiecała, że jak tylko wróci, zastanowią się nad dotarciem do Bujały. Julia przytaknęła i nawet mrugnięciem oka nie zdradziła swoich zamiarów. Od trzech dni, odkąd w sklepie na osiedlu kupiła prześliczną bluzkę, rozsadzała ją chęć działania. Wyszukała numer sekretariatu Bujały i właśnie następnego dnia zamierzała umówić się na spotkanie. Bardzo starannie przygotowywała swoją nową rolę i nie mogła doczekać się premiery. Jakiś głos wewnętrzny podpowiadał jej, że odniesie detektywistyczny sukces, którym zaskoczy Karolinę i Leszka. Nawet gdyby

pan prezes firmy ubezpieczeniowej Spokój okazał się równie cudny jak Mikula, gotowa była poświęcić się dla sztuki i dla przyjaciół.

Wyszły z Zajazdu dokarmione cieleśnie, lecz wciąż niedogadane.

Telefon oderwał Konrada od komputera. Próbował przeczekać, niestety, nie dało rady. Irytujące sygnały jeden po drugim wwiercały się w uszy. Wstał z ociąganiem.

- Nie stęskniłeś się za mną, ssaczku? Bo ja za tobą bardzo! - Cichy, zmysłowy głos Karoliny podziałał na niego całkiem niezgodnie z zamierzeniami rozmówcy. Przypomniał sobie, z kim mijał się w drzwiach jej mieszkania, dobrze pamiętał też to, że ostatnio była wiecznie zajęta, rozkojarzona i nie miała dla niego czasu. Ale najbardziej był obrażony o Mikulę, rzecz jasna.

- Przepraszam, z kim rozmawiam, bo nie dosłyszałem? - spytał, siląc się na chłodny, uprzejmy ton.

Był przekonany, że dziewczyna zdenerwuje się, rzuci słuchawkę lub palnie jakieś głupstwo, i właśnie na to czekał. Karolina roześmiała się, jakby usłyszała najlepszy dowcip.

- Masz prawo dąsać się przez dwie minutki. Zaraz potem przyjeżdżaj do mnie, bo mi strasznie zimno. Chyba przestali palić albo co - powiedziała tym samym erotycznym głosem, przez który przebijał śmiech.

- Niestety, tym razem to ja jestem zajęty.

- No widzisz? Już sobie przypomniałeś z kim rozmawiasz, za moment sobie przypomnisz, jak ci ze mną dobrze i przyjedziesz, prawda?

Bardzo chciał odpowiedzieć, że nie ma mowy, niech sobie wybije z głowy i tak dalej, lecz kusila tak pięknie, że w końcu ugiął się i pojechał. Przez całą drogę wyrzucał sobie brak konsekwencji. Ze dwa razy gotów był zawrócić, lecz na dwujezdniówce nie mógł, na przejeździe kolejowym też nie, a potem to już musiał nieźle się namęczyć, żeby znaleźć miejsce do zaparkowania samochodu. Jeszcze na schodach zastanawiał się, czy dobrze robi, lecąc jak ćma do ognia. Karolina otworzyła mu w staniczku i figach. W mieszkaniu było ciepłutko.

- Jeżeli ci zimno, to czemu chodzisz prawie goła? - spytał.

- Mnie zimno? - zdziwiła się bardzo szczerze. - Przecież wiesz, że mnie nigdy nie jest zimno.

Mógł się tego domyślić, ale najwidoczniej nie chciał. Postanowił sobie, że nie będzie jej robił żadnych wyrzutów i nie spyta o Mikulę.

- Jak już koniecznie chciałaś mieć towarzystwo, mogłaś zadzwonić do Mikuli - powiedział zaraz potem.

- Do Mikuli? Po jakie licho miałabym dzwonić do Mikuli?

- Chcesz powiedzieć, że w sobotę to nie jego tu spotkałem?

Przysiadła na poręczy fotela i spojrzała na Konrada tak, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Ucieszyła się, że rozpoznał własnego dyrektora, i wyjaśniła spokojnie jak dziecku, że szefowie potrzebują czasem porady prawnej także po godzinach pracy. Ona jest tylko personelem i musi wykazać się dyspozycyjnością. Budampolex 2 ma poważne kłopoty, więc przesiadli z Mikulą do północy, żeby znaleźć rozwiązanie zgodne z prawem i korzystne dla firmy.

- Dlaczego nie w biurze, tylko u ciebie w domu? - spytał.

- Widziałeś, ile tu było książek? Miałam je wszystkie wieźć do firmy?

- spytała mocno zdziwiona. - Coś mi się wydaje, ssaczku, że bredzisz.

Najgorsze, że Konradowi wydawało się całkiem podobnie. Miał nie robić wyrzutów, miał nie pytać i dwu minut nie wytrzymał. Teraz też korciło go, by dowiedzieć się czegoś więcej o kłopotach Mikuli. Tak do końca nie wierzył Karolinie, szczególnie po rozmowie z panią Henią. Sam pomyślał, że jego rywalem mógłby być opasły dyrektor, wydał mu się okropny.

- Przy takim bałaganiarskim dyrektorze firma musi mieć kłopoty - powiedział niechętnie. - Facet, który pozwala sobie zwędzić listę dłużników, jest całkiem niepoważny. Zgodzisz się ze mną?

Patrzyła na niego uważnie.

- Skąd o tym wiesz? - spytała.

- Wiem! - odparł krótko i nawet nie zauważył, że jej piękne oczy zrobiły się czujne i chłodne.

Po pracy Karolina wracała z Konradem, Julia zaś po raz pierwszy od dość dawna miała jechać sama.

- Podwieziesz mnie, biedroneczko, do śródmieścia? - spytał Leszek i tytułem wyjaśnienia dodał, że jego zielona strzała rozkraczyła się rano przed domem.

Z parkingu wyjechali tuż za samochodem Orzechowicza. Karolina żywo gestykulowała, on chyba się śmiał i Julia poczuła drobniutkie ukłucie zazdrości. To nie była zazdrość o konkretnego mężczyznę, broń Boże, to

była tęsknota za kimś własnym. Wiele by dała, żeby mieć obok siebie prawdziwego faceta z krwi i kości, poważnego, mądrego, który by przytulił, pocieszył i wyprowadził na spacer. Mógłby być podobny do inżyniera Orzechowicza, czemu nie? Mógłby też wyglądać jak ulubiony aktor i tylko charakter mieć inżyniera Orzechowicza. Na dobrą sprawę nie znała charakteru ani jednego, ani drugiego pana. Wymyślanie było jej pasją od bardzo dawna. Te wszystkie sceniczne obsesje nie były niczym innym, jak namiastką tego, co chciałyby przeżyć. Pożyczała sobie od znanych aktorów powierzchowność, tak jak się pożycza kostium teatralny, wypełniała ich głowy swoimi myślami, kazała im mówić niekoniecznie tekstem scenariusza i była w tym wszystkim naiwna jak pensjonarka. Gdybyż jeszcze wierzyła, że zagra w filmie lub na scenie, że pozna tuzów polskiego aktorstwa, to co innego, ale akurat w tym względzie była realistką. Utknęła w nudnym, prowincjonalnym mieście, pracę miała nudną i głupią, więc broniła się, jak umiała. Jedyнным ratunkiem była radykalna zmiana, lecz nie fryzury, nie sukienki, tylko własnego życia. Miłość mogłaby ją zmienić, czemu nie. Kłopot był tylko jeden: nie miała w kim się zakochać!

Zajęta własnymi myślami, zapomniała, że ma w samochodzie pasażera. Leszek nie odzywał się, siedział cicho nawet wówczas, gdy całkiem odruchowo skręciła w kierunku swojego osiedla. Pomyłkę zauważyła w połowie wiaduktu na Wroniej.

- Ojejku, dlaczego nic nie mówisz! - wykrzyknęła przerażona.

- A to nie jest porwanie? - udął zmartwionego.

- Niestety, to tylko gapa ze mnie wylazła.

- Mogę być porwany na gapę byle... byle przez ciebie. Jeżeli uznasz, że bredzę, przerwij mi, ale w końcu muszę ci powiedzieć, że zwariowałem



na twoim punkcie. Nie umiem sobie znaleźć miejsca... myślę o tobie w pracy i w domu... nawet po nocach mi się śnisz. Kocham cię, biedronko. Nie przerwałaś mi, więc... nie uważasz, że bredzę, prawda?

Początkowo sądziła, że to dalszy ciąg wygłupów, spojrzała na chłopaka i zrozumiała, że on nie żartuje. Wdarł się w jej myśli, jakby w nich czytał, niemal się oświadczył, a ona zamiast radości czuła skrepowanie. Chciała mieć obok siebie mężczyznę, lecz innego. Kochać też chciała innego

- Nie przerwałam ci - powiedziała, patrząc pilnie na drogę - ponieważ nie wiem, co mam odpowiedzieć. Bardzo cię lubię, dobrze się czuję w twoim towarzystwie... wszelkie inne zapewnienia byłyby już przesadą. Ty masz ułożone życie...

- Raczej zmarnowane - przerwał. - Nie liczyłem, że rzucisz mi się na szyję... Myślałem tylko, że jestem ci mniej obojętny.

- Ludzie, których lubię, nie są mi obojętni - zaprzeczyła gwałtownie.

- Nie uważasz, że słowo „lubię” jest wyjątkowo nijakie? Jak już nie można nic człowiekowi powiedzieć, ani że się go kocha, pożąda czy choćby nienawidzi, to się mu mówi, że jest lubiany. Henię też pewnie lubisz?

Milczała. Czuła się dotknięta, lecz niezbyt mocno. Rozumiała rozgoryczenie Leszka, nie chciała go jeszcze bardziej pogrążyć i nic mądrzejszego ponad to, co powiedziała, nie przychodziło jej do głowy. Wysadziła go, tak jak sobie życzył, na placu Wolności i zawróciła w kierunku osiedla. Rozstali się właściwie bez słowa. Wysiadł ze spuszczoną głową, nawet nie zauważył, że pomachała mu ręką. O ileż łatwiej byłoby dać kosza takiemu Serafinowi, pomyślała. Zresztą Serafin zmył się bez dawania kosza, a ona prawie tego nie zauważyła. Telefonował co jakiś czas,

opowiadał, że jest bardzo zajęty, i robił dziwne aluzje, których nie chwytiała.

Ostatni raz spotkała go kilka dni wcześniej na parkingu przed domem. Wysiadała właśnie, kiedy podjechał z piskiem opon i o mały włos nie staranował matyza. Opel, granatowy i błyszczący nowością, nie zrobił na niej większego wrażenia, lecz kierowcę najchętniej posłałaby do wszystkich diabłów. Chronicznie nie znosiła kaskaderskich wygłupów, była na nie uczulona, więc z furią napadła na chłopaka.

- O co ci chodzi? Ty wiesz, jakie on ma hamulce? - bronił się, niezbyt przejęty jej krzykami.

- Co komu po hamulcach, jak kierowca wariat!

- Fajny mam wozik, co? Ty wiesz, ile on pali?

- A co mnie to obchodzi?

- Tyle, ile się wleje! Dobrze, nie? Wybierzemy się w sobotę na dyskę? Poznasz moich kumpli.

- Wyjeżdżam w sobotę.

- Szkoda. Sporo byś się mogła dowiedzieć o interesach i w ogóle.

- Nie prowadzę żadnych interesów. Pracuję na etacie.

- Wiem. Twoi starzy prowadzą, no nie?

- Wobec tego rozmawiaj z nimi!

Odeszła, choć próbował ją zatrzymać, coś tam jeszcze opowiadał, coś obiecywał.

Głupi to on był zawsze, ale bodaj po raz pierwszy przemawiał do niej tonem pyszałkowatej wyższości. Nigdy wcześniej nie popisywał się forszą, wozem ani kumplami. To był znak, że wplątał się w nieczyste interesy. Woląła nie dochodzić w jakie i szczerze mówiąc, niewiele ją to obchodziło. Nawet nie mogła powiedzieć, że go lubi. Co innego Leszek. Uśmiechnęła się leciutko na wspomnienie oświadczyn. Bo to chyba były oświadczyzny? W tej dziedzinie miała niewielką praktykę. Owszem, różni koledzy mówili jej miłe rzeczy, jednak żaden nie wariował z jej powodu ani nie cierpiał na bezsenność. Choćby z tego względu Leszek Wydroń zasłużył sobie na trwałe miejsce w sercu Julii. Poczowała się jak prawdziwa kobieta, niemal pozeraczka serc i było jej troszkę miło i troszkę smutno.

- Brak osobowości pokrywamy niewolniczym pryncypa... pializmem - dukąła Henia. Uparła się, że zapozna członkinie klubu medytacyjnego ze swoimi notatkami z kursu. Widać jednak niezbyt starannie pisała lub oświetlenie suszarni było kiepskie, bo czytała z wyraźnym trudem. Julia nie miała zamiaru wchodzić, dyskretnie zajrzała do środka, a ponieważ nigdzie nie dostrzegła Wandy Pasieczko, ulotniła się cichutko. Szła różnym, sprężystym krokiem w kierunku Kujawskiej i zastanawiała się, czy wizyta u Wandy w domu to dobry pomysł. Zarzekała się co prawda, że nigdy więcej, lecz potrzebowała jeszcze kilku informacji na temat lokalu nr 23. Po drodze wstąpiła do sklepu po jakąś bombonierkę, żeby przychylniej nastawić Wandę, i przy ladzie stanęła oko w oko z Marcinem Chochlą. Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu.

- Pan tutaj? - spytała Julia.

- Tego... no tak, chleb i mannę kupuję - odpowiedział.

Poczekał na nią i wyszli ze sklepu razem. Zaczęła gwałtownie myśleć, jak go spławić, w którą przecznicę skręcić, żeby uwolnić się od

niechcianego towarzystwa. Już miała powiedzieć, że bardzo się śpieszy, już zaczerpnęła powietrza i w tym samym momencie doznała gwałtownego olśnienia. Los sam wpychał jej w ręce największego wroga Karoliny, a ona, zamiast stawić mu czoła, zastanawiała się nad ucieczką! Przecież nie była już głupią lebiodą, tylko piękną Julią, której parę godzin wcześniej oświadczył się mężczyzna.

- Dawno pana nie widziałam, panie Marcinie. Zniknął pan tak nagle... smutno bez pana w firmie - zawiesiła głos i spojrzała powłóczyście w rybie ślepka Chochli.

- Przecież nie zniknąłem... tego, no... tylko nie pracuję już u Miku-li - wyjaśnił. - Nadojeło mi wszystko razem, tego, i mam inny pomysł na resztę życia. Bo to człowiek wie, ile mu jeszcze zostało? - zauważył filozoficznie.

- A wie pan, że mnie też nadojeło i zwalniam się z firmy? - zawołała uradowana. - Właśnie jutro idę sobie załatwiać nową pracę.

Chochla wyraźnie pożerał ją oczami, jednak znalazł w sobie tyle taktu, by spytać, gdzie niby Julia chce odejść. Nazwisko Bujają wzbudziło w nim prawdziwą wesołość.

- Jakby pani nie chciał przyjąć, niech się pani powoła na mnie!

- Mówi pan poważnie? Naprawdę chciałby mi pan pomóc?

- Tego, no... ja dużo mogę - stwierdził z jawną dumą. - Ale... pomoc... wie pani... nic za darmo.

Poczekaj, ty gdzie przebrzydły, już ja ci zapłacę, pomyślała mściwie Julia, lecz wciąż uśmiechała się do Chochli najserdeczniej, jak umiała.

Wyjaśnił jej po swojemu, że Bujała to najpierwszy w mieście krętacz, łajdak i złamany męski organ rozrodczy. Nie precyzował, na czym opiera swoje sądy, i niewiele więcej chciał zdradzić, choć czarowała go i zasypywała komplementami. Łykał chciwie miłe słówka, aż mu wielka grdyka na cienkiej szyjce skakała niczym piłka pingpongowa, jednak wolał mówić o Julii niż o Bujale. Zauważył, że się zmieniła i wypiękniała.

- Tego, no... jak ma pani trochę czasu, to może byśmy do mnie... na herbatkę? - spytał z nadzieją w głosie.

Julia bardzo ładnie weszła w rolę kobiety zaskoczonej, spłoszonej i jednocześnie zaintrygowanej propozycją. Szli cały czas w kierunku Kujawskiej. Już widać było blok, w którym mieszkała Wanda Pasieczko, a najprawdopodobniej także Chochła. Dziewczyna zatrzymała się na rogu. Wolała nie wchodzić w oczy znajomym i nieznajomym. Westchnęła i spróbowała zmienić temat.

- Wie pan, coraz częściej nachodzi mnie ochota, żeby rzucić to miasto i prysnąć gdzieś. Nie wiem, do Szczyrku, Łeby albo Kazimierza, wszystko jedno gdzie, byle jak najdalej stąd - palnęła bez większego zastanowienia.

- Tego... na zawsze, czy tak na tydzień albo dwa? - spytał. Wlepił w nią oczy i wyraźnie czekał na odpowiedź.

- Na tydzień albo dwa - przytaknęła. - Na zawsze byłoby trudno.

- Mogę załatwić nam taki wyjazd - powiedział. - Tylko tego, no, potrzebuję trochę czasu, żeby przygotować... no... wiadomo... Więc jak? Nie wycofasz się, nie zostawisz mnie na lodzie?

Takiej oferty nie przewidziała. Ona i Chochła na ryneczku w Kazimierzu? Opanowała wybuch wesołości i spojrzała na gzika. Przeształ z nogi na nogę, zaglądał jej w oczy i czekał na odpowiedź. Pomyślała, że „trochę czasu” wystarczy, by znaleźć sensowny powód do nieruszania się z Włocławka. Lekko spłoszona, lekko zawstydzona obiecała, że nie zawiedzie i nie zostawi na lodzie. W tym momencie liczyła głównie na numer telefonu Marcinka, lecz się zawiodła. Skwapliwie zapisał na bilecie autobusowym numer jej komórki, obiecał się odezwać. Na pożegnanie podała mu rękę.

- Słuchaj... tego... a Bujalę sobie odpuść. Szkoda cię dla takiego ścierwa! Jak zechcesz, tego, to załatwię ci każdą robotę w mieście... No, po powrocie z wczasów. - Zachichotał uwodzicielsko.

- Dobrze! - odparła, wyszarpując rękę z jego szponów. Odeszła pośpiesznie z wielkim zamętem w głowie. Dziwiło ją, że Chochła ani słowem nie wspomniał o firmie, nie interesował się, co o nim mówią i jak sobie bez niego radzą. Wy tłumaczenie znalazła dwojaki: albo miał inne źródło informacji i widział wszystko, co chciał wiedzieć, albo ona zrobiła na nim tak oszałamiające wrażenie, że stracił głowę. To drugie wytłumaczenie, choć polechtało jej damską próżność, nie było specjalnie miłe. Kobiety oczywiście nie mają wpływu na to, komu się podobają, lecz zachwyty w oczach takiego Chochli do przyjemności nie należy. A jednak Julię rozsadzała duma. Czuła się niemal jak Mata Hari. Przed straceniem, ma się rozumieć.

Najgorsza chwila poranka to ta, kiedy rozgrzana snem noga, zamiast trafić w kapeć, dotknie zimnej podłogi. Julia gwałtownie skuliła się pod kołdrą w pozycji embriona. O szóstej rano nic jej nie cieszyło z wyjątkiem ciepłego łóżka. W kuchni matka programowała ojca na cały

nadchodzący dzień. Musisz... powinieneś... pamiętaj... choć raz opanuj język... Dziwne, pomyślała Julia, jak ojciec może opanować język, jeśli prawie nigdy się nie odzywa?

- Julka, bój się kija! Czy ty wiesz, która godzina? - krzyknęła pani Blendowa. - Beze mnie oboje byście zginęli. Ani samodzielnie wstać, ani śniadania zrobić. Dobrze, że jeszcze każde za siebie sika!

Poganiąta energicznymi okrzykami matki powlekła się niechętnie do łazienki. Zawiesiła zaspane oko na lustrze i zamiast rozczochranej dziewczuszki zobaczyła kobietę, też wprowadzie rozczochraną, ale za to bardzo intrygującą. Zaledwie dzień wcześniej przeżyła oświadczyń jednego mężczyzny, z drugim nawiązała szpiegowski romans, wobec trzeciego zaś miała bardzo konkretne plany, które za kilka godzin zamierzała wprowadzić w życie. Myśl o Bujale natychmiast postawiła ją na nogi. Założyła sobie, że spotkają się właśnie tego dnia i nie brała pod uwagę takich drobiazgów jak delegacja czy chwilowa niechęć pana prezesa do oglądania kogokolwiek poza własną sekretarką.

- Nowa bluzka? - spytała matka, spoglądając krytycznie na Julię.

- Ładna, prawda?

- Zwariowałaś?! Żadnego umiaru, żadnego zastanowienia! Jak kupujesz płyty, to tylko płyty, jak teraz wzięło cię na ciuchy, to mi supermarket z domu robisz. Żeby to jeszcze było co ładnego! Mało to razy ci powtarzam, że nie szata zdobi człowieka!

Matka jak mało kto potrafiła podcinać Julii skrzydła, gasić radość w zarodku. Wyskakiwała z ostrą krytyką właśnie wtedy, kiedy córka oczekiwała drobnej choćby aprobaty. Pani Emilia nie chwaliła jej, bo w swoim rozumieniu nie miała za co. Należała do licznego grona zacnych i

nieomylnych niewiast, które mają monopol na gust, takt i wiedzę. Julia nie była do niej podobna, z uporem podkreślała swoją inność, więc sama skazywała się na potępienie.

- Tato, prawda, że dobrze wyglądam?

- Mhm - przyznał pan Blenda i żeby z kretesem nie podpaść żonie, natychmiast dodał: - Ale matka ma rację!

- Biedny tatku, nie można zadowolić owcy i wilka jednocześnie - powiedziała Julia ze śmiechem. W ojcowskim „mhm” usłyszała męski podziw. Niczego więcej nie pragnęła tego ranka.

W drodze do pracy powtórzyła sobie punkt po punkcie cały scenariusz - nie przewidziała tylko jednego: że to będzie bardzo ciężki dzień. Dyrektor w gabinecie, Edyta za biurkiem, Leszek z Karoliną u siebie, a ona oczywiście zapomniała telefonu komórkowego. Jak na spiskowca, działającego w tajemnicy nawet przed przyjaciółmi, nie popisała się przebiegłością. Żeby zadzwonić do sekretariatu Bujaly, musiała choć na moment zostać sama. Niezwykle zerknęła na Edytę, która nie wypuszczała słuchawki z rąk. Oho, udaje spokojną, ale jest wściekła, pomyślała. Co ona wyprawia?

Sekretarka nic specjalnego nie wyprawiała. Wystukiwała numer, odkładała słuchawkę, znowu wystukiwała i zaczynała bębnić palcami po biurku. Potem znowu to samo, jakby nie mogła się zdecydować, do kogo ma dzwonić i jak długo czekać na połączenie. Wreszcie chyba się udało, bo westchnęła z wyraźną ulgą.

- Gdzie łazisz, gamoniu? - spytała bez zbędnych wstępów. - Poczekaj chwilę! - Zasłoniła słuchawkę ręką i poprosiła Julię o herbatę. Odczekała



moment, aż zaintrygowana dziewczyna wyszła do kuchenki i dopiero wówczas wróciła do rozmowy.

Podśluchiwanie nie jest rzeczą prostą. Edyta mówiła cicho, siedziała daleko i tylko pojedyncze słowa docierały do uszu Julii. Zapominasz, kto ci... muszę natychmiast... Miała niejasne podejrzenie, właściwie tylko cień przeczucia, że sekretarka usiłowała postawić na baczność zaspanego Chochłę. Niestety, niczego więcej się nie dowiedziała. Do kuchenki wkroczyła Henia z naręczem ścierek i wymówek. Chodziło oczywiście o spotkanie medytacyjne pań, na którym pomoc gospodarcza nie dostrzegła Julii. Dziewczyna aż się zachnęła na taką niesprawiedliwość.

- Ciekawie mówiłaś o braku osobowości - zauważyła. - Wyszłam przed końcem, bo byłam umówiona z mamą.

- Co tam osobowość! - wykrzyknęła z triumfem Henia. - Szkoda, że nie słyszałaś, jak dołożyłam tym wszystkim babkom za bezmyślność. Dla nich nic nie istnieje poza chłopem, dziećmi i pieniędzmi. Żadnej do głowy nie przyjdzie, że są sprawy ważniejsze. Ale, ale, żebyś nie zapomniała. Julciu, możesz mnie poratować skromną pożyczką? Potrzebuję trochę forsy - Henia zniżyła głos do szeptu.

- Ile to jest „trochę”? - spytała Julia.

- Potrzebuję osiemdziesiąt.

- Jasne. Mam wolną stówkę.

- Mówię o tysiącach - szepnęła konspiracyjnie Henia.

- Chcesz pożyczyć osiemdziesiąt tysięcy? Ładne mi trochę! - obruszyła się Julia. - W domu mam dwa, które odłożyłam na czarną godzinę. Jeżeli to cię urządza, to proszę.

- A od rodziców nie mogłabyś wziąć?

Julia tylko zamachała rękami. Dobrze znała podejście rodziców do pożyczek, poza tym kwota nawet jej wydała się nieskromna. Więcej nie zwracała uwagi na kwaśną minę Heni ani na jej mruczando, z którego wynikało, że pieniądze potroją się w ciągu dwóch miesięcy.

Bez słowa zaniosiła herbatę Edycie, a chwilę później dorwała się wreszcie do upragnionego telefonu. Dociekliwa sekretarka Bujaly chciała wiedzieć stanowczo za dużo. Nie wystarczyło jej, że magister inżynier Julia Blenda ma życzenie spotkać się z panem prezesem. Z pięć razy pytała w jakiej sprawie.

- Gdybym chciała pani powiedzieć w jakiej sprawie, nie musiałabym widzieć się z prezesem! - powiedziała wyniośle Julia. - Proszę mnie umówić. To wszystko, czego od pani oczekuję.

Poskutkowało. Audycja została wyznaczona na poniedziałek, na godzinę piętnastą. Był dopiero piątek i Julia odrobinę się zdenerwowała. Nie lubiła czekać. Zajrzała na moment do pokoju magistrów. Leszek od rana zachowywał się tak, jakby dzień wcześniej nie było żadnej rozmowy, żadnych wyznań. Złapała tylko jego zachwycone spojrzenie, na które odpowiedziała uśmiechem. Karolina na jej widok jednym ruchem odsunęła papiery, zawalające biurko. Ze znużeniem oceniła bluzkę i zaczęła się głośno zastanawiać, czy przypadkiem Julia nie jest zakochana. Leszek cicho wymknął się z pokoju.

- Co on dzisiaj taki nedorobiony? - zastanowiła się Karolina i natychmiast zmieniła temat. - Juleczko, czy ty wiesz, że Marta wyszła za mąż za mecenasa?

- Nie wiem. Jaka Marta? Jaki mecenas?

- O Boże! - westchnęła Karolina. - Wciąż zapominam, z kim gadam. Politechnika warszawska pięć lat później, a ja mówię o kochanym toruńskim grajdole dziesięć lat wcześniej!

- A mogłabyś gadać logicznie, żeby politechnika też zrozumiała? - spytała Julia.

Spojrzały na siebie i jednocześnie wybuchnęły śmiechem. Jak na grajdoł i stolicę rozumiały się doskonale.

Karolina od kilku dni wydzwaniała popołudniami do dawnych przyjaciół, szukała kontaktów i odnawiała znajomości. Koledzy ze studiów, na których najbardziej liczyła, nie kwapili się z pomocą. Ich wymówki były dość czytelne. Głupio jest brać honorarium od koleżanki po fachu, ale jeszcze głupiej narobić się za darmo. Co do jednego byli zgodni: najlepszym ekspertem od ciemnych sprawek i szantażu był mecenas Wojciech Wąsik. Zadzwoiła do kancelarii, żeby się wstępnie umówić i padła z wrażenia. Sekretarka w kwietniu zaproponowała jej termin lipcowy. Niestety, tak długo czekać nie mogła, a słusznie podejrzewała, że i Chochła nie zechce. I właśnie wczoraj wieczorem jedna z koleżanek napomknęła, że mecenas ożenił się z Martą Wilani. To była najcudowniejsza wiadomość od kilkunastu dni.

- Jeżeli ją znasz, to jedziemy i nie ma sprawy! - wykrzyknęła Julia.

- O Boże, czy znam Martę? Słuchaj stara, ja dla niej i Kamili ukradłam kiedyś bułkę w sklepie. Ty czujesz? Ja, studentka prawa, ukradłam bułkę!

-I co?

- Nic. Zeżarłyśmy na kolację, bo to była wielka bagietka. Potem sumienie mnie ruszyło i po stypendium oddałam w sklepie pieniądze. Zabajerowałam, że przez pomyłkę, że coś tam... ale dziewczyny do dziś myślą, że ukradłam. Julka, co to było za życie! Marta z Kamilą mieszkały u właścicielki kamienicy na pierwszym piętrze, ja na drugim u takiej pani Krysi. Jedno stuknięcie w sufit lub podłogę znaczyło... Nieważne! Stukałyśmy stale. Nigdy wcześniej i nigdy potem nie byłam taka szczęśliwa jak wtedy, kiedy plastycy przyjęli mnie do swojej paczki. Oni wszędzie jeździli i chodzili całą grupą, a mnie zabierali w charakterze maskotki. Studenci piątego roku sztuk pięknych i taki smarkaty pierwszak z prawa! Ty wiesz, jaka byłam dumna? Przy nich poznawałam życie i uczyłam się rozumieć kolory. Do dzisiaj pamiętam szalowe stroje dziewczyn, kapelusze zdobione żywą jarzębiną, torby z makatek, jakieś spódnice z haftem. I swoją pierwszą miłość też pamiętam. Facet miał na imię Rafał i niestety kochał się w Marcie. Uparł się, że namaluje mój portret. To miała być „Dziewczynka z brzoskwiniami” czy jakoś tak. Nie wiem, bo jak zobaczyłam siebie z piersiami wielkości dyni, obraziłam się i nie chciałam więcej pozować. Może i szkoda, bo Rafał był podobno bardzo zdolnym malarzem. Wiesz, kto go bardzo przypomina? Orzechowicz. Pewnie dlatego tak długo z nim wytrzymuję.

Ledwie Karolina wspomniała Orzechowicza, zerknęła na zegarek i gwałtownie się poderwała.

Pożegnanie inżyniera Kicińskiego odbyło się w wąskim, nawet bardzo wąskim gronie. Nikomu z kierownictwa firmy do głowy nie przyszło, że można żegnać pracownika, który w pojęciu szefów niczego wielkiego nie dokonał, rozwalil dział i na koniec sam się wynosił. Była to ocena z gruntu niesprawiedliwa, ale o tym wiedział Kiciński, Konrad i ci pracownicy działu, którzy już wcześniej odeszli. Personalna oddała inżynierowi dokumenty i właściwie był wolny.

- To co, panie kolego, życzę sukcesów i zwijam żagle. Nic tu po mnie  
- powiedział, sięgając po płaszcz.

- O, nie, nie! - zaprotestował Konrad. - Jak się Polacy rozstawali, to wypijali po kawie. Tradycję trzeba szanować!

Postawił na biurku trzy filiżanki i talerzyk z francuskimi ciastkami. Nie zwracał uwagi na zdziwioną minę Kicińskiego.

- A to trzecie nakrycie, dla kogo?

- Zapowiedziała się pani prezes! - parsknął śmiechem Konrad. Zagadka wyjaśniła się z chwilą wejścia Karoliny. Kiciński wydawał się wzruszony i szczerze zadowolony. Nie spodziewał się, że zostawił w firmie aż dwie życzliwe dusze, to raz, a dwa, uwalniał się wreszcie od kompleksów prowincjonalnego przedsiębiorstwa. Miał na ten temat całą teorię. Nie wiązał prowincjonalizmu z prowincją, tylko z wąskim, głupim i ślepym sposobem myślenia. Wedle tej teorii ludzie pokroju Mikulów będą prowincjuszami bez względu na miejsce zamieszkania. Dla nich nie ma znaczenia, czy to Paryż, Tokio czy Lipno, obojętnie, gdzie się znajdują, szerzą swoją krzykliwość, brak manier i podstawowej ogłady. Myślenie ograniczają do interesów, pracują głównie łokciami, nie liczą się z nikim i z niczym.

- Chcę przez to powiedzieć - dowodził inżynier Kiciński - że dla prawdziwej inteligencji, tej z tradycjami, z kindersztubą, nadeszły ciężkie czasy. Mierzi mnie to, co się w tej chwili dzieje, ten radosny pochód ludzi ze slumsów, z melin, znikąd. Rozmawiałem niedawno, panie Konradzie, z pańskim wujem, inżynierem Orskim. Powiedział mi...

- Inżynier Orski nie jest moim wujem - przerwał mu Konrad i zmienił temat.

Wkrótce Kiciński zaczął się zbierać.

- Czy on powiedział coś niestosownego? - spytała Karolina po jego wyjściu. - Tak się zjeżyłeś, że niemal widziałam, jak ci kolce wyłazą.

Chciał spytać, czy na głowie i czy to przypadkiem nie rogi, jednak dał spokój. Wolał nie uchodzić za zazdrosnego typu. Wrócił do Kicińskiego.

- Faceta mierzi pochód ludzi ze slumsów, a mnie gadanie o rodzinnych tradycjach i kulturze. Zauważyłem pewną prawidłowość: jeżeli wykształcony facet do niczego nie dochodzi, to uzasadnienia szuka w inteligenckich korzeniach. Żebyś sobie przypadkiem nie pomyślała, że on gamoń, to ci wciska kit o naukach wyniesionych z domu: nie pchaj się łokciami, pracuj główką, szanuj starszych i nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe. Znam jednego, który tak mówi i tak robi, ale co do reszty, mam poważne wątpliwości.

- A ty? Co ty o sobie mówisz?

- Zaszedłem wyżej, niż kiedykolwiek marzyłem.

Nie widział lub nie chciał widzieć niedowierzania w oczach dziewczyny. Sprzątnął ślady po uczcie, otworzył okno i zaczął porządkować dyskiety. Zewnętrznie zachowywał spokój, a w środku dręczyło go rozdygotanie, które brało się nie wiadomo z czego. Kiciński? Właściwie nie. Nic oryginalnego w tym, co mówił, nie było. Karolina? Chyba tak. Siedziała przy biurku Konrada, piękna i spokojna, bawiła się złożoną kartką papieru i mówiła o służbowym wyjeździe do Warszawy. Mikula załatwił duży kontrakt, jechali razem, żeby dopiąć i podpisać umowę. Nie słuchał, zajęty własnymi myślami. Usłużna wyobraźnia podsunęła mu obraz hotelowego pokoju i scenkę żywcem wyjętą z landrynkowej serii. Zamrugał oczami.

- Co o tym myślisz? - pytała Karolina.

Akurat to, o czym myślał, zupełnie nie nadawało się do powtórzenia.

- Nie chcę, żebyś z nim jechała do Warszawy! - powiedział stanowczym głosem.

Najwidoczniej mówiła o czymś zupełnie innym, bo spojrzała na Konrada z nieukrywaną kpina.

- Pytałam, czy przyjmiesz moje zaproszenie na obiad?

- A, tak, oczywiście.

- Nie tak bardzo oczywiście, ssaczku. W ogóle mnie nie słuchałeś, prawda? Ale zaproszenie podtrzymuję.

Konrad nie chciał się nawet przed sobą przyznać, że ze wszystkich uczuć, które nim miotaly, najautentyczniejsza była zazdrość. Nie wiedział, czy kocha Karolinę, nie wiedział, czy chce z nią zostać na resztę życia, i nie

wiedział, że jest zazdrosny. Czuł tylko wewnętrzne rozdygotanie, które brało się nie wiadomo z czego.

Emilia Blendowa nie lubiła gości w domu. Zasłaniała się zmęczeniem, ciasnotą, ale tak naprawdę nie chciała, by ktokolwiek przeglądał jej kąty. Prawdę mówiąc, nie bardzo było co przeglądać, bo mieszkali zwyczajnie, bez antyków, bez obrazów na ścianach, otoczeni samą przeciętnością. Wnętrza miały nie mówić o fortunie właścicieli i nie mówiły, a mimo to Blendowie gości nie zapraszali. Spore więc było zdziwienie Julii, kiedy któregoś wieczora zastała w domu obcego mężczyznę. Matka szepnęła jej w przedpokoju, że to partner w interesach, że fatygował się specjalnie z Bydgoszczy, by na miejscu dograć pewne kwestie. Jakże? To już było tajemnicą rodziców. Siedzieli właśnie przy kolacji, kiedy Julia weszła.

- Kochanie, to jest pan Gustaw Rywał - matka z wdziękiem wskazała na łysawego młodzieńca w wieku średnim. Co do wieku można się było spierać, natomiast opakowanie na pewno było młodzieżowe, dobrej marki, podobnie jak złote precjoza.

- Witam! Mów mi Gutek. - Potrząsnął energicznie ręką oszołomionej Julii, po czym zasypał ją pytaniami o pracę i zarobki. - Emilka mówiła, że dostajesz osiemset na rękę. W weekendy pracujecie? - Wyciągnął z kieszeni kalkulator, postukał, popatrzył. - Pewnie, że siedemnaście tysięcy na miesiąc to żadna rewelacja, ale ty dopiero startujesz. Dobrze zrozumiałem?

- Startuję, ale te siedemnaście tysięcy to skąd pan wziął? - spytała oszołomiona.



- Mów mi Gutek. Tyle wychodzi ci na miesiąc. Uważam, że to niezła stawka.

- Z choinki spadłeś? Osiemset wychodzi mi na miesiąc, nie na dzień. Jej zdziwienie niemal automatycznie spłynęło na niego. Sprawiał

wrażenie człowieka, z którego zakpiono w sposób złośliwy, żeby nie powiedzieć perfidny. Wyjaśnił, że za taką stawkę on nie podniósłby tyłka z krzesła, i nie rozumiał, co ma do tego choinka.

- Uspokój się, Julio! Pan ma bardzo liczne znajomości we Włocławku, więc pytałam, czy nie mógłby znaleźć ci... to znaczy pomóc... podpowiedzieć... może wie o jakiejś pracy dla informatyka - plątała się zbity z tropu matka.

- Przecież pracuję - wyjaśniła chłodno Julia.

- Tylko za ile?! - wtrącił ojciec. - Nie dość, że trzeba się było Mikulowej podlizywać, to jeszcze dają ci takie grosze, że wstyd się komukolwiek przyznać! Bądź co bądź skończyłaś studia z wyróżnieniem. Informatyków wszędzie potrzebują.

Spojrzała na ojca z niedowierzaniem.

- Podlizywać Mikulowej?

- A co myślałaś, że przyjęli cię na piękne oczy?! Dzisiaj bez znajomości jesteś nikim.

Pozornie siedziała na krześle na wprost Gutka, ale tak naprawdę leciała głową w dół do samej piwnicy. Niżej już nie dało się upaść. Jedno zdanie rzucone mimochodem uświadomiło jej, że w rękach rodziców wciąż jest zwykłą marionetką. Oni pociągają za sznurki, ona posłusznie skacze i

jeszcze jest szczęśliwa, że ma cokolwiek do powiedzenia w swoich sprawach. Nie chodziło nawet o Budampolex 2, lecz o zasadę. Po studiach wcale nie miała zamiaru wracać do Włocławka. Matka z ojcem uparli się, więc postawiła warunek: jeżeli w ciągu miesiąca sama nie znajdzie sobie odpowiedniej pracy, wyjeżdża. Odpowiedniej, to znaczy w wyuczonym zawodzie, niekoniecznie od razu na stanowisku dyrektora. Wydawało się to całkiem rozsądne, choć -jak podejrzewała - we Włocławku nierealne. Niby informatycy są potrzebni, niby ich brakuje, kiedy jednak człowiek szuka miejsca na własną rękę, wszędzie natyka się na nadmiar fachowców. Trafiła wreszcie do Budampolexu 2 i przez kilka miesięcy żyła złudzeniami, z których odarli ją jednym zdaniem, jedną uwagą. Nie dość, że niczego nie załatwiła sama, że zdecydowali za nią i poza jej plecami, to wciąż im było mało. Ze złością spojrzała na Gutka. Siedział i w zamyśleniu tarł czoło.

- Coś mi dzisiaj wpadło w ucho - powiedział - że tam u was nastąpiła zmiana właściciela. Firmę przejęła babka, tak?

- Właścicielką jest kobieta - mruknęła Julia.

- Wow! To długo nie pociągniecie. Tym bardziej trzeba pomyśleć o zmianie pracy. U mnie mogłabyś być akwizytorem. A właściwie nie, poczekaj: staż zrobiłaś, to dam cię na dyrektora marketingu. Słuchaj, co cię trzyma we Włocławku? Załatwiamy od razu robotę w Bydgoszczy. Miasto wojewódzkie stwarza większe szansę ludziom prężnym. Będiesz miała do dyspozycji mieszkanie służbowe, samochód i dużą forszę. No co? Odpowiada ci?

Po raz drugi w ciągu kilkunastu minut uznała, że facet to zwykły palant, który urwał się z choinki. Zastanawiała się właśnie, co powiedzieć, żeby go skutecznie obrazić i niechęć spojrzała na matkę. Pani Emilia bladła i czerwieniała. Z wielkim niesmakiem słuchała wywodów gościa i

widać było, że nie życzy sobie aż tak radykalnych zmian w karierze zawodowej córki. Zresztą natychmiast podzieliła się swoimi wątpliwościami.

- Julia, proszę pana, ma gdzie mieszkać, czym jeździć i z głodu nie umiera. Myślałam o pracy informatyka, a nie domokrążcy - powiedziała wyniośle.

Gustaw Rywał nie zdążył zasiedzieć się w domu Blendów. Po jego wyjściu Julia nie czmychnęła jak zwykle do swojego pokoju. Wszystko w niej dygotało od wewnętrznej irytacji. W matce zresztą też.

- Co za idiotyczna maniera tykania - denerwowała się pani Emilia. - Gdzie wy się tego uczycie? On to on, ale ty?

- Dostosowałam się tylko do manier waszego gościa. Możesz mi powiedzieć, kiedy wreszcie przestaniesz się wtrącać w moje sprawy?

- Wtrącać?

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o Mikulowej?

Matka wydawała się zakłopotana. Po minie widać było, że najchętniej zapadłaby na amnezję i zapomniała, kim jest Mikulowa. Coś tam wybąkała o zbiegu przypadków, o starej znajomości i zajęła się sprzątaniami ze stołu. Kursując między kuchnią i pokojem, mniej była narażona na ostre pytania Julii. Tym razem jednak córka nie zamierzała niczego darować.

- Nie złość się, chciałam dobrze! - powiedziała wreszcie Emilia. - Głupio wyszło, bo facet palant. Takie jest życie, bez znajomości niczego nie załatwisz!

- Czasem mam wrażenie, że próbujecie za mnie przeżyć moje własne życie! - wybuchnęła Julia. - Kroku nie pozwalacie mi zrobić samodzielnie!

- Co ty mówisz? O kogo mamy się martwić, jak nie o jedyną córkę. Przecież my z ojcem dla ciebie tak... ani sobót wolnych, ani wieczorów...

- A ja nie chcę, rozumiesz?! - krzyczała. - Dlaczego raz nie powiesz prawdy, że pracujesz, bo się wyżywasz, bo to twoja pasja!

- No, cicho, cicho! - Matka objęła ją i cmoknęła w czoło. - Kiedyś to może była pasja, teraz trzeba pracować, żeby nie stracić tego, co mamy. Do grobu majątku nie weźmiemy... tobie zostawimy. - Zbystrzała nagle. - Zdzisiek, a te faktury wróciły? Sprawdziłeś? Bo wiesz, potem mogą nas szarpać.

Łagodnym ruchem odsunęła Julię i usiadła na krześle obok męża. Zaczęli dyskutować o rachunkach i należnościach. Julia nie miała już czego szukać w ich pokoju, zamienionym na firmowy kantor. Tak było zawsze, odkąd rodzice zaczęli pracować na własny rachunek. Matka potrafiła oderwać się od najważniejszej rozmowy, przerwać córcę w pół zdania, żeby zajrzeć do kalendarza, zatelefonować do kontrahenta albo obrugać swojego Zdzisia. Potem jakby nigdy nic kazała sobie opowiadać dalej. Julii bardzo przeszkadzała taka podzielność uwagi, traciła wątek i chęć do zwierzeń. Z czasem w ogóle zaprzestała rozmów na swój temat. Ograniczała się do wysłuchiwania pouczeń, napomnień i dobrych rad. Tego pani Blendowa nie szczędziła ani jej, ani mężowi. Ale ogólnie była bardzo dobrą, kochającą matką i niewiele można jej było zarzucić. Może jedno: kochała zbyt mocno, dławiała swoją miłością i Julia z wielkim trudem łapała oddech. Coraz bardziej brakowało jej swobody. Chciała się poczuć dorosła, a matka na siłę wpychała ją w dziecięce ubranka.

Orzechowicz, przyjmując zlecenia, nie miał zwyczaju zadawania kłopotliwych pytań. Potrzebny był taki czy inny program, siadał i opracowywał. Tym razem jednak Grzegorzowi wyklúło się w łepetynie straszne dziwactwo, z którego mogły wyniknąć jedynie kłopoty. Konrad wysłuchał propozycji z niesmakiem, pomyślał i odpowiedział krótko: Odwal się, stary, nie ten adres! Taka riposta zapowiadała czasowe ochłodzenie stosunków, czym akurat zbytnio się przejął. Ludzie, którzy znają swoją wartość, nie są strachliwi. Obiecał wykończyć na poniedziałek jeden drobiazg i zapowiedział, że zaraz potem zrobi sobie dłuższy oddech. Nie precyzował, co właściwie znaczy i jak długo trwa taki dłuższy oddech. W poniedziałek Karolina wyjeżdżała z Mi-kulą do Warszawy i to był powód do zmartwienia poważniejszy niż dąsy Grzegorza.

- Dlaczego ty się, ssaczku, tak głupio upierasz? - spytała ostatnio.  
-Muszę jechać. Szef dał mi polecenie i wyżej pępka nie podskoczę. Podpisujemy ważny dla firmy kontrakt, dzięki któremu i ty będziesz miał co robić.

- Podpisujecie w poniedziałek o dwunastej. Spokojnie zdążysz na Kujawiaka i wieczorem będziesz w domu.

- Ależ ty jesteś poinformowany! - Pokręciła głową z podziwem.  
-Skąd masz taką imponującą wiedzę: Reuter ci doniósł czy w radiu mówili?

Wzruszył ramionami. Co jej miał powiedzieć? Że wszystko, co wiedział, pochodziło od tej grubej sprzątaczkii?! To nie było wiarygodne źródło informacji. Konrad nie znał jeszcze ludzi ani układów w firmie, ale Henia zdążyła mu podpaść. Krążyła niczym sęp wokół jego pokoju, czyhała, dreptała. Sam siebie zaczął posądzać o halucynacje, bo niby jaki interes mogła mieć do niego taka starszawa kobiecina? A jednak okazało

się, że miała. Podeszła na korytarzu, kiedy rozmawiał z magistrem Wydroniem.

- Panie inżynierze, na jedną chwileczkę.

Gdyby nie mrugała przy tym, może by przeprosił Wydronia i odszedł na bok. Jej poufałość wydała mu się dziwna i niesmaczna.

- O co chodzi? - spytał bez większego zainteresowania.

- Chodzi o wyjazd pana... znajomej z dyrektorem - szepnęła poufale.

- Delegacja jest na trzy dni, ale ja wiem, że umowę podpiszą w poniedziałek o dwunastej. To co będą robić do środy?

- Dyrektora niech pani spyta.

Kobieta tak była zaskoczona naiwnością Konrada, tak się przy tym rozzuchwalała, że po raz drugi mrugnęła porozumiewawczo i zaczęła nadawać o grzesznym romansie, jawnej zdradzie i tak dalej. Najwyraźniej magister Wydroń również był uczulony na perskie oczka, bo pierwszy ochłonął ze zdumienia. Orzechowicz słabo znał człowieka, tyle co z działu organizacji, i nie posądzał go o znajomość tak jędrnej i dosadnej polszczyzny. Sprzątaczką przez chwilę łapała powietrze jak ryba, a dopiero potem oddaliła się truchtem do swoich zajęć.

- Rugnąć też bym potrafił, choć bez pańskiego polotu i tych wszystkich cytatów z zakresu obowiązków - powiedział Konrad z uśmiechem.

- Do czego te baby człowieka doprowadzą! - zdumiał się Wydroń. - Jeszcze rano uważałem, że pajakowi nóg z tyłka nie umiałbym wyrwać, a teraz Heni wyrwałbym obie razem z językiem.

Ani razu nie padło imię kobiety nazwanej tajemniczo „znajomą”. Orzechowicz nie miał wątpliwości, że jego rozmówca doskonale wiedział, kogo broni przed wścibską babą. Poczul do niego cichą sympatię i jednocześnie jakiś nieokreślony żal do Karoliny. Wyjeżdżała w poniedziałek. Jakby tego było mało, zapowiedziała, że w sobotę musi wyskoczyć do Torunia. Zdenerwował się, nie chciał słyszeć o żadnej delegacji, o noclegach w Warszawie i trzydniowej nieobecności.

- Dlaczego od razu nie powiesz, że masz mnie dosyć, że jestem wolny i kończymy naszą zabawę. Nie musisz uciekać w Polskę! - powiedział ze złością.

- Fiu, fiu! Aż taki jesteś zarozumiały?! Nie chwyciłam tylko tej wstawki o wolności. Nie czujesz się wolny? Zarozumiały niewolnik, ssaczku, to nie brzmi zbyt dumnie.

Próbował wytłumaczyć, co miał na myśli i w końcu zaczął się plątać pod jej poważnym spojrzeniem. Nie uśmiechała się, nie przekomarzała, tylko patrzyła.

- Zawsze się bałem kobiet zbyt ambitnych! - mruknął.

- Rozumiem. Nie szukasz partnerki, tylko gosposi. Przyjmij wyrazy współczucia i szukaj dalej.

- Mam sobie iść?

- Tak ci spieszno do poszukiwań? Jakbyś nie zaczynał już dzisiaj, to możesz jeszcze chwilę posiedzieć.

Miał ochotę wyjść i nie miał. Dawno już sobie powiedział, że trwały związek z Karoliną nie wchodzi w rachubę, nie umiał się wycofać. A ona odpychała go i nie odpychała.

- Nie pamiętasz przypadkiem - spytała nieoczekiwanie - czy w czasie naszego burzliwego romansu dałeś mi choć jeden kwiatek?

Zasepił się i zdecydował, że jednak powinien wyjść. Nie dał jej nigdy ani kwiatka, ani najmniejszego drobiazgu. Jakoś nie wpadło mu to do głowy. Kiedy szli na obiad czy do kawiarni, oczywiście płacił rachunki i to było całkiem zrozumiałe. Karolinie chodziło jednak o coś innego: o miłe gesty, o pamięć, może odrobinę czułości. Rozumiał to, wyczuwał intencje, jednocześnie z przerażeniem odkrył, że jest w środku pusty. Gdyby było inaczej, nie musiałaby pytać o cholerny kwiatek, bo dostawałaby całe bukiety! Wstał.

- Lepiej będzie, jak sobie pójdę - powiedział.

Liczył na jej przekorę, na to, że zamieni swoje pytanie w żart, parsknie śmiechem lub zrobi jakiś inny czytelny gest, który pozwoli mu zostać. Bez słowa odprowadziła go do drzwi i odsunęła zasuwę.

- Powodzenia, ssaczku! - powiedziała.

Głucho trzasnęły drzwi. Był wolny czy nie? Chyba jednak znowu był.

W sobotę Julia wstała o normalnej porze, czyli około szóstej i to sama, bez pohukiwań matki. Wybierała się na podbój Torunia, chciała wyglądać atrakcyjnie, co wymagało staranniejszego niż na co dzień makijażu. Niby to nie filozofia, niby każda kobieta wie, jak się malować, lecz nie każda potrafi ustrzec się drobnych błędów, choćby głupiego kleksa



na powiece. Trzeba zmywać, zaczynać od początku Ależ to wymaga wprawy, myślała, tuszując na brązowo rzęsy.

- Gdzie ty się wybierasz? Zapomniałaś, że dziś wolna sobota? - Zaspana matka zajrzała do łazienki.

Julia od trzech dni mówiła o służbowym wyjeździe, widać jednak pani Emilia zapomniała lub źle usłyszała, bo otrząsnęła się z resztek snu i zaczęła przemawiać normalnym, gderliwym głosem.

- I po co tam jedziesz?

- Służbowo.

- Ale po co? Nie mają już kogo wysłać, tylko stażystów? Ty się Julka na takie wyjazdy nie zgadzaj. Powiedz szefowi, że...

- Mhm. Jak ty powiesz ojcu, że nie będziesz pracować w soboty, ja powiem to samo Mikule! - mruknęła Julia.

Dobrze wiedziała, kto w rodzinnej firmie rządzi. Oficjalnie mówiło się, że ojciec, lecz on na gruncie zawodowym miał tyle samo do powiedzenia, co w domu. Emilia Blendowa zaczęła fukać i coraz natarczywiej domagała się odpowiedzi na podstawowe pytanie: jakie interesy może mieć Julia w Toruniu?

- I ty mówisz, że się do mnie nie wtrącasz, że pozwalasz mi na własne życie! - wybuchnęła dziewczyna. - A gdybym jechała towarzysko, to co? Powinnam spytać o zgodę? Ty się, mamó, przestań ośmieszać, żyj sobie, jak uważasz, ale innym też daj żyć!

Wczesny ranek nie jest dobrą porą do szczerych wyznań. Julia całkiem niepotrzebnie rozpętała burzę. Sama się zdenerwowała, ręce jej

drżały i nie mogła skończyć makijażu, pani Emilia zaś zrozumiała tylko jedno, że urodziła i wyhodowała potwora. Dziewczyna wybiegła z domu zła jak nieszczęście. Cała radość z wyjazdu wyparowała z niej niczym woda z kałuży w upalny dzień. Czy ona zawsze musi mi wszystko popsuć? - myślała rozżalona. Dopiero kiedy trzasnęła drzwiami matiza nieco silniej niż normalnie, trochę się uspokoiła. Ruszyła ostro i przez całą drogę na Zazamcze przeżuwała gorycz porannej awantury.

Karolina nerwowo przechadzała się przed blokiem.

- Nie zdzierzę, nie wyrobię, nie wytrzymam! -jęknęła Julia zamiast powitania.

Przyjaciółka wcale nie była w lepszym nastroju. Gdyby nie to, że osobiście rozmawiała z Kamilą, że namotała spotkanie w Toruniu, to najchętniej zostałaby w domu. Mruknęła coś o cholernym pamperso-wym życiu i lekko wskoczyła na przednie siedzenie.

- Zapnij pas - przypomniała Julia. - Masz taką minę, jakbyś chciała kogoś zarznąć. Jeżeli ja mam taką samą, to już lepiej zjadę do Wisły i popłyniemy sobie z nurtem. Co za pożytek z takich jęczydudków?

Spojrzały na siebie i czy to za sprawą pięknej wiosennej pogody, czy młodości, która szybko znajduje pocieszenie, roześmiały się niemal jednocześnie. Był to krótki przerywnik, chichot odpoczynkowy, a nie zrodzony z nastroju. Obie miały głowy zajęte niewesołymi sprawami.

- Chyba zerwałam z Konradem - powiedziała Karolina, ocierając oczy.

- Jak można zerwać „chyba”? Albo się zrywa, albo nie.

- O, to jeszcze nie znasz Konrada! Wiesz, jak to jest: raz ustąpisz facetowi, a potem już będziesz musiała zawsze ustępować. Jego nie obchodzi, że masz swoje życie, swoje plany zawodowe. Zresztą, niech idzie do diabła. Nie cierpię facetów! Wszystkich bym powiesiła w rządku.

- No wiesz? Teraz to już chyba przesadziłaś! - zachnęła się Julia. -Wściekła jesteś na jednego, ale żeby zaraz całą resztę tak krzywdzić?! Powieś sobie Orzechowicza i fuli. Facet wydaje się trochę zarozumiały, jak podynda, to skruszeje.

- A znasz chłopca, który nie byłby zarozumiały? Wystarczy, że pacan nosi spodnie, jest jako tako wyposażony i od razu snuje sobie fantazje, że ma dwa razy większy mózg od kobiecego, pięć razy szybszy refleks i i nawet... jajniki też ma sprawniejsze. Wszystko wiedzą, wszystko potrafią. Dzieci nie rodzą tylko dlatego, że to boli. Ale jakby rodzili, to aborcja byłaby sakramentem nie przestępstwem. Już ja znam te przewrotne typy.

- Mówisz o Konradzie czy raczej ogólnie?

- Ogólnie, ale o nim też. Niestety, jest taki sam jak wszyscy.

- Taki sam, tylko trochę inny, bo to w nim się zakochałaś! - stwierdziła Julia. - Nieźle ci załazł za skórę, jak widzę.

Karolina prychnęła jak rozzłoszczona kotka. Całą noc miała na przemyślenia i teraz mogła w miarę spokojnie mówić o tym, co się tak pięknie zaczęło i bardzo szybko skończyło. Jej długofalowy program, który realizowała punkt po punkcie, nie uwzględniał czegoś takiego jak zakochanie. Nie składała ślubów panieńskich, jeżeli już, to biznesowe, wykluczające łączenie wielkiej miłości ze spełnieniem zawodowym. Poznała Konrada i przez moment miała wrażenie, że dla niego warto zmienić zdanie, a częściowo także program. Co nie znaczy, by chciała

rezygnować z własnej kariery zawodowej i potulnie podporządkować się mężczyźnie. On najwyraźniej nie był aż tak ambitny, nie myślał poważnie o awansach ani o pieniądzach. To mogła mu darować. Przeraziła się dopiero w momencie, kiedy prawem kaduka usiłował manipulować nią i wtrącać się do jej pracy.

- Nie wierzę - powiedziała stanowczo Julia. - Nie wierzę, żeby ludzie naprawdę zakochani nie dogadali się w takiej prostej sprawie.

- Naprawdę zakochani, mówisz? No tak, ale jest jeszcze coś takiego jak małpia zazdrość i wtedy nie ma pomiluj! Zresztą, może to wcale nie miłość, tylko zmysły?

Na temat małpiej zazdrości oraz zmysłów Julia miała oczywiście własne zdanie, brakowało jej natomiast doświadczeń. O Leszku nie powiedziała przyjaciółce, bo jakoś nie umiała się przełamać, nie wiedziała, jak to zrobić, żeby nie wyglądało na zwykłe przechwałki. Zgłupiał, oszalał, powiedział... Nie, to stanowczo nie wchodziło w rachubę. Wyznanie Leszka było dziwnie dramatyczne, poważne i jakies takie, że myślenie o nim odkładała na później, do czasu, aż zdobędzie się na dystans. Co innego zapaly Chochli. O romantycznym spacerze ulicą Kaliską przekablowała następnego ranka, jednak temat nie był aż tak frapujący, żeby wałkować go przez całą drogę i jeszcze potem z mecenasem w Toruniu. Karolina siedziała poważna i zamyślona. Julia czuła, że jeżeli nie oderwie jej myśli od miłosnych rozważań, to zamiast energicznej dziewczyny dowiezie do Torunia żalospną kupkę nieszczęścia. Zaczęła więc opowiadać o facecie, którego dla swoich potrzeb ochrzciła „mów mi Gutek”. Karolina powoli dochodziła do siebie.

- Bocian?! - krzyknęła zaskoczona. - Juleczko, zwolnij, chcę popatrzeć!

Kilka metrów od ruchliwej jezdni, w koronie rozłożystego drzewa tkwiło spore gniazdo. Jeden ptak siedział, drugi stał nad nim z rozłożonymi skrzydłami. Nic, tylko pan bocian, przed wyruszeniem na polowanie, uzgadniał z żoną menu.

- Najbardziej lubię patrzeć na bocianie gniazda, kiedy już wylęgną się młode - powiedziała Julia. - Są takie śmieszne, ni to szare, ni łyse, z dołu widzisz tylko ciekawskie łebki. Moje bociany mieszkają w Rakutowie. Znasz Rakutowo? Taka spora wieś za Kowalem, z drugiej strony Włocławka. W ubiegłym roku grad zabił w gnieździe dwa bocianie niemowlaki. Smutne bardzo, prawda? Ale powiem ci, że najsmutniejszy był widok starych bocianów. Przylatywały po kilka razy dziennie, kołowały nad gniazdem, siadały na skraju, znowu kołowały i mogę przysiąc, że w ich zachowaniu widziałam ludzki ból i strach. Tego nie da się opowiedzieć słowami. W końcu uznały, że gniazdo jest zajęte, założyły nowe po drugiej stronie ulicy i aż do odlotu kręciły się w pobliżu. W tym roku są już w Rakutowie dwa zamieszkane gniazda. Nie wiem, czy z tej historii można wysnuć jakiś logiczny wniosek, poza tym, że jest to pean na cześć rodzicielskich uczuć.

- Było jedno gniazdo, mówisz, są dwa, będzie więcej bocianiątek i życie toczy się dalej. Nie ma już miejsca na rozpacz, więc się nie roztkliwiaj.

- Ech, ty, zakuta realistko, zauważ, że mówisz do romantyczki!

- Też jestem romantyczką, -Ty?

- A co myślałaś? Jestem. Tylko ten dziadowski świat jest taki parszywy, że nie ma w nim miejsca na romantyzm. Ja, Juleczko, jestem z innego gniazda, ja przeżyłam gradobicie i jeszcze trochę więcej. Kiedy

miałam czternaście lat, moja matka zakochała się, co od biedy można uznać za historię romantyczną. Samotna kobieta z dzieckiem marzy o męskim ramieniu, które w końcu znajduje i w tym miejscu powinien być happy end. W posagu wniosła smutne doświadczenia z przeszłości, dziecko, trochę pieniędzy po rodzicach i wielką miłość. Mężczyzna nie miał dla niej nic, poza własną młodością. Od poświęceń i miłości wolał swobodę, więc uciekł. Matka zapadła na ciężką postać schizofrenii, a ja tułałam się po różnych ciotkach i przysięgam ci, że to nie były romantyczne wędrówki.

Mówiła spokojnie, cicho, jakby relacjonowała cudzą, nie swoją historię. Julia ścisnęła kierownicę aż do bólu palców. Nie ma co, uroczą ze mnie towarzyszką podróży, pomyślała. Co zacznę temat, trafiam kulą w płot i jeszcze mam ochotę płakać.

- Nie wiem, nie rozumiem, jak matka mogła coś takiego zrobić córce  
- powiedziała cicho.

- Kiedyś też nie rozumiałam. Jako dorosła kobieta patrzę inaczej

1 nie potępiam nikogo. Człowiek oprócz instynktu ma jeszcze rozum i dlatego popełnia głupstwa, o jakich nie śni się bocianom ani żubrom.

Rozum, myślała Julia, rozum właśnie każe dbać o pisklaki i unikać głupstw. W tym samym gnieździe, ze dwa lata wcześniej, widziała bocianiątko zawieszona między gałęziami. Rodzice widać uznali, że trójki dzieci nie wykarmią i najslabsze pisklę wyrzucili z gniazda. W bocianie moralności taki czyn widać się mieści, ale przecież nie w ludzkiej. Człowiek nigdy by tak nie zrobił, bo rządzi się rozumem. Próbowала to jakoś wytłumaczyć Karolinie.

- Filozofujesz teraz czy bawisz się w ornitologa? Wiesz co, ty byś się nadała z Leszkiem. On lubi owady, ty ptaszki, mielibyście przynajmniej dwa tematy jak w banku.

Julia znowu ścisnęła silniej kierownicę i udawała, że bardzo pochłania ją prowadzenie auta.

- Czemu zamilkłaś, ptasia romantyczko? - roześmiała się Karolina.

- Straszny dzisiaj ruch - powiedziała cicho Julia. - Słuchaj, czy to prawda, co mówiła Henia o żonie Leszka?

- To akurat prawda. Ciekawe, skąd Henia wie?

- Też mi zagadka! Włocławek ma sto tysięcy mieszkańców i mniej więcej tylu znajomych ma Henia. Dlaczego ona go zostawiła?

- Henia? Kogo niby?

- Dobra, nie chcesz, to nie mów! - powiedziała ugodowo Julia. Karolina po krótkiej chwili milczenia uznała, że nie ma co robić tajemnicy z historii, o której za sprawą jednej Heni może gadać całe miasto.

- Nie wiem, gdzie ją Leszek znalazł, z całą pewnością takie jak ona nie spadają z nieba. Mała heterka, napompowana pretensjami, to największe zło, jakie może się mądrym facetowi przytrafić. Zwiąła, i pewnie teraz żałuje. Po Leszku każdy inny musi się wydać mało czuły i troskliwy.

- Nie ucieka się od czulego i troskliwego męża - powiedziała zamyślona Julia.

- Przecież ci tłumaczę, że to idiotka. - Karolina wzruszyła ramionami. - W każdym razie chłopak wystąpił o rozwód i jest prawie wolny. Dobrze ci radzę, ty się nim zainteresuj!

- A ty nie masz ochoty?

- Jakbym miała, to pewnie byłabym już panią Wydroniową. Na szczęście to inteligentny facet i szybko zrozumiał, że nie jesteśmy stworzeni dla siebie. Nam wystarczy przyjaźń.

Julia odetchnęła głęboko. Wyznanie Leszka wydało się jej o wiele mniej dramatyczne, niż gotowa była sądzić pół godziny wcześniej. Poczowała maleńkie ukłucie zazdrości, że to nie dla niej pierwszej oszalał, i pogratulowała sobie, że niczego nie wypaplała. Nie chciała być dla mężczyzny tą drugą, nawet gdyby miała ją wyprzedzić piękna Karolina. Żony w tym wyścigu nie uwzględniała, żona zresztą odeszła.

Na toruńskiej starówce Karolina wpadła w szal. Ciągnęła Julię od bramy do bramy, pokazywała schodki, kute kraty, detale architektoniczne. Tu malował Rafał, tu Marta biedziła się nad maskaronem, tu to, a tam jeszcze coś innego. Dotarły wreszcie na miejsce. Narożna kamienica niewiele się zmieniła, tyle że kiedyś na parterze była jakaś rupieciarnia, teraz galeria U plastyczek, o czym informował szyld z kutego metalu. Karolina spojrzała roziskrzonymi oczami i pchnęła drzwi.

Na dźwięk gongu z zaplecza wyjrzała drobna, rudowłosa kobieta. Moment zdziwienia przemienił się w wielką radość, przetykaną okrzykami. Z rozmachu obie dziewczyny zostały uściskane i doprowadzone na zaplecze, gdzie z dumnie wypiętym brzuchem siedziała popielata blondynka. Julia musiała w duchu przyznać, że rzadko która kobieta w zaawansowanej ciąży potrafi wyglądać tak pięknie, jak pani mecenasowa



Wilani-Wąsik. Seria uścisków i poklepywań została dokładnie powtórzona. Ruda Kamila i popielata Marta nie mogły nacieszyć się Karoliną. Wypiękniała im przez te lata, wydorosła i nie było żadnych wątpliwości, że ścisnęły ją z wielką radością. Natychmiast zabręczały szklanki, zabulgotał elektryczny czajnik i aromatyczny zapach herbaty wypełnił niewielkie pomieszczenie. A pamiętacie tego?... a tę?... Kto umarł? Kto ożył?

Julia siedziała nieco z boku i wypełniało ją paskudne uczucie zazdrości. Brało się z samego patrzenia i słuchania. Też miała swoje koleżanki ze szkoły i ze studiów, też czasem spotykała jedną lub drugą, lecz takiej zażyłości, takiej serdeczności nie doświadczyła chyba nigdy. Właściwie Karolina była jej pierwszą przyjaciółką, taką, z którą można pogadać bez strachu, że wypaple, że ośmieszy. A te trzy szalały. Nie było końca chichotom i przekrzykiwaniom, jakby zaledwie wczoraj, najdalej przedwczoraj dzieliły się bułką, papierosami i ostatnią łyżeczką kawy. To nie do wiary, ile wspólnych tematów da się wygrzebać z pamięci, nawet jeżeli dotyczyły jednego, dawno minionego roku. Wreszcie przyszła pora na interesy i Karolina z ciężkim westchnieniem spytała o mecenasa.

- Wzdychasz, aż kotary falują - roześmiała się Marta. - Męża nie ma chwilowo w kraju, powiedz, o co chodzi, na pewno zrobię, co będę mogła. Znam ludzi w jego kancelarii i nie zostawię cię bez pomocy.

Zwięźle, najkrócej jak się dało, Karolina opowiedziała o garsonierze, Chochli i zdjęciach. Połączyła w zgrabną całość to, co wiedziała na pewno, z tym, czego się domyśliła wspólnie z Julią. Pewnik w zasadzie był jeden: w rękach Chochli pozostawały fotografie kompromitujące ją oraz dyrektora Mikulę. Cała reszta to już były domysły. W ślad za pierwszą przesyłką, zawierającą pogrózkę „masz co chciałaś”, można się było

spodziewać następnych listów z konkretnymi żadaniami, z próbą zastraszenia czy szantażu. Chochla nieprzypadkowo i na pewno nie w celach kontemplacyjnych usunął się w cień, zamknął samotnie w celi, czyli w garsonierze. Coś knuł, ale czy sam, czy ze współnikami, tego nie dało się ustalić. W każdym razie materiały dowodowe miał raczej bogate i mógł zagrażać wielu ludziom. Karolina nie zamierzała występować w imieniu wszystkich narażonych na szykany, chciała tylko odzyskać negatywy i odbitki swoich zdjęć. W miarę jak opowiadała, piękne oczy Marty zwięzły się niczym szparki.

- Coś ci powiem, Karolinko: żaden, nawet najlepszy mecenas nie załatwi tej sprawy jak należy! - powiedziała pewnym głosem.

- Wiem... Nie chcę, żeby załatwiał, chcę, żeby mi poradził, co mam robić i co mówią w tej materii przepisy prawa - tłumaczyła Karolina.

- Daruj sobie mecenasów i przepisy prawa. Z gnidami trzeba walczyć ich własną bronią, tylko inteligentniej. Mnie możesz wierzyć, uwolniłam Toruń od kilku kanalii.

- Martusiu! - Rudowłosa Kamila patrzyła na przyjaciółkę z jawną naganą. - Przestań się zachowywać jak kombatantka i pamiętaj, co obiecałaś Wojtkowi.

Marta pokręciła głową. Obiecać obiecała, ale w innej sytuacji. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że jej przyjaciółka, która podzieliła się z nią ostatnią bułką, wpadnie w tarapaty. Musiała zająć się sprawą i pomóc, bo nikt nie miał tylu doświadczeń, co ona, a przede wszystkim takiej woli zwycięstwa. Zaczęła szczegółowo wypytywać o Chochlę, jego zwyczaje i zainteresowania. Potem kazała sobie narysować plan mieszkania z dokładnym usytuowaniem wersalki, drzwi, lampy i wielu innych

szczegółów. Karolina odpowiadała precyzyjnie, lecz wierciła się przy tym, jakby siedziała na gwoździach, nie na wyściełanym krześle.

- Mogę walczyć z kanalią, czemu nie, byle w zgodzie z prawem -stwierdziła, spoglądając niepewnie na Martę.

Julia wychyliła się ze swojego kąta i przysunęła krzesło bliżej stolika. Była pod całkowitym urokiem pani mecenasowej i dosłownie piła z jej ust każde słowo.

- Karolinko, to twoje prawo jest do kitu! Małego człowieczka wsadzi za kraty, wielkiego złodzieja wypuści za kaucją - powiedziała stanowczo. - Najlepiej na jakiś czas zapomnij, kim jesteś z zawodu, albo pozwól mnie działać. Rozumiem intencje pani Marty, nie jestem zaangażowana emocjonalnie, poza tym nawiązałam kontakt z Chochlą i mogę się przydać.

Marta spojrzała na Julię z uznaniem.

- Brawo, kochana! Tak właśnie trzymaj! W pojedynkę trudno drania usadzić, ale dwie, trzy zgrane babeczki poradzą sobie z każdym, choćby za nim stał nie wiadomo kto. Jesteś informatykiem, prawda? Znasz się na podsłuchu, fotokomórkach i ukrytych kamerach?

- Średnio. Jeżeli uważa pani, że Chochla mógł się znać, to popytam, poczytam i też będę mądra - stwierdziła z przekonaniem.

- Fantastycznie! Tylko nie mów do mnie pani, bo przyjaciółki naszych przyjaciółek i tak dalej, sama wiesz!

- Ja wiem tylko, że przyjaciele naszych przyjaciółek są naszymi kochankami. O tym mówicie? - ożywiła się Karolina.

- A mężowie przyjaciółek? - Marta spojrzała z udaną surowością.

- Mężowie? - zastanowiła się Karolina. - Mężów przyjaciółek traktuję jak nieboszczyków, nie istnieją dla mnie. Co do innych nie jestem taka radykalna.

- Pociężyłaś mnie, bo właśnie zamierzałam was zaprosić do siebie, kiedy już wróci Wojtek. Same wiecie, jak to jest: jedna piękna, druga piękna, a ja w ciąży. W każdym razie, jeżeli już się odważę, to ani słowa o naszej tajemnicy. On jest cudownie łagodny, tylko czasem wyłazi z niego męska mała.

- Widzisz, Juleczko - zawołała Karolina - to samo ci tłumaczyłam, kiedy tu jechałyśmy. W każdym, nawet najwspanialszym, najprzystojniejszym facecie siedzi zazdrosna mała. Marta to potwierdza.

Mecenasowa Wilani-Wąsik skinęła głową na znak, że oczywiście potwierdza, i zaczęła porządkować rozrzucone kartki. O czternastej, kiedy Kamila zamykała galerię, gotowy był plan unieszkodliwienia Chochli - i to w dwóch wariantach. Drugi, roboczo nazwany „osta-tecznościowym”, uwzględniał nawet włamanie do mieszkania, jednak wariant pierwszy był tak doskonały, że wykluczał wszelką przemoc. Zakładał wizytę w garsonierze dwu pań i to przy pełnej aprobachie lokatora. Jedna kobieta zajęłaby się mężczyzną, druga jego zbiorami. Nic prostszego.

- Chwileczkę! - zaprotestowała Karolina. - Nie znam nikogo, kto chciałby zająć się Chochlą!

- Ale ja znam - powiedziała spokojnie Julia. - Znam dziewczynę z agencji towarzyskiej. Zaaranżujemy jakąś randkę w ciemno lub coś równie miłego, ona nie da chłopu zipnąć, ty spenetrujesz archiwum. Ja będę czuwała na dole, w samochodzie...

- Szczegóły opracujecie na miejscu - wpadła jej w słowo Marta.  
-Plan musi być elastyczny, bo i tak będziecie musiały parę razy go zmienić, zależnie od potrzeb i okoliczności. Zastanawiam się właśnie, czy nie pojechać z wami, bo...

- Marta! - nie wytrzymała Kamila. - Chyba nie zamierzasz zajmować Chochli? Zresztą Julka już kogoś ma.

- Ależ ty się zrobiłaś rozsądna, aż przykro słuchać! - prychnęła Marta. - Na miejscu mogłabym podpowiedzieć to i owo.

- Jasne! Najlepiej, żebyś się władowała pod stół w pokoju! Pod fotel nawet nie próbuj, bo nie wleziesz - wyłośliwiała się Kamila. - Trochę więcej wiary w ludzi, droga przyjaciółko!

Wychodziły z galerii późnym popołudniem, oderwane od teraźniejszości i znowu zanurzone we wspomnieniach. Przyjaciele się postarzelili, one wciąż czuły się młode. Pani mecenasowa nabrała apetytu na wielką kradzioną bagietkę. Życzyła sobie powtórkę z rozrywki.

- Nie dręcz jej. - Kamila objęła Karolinę ramieniem. - Jeśli chcesz wiedzieć, mała, to wcale tej buły nie ukradłaś. Marta na drugi dzień sprzedała obraz i oddała forszę w sklepie.

- Ja też oddałam po stypen... - Karolina spojrzała na dziewczyny i wybuchnęła szalonym śmiechem. Nie chciała powiedzieć, co ją tak rozbawiło, mamrotała coś o mitach i sentymentach.

Konrad położył na biurku Julii dyskietkę.

- Mogłaby pani zerknąć na ten program? - spytał.

Zgodziła się skwapliwie i zamierzała schować dyskietkę do torebki. Przytrzymał jej rękę. Zależało mu na czasie, więc głową wskazał komputer stojący na biurku Edyty.

- Panie inżynierze, monitor może i działa, ale pudło jest puste -szepnęła Julia. - Teraz wszędzie stoją komputery, nawet w pralni, więc szefowa chciała, żeby w Budampoleksie też stał.

Był pewien, że dziewczyna żartuje. Zamierzał osobiście obejrzeć to cudo techniki. Julia bez sprzeciwu podeszła do wielkiego biurka i uniosła monitor. Konrad w tym czasie pochylił się, żeby włączyć komputer, i kiedy gwałtownie uniósł głowę, monitor trzepnął go prosto w czoło.

- O Boże! - krzyknęła Julia i popędziła do kuchenki, gdzie Henia, bodaj pierwszy raz od miesiąca, zmywała szklanki.

Zakręciła się, złapała największy nóż i wróciła do sekretariatu. Konrad próbował udawać, że nic się nie stało. Nie słuchała. Usadziła go na fotelu dla gości, przytuliła jego głowę do piersi, a nóż przycisnęła do czoła.

- Podbił mi pan rękę... nie utrzymałam... to moja wina - szeptała i gładziła lekko chropowaty policzek. - Będzie siniak, bo skóra nie pękła.

- Ma pani ochotę poprawić? - spytał z udawanym przestraczem, choć głowy nie ruszył.

- Niech pan już lepiej nic nie mówi!

- Czemu? Przecież zębów mi pani nie wybiła.

Doceniała jego męstwo i to, że próbował bagatelizować incydent. Pochyliła się tak nisko, że brodą dotykała ciemnych włosów. -Bardzo boli?

- Szczególnie pod okiem. Jak pani trzyma rękę na policzku, to jakby trochę mniej...

Nie uwierzyła, ale ręki z policzka nie zdjęła. Ostatecznie coś się cierpiącemu biedakowi należało. Pomyślała, że od wyjazdu Karoliny nie minęło nawet pół dnia, a ona już utula jej chłopaka. Nóż zrobił się ciepły, więc odjęła go od czoła Konrada.

- Proszę reanimować dalej, bo mogę umrzeć - zagroził. Leczniczą sielankę przerwało wtargnięcie Heni. Rozsiadła się nieproszona w drugim fotelu i z ciekawością patrzyła na zabiegi Julii.

- Metal nie pomoże, masaż trzeba zrobić, oczyścić kanały energetyczne na karku - powiedziała pewnym tonem.

Uniosła się, gotowa nieść pomoc i własnymi rękami energię przekazywać, jednak Konrad był szybszy. Zanim Henia wstała, zerwał się i pociągnął Julię do biurka Edyty.

Nieszczęsny komputer rzecz jasna w całości okazał się atrapą. Zaczęli rozmawiać o potrzebach firmy i nowych zakupach. Pomoc gospodarcza, choć czuła się dotknięta zachowaniem inżyniera, nie obraziła się i nie wyszła. Wręcz przeciwnie, słuchała ze sporym zainteresowaniem i nawet wtrącała do dyskusji swoje trzy grosze. Stanowczo odradzała pośpiech w zakupach aż do wyklarowania sytuacji.

Najwyraźniej miała ochotę podzielić się jakimiś nowinami, ale wrócił Leszek Wydroń. Od pamiętnej awantury Henia nigdy więcej nie wspomniała o molestowaniu i bardzo starannie unikała specjalisty do spraw organizacji. Wyszła z sekretariatu tuż za Orzechowiczem. Julia najchętniej pobiegłaby za nimi. Jakoś niezręcznie jej było siedzieć w

jednym pokoju z Leszkiem i żeby nie dać mu okazji do zwierzeń, sama zaczęła rozmowę na neutralny temat.

- Jak myślisz, po co twojej gruboudce...

- Tylko nie mojej! - obruszył się Leszek.

- Jak myślisz, po co Heni osiemdziesiąt tysięcy? Ja wiem, że pieniądze potrzebne są każdemu, ale zaskoczyła mnie kwota. Tyle miano... dokładnie tyle chciała ode mnie pożyczyć w piątek.

- I pożyczyłaś jej?

Julia zakręciła urocze kółko na czole. Leszek wzruszył ramionami na znak, że nic nie wie o interesach Heni. Patrzył przy tym na Julię coraz cieplej, aż poczuła ciarki na plecach.

- A dowiedziałeś się może czegoś o bossie?

- Niczego. Można powiedzieć: facet znikąd.

Tym razem Julia wzruszyła ramionami na znak, że nie wierzy. Ot, obiecał, nie poszedł i teraz zmyśla. Przesiadła się na fotel Edyty i skwapliwie sięgnęła po sporą paczkę, przewiazaną sznurkiem. Próbowwała dać do zrozumienia, że czas przeznaczony na pogaduszki dobiegł końca i trzeba wziąć się do segregowania poczty.

- Ojej, całkiem bym zapomniała! Dzisiaj muszę wyjechać piętnaście minut wcześniej; gdyby Edyta nie wróciła, zastąpisz mnie?

Zgodził się, nie miał innego wyjścia. Złowiła jego zachwycone spojrzenie. Pomyślała, że chłopak, który znał się na kolorach, z całą pewnością docenił urodę nowej bluzki. Konrad też gapił się na nią jak



sroka w gnat, więc nie miała wątpliwości, że i Bujalę oczaruje. Jeszcze za dobrze nie wiedziała, co robi z oczarowanym prezesem, lecz jak najprędzej chciała mieć za sobą to pierwsze spotkanie.

- Julio, muszę ci coś wyjaśnić! Wtedy...

Nie pozwoliła mu skończyć, przerwała gwałtownie i może nawet trochę niegrzecznie. Zapewniła, że żadne wyjaśnienia nie są potrzebne, że wszystko wie i rozumie, lecz nie widzi sensu, by o tym rozprawiać. Próbował jeszcze coś dodać, ona jednak wertowała korespondencję z takim zapalem, jakby nigdy w życiu nie widziała głupich prospektów reklamowych i ostemplowanych kopert. Na szczęście do Leszka przyszli interesanci. Ledwie zniknął z nimi w swoim pokoju, Julia straciła chęć do pracy. Bezmyślnie przerzucała koperty aż do momentu, gdy jedna przykuła jej wzrok. Przesyłka do rąk własnych dyrektora Miku-li. Bez trudu poznała charakter pisma, a w środku wyczuła zdjęcia. Szybkim ruchem wsunęła kopertę do swojej torebki. Po chwili wsunęła również drugą, zaadresowaną do Edyty. Z bijącym sercem przerzuciła resztę korespondencji. Dla Karoliny nie było nic.

Parking przed biurowcem firmy ubezpieczeniowej był zapchany i gdyby Julia miała większy samochód, to pewnie spóźniłaby się na spotkanie. Mały matiz dał się jakoś wcisnąć między dwa auta, ale z wysiadaniem miała spore kłopoty. Musiała bardzo uważać, żeby swoimi drzwiami nie zarysować czerwonego fiata punto.

- Niech się pani nie pcha, już wyjeżdżam!

Spojrzała na wielkoluda i usiadła - bardziej z wrażenia niż z potrzeby. Na upartego mogła wyjść, lecz po co się było upierać, jeżeli amant pani prezesowej, znany Julii jako tutkarz bachusek, i tak wyjeżdżał.

Bez zbytniego pośpiechu manipulował przy zamku i nie rozglądał się na boki. Całkiem bezkarnie mogła nadrobić zaległości z Teatralnej i obejrzeć go sobie dokładniej. Jasna cera blondyna, upstrzona śladami po trądziku, grube rysy i mięsisty nos nie tworzyły zbyt porywającej całości. Mina bufona pasowała do potężnej postury. Ktoś, kto ma takie bicepsy, nie musi się przesadnie liczyć z otoczeniem, pomyślała.

- Panie Grzesiu! - dobiegło z góry i z okna na piętrze wychyliła się kobieca buźka z wiśniową kreską ust. - Panie Grzesiu, szef kazał, żeby pan coś odebrał od Konrada!

Nie odwrócił się, uniósł tylko rękę z kluczykami na znak, że dotarło do niego polecenie szefa i wreszcie władował się do samochodu.

W sekretariacie Julia ponownie natknęła się na wiśniowe usta - należały do ciekawskiej sekretarki. Spokojnie podała swoje nazwisko, spokojnie zniosła oględziny i całkiem spokojnie weszła do gabinetu. Nogi ugięły się pod nią dopiero na progu.

- Nabrałaś mnie! - ryknął radośnie boss. - Zastanawiałem się mianowicie, jaką sprawę może mieć do mnie informatyczka, a to ty! Siadaj, miss paragraf! Lubię konspirę, dodaje smaczku każdej transakcji. Następnym razem nie strasz mi sekretarki, to zaufana babka. Nie pogadamy dziś, bo już jestem spóźniony na ważną naradę. Żebyś wiedział mianowicie, że to ty... no, ale...

Osunęła się na fotel i niechcący zaczepiła rękawem o papiery, niestarannie rozrzucone na brzegu biurka. Tuż obok jej nóg upadła broszura i jakaś koperta. Choć nie kazał jej niczego podnosić, wyciągnęła rękę. Wielkie kwadratowe kulfony i adnotacja „do rąk własnych” nie pozostawiały cienia wątpliwości, kim był nadawca. Odłożyła kopertę na

biurko. Na szczęście boss nie zostawiał jej czasu na myślenie, cały czas gadał. Nie częstował kawą, bo się śpieszył, przeproszał, był zachwycony jej wyglądem, pytał, czy bukiet ładny, i sam sobie odpowiadał, że oczywiście piękny.

- Orzechowicza znasz, prawda? Musimy się spotkać w czwórkę...

- Zagramy w brydża? - spytała.

Odkąd znalazła się w gabinecie, było to pierwsze zdanie, jakie udało jej się wtrącić do monologu Bujały. Spojrzał na nią i zarechotał.

- Najpierw interesy, miss paragraf, a potem... potem to już moja głowa, żebyś tylko wzdychała... sam na sam i bez brydża. Dobrze mówię?

Lepiej niż katarzynka, pomyślała, lecz patrzyła z zainteresowaniem w wyłupiaste oczka bossa. Dość szybko odzyskała równowagę i nawet przestała żałować, że nie dawał jej okazji do zademonstrowania talentów aktorskich. Jej własny scenariusz, tak starannie reżyserowany przez kilka wieczorów, okazał się niepotrzebny. To on gadał jak nakręcony i wszystko wiedział z góry. Nie rób sobie przesadnych nadziei, facet, myślała uspokojona, zostaw trochę pary na moment rozczarowania. Umówił się z nią na piętnastą trzydzieści następnego dnia i poprosił o numer telefonu. I to był ten drugi raz, kiedy w gabinecie Bujały zabrzmiał dźwięczny głos Julii. Wychodziła z uczuciem rozsadzającej ciekawości. Niczego już nie rozumiała, niczego nie wiedziała, wszystko ją zaskakiwało. Orzechowicz miał prawo znać Bujałę, ale kim był ten czwarty do brydża? Najpierw pomyślała o Chochli, potem o Leszku. Za Chochlą przemawiała koperta, za Leszkiem... Właściwie nic nie przemawiało za Leszkiem. Chyba tylko spotkanie w Teatralnej.

Ledwie wpadła do domu, zamknęła starannie drzwi wejściowe, potem te od swojego pokoju i dopiero tak odizolowana od świata, w pustym mieszkaniu, odważyła się wyciągnąć z torebki przesyłki, zaadresowane nie do niej. W kopercie Mikuli były dwa zdjęcia starego i Karoliny. Biedak na obydwu wyszedł nieszczególnie jako mężczyzna i o to chyba nadawcy chodziło. Do zdjęć dołączony był liścik: szt -1000 zł płatne do banku natychmiast po otrzymaniu nie później niż w ciągu dwu dni jeśli nie chcesz świecić przy datkami w gazecie i gdzie indziej. Zamiast podpisu była nazwa banku i numer konta. Koperta Edyty zawierała cztery fotki z tej samej serii, z bardziej wyeksponowaną postacią Karoliny. Listu nie było.

Julia starannie schowała obydwie koperty i skuliła się na fotelu. Zakręciło jej się w głowie od faktów, nazwisk i twarzy. Ale się włado-wałam w towarzystwo, pomyślała z niechęcią. Jeżeli wciąż jestem Matą Hari, to całe podobieństwo sprowadza się do nieuchronnej egzekucji. Co ja właściwie wyprawiam? Uwodzę szantażystę, kradnę cudze listy i pcham się w jakąś szaloną aferę, o której nie mam zielonego pojęcia. Przez chwilę zapragnęła rzucić wszystko i umknąć samotnie do Szczyrku, gdzie nikogo nie znała, lub jeszcze chętniej na plan „Quo vadis”, gdzie nikt jej nie chciał. Jednocześnie czuła, że nie potrafi się wycofać. Namąciła trochę i przynajmniej winna była pomoc Karolinie. Mogła sobie darować Mikulę, losy firmy, Bujalę, bo im niczego nie obiecywała

- Graj, Juleczko, dalej, nic innego ci nie zostało - powiedziała głośno dla dodania sobie odwagi. Właściwie wszystko było przed nią. Dlaczego niby miała zakładać przegraną, jeśli chciała wygrać! Próbowwała zebrać myśli i wyciągnąć logiczne wnioski. Nadal niczego nie rozumiała, ale coś zaczynało jej świtać.

Chochla! Facet najwyraźniej połknął przynętę, którą niechcący zarzuciła, i zaczął gromadzić pieniądze na wspólny wyjazd. Prosił przecież, żeby mu dała trochę czasu. Skąd mogła wiedzieć, że jednym skinieniem głowy ugotuje Mikulę i paru innych ludzi, choćby Bujalę? A co z Karoliną? To, że zdjęcia Karoliny były w kopercie dla Edyty, mogło znaczyć bardzo dużo. Albo kompletnie nic. Marcin był nieobliczalnym durniem, więc w grę wchodziła zarówno zwykła pomyłka, jak i współdziałanie z sekretarką.

Boss! Zaskoczenie było obopólne. Nie jego spodziewała się zastać w fotelu prezesa Bujaly. Prawdopodobnie był szantażowany przez Chochlę, na pewno znał amanta Mikulowej, a ją, Julię, brał za prawniczkę Karolinę Cierniak. Nie wyprowadziła go z błędu, po pierwsze dlatego, że nie dopuścił jej do głosu, po drugie, sama nie wiedziała, jak będzie lepiej dla sprawy. Przyjęła jednak wyzwanie i następnego dnia zamierzała jeszcze raz złożyć wizytę bossowi. Liczyła, że w razie czego Konrad stanie w jej obronie.

Leszek! Na wspomnienie Leszka poczuła przykry skurcz w piersiach. Kłamał cały czas, od momentu, gdy pokazał Karolinie zieloną teczkę. Wypierał się znajomości z Bujalą, wiedział znacznie więcej, niż mówił, i z jakichś powodów podpuszczał obie dziewczyny. Spotkanie w Teatralnej było ukartowane. Naszła ją ochota, by natychmiast porozmawiać z Leszkiem. Jeżeli oszukiwał, to nie dlatego, że miał taką fantazję, tylko krył się za tym jakiś cel. I właśnie o ten cel chciała zapytać.

Sięgnęła po książkę telefoniczną i całkiem przypadkowo otworzyła na literce P. Jak Pałubska. Nazwisko Edyty podkreślone było czerwonym pisakiem i wyraźnie odcinało się od innych. Zerknęła bez większego zainteresowania. Tuż nad Edytą była Bronisława, czyli świętej pamięci sąsiadka Wandy. Julia zastanowiła się moment i nowy szalony pomysł

zaświtał jej w głowie. Od śmierci pani Bronisławy minęły dwa czy trzy lata, zmienił się charakter mieszkania, ale numer telefonu najprawdopodobniej pozostał ten sam. Wystarczyło zadzwonić, by przekonać się, czy rzeczywiście siedzi tam głupi Marcinek.

Długie sygnały jeden po drugim nieprzyjemnie dźwięczały w uchu. Próbowwała jeszcze ze dwa razy i nic. Chochla mógł wyjść, mógł siedzieć i nie podnosić słuchawki lub - co też należało brać pod uwagę - trop był niewłaściwy. Co do tropu Julia miała jednak inne zdanie, uważała, że jest bardzo właściwy. Telefon sprawił, że znowu poczuła się w środku wydarzeń, które za namową Marty rozkręcały wspólnie z Karoliną. Zapomniała o Leszku, szykowała się do usadzenia Chochli.

W czasie gdy Karolina pertraktowała w Warszawie, Julia miała zebrać na miejscu jak najwięcej informacji. Przede wszystkim ustalić, czy Marcinek wychodzi z domu, w jakich godzinach i czy ktoś go odwiedza. Bardzo w tym względzie liczyła na znajomość z Wandą. Musiała też pozyskać trzecią współpracowniczkę. Przed powrotem rodziców wyskoczyła na chwilę do Renaty. Rozumowała logicznie, że dla dziewczyny zatrudnionej w agencji towarzyskiej obce jest uczucie obrzydzenia. Idzie z partnerem, który płaci, i koniec. Tym razem płacić miał nie mężczyzna, tylko one z Karoliną. Powiedzmy, że miały swój dzień dobroci dla zwierząt i postanowiły zafundować miłemu Chochli godzinę przyjemności. Julia szła do koleżanki w przekonaniu, że interes jest czysty, dyskusja zaś może dotyczyć jedynie ceny. A jednak.

- Julka, w co ty mnie chcesz zrobić? - spytała Renata. - To nie jest uczciwe, co mi proponujesz. Pracuję w agencji, wcale się tego nie wypieram, ale to nie znaczy, że biorę każdą robotę. Nie pomogę wam

wynieść zdjęć ani niczego. Wy znikniecie, ja zostanę i po co mi taki szajs? Za dobrze zarabiam, żebym miała ochotę ryzykować.

- Reniu, chodzi tylko o jedną dziewczynę, o moją przyjaciółkę! - błagała Julia.

- Będę z tobą szczerą! Te babki z garsonier, te co dają na czarno, robią nam konkurencję. Ja się nad takimi nie lituję. Takie czasy nastały, niestety!

Stanowcza i zdecydowana odmowa Renaty sprawiła, że najważniejsza część planu zawaliła się z hukiem. Ktoś musiał zabawić Chochłę, by ktoś inny wyniósł z mieszkania archiwum, czyli zdjęcia i filmy. Chciała oczywiście pomóc Karolinie, zgadzała się odwalić najczarniejszą robotę, byle tylko nie wystąpić w charakterze niańki lub... brr... nałożnicy. Na samo wspomnienie Marcinka dostawała zimnych dreszczy. I kiedy tak nieprzychylnie sobie o nim rozmyślała, w przedpokoju rozdzwonił się telefon. Podbiegła natychmiast, przekonana, że to Karolina lub Marta. Męski głos, który chciał rozmawiać z Julią Blendą, wpadał do ucha i - lichowię jakim cudem - niebezpiecznie wpływał na dygot nóg. Wywołała wilka z lasu i z wrażenia musiała oprzeć się o ścianę.

- Dlaczego twoja komórka nie działa? - spytał z wyrzutem Chochła. Potem długo jej tłumaczył, ile starań kosztowało go zdobycie numeru domowego.

Siedział w domu, pluskolec przebrzydły, tylko nie odbierał telefonów, pomyślała ze złością. Mruknęła coś uspokajająco o awarii komórki i z przerażeniem stwierdziła, że Marcin z wyrzutów skoczył prosto w sentymenty. Plótl jak prawdziwie zakochany i nawet nie świntuszył, co zupełnie do niego nie pasowało.

- Tego... no, ty lubisz jakąś biżuterię? - spytał nieoczekiwanie.

- Znasz kobietę, która nie lubi? - odpowiedziała wymijająco.

- Nie wiem... no... ale oprócz ciebie nie znam żadnej, której chciałbym coś dać.

Uczepiła się tej biżuterii, żeby mu wytłumaczyć, że bardziej ceni u mężczyzn szczerść niż hojność. Zachichotał ubawiony. Widać miał zupełnie inne doświadczenia w tej materii.

- Nie śmieję się, nie masz do mnie zaufania. Też chciałabym dzwonić do ciebie, kiedy przyjdzie mi ochota.

- Wiem, tego... ale ty też mi dałaś zły numer. A mój telefon - znowu zachichotał - jest przedpotopowy i on odbiera tylko... no... niektóre rozmowy.

- Zwłaszcza od Edyty, prawda! - powiedziała tonem rozkapryszonej zazdrośnicy.

- No, tego... ona wie, ale wiesz... ona to co innego. Ja ciebie kocham.

Wyznanie było czułe, można powiedzieć - wyczerpujące, lecz na Julii nie zrobiło dobrego wrażenia. Był daleko, mógł sobie gadać, co chciał, a ona nie miała zamiaru więcej go oglądać. Musiała natomiast -i to za wszelką cenę - zdobyć numer telefonu. Obiecała to Karolinie. Najprościej byłoby spytać Edytę, pomyślała ubawiona. Co takiego mogła wiedzieć Edyta, o czym Julia nie miała pojęcia? Uruchomiła wyobraźnię. Zobaczyła wielkie biurko i sekretarkę bębniącą palcami po blacie. To było tego ranka, gdy chciała dzwonić do Bujały. Coś ją wtedy uderzyło, ale co? Od dedukcji oderwał ją następny telefon.



- Mikula mi się oświadczył! Co ty na to? - spytała Karolina.

- A mnie Chochla. Co ty na to? - odpowiedziała Julia i już chichotały razem, jedna w Warszawie, druga we Włocławku. Karolinie widać nie miał kto przerwać, ale nad Julią czuwała matka i rozmowa z konieczności została skrócona do minimum.

Głupia jestem jak stołowa noga, wyrzucała sobie Julia, ścieląc tapczan. Przecież mam tę cholerną komórkę, która daje mi niezależność... tylko gdzie ją mam? Postanowiła zaraz po kąpieli odszukać telefon, podłączyć do ładowarki i więcej się z nim nie rozstawać.

W firmie zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Przede wszystkim od ubiegłego tygodnia, od piątku lub nawet czwartku, nie pokazała się pani prezes. Ostatnio wpadała nawet za często, po trzy, cztery razy dziennie i nagle jak nożem uciął. Dyrektor wciąż był w Warszawie i normalnie dla sekretariatu powinny nastać złote czasy. Pod nieobecność szefa zawsze pracy ubywało. Tym razem jednak w Edytę wstąpił duch reformatora. Od poniedziałku twardą ręką chwyciła swój personel. Wyspowiadała Leszka z tego, co zrobił i czego nie zrobił, potem dobrała się do skóry Julii.

- Instrukcja obsługi kombajnu? - zdziwiła się, patrząc na biurko.  
- Przecież nawet nie mamy takiej maszyny. Kto ci to kazał tłumaczyć?

- Pani na polecenie szefa.

- Kiedy to było! Nie wrywasz sobie rękawków, prawda? Wyrzuć te papierzyska do kosza! Od dzisiaj usiądziesz na moim miejscu i przejmiesz moje obowiązki. Nie rób takich oczu. Jak widzisz, Mikula jeszcze mnie nie zwolnił i nieprędko zwolni. - Roześmiała się krótko, ostro i niewesoło.

Julia posłusznie, choć z duszą na ramieniu, przeniosła się za biurko Edyty. Nie bardzo rozumiała, co się dzieje. Sekretarka urzędowała w gabinecie dyrektora, asystentka dyrektora zastępowała sekretarkę, jedynie Leszek został u siebie. Edyta zachowywała się zupełnie inaczej niż do tej pory. Przede wszystkim zmieniła ton i sposób rozmowy. Nie prosiła, lecz wydawała polecenia. Nawet pomoc gospodarcza odczuła na własnej skórze, że coś jest nie tak. Raz tylko spróbowała zrzucić na Julię mycie szklanek i to, co usłyszała, przejęło ją największą grozą.

- Albo pani pracuje, albo jutro proszę się nie fatygować. Na pani miejsce czeka kilkanaście kobiet - powiedziała Edyta.

Purpurowa ze złości Henia wycofała się bez słowa i co było zupełnie do niej niepodobne, starła podłogę w kuchence, potem siłą rozpędu jeszcze kurze w sekretariacie. Jediną osobą, z którą Julia mogła porozmawiać, był Leszek. Ostatnio go unikała, lecz po rozmowie z Bujalą zmieniła zdanie.

- Napijesz się herbaty? - spytała, zaglądając do pokoju magistrów. Podniósł głowę znad papierów. Twarz miał bledszą niż zwykle,

oczy podkrążone.

- Zaraz sobie zrobię, nie fatyguj się, Julio! - odpowiedział poważnie i tak jakoś zasadniczo, że dziewczynę zamurowało.

- Mocną, z dwiema łyżeczkami cukru, o ile pamiętam! - Uśmiechnęła się leciutko i wyszła do kuchenki zagotować wodę. Niczym spod ziemi wyrosła obok Henia.

- Ty widzisz, jakie zmiany? - szepnęła konspiracyjnie. Zajrzała przy tym do sekretariatu, by upewnić się, że Edyty nie ma.

Julia wzruszyła ramionami.

- Albo szykuje się nowy przekręt, albo firma splajtowała, jedno z dwojga. Nie wiem, co bym wolała, bo zdaje się w obu przypadkach czeka nas to samo, czyli bezrobocie - odpowiedziała.

- E, nie jest tak źle. Mikulowa sprzedała firmę, wiesz? Powiem ci, że możemy na tym wyjść dużo lepiej. To na razie tajemnica. Ludzie reagują histerycznie na takie zmiany, nie trzeba ich straszyć. Każdy psycholog ci to powie. Jedynie pana Leszka możesz uprzedzić.

- Sama go uprzedź. Narobiłaś chłopakowi brudu...

- No i co ty opowiadasz? To były żarty. - Henia wydawała się zawstydzona. - Ja tam przesądna nie jestem, ale w sny wierzę. Pamiętasz, jak mi się śniła małpa? Wyszły plotki i dybanie na moją cnotę, pamiętasz przecież?! Plotek się boję, to trochę pomogłam losowi. Nagadałam, bo nagadałam, tylko mi nie mów, że dla chłopca jest to poważny zarzut. Oni wszyscy są jak te psiaki, za spódniczkami tylko ganiają, czy to Leszek, czy inny.

Na szczęście czajnik zabulgotał i Julia mogła zająć się parzeniem herbaty. Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć i jak zareagować, jednak dzięki Heni znalazła pretekst do rozmowy z Leszkiem. Uspokoila chłopaka, że nie będzie odpowiadał za molestowanie seksualne pomocy gospodarczej, i natychmiast, jako zwykłą ciekawostkę, przekazała wiadomość o sprzedaży firmy. Była przekonana, że w gadaniu Heni tyle prawdy, co w historii z cnotą.

Leszek widać był innego zdania, bo patrzył poważnie, bez uśmiechu.

- Wiesz coś więcej na ten temat? - spytała zaskoczona.

- Więcej, to znaczy komu sprzedała, tak? Nie mam pojęcia, komu by się opłacało kupować taki burdel na kółkach. Budampolex 2 to nie Nobiles ani Delekta, zagraniczni kontrahenci odpadają. Nie, Julio, nie wiem nic więcej.

Julia przypomniała sobie „mów mi Gutek”. Facet plótł coś o sprzedaży i być może wcale nie wspominał starych dziejów, jak początkowo sądziła.

- A gdyby nową właścicielką była kobieta - powiedziała z namysłem  
- to kogo byś typował?

- Może Henię?! - Napił się gorącej herbaty i wykrzywił pocieszenie.

Julia jednak nie miała ochoty na żarty. Była pewna, że wiedział dużo więcej, niż mówił. Delikatnie dotknął jej ramienia.

- Nie martw się, jakoś to będzie!

- Jakoś, to ja sobie radzę z matką w domu. W pracy chciałabym robić to, co umiem, i mieć pewność.

- Może jeszcze będziesz miała.

- Jak Bujala zostanie właścicielem? - rzuciła z zaczepką w głosie.  
- Nie znasz Bujaly? Za to znasz kłopotka, inaczej bossa, prawda? To ten sam facet i nie mów mi, że nie wiedziałeś.

Wydroń pobladł jeszcze bardziej.

- Byłaś u niego? - spytał cicho.

Julię zastanowiła ta nagła bladość i ten dziwny, głuchy szept. Oho, pomyślała, niechcący nadepnęłam patyczakowi na odcisk.

- A po jaką cholere miałabym odwiedzać twoich kumpli? - powiedziała gderliwym tonem własnej matki. - Umówiliśmy się, że gramy zespołowo. Lubię trzymać się zasad, takiego mam konika. Od początku nie chciałeś, żebym do niego poszła, teraz robisz minę kota na puszczy, zamiast po ludzku wyjaśnić, o co chodzi.

- Nie jest tak, Julio, jak myślisz.

- Skąd możesz wiedzieć, co ja myślę? , ;..

- Nie jest tak! - powtórzył z cichym uporem.

- Wiem. Jest dużo gorzej, bo jeden z partnerów gra znaczonymi kartami! Nie będę pokazywała palcem który.

Mógł zaprzeczyć, zaprotestować, mógł się bronić, ale wybrał milczenie. Julia zrezygnowana wróciła do sekretariatu.

Przed wyjściem z biurowca zajrzała do działu informatyki. Edyta nie zgodziła się, żeby w godzinach pracy pomagała inżynierowi Orzechowiczowi przeglądać programy komputerowe. Do czasu zmian organizacyjnych chciała ją mieć w sekretariacie. Julia wstąpiła więc do Konrada, by zaproponować popołudniową współpracę. Wyraźnie się ucieszył.

- To co, pojedziemy do mnie? - spytał.

- Nie, nie, ja też mam dobry sprzęt! - zaprotestowała gwałtownie.

- W porządku! - uśmiechnął się nieznacznie, kącikiem ust. Poczula, że się rumieni. Nie była z siebie zadowolona. Gwałtowny protest i rumieńce uznała za swoją wpadkę.

Śliczna mała i jeszcze potrafi się rumienić, pomyślał Konrad.

Uczciwie przepracowali u Julii całe popołudnie z dwiema niewielkimi przerwami na jedzenie. Od komputera oderwał ich dopiero powrót Blendów z pracy. Matka za nic w świecie nie chciała sobie darować kolacji w towarzystwie pana inżyniera. Nie przyjmowała do wiadomości grzecznej, aczkolwiek stanowczej odmowy Konrada.

- A cóż to się panu stało w oko? - spytała, gdy próbował się pożegnać.

- Drobiazg. Upominek od pięknej kobiety - odpowiedział z uśmiechem.

- Coś ci kipi! - krzyknęła Julia. Za dobrze znała matkę, by po minie nie zorientować się, co zaraz powie. Dzięki fałszywemu alarmowi Konrad umknął w samą porę.

- Wypuściłaś gościa bez kolacji? - zirytowała się matka.

- Zje w domu.

- To ta baba go tak urządziła? Jak mówiłam, że awanturnica, nie chciałaś mi wierzyć. Miły chłopak, ale mógłby zdjąć buty w przedpokoju, jak wszyscy. Następnym razem podpowiedz mu... Możesz nawet powołać się na mnie.

- Wykluczone! To mój gość i najwyżej sama sprzątnę. Facet w skarpetkach wygląda komicznie.

- Niby czemu? Co w tym komicznego, że oszczędza moją pracę? I nie gadaj mi, że sprzątniesz! Twoje majtki leżą już drugi tydzień w łazience i zastanawiam się, co włożysz na tyłek, jak ci nie wypiorę?

Julia nie lubiła gadania matki nawet wtedy, gdy znajdowała w nim ziarno prawdy. Fakt, nie sprzątała, nie prała, nie robiła w domu właściwie niczego, ale to dlatego, że matka chciała czuć się potrzebna i niezastąpiona, żeby móc o tym rozprawiać przy każdej okazji.

Dobra, od dzisiaj piorę i sprzątam u siebie, postanowiła Julia, zamykając się w pokoju pod pretekstem dalszej pracy.

Wieczorem zadzwoniła Karolina. Nastąpiły nieprzewidziane trudności w negocjacjach i pobyt w Warszawie wydłużył się do czwartku. Pytała o Konrada i Chochłę, choć o każdego inaczej.

- Wracaj szybko. Tutaj zmiana goni zmianę, ale to nie jest rozmowa na telefon. Co w stolicy? Jak towarzystwo?

- Same mordochlejki! Rzygać mi się chce od tych pustych gadek. O Mikuli i jego oświadczeniach nawet nie wspomniała.

Przed snem Julia próbowała poczytać. Sięgnęła po „Quo vadis”, ale jakoś zabrakło jej ochoty, by spotkać się z partnerem. Myślała Winicjusz, a widziała ostre rysy, głęboko osadzone oczy i sporego guza na czole.

Następnego dnia, kiedy Konrad zapytał, gdzie będą pracować po południu, zgodziła się pojechać do niego. Był odpowiedzialnym facetem, zachowywał się normalnie, poza tym mama Blendowa nie знаła jego adresu, Julia zaś była ciekawa, jak żyje i mieszka samotny mężczyzna.

Konrad wciąż jeszcze miał kłopot z odpowiedzią na pytanie, kim jest dla niego Karolina. Nie kochał tej zakręconej dziewczyny, ale tęsknił za jej pieszczotami, za ciałem, wspominał miłe chwile i wtedy gotów był gryźć palce ze złości, że przegrał z kimś takim jak Mikula. Wystarczyło jednak, że trochę ochłonął i już zaczynał się zastanawiać, czy nie powinien dziękować

losowi. Jeszcze nie zdążył podziękować, gdy przed oczami jawiły się ślicznie zaokrąglone piersi, a z nimi wracała ochota, by gryźć palce. Huśtał się od chłodnej logiki po gorącą zazdrość. Nie zwariował chyba tylko dlatego, że był przywalony pracą i niewiele miał czasu na myślenie.

Nie zwariował również dlatego, że inżynier Julia Blenda rozbiła mu głowę. Pozornie jedno z drugim nie miało żadnego związku. Oberwał solidnie i to było przykre; przykry był również późniejszy siniak. Natomiast wszystko, co się zdarzyło między oberwaniem i siniakiem, było wyjątkowo miłe, szczególnie dotyk delikatnej dłoni na policzku. Niestety, Julia opatrzyła ranę i koniec. Następnego dnia pracowali razem całe popołudnie i wychodziło na to, że bez drugiego guza nie ma mowy o żadnym gładzeniu policzka. Dziewczyna była miła, serdeczna, lecz skupiona wyłącznie na analizie programów. Podziwiał jej błyskotliwość, cieszył oczy śmiesznymi piegami na nosie i nie bardzo wiedział, jak zvekslować rozmowę na inne tory. Julia ucieleśniała typ, jaki go zawsze pociągał. Delikatna i krucha, budziła opiekuńcze instynkty. Spoglądał na nią coraz cieplej i dzięki niej przestawał myśleć o Karolinie. Oj, Raduś, Raduś, kiedy ty się ustatkujesz, przemawiał do siebie czule słowami ciotki Eweliny. Żyjesz na świecie trzydzieści trzy lata i albo uciekasz przed babkami, albo chwytasz dwie jednocześnie.

Zapraszając Julię do swojego mieszkania, wcale nie zakładał, by miało z tego wyniknąć coś złego. Czy to nie wszystko jedno, w którym mieszkaniu siedzi się przy komputerze?

- Ojej! - wykrzyknęła zaskoczona Julia.

Z niedowierzaniem patrzyła na meble, które mimo ich wieku trudno byłoby nazwać antykami, na białe szydełkowe serwetki i doniczki z kwiatami. Brakowało tylko mruczącego kota na poduszce.



- Co panią tak zaskoczyło? - spytał. Wystraszył się, że zobaczyła pająka albo zwały kurzu. Poprzedniego wieczoru posprzątał trochę na wypadek, gdyby przyjęła jego zaproszenie.

- Pan mi pasuje do zupełnie innego wnętrza. Regały na książki, grafika na ścianie... Tylko biurko się zgadza. Ile razy wyobrażałam sobie pana... - zamilkła zawstydzona, zarumieniła się i dokończyła o wiele ciszej:  
- to zawsze w takim nowoczesnym pokoju.

Uśmiechnął się leciutko, po swojemu, jednym kącikiem ust. Szczera naiwność Julii przypadła mu do gustu. To było bardzo miłe, że myślała o nim, wyobrażała go sobie na tle surowego wnętrza. Czy tylko na tle wnętrza? Męska próżność kazała mu w to wątpić. Czemu kobiece myśli miałyby być skromniejsze od męskich? Rozejrzał się po pokoju, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Wszystko jest tak, jak ona urządziła - powiedział, wskazując fotografię starszej kobiety. Pomyślał, że takie dziewczyny lubią sentymentalne wyznania.

- To babcia? Bo chyba nie mama? - spytała Julia, wpatrując się w okrągłą, serdecznie uśmiechniętą twarz ciotki Eweliny.

- To moja największa miłość, pani Julio. Jak pani wiadomo, serce nie ma zmarszczek, więc proszę się nie dziwić.

- Dobrze, nie będę się dziwić - obiecała, choć ciekawość aż zapierała dech. Bardzo jej się podobało, że szanował rodzinną tradycję.

On zajął się parzeniem herbaty, ona oglądaniem pokoju. Trochę zagracony, lecz czysty. Podeszła do okna. W dole huczała ulica Toruńska, zapchana o tej porze samochodami, dalej widziała Wisłę i zielone skarpy

zarośnięte lasem. Od okna wróciła do zdjęcia na ser-wantce. Kiedy zabrzączały filiżanki, usiadła przy stole, na wprost Konrada.

- Czasem mi się wydaje, że jestem facetem ze spóźnionym zapłonem - powiedział. - W moim życiu nic nie dzieje się w porę, wszystko po czasie. Choćby i ona - oczami wskazał zdjęcie. - Bardzo chciałem się nią zająć, spłacić wielki dług, i jakoś nie wyszło. Najpierw była zbyt energiczna, zaraz potem umarła. Odziedziczyłem po niej mieszkanie i dbam, żeby wszystko było tak jak kiedyś. W tym domu spędziłem swoje najszcześniejsze lata.

- Nie myślałam, że pan jest sentymentalny.

- Tego bym o sobie raczej nie powiedział. - Roześmiał się, patrząc na ożywioną twarz dziewczyny. - Doceniam siłę wszelkiej tradycji, tej złej również, lecz to już całkiem inna opowieść. Tak więc sentymentalny nie jestem, ale mam inne dobre cechy, na przykład silnie rozwinięty instynkt opiekuńczy. Nie żartuję! Jako dzieciak modliłem się, żeby ojciec zachorował i żebym mógł się nim zająć. Powiedziałem o tym księdzu na spowiedzi. On to potraktował jako poważny grzech, a ja tylko chciałem się komuś pochwalić, że tyle mam w sobie dobroci.

- Teraz też pan się chwali?

- Nie. Teraz zanudzam panią wspomnieniami.

- Proszę zanudzać dalej. Rozumiem, że modlitwy nie zostały wysłuchane i pański ojciec cieszy się zdrowiem?

- Tego nie wiem. Zresztą, tak naprawdę nigdy nie miałem ojca. Matki też nie miałem.

- Jak to: nie miał pan?

- Tak wyszło - uciął krótko.

Patrzyła na niego i zastanawiała się: dziwak czy pozer? W każdym razie na pewno nie mruk, jak początkowo sądziła. Kiedy już się rozkręcił, mówił dużo i chętnie. Ale choć przegadali całe popołudnie, właściwie niczego o sobie nie powiedział.

Ten facet nosi jakąś tajemnicę, pomyślała, gdy się zegnali w przedpokoju.

Wrażliwa, umie słuchać, kupiła wszystkie moje dyrdymałki, a do tego biust ma jak wyrzeźbiony, przyznał w duchu, podając Julii żakiet.

Podał jak należy, starannie i tak, żeby od razu mogła zapiąć pierwszy guzik. Nie zdjął rąk z jej ramion; przytrzymał przez moment w silnym uścisku, pocałował we włosy, w ucho, potem zdecydowanym ruchem odwrócił twarzą do siebie i pocałował w usta.

- Panie Konradzie, przyjaciele naszych przyjaciółek nie muszą być naszymi... kochankami - szepnęła Julia.

- Umówmy się tak, kochanie - powiedział, dotykając czołem jej czoła. - Najpierw zostanę dla ciebie Konradem, potem porozmawiamy o przyjaciółkach przyjaciół, czy też odwrotnie, jak sobie zechcesz. Zgoda?

- Nie wiem... muszę się z tą propozycją przespać.

Chciał zażartować, że nie musi spać akurat z propozycją, ale nim otworzył usta, uznał żart za trywialny i nie powiedział nic.

Odprowadził dziewczynę do samochodu, poczekał, aż odjechała, i wrócił do mieszkania. Wydało mu się podwójnie puste. Na stole wciąż stały dwie filizanki. Potarł ręką zmęczone oczy. Miła dziewczyna, pomyślał,

sentymalna, naiwna, takiej można raz dwa zawrócić w głowie, tylko co potem? A może... może właśnie taką warto by mieć?

W nocy odezwały się dawne koszmary. Miał bardzo plastyczny sen: widział czarne ściany z sieciami pajęczyn i wielkiego, przygarbionego mężczyznę przy stole. Gdzieś w tym pomieszczeniu był jeszcze mały chłopiec. I kobieta. Wiedział, czuł to, że za chwilę wielkolud podejdzie do chłopca, złapie go za koszulkę na karku i uniesie do góry jak psiaka. Tym razem było jednak inaczej. Zniknęły czarne ściany, pojawiła się wąska ulica. Usłyszał ostry zgrzyt hamulców i poczuł ból w nodze. Na wpół przytomny usiadł na łóżku. Hałasowały auta jadące Toruńską. Sam już nie wiedział, czy obudził go hałas, czy ból. Pewnie szykuje się zmiana pogody, pomyślał.

Julia wracała od Konrada z mętlikiem w głowie i wyrzutami sumienia. Głupio się czuła wobec Karoliny. Wyrzucała sobie, że posunęła się stanowczo za daleko. Rozwalenie głowy to był wypadek, ale już całowanie powinna sobie darować. Miała zamiar wszystko starannie przemyśleć, dopóki rodzice nie wrócą z pracy. Zwykle zjawiali się w domu koło dwudziestej. Zanim jednak wyjęła klucz, matka otworzyła drzwi na całą szerokość i porwała Julię w objęcia.

- Gdzie ty jeździsz wieczorami, gdzie jeździsz? Nie wiesz, nie słyszałaś, że na Noakowskiego wysadzili garaż?! W południe dwie ulice dalej była strzelanina. Żyjemy w bandyckim mieście i w bandyckich czasach. Już tylko w domu można się czuć bezpiecznie.

- Myślisz, że w innych miastach jest inaczej? - zdziwiła się Julia.

- Mnie obchodzi moje miasto i moja rodzina. Mam się o kogo martwić. Obiecuj, że po pracy będziesz siedziała w domu!

- Czy nam coś grozi?

- To samo co wszystkim.

- Zachowujesz się tak, jakby co najmniej wybuchła wojna. Nie mam żadnych porachunków z gangami i to wszystko guzik mnie obchodzi. Chcę żyć normalnie, wychodzić z domu, kiedy mam potrzebę, i tak samo wracać.

- Głupia jesteś i życia nie znasz! Czyja ci kiedy źle radziłam? Zresztą, o czym tu gadać: tak ma być i koniec!

Julia zamknęła się w pokoju i włączyła komputer, żeby przynajmniej udawać zapracowanie. Myślenie o Konradzie i uczuciowe remanenty odłożyła na późny wieczór. Co sobie przypominała zdarzenie w jego przedpokoju, czuła przyspieszone bicie serca. Nie, nie, porozklejam się potem, teraz muszę myśleć logicznie, powtarzała z uporem. Pomogło. Skupiła się na Chochli. Najbardziej martwił ją wybuch matki, która co jakiś czas miewała obsesyjne napady strachu. Jeśli teraz mnie uziemi, pomyślała przerażona, diabli wezmą cały plan. Potrzebuję jednego, najlepiej dwu wolnych wieczorów. Trudno, pod pretekstem delegacji - albo jeszcze lepiej kursu - zamelinuję się u Karoliny.

Było to jedyne wyjście i kiedy je znalazła, z miejsca się uspokoiła. Przejrzała jeszcze raz wiadomości na temat fotokomórek, ukrytych kamer i innych cudów techniki. Znajomy, którego prosiła o pomoc, patrzył podejrzliwie, jakby szykowała się co najmniej do obrobienia banku. A ona zamiast planu banku miała przed sobą rozkład kawalerki, naszkicowany przez Karolinę. Z wąskiego przedpokoju pierwsze drzwi po prawej prowadziły do łazienki, drugie do kuchni. Na wprost był pokój, ten z tapczanem, nad którym ktoś zamontował kamerę. Reszta urządzeń do monitorowania znajdowała się prawdopodobnie w kuchni, niedostępnej

dla gości. Tam właśnie Julia musiała się dostać. Zakładała, ba, przyjęła jako pewnik, że Chochla przeniósł swoje archiwum do garsoniery. Pamiętała, jak po zniknięciu kierownika jego żona płakała, że zabrał tylko skarpetki, majtki i kartonowe teczek. Teraz miała już pewność, co było w tych pilnie strzeżonych teczkach. Im głębiej wnikała w szczegóły, tym większe czuła podniecenie.

W porze wiadomości, kiedy rodzice zajęci byli telewizorem i mniej podsłuchiwali, zadzwoniła do Torunia. Konspiracyjnym szeptem poinformowała Martę, że zaczynają akcję w piątek wieczorem.

- Wspaniale! - zawołała Marta. - Słuchaj, będziesz się bała, będziesz się dziadowsko bała, ale pamiętaj o jednym: to ty masz być górą, nie twój strach. On ma na ciebie działać mobilizująco. Trzymam za was kciuki i zapraszam do siebie na opijanie sukcesu!

Po takim zastrzyku optymizmu Julii nie pozostawało nic innego, jak zająć się czymś naprawdę pożytecznym. Spakowała drobiazgi niezbędne każdemu człowiekowi w delegacji: szczotkę do zębów, ręcznik i piżamę. Rodzicom zamierzała powiedzieć o wyjeździe dopiero przy śniadaniu, żeby krócej słuchać gadania mamy. Zanim wyłączyła komputer, przejrzała jeszcze pocztę elektroniczną.

Nie wiem, jak na jednym malutkim nosie zmieściło się 138 prześlicznych piegów. Policzyłem i tyle jest. Każdy wygląda jak małe słoneczko i nie pozwala o sobie zapomnieć. Życzę Ci miłych snów. K.

Masz szczęście, drogi K., że wyrosłam z kompleksów na punkcie swoich piegów. Pięć lat temu taka czuła wiadomość pogrzebałaby wszystkie twoje szanse, pomyślała. I zaraz sobie uświadomiła, że przecież on nie ma żadnych szans. Gdyby nie był chłopakiem Karoliny, to tak,

owszem, na pewno i z wielką radością, lecz on był chłopakiem Karoliny posmutniała.

Wieczorem rozmawiała jeszcze raz z Toruniem. Tym razem to Marta zadzwoniła z przypomnieniem, że po udanej akcji Karolina obowiązkowo powinna zniknąć na jakiś czas.

- Poradź jej, żeby wzięła tydzień urlopu i przyjechała do mnie -mówiła z przejęciem.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Julia.

Dłużej nie mogła rozmawiać, bo matka stała w przedpokoju i kręciła głową z wyraźną naganą. Jej zdaniem córka niepotrzebnie blokowała telefon, który służył do załatwiania poważnych spraw.

- Ja nie rozumiem, żeby tak gadać i gadać! To już chyba twoja ósma rozmowa. I zgaś wreszcie światło, to wszystko kosztuje!

Rodzice byli ludźmi zamożnymi, nawet bardzo zamożnymi, jednak nie potrafili wyzbyć się nawyków przesadnego oszczędzania prądu, gazu i wszystkiego, co się dało. Nie żałowali pieniędzy najedzenie i na zachcianki córki: samochód, komputer, stroje - proszę bardzo. Jeśli jednak nie gasiła światła lub przy kąpieli lała zbyt dużo wody, obrywała, aż furczało.

- Nie wiem, po co kupiłam ci komórkę. Domowy aparat tańszy, co?

Prawda była taka, że Julia znowu zapomniała o podłączeniu telefonu do prostownika. Pamięć miała krótką, wystarczyło, że nie zrobiła czegoś od ręki, natychmiast zapominała. Sprawny telefon był jednym z nieodzownych elementów planu, który przygotowywały z Karoliną. Odszukała aparat, włączyła do sieci i dopiero wtedy przypomniała sobie o

Wandzie Pasieczko. Gdy tylko matka zniknęła w łazience, po cichu, niemal konspiracyjnie, skorzystała jeszcze raz z domowego telefonu. Wanda ucieszyła się jak małe dziecko. Niemal chlipała do słuchawki. Nie było w niej ani cienia chłodnej rezerwy, jaką zademonstrowała pod koniec ostatniego spotkania.

- Masz gości? - spytała domyślnie Julia. Daleko w tle słyszała męski głos i urywany śmieszek.

- Nie, to tylko... kuzynka nocuje, bo rano wyjeżdża - wyjaśniła pośpiesznie.

- Nie widziałam cię na medytacjach i zaczęłam się obawiać, czy nie zachorowałaś - powiedziała dziewczyna.

- Ścięłam się z naszą główną. - Wanda przeszła na szept. - Wiesz, kogo mam na myśli. Odrzuciła mój najnowszy hymn, przepiękny zresztą. Odkąd stała się właścicielką zakładu, strasznie zadziera nosa.

Julia odłożyła słuchawkę uspokojona, że niczego nie zaniechała.

Bujała zadzwonił przed południem i wyznaczył Konradowi spotkanie o piętnastej trzydzieści u siebie w biurze.

- I nie mów do mnie, żebym się odwalił, bo mianowicie mogę tego nie ścierpieć! - powiedział niby żartem, lecz poważnie. Natomiast całkiem już żartobliwie określił prawniczkę Karolinę Cierpik jako fest dupę, czym zaskoczył Konrada.

- Cierniak chyba - poprawił odruchowo. - Dawno ją znasz?

- Znam wszystkie dupy warte grzechu! - pochwalił się Grzegorz i zaraz dodał, że ta Cierniak również będzie o piętnastej trzydzieści.



To był wystarczający powód, by Konrad przyjął zaproszenie. Przecież nie mógł sobie podarować spotkania z Karoliną w gabinecie Bujaly! Za dobrze pamiętał obiad w Zajeździe i te wszystkie pytania, którymi go zasypała. Nieźle musiała się bawić, kiedy on złościł się i zmieniał temat. Poza tym był rozczarowany, że wróciła i nie dała znaku życia. Niby się rozstali, ale przecież obowiązywały jakieś formy towarzyskie; tak przynajmniej myślał.

Zjawił się w Spokoju kilkanaście minut przed czasem. Oprócz Bujaly w gabinecie siedział Grzesiek Majdziak, prawa ręka szefa, chłopak do specjalnych poruczeń, nie zawsze czystych. Konrad nigdy za facetem nie przepadał i nawet dziwił się, że Bujala, inteligentny przecież i obrotny, dobrał sobie takiego kumpla, z którym można było pogadać jedynie o samochodach i babach. Chociaż z drugiej strony przy Bujale nie trzeba było gadać, wystarczyło słuchać, a do słuchania Majdziak nadawał się jak mało kto. Gorzej było z myśleniem.

- To co, panowie, po koniaczku?

Bujala wyciągnął napoleona i z wielką uwagą lał na dno kieliszków złoty płyn. Lał do przepisowej wysokości, czyli tyle, co nic.

- Samochodem jestem - bąknął Majdziak.

- Człowiekiem jesteś, Grzesiu, nie samochodem - pocieszył go szef. - Przy twojej masie i pół butelki nie zaszkodzi. Zresztą, jak cię smerfy capną, powołasz się na mnie.

- O co innego się rozchodzi. Do pięknej jadę, a ona uczulona na procenty.

- Wacek jej nie przyzwyczał? To co z niego za chłop? - zarżał Bujala.

Konrad nie wzbraniał się przed jedną lampką. Wolał inne trunki, koniak traktował jak lekarstwo i właśnie tego mu było trzeba przed spotkaniem z Karoliną. Zerknął na zegarek. Lada moment powinna wejść. Bujała z przyjemnością i znanstwem mówił o interesach, o stałej konieczności inwestowania, obracania pieniędzmi. Upomniął Konrada, że teraz nie pora na branie oddechu. Wysapie się później, kiedy pomyślnie zakończą całe przedsięwzięcie. Uparcie wracał do propozycji, która już raz rozsierdziła Orzechowicza. Konrad nie słuchał. Cudze pieniądze go nie obchodziły, na swoje od dawna miał pomysł. Przede wszystkim chciał zdobyć niezależność, a to gwarantowała jedynie praca na własny rachunek. Do Budampolexu 2 poszedł na prośbę Bujały i nie zamierzał siedzieć długo.

- No, panowie, coś nam się mianowicie dupa spóźnia - powiedział z niezadowolaniem Bujała. Patrzył na zegarek i chyba tylko dlatego nie zauważył otwartych drzwi.

- Wolne żarty, boss, jest co do minuty piętnasta trzydzieści - odezwał się od progu dźwięczny głos.

Poderwali się gwałtownie - Bujała w przepaszających uśmiechach i podskokach, Majdziak z miną obojętną. Konrad obejrzał się i oczom nie uwierzył. Odruchowo chwycił ze stołu butelkę i opróżnił ją do dna.

- Panowie, czapki z głów! - zakrzyknął Bujała. Wybiegł zaa biurka z rozłożonymi ramionami, jakby miał zamiar przycisnąć Julię do serca.

Dziewczyna wciąż stała w progu. Jeszcze dwie minuty wcześniej, poprawiając w sekretariacie urodę, przeżywała istic hamletowską rozterkę: wejść czy też uciec. Jedno słowo sprawiło, że wstąpił w nią duch wielkiej,

dramatycznej aktorki. Wkroczyła na scenę wyprostowana, z dumnie podniesioną głową.

- Niepokoiliśmy się mianowicie, czy...

- Słyszałam pański niepokój - powiedziała.

- Och, mężczyźni to straszni barbarzyńcy! - zawołał Bujala z udanym zawstydzeniem. - Cywilizują się mianowicie dopiero pod wpływem pięknych kobiet, droga pani magister!

- Magister inżynier, jeżeli już upierasz się przy tytułach. Magister inżynier Julia Blenda.

- Oj, żartownisia, żartownisia! — pogroził palcem Bujala. Ponieważ dziewczyna nie kwapiła się z podaniem mu ręki, pocałował ją po ojcowsku w głowę i wskazał fotel. - Znasz moich przyjaciół? Jasne, że znasz. Mój imiennik Grześ Majdziak, ten drugi przystojniak to oczywiście inżynier Konrad Orzechowicz. Tylko nie zakochaj się, dziewczyno, bo jestem okrutnie zazdrosny i na ucho ci powiem, że żaden z nich nie może się ze mną równać. No, nie stój, Karolinko, siadaj. Mamy kupę spraw do omówienia.

On jest jeszcze głupszy niż Chochla, pomyślała z podziwem Julia.

Bujala uznał widocznie, że w kwestii powitań załatwił wszystko, co do niego należało. Zagadał niezręcznie, pośmiał się i rozruszał towarzystwo. Siadając za biurkiem, ani na moment nie przestawał gadać.

- Więc jak już mówiłem, mamy wielką kupę spraw. Interesy wymagają, żebyśmy się naradzili...

- Z facetem, który nie potrafi słuchać, nie będę się naradzała nad żadną kupą. Ani wielką, ani małą! - powiedziała głośno i wyraźnie Julia. - Mam w nosie twoje interesy, na których, podobnie jak ty, wcale się nie znam.

Chciała go leciutko drasnąć, a ukłuła, i to boleśnie. Uniósł się w fotelu i nie ryknął tylko dlatego, że wielkie zdziwienie zaparło mu dech i nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Dziewczyna przygryzła język. W uszach zadźwięczały jej słowa Karoliny: „Facetowi możesz powiedzieć wszystko, czego nie zniosłaby normalna kobieta - że kłamie, że jest bezwzględny i pozbawiony serca. On ci to daruje, a nawet będzie dumny, że widzisz w nim twardziela. Jednak nie mów nigdy, że jest kiepski w łóżku i w interesach”. Ojejku, chyba przegięłam, pomyślała spłoszona. Zwilżyła językiem suche usta.

- Jestem tu gościem i należą mi się jakieś względy - powiedziała ugodowo. Na osłodę posłała Bujale jeden z ładniejszych uśmiechów, lecz głosu nie pozwoliła sobie odebrać. - Daj mi skończyć, zanim powiesz za dużo i zdradzisz sekrety, o których nie chcę słuchać. Nie jestem prawnikiem i nie jestem Karoliną Cierniak. Trzeci raz próbuję ci to wytłumaczyć, a ty i tak wiesz lepiej. Mam ci pokazać metrykę, dowód osobisty i prawo jazdy?

Boss ochłonął i patrzył po obecnych z miną, która wykluczała jakąkolwiek pomyłkę. Majdziak dusił się ze śmiechu, Konrad siedział ze smętnie opuszczoną głową, ale to on w końcu poparł Julię.

- To nie jest żadna Karolina... to jest... Julia - powiedział i zwiesił głowę jeszcze niżej.

- Nie rozumiem, jak to w ogóle mogło... jak... - plątał się zbity z tropu Bujala.

- Chętnie wyjaśnię. Gadatliwa babka to nieszczęście, jednak gadatliwy boss to już cała tragedia. Ty słuchasz wyłącznie własnego słowotoku i na nieszczęście wszystko wiesz najlepiej.

Majdziak zaczął rechotać całkiem głośno i przymknął się dopiero pod ostrym spojrzeniem szefa.

- Ktoś mi za to zdrowo beknie! - mruknął Bujala ze złą miną.  
-Zdrowo beknie - powtórzył.

- A sam nie możesz zapanować nad własnym językiem? - zdziwiła się Julia. Była przekonana, że boss ma pretensje do Majdziaka. Uznała, że wizyta dobiegła końca i dotknęła ramienia Konrada.

Orzechowicz wsiadł do matyza o własnych siłach; dopiero w drodze padł jak zwiędły tulipan. Abstynentem nie był, lecz pijał mało, rzadko i nigdy na pusty żołądek. Pół butelki koniaku rozebrało go szybciej i dokładniej niż niejedna nocna libacja w męskim gronie. Z libacji zawsze wychodził z podniesioną głową, a tu, ledwie wsiadł do auta, własna szyja odmówiła mu posłuszeństwa. Nie poddawał się, walczył z niemocą.

- Wiesz, co ci powiem? No wiesz? - powtarzał uparcie.

Początkowo Julia sądziła, że chce jej przekazać coś bardzo ważnego, że dusi w sobie jakąś wielką tajemnicę, której nie potrafi wyartykułować. Ujechali spory kawałek, a on nie mógł wyjść poza te dwa powtarzane w kółko pytania. Zegar na tablicy rozdzielczej przypominał nieubłagane, że czas mija. Musiała jeszcze skoczyć do Wandy Pasieczko, przygotować grunt do jutrzejszej akcji.

- Oszukałaś mnie... Wsiadam! - zdecydował Orzechowicz na rondzie. - Słyszysz? Nie przysłaś się przywitać.

- Dzień dobry, Konradzie! - powiedziała uspokajająco.

- Myślisz, że ja nie wiem, że ty to nie Karolina? - spytał. - Masz mnie za pijanego?

- Ależ skąd - zaprzeczyła. - Nie majstruj przy zamku, bo wypadniesz.

- Ja wpadnę? Ja? Nigdydzie... ni... nie wpadnę!

Westchnęła ciężko. Co temu wielkoludowi strzeliło do łepetyny, żeby za jednym pociągnięciem wchłonąć pół butelki koniaku? A co jej z kolei strzeliło do głowy, że uparła się odwieźć do domu ten ludzki stan nieważkości? Boss protestował i pewnie dlatego postawiła na swoim. Na wspomnienie Bujały ogarnęło ją miłe ciepło. W całym swoim dorosłym życiu wobec nikogo nie była tak szczerą, jak wobec tego bub-ka. Zwykle litowała się nad ludźmi, nie chciała ich ranić i częściej mówiła to, co chcieliby usłyszeć niż to, co rzeczywiście myślała. No, ale też żaden facet do tej pory nie odważył się publicznie nazwać jej dupą. Bez scenariusza, bez wstępnych przygotowań, z samej tylko wściekłości tak pięknie odegrała swoją rolę, że natapirowany boss nawet nie miauknął. Z Bujałą poszło o wiele łatwiej, niż myślała, za to z Konradem nie umiała się uporać. Nie chciała go zostawiać na pastwę tamtych dwu typów i teraz miała za swoje. Marudził, denerwował się, plótl coś bez ładu i składu o zdradzie i porachunkach. Jak każdy ululany facet miał swoją koncepcję, której uparcie się trzymał. Chciał wysiąść w trakcie jazdy i powstrzymywanie go było zajęciem bardzo skomplikowanym. Machał rękami, wiercił się, parę razy zdzielił ją w głowę, raz w ucho i nawet tego nie zauważył. A matiz jak wiadomo jest wozikiem zgrabniutkim, lecz ciasnym.

Z wielką ulgą podjechała wreszcie pod dom i nawet zaparkowała blisko drzwi.

- Jesteśmy na miejscu. Dasz sobie radę?

- Wyrzy... wyrza... wyrzucasz człowieka?

Był wyraźnie oburzony. Całą drogę chciał wyskakiwać, lecz na własnym parkingu zmienił zdanie i zaczął się mościć do snu. Julia okrążyła auto i otworzyła drzwi od strony pasażera. Co ta wódka robi z człowieka, pomyślała słowami matki. Pani Blendowa zwykle tak wzdychała na widok każdego człapiącego lub leżącego pijaczka. W domu nie musiała wzdychać, bo mąż, podobnie jak ona, nie pił. Miało to same dobre strony i tylko jedną złą: Julia nie wyniosła z domu doświadczeń w postępowaniu z ludźmi, delikatnie mówiąc, nietrzeźwymi. Prośby i tłumaczenia trafiały w próżnię. Stała przy otwartych drzwiach i z rosnącym przerażeniem patrzyła na Konrada. On nie miał zamiaru wysiadać, ona zaś nie miała tyle siły, by wywlec go z samochodu. Zaczynała poważnie się obawiać, że spędzą tę noc razem w ciasnym aucie.

- Wyłaż, bo zacznę krzyczeć i zawołam sąsiadów - powiedziała ostro.

Łypnął okiem, ale się nie ruszył. Powtórzyła po raz drugi nieco głośniej. Poskutkowało dopiero za czwartym razem i to tylko dlatego, że bardzo się obraził. Mruczał coś o babskim uporze i męskim nieszczęściu. Najpierw wystawił jedną nogę, potem drugą, podumał chwilę i wreszcie z wielkim trudem stanął. Miał poważny kłopot z utrzymaniem pionu i gdyby go nie podtrzymała, pewnie runąłby na asfalt. Rozejrzała się bezradnie. Potrzebowała pomocy silnego mężczyzny, wokół bloku biegały tylko nieletnie dzieci. Od dłuższej chwili jej zmaganiom przyglądała się szczupła kobieta w ciemnej męskiej marynarce. Patrzyła tak, jakby chciała pomóc,

ale nie miała śmiałości. W końcu się zdecydowała. Razem jakoś dotaszczyły Konrada do drzwi, potem do windy.

- W ojca się wdał - powiedziała kobieta.

- Pani go zna?

- Brat przecież.

Po wyjściu z windy Julia stanowczo podziękowała za pomoc. Kobieta nie budziła zaufania. Drobną i zapyziałą, nie wyglądała na siostrę inżyniera Orzechowicza. Oszustka jak nic, myślała Julia. Szuka pretekstu, by wejść i okraść. Długo trwało, zanim przy niezdarnej pomocy Konrada trafiła na właściwy klucz.

- Zamknij dobrze drzwi, rozumiesz mnie?

- Nie jesteś Karoliną! To kłamstwo!

- Nie jestem. Zamkniesz drzwi?

- Same się zamkną, ja nie mam... nie mam... ja żyję przy otwartej kurrtynie!

To długie przemówienie nadwątlilo jego siły. Drzwi oczywiście za sobą nie zamknął, tylko ułożył się na tapczanie i więcej sobie Julię głowy nie zwracał.

Stała niezdecydowana, nie wiedząc, czy go rozbierać, okrywać, poić wodą z cytryną, czy po prostu zostawić własnemu losowi. Spojrzała na zegarek. Dochodziła osiemnasta, za parę minut powinna być u Wandy. Złapała pierwszą z brzegu kartkę i wielkimi literami napisała: Musiałam Cię zamknąć. Skorzystaj z zapasowych kluczy, a jak nie masz, zadzwoń



wieczorem. Julia. Jeszcze większymi wołami wymalowała numer swojej komórki i wybiegła.

Przy matizie stała ta kobieta. Czy była krewną, czy zwykłą oszustką, nie miało już żadnego znaczenia. Orzechowicz spał bezpiecznie we własnym mieszkaniu dzięki pomocy chudej mizerotki. Julia podeszła, żeby jeszcze raz podziękować i natychmiast pożałowała swojej decyzji. Tamta patrzyła dziwnym, psim wzrokiem.

- Pani jest narzeczoną Radka? - spytała. Głos miała ochryply i nieprzyjemny.

- Pracujemy razem.

- Szkoda, bo myślałam, że pożyczysz mi pani na bilet. Zimno się zrobiło, a do domu daleko.

Julia otworzyła drzwi i wskazała miejsce w samochodzie. Kobieta zawahała się.

- Podwiozę panią. Niech pani wskakuje, bo się śpieszę.

Jechały w milczeniu. Julia rozważała, jak najprościej dostać się na Cyganekę, żeby niepotrzebnie nie krążyć po wąskich, jednokierunkowych uliczkach śródmieścia.

- Radkowi dobrze, nie to co nam! - powiedziała kobieta. Wyraźnie czekała na zachętę, na jakieś pytanie, a ponieważ nie padło, rozgadała się na dobre z własnej woli. Beznamiętnym głosem chrypiała opowieść o domowej nędzy. Rodzice mieli kiedyś warsztat stolarski. Krótka, ledwie przez rok, bo tyle im zajęło uporanie się ze schedą po dziadku. Przepili, przetrącili, nie zostało nic. Nawet najstarszy, Olaf, już nie pamiętał

dostatnich czasów. Czwooro ich było w domu, właśnie ten Olaf, który zaginął gdzieś w świecie, Milena, Żaneta - czyli ona - i najmłodszy Radek, ten, któremu się powiodło, bo miał wypadek i trafił do zamożnych ludzi. Wykształcił się i nie chce znać rodziny. Tylko ona wie, gdzie go znaleźć. Ze dwa razy ją poratował, ale zeżlił się i więcej pieniędzy dawać nie chce. Wyczekuje więc pod jego domem, liczy, że może któregoś dnia zmieni zdanie.

- Tu mieszkamy! - wskazała palcem kamienicę ani gorszą, ani lepszą od innych. Julia zatrzymała samochód. - Wejdzie pani na chwilę?

Sama nie wiedziała, czemu zgodziła się wejść, co - oprócz niezdrowej ciekawości - ciągnęło ją na obskurne podwórko, do zaniedbanego pokoju z brudną szmatą w oknie. W życiu nie podejrzewała, że ludzie mogą tak mieszkać. Kilka osób kręciło się po zawalonym rupieciami wnętrzu. Na łóżku pod ścianą chrapał odrażający staruch, spocony i blady jak nieboszczyk. W mrocznej sieni wcisnęła Żanecie sto złotych i pośpiesznie wybiegła. Gdyby nie przykry zapach, który ciągnął się za nią, gotowa była pomyśleć, że to sen. „Nigdy nie miałem ojca ani matki” - powiedział kiedyś Konrad, a ona w duchu nazwała go pozerem. Zmieniła zdanie. Ktoś, kto odbił się od takiego dna, musi być pioruńskim twardzielem. Niemożliwe, żeby poszedł w ślady ojca! To czemu ta babka tak powiedziała?

Wanda musiała czatować z okiem przy wizjerze, nim bowiem Julia zdążyła podnieść rękę do dzwonka, drzwi otworzyły się gościnnie. Łzy szczęścia spłynęły na pudełko czekoladek.

- Ależ nie trzeba było! Po co taki wydatek! - wzbraniała się Wanda ze staroświecką elegancją.

Julia weszła do pokoju i omal nie zawróciła na pięcie. Za plecami miała jednak korpulentną postać gospodyni, która skutecznie odcinała odwrót. Sądziła, że będzie jedynym gościem, uwierzyła zapewnieniom Wandy, że kuzynka wyjeżdża, tymczasem owa kuzynka kwitła na kanapie i rozświetlała pokój włosami w kolorze jajecznicy. Obok niej siedział atletyczny Grześ Majdziak, którego Julia ostatni raz oglądała w gabinecie Bujały. Przy powitaniu oboje zapadli na zanik pamięci. Wymienili uściski dłoni jak ludzie, którzy widzą się pierwszy raz w życiu. Ola Mikulowa cmoknęła Julię w policzek.

- Co tam w firmie, kochana, co o mnie mówią? - spytała.

Julia miała dobry zwyczaj przechodzenia na ty z każdym, kto ją bezceremonialnie tykał. Jedyny wyjątek czyniła dla zwierzchników. Ale Mikulowa już nie była jej szefową.

- Podobno sprzedałaś firmę - powiedziała swobodnie.

- A co, miałam czekać, aż ta kapuściana głowa wszystko utopi w długach? No powiedz sama, miałam czekać? Mnie potrzebne są pieniądze.  
- Uśmiechnęła się i pogłaskała kark amanta, jakby tym samym dawała Julii do zrozumienia na co, lub raczej na kogo, zamierza wydawać swoje pieniądze.

- Najśmieszniejsze jest to, że nie wiadomo, kto został nowym właścicielem.

- Żartujesz?! - wykrzyknęła zdumiona Mikulowa. - No nie, ja się zastrzelę! Nikt nie wie, mówisz? No przecież Pałubska!

- Pani Edyta? - Julia nie musiała udawać zdziwienia, tym razem było autentyczne. Spodziewała się raczej usłyszeć nazwisko Bujały, może nawet Mikuli, ale nie Edyty.

- To dlaczego Henia Luty przechwala się, że ona kupiła zakład?  
- spytała Wanda.

Mikulowa wzruszyła ramionami. Ona najlepiej wiedziała, z kim była u notariusza. Zaczęła opowiadać, ile to miała kłopotów z formalnym podpisaniem umowy kupna-sprzedaży, ile się nabiegała z Edytą po bankach i urzędach.

- Co tam! - zakończyła. - Było, minęło, najważniejsze, że cel został osiągnięty. - Zaśmiała się znacząco i przytuliła policzek do ramienia Majdziaka.

Mikulowa wyglądała jak kobieta szczęśliwa, choć niezbyt gustownie ubrana. Kiedy przechadzała się po pokoju, wąska, obcisła spódnica z długim rozparkiem z tyłu brzydko odsłaniała pełne uda w kształcie baniaczków. Od kolan w dół nogi miała niezłe, za to uda fatalne. Nawet Majdziak patrzył bez zachwyty. Obcałowywał wprawdzie Olę po rękach, nazywał swoją królową, brał obecne panie na świadków, że słodszej kobietki nie ma w całym Włocławku, jednak to całe jego zaangażowanie wydawało się Julii mało zaangażowane. Sama też lubiła udawać coś, czego nie było, więc w Majdziaku odkryła bratnią, choć znacznie mniej zdolną duszę. Jego czułości były machinalne i zdawkowe, jakby rzucane na pociechę, nie zaś z potrzeby serca. Tak to przynajmniej wyglądało z boku. Od strony Mikulowej musiało wyglądać całkiem inaczej. Każde słowo Grzegorza oprawiała w ramki zachwyty i cieszyła się jak pensjonarka. Jej okrzyki - Ach, jakież on cudowny, nieprawdaż! - brzmiały czysto i szczerze. Julia za nic nie mogła zrozumieć, co pięknego mogła widzieć Ola w

pryszczatej cerze i wielkim nochalą Majdziaka. Widać jednak coś tam dostrzegła, bo kręcąc się po pokoju, nie opuściła żadnej okazji, żeby choć dotknąć ukochanego. A Wanda Pasieczko w tym czasie nasłuchiwała. Przy lada szmerze dochodzącym z korytarza biegła natychmiast do przedpokoju. Za czwartym czy piątym razem Julia podniosła się i zaczęła żegnać.

- Jeszcze moment - błagała Wanda.

Dziewczyna stanęła obok Mikulowej, tuż przy ścianie, za którą z całą pewnością siedział samotny Chochła. Usłyszała stłumiony dźwięk telefonu. Dwa sygnały i cisza. Po chwili telefon odezwał się ponownie i w tym momencie na Julię spłynęło olśnienie. Zobaczyła Edytę za wielkim biurkiem, jak nerwowo bębni palcami po blacie. Odkłada słuchawkę i znowu podnosi. Dwa sygnały, myślała gorączkowo dziewczyna, brakowało mi tych dwu sygnałów tylko dla wtajemniczonych! Telefon przestał dzwonić, widać Chochła był w domu. Julia wróciła do pożegnań.

- Państwo zostajecie we Włocławku? - spytała, podając rękę Mikulowej.

- No, nie! Tu, w tej dziurze, gdzie wszyscy się znają? Wyjeżdżamy jutro rano.

Uściskały się szczerze, od serca. Życzyła młodej parze szczęścia i wcale nie przemawiała przez nią perfidia. Jak każda kobieta lubiła romantyczne historie. Majdziakowi przykazała, żeby opiekował się Olą.

- Jasne! - odpowiedział.

Przed samym wyjściem wciągnęła na moment Wandę do kuchni, pod pretekstem, że chce pogadać o kolejnym zebraniu kobiet. Rozszep-tały się gorąco, choć krótko.

- To naprawdę twoja kuzynka? - spytała Julia.

Wanda zatrzepotała rękami. Pośpiesznie wyjaśniła, że to nieszczęsna ofiara mężowskiej tyranii oraz serdeczna przyjaciółka Edytki Pałub-skiej. To Edytka zapoznała panią Olę z panem Grzesiem i patronowała ich miłości. Dwa dni temu prosiła, żeby Ola mogła zostać u Wandy aż do wyjazdu z miasta. Przy obcych kazała ją nazywać kuzynką i to wszystko.

To była wyjątkowo owocna wizyta. Julia obawiała się tylko jednego: by miły Chochla nie sterczał przypadkiem w oknie za żaluzjami. Lekkim sprintem pobiegła na sąsiedni parking, gdzie przezornie zostawiła samochód. Przez moment wahała się, czy nie pojechać do Konrada, ale ostatecznie uznała, że to niezbyt mądry pomysł.

Z produktów nadających się do jedzenia Karolina miała w lodówce dwa jajka i odrobinę dżemu. Wróciła do domu tuż przed Julią i właśnie zastanawiała się, jak wyczarować smaczny obiad z tego, co było w lodówce. Wymyśliła omlet, który nie udał się z braku tłuszczu. Julia machnęła ręką na wątpliwy efekt kulinarnych eksperymentów przyjaciółki i jako ochotnik pobiegła do sklepu. Wróciła obładowana niczym mały dziup. Pomyślała nie tylko o obiedzie, ale także o kolacji i śniadaniu. Karolina z niedowierzaniem oglądała płyty wędzonego łososa, wędliny w kilku gatunkach, sery i zimne sosy. Wszystko było apetyczne, pięknie opakowane i drogie. Właśnie ze względu na cenę rzadko pozwalała sobie na takie delikatesy, chyba że znalazła sponsora. Julia nie zapomniała też o białym winie i słodyczach.

- Fiu, fiu! Nie przesadziłaś z tą ucztą?

- Co tam! - parsknęła śmiechem Julia. - Dzielimy się po połowie: ja daję wsad do kotła, ty robociznę, łącznie ze zmywaniem naczyń.

Uspokojona Karolina sięgnęła po talerzyk i odłożyła po kawałku tego, co dało się odłożyć. To była żelazna porcja dla mojej Gajewskiej, dowód wdzięczności za pyszne domowe pierogi i naleśniki, którymi staruszka od czasu do czasu ją podkarmiła. Żeby było szybciej, Julia chwyciła talerzyk i zaniósła sąsiadce dary serca.

Dziesięć minut później zasiadły do wielkiego jedzenia i wielkiego gadania. Białym winem popijały wiadomości strawne, herbatą niestrawne. Można było inaczej, ale one wołały właśnie tak. Za wiadomość niestrawną Julia uznała wizytę u Bujały. Od tego zaczęła swoją opowieść, żeby uzyskać rozgrzeszenie Karoliny i zamknąć niewygodny temat. Przeleciała po nim szybciutko.

- Wiesz - kończyła - wczoraj to wczoraj, ale najgorsze jest to, że nie mogę sobie przypomnieć, po jakie лихо polazłam tam dzisiaj! Miałam faceta poderwać, rozgryźć, a zaczęłam wychowywać. Nie wyglądał na zadowolonego i co gorsza wcale nie jestem pewna, czy mi uwierzył, że ja to nie ty. Nie wiem, jak on sobie radzi z tym całym zbójowaniem? Gangster powinien być elastyczny.

- Nie roztkliwiaj się, Juleczko, każde miasto ma takich gangsterów, na jakich zasługuje. Bujały nie mamy się co wstydzić. Słynie z dobrych pomysłów i nieco gorszej realizacji. Tak przynajmniej twierdzi Wacek Mi-kula, do niedawna jeszcze właściciel Budampolexu, gdybyś zapomniała.

- Ojej, przecież pamiętam. Nie rozumiem tylko, co jest grane teraz?  
- Julia upiła łyk wina, zadowolona, że przyjaciółka uznała sprawę Bujały za zamkniętą.

- Co jest grane? Marsz Mendelssohna, kochana! Jeśli nie widać jawnej przyczyny, trzeba szukać kobiety. Francuzi to wymyślili, a im można wierzyć.

- Przypadkowo też czytałam Dumasa. Tylko gdzie tu miejsce dla kobiety?

Wiedza Karoliny pochodziła od Mikuli i w związku z tym była jednostronna. Biedny cap jako jeden z największych uwodzicieli w mieście padł ofiarą babskiego spisku i swojej naiwności. Chciał zostać malowanym bankrutem, został prawdziwym, bo nie docenił kobiecej stałości oraz kobiecej niestałości. Wcieleniem stałości była Edyta, pierwsza narzeczona i prawie żona. Trzydzieści lat temu, kiedy przygotowania do ślubu były już w toku, suknia zamówiona, menu ustalone, pojawiła się ta trzecia, Ola, czyli symbol niestałości. Wbiła się klinem między narzeczonych i po miesiącu zabrała Mikulę jak swojego. Wyprawili bardzo skromne wesele, bo nie przebrzmiały jeszcze echa poprzedniego skandalu, i rozpoczęli życie pełne niespodzianek z obu stron. Matka potrzebowała dwudziestu lat, żeby zrobić z Mikuli człowieka, Ola zrobiła z niego idiotę w ciągu roku. Sam tak twierdził. Jego niewierność nie brała się z wybujałego temperamentu, była jedynie odwetem za jej niewierność. To również jego opinia. Ich związek był wieczną wojną nerwów. Żarli się, ale mimo wszystko zaufał żonie i na nią przepisał cały swój majątek po bankructwie Budampolexu 1.1 to był błąd, perfidnie wykorzystany przez Edytę. Postanowiła odkupić firmę od Mikulowej. Przez te wszystkie lata nie wyszła za mąż, cierpliwie



przeczekała burze i zawirowania, wciąż była w pobliżu ukochanego i co najważniejsze, potrafiła uspić czujność żony.

- Matko święta, nie gadaj! -jęknęła Julia. - Chcesz powiedzieć, że wygrała wojnę trzydziestoletnią i teraz zgarnie wszystkie łupy?

- Jest przekonana, że wygrała, chociaż wątpię, czy Wacek da się wziąć w jasyr. Ostatnio zrobił się nad podziw rozważny. On boi się Edyty i tu go rozumiem. To mądra baba. Ja też jestem mądra, lecz mnie się nie boi, kocha mnie i zaraz po rozwodzie z Olą będzie się żenił.

- A ty? - przeraziła się Julia.

- Palić się nie palę, choć przyznam, że rozważałam i taką możliwość - odparła ze śmiechem Karolina. - Chciałabym zobaczyć minę Edyty, to raz, a dwa, przy Wacku, nawet zbankrutowanym, biedy nie zaznam. Nie płacz, ostatecznej odpowiedzi jeszcze nie dałam.

- Bój się Edyty! Jeśli przez te wszystkie lata rzeczywiście go kochała, to marny twój los.

- Wiem. Jest perfekcjonistką, a z takimi nigdy nic nie wiadomo. Wyzaczyła sobie cel i choćby o lasce, na wózku inwalidzkim, swego dopnie. Aleja też uważam się za perfekcjonistkę.

- To nie powód, żeby przez następne trzydzieści lat walczyć z Edytą o Wacka! On wam tego nie przeżyje -jęknęła Julia.

Nie do końca wierzyła w wersję Mikuli. Gotowa była wzruszyć się i zadumać nad siłą ludzkich namiętności, jednak nie mogła dojść do ładu z finansami. Skąd niby średnio zamożna Edyta wzięła tyle pieniędzy, by kupić dużą firmę? Niechby nawet zadłużoną, niechby po promocyjnej

cenie. W grę wchodziły wielkie pieniądze, zbyt wielkie, nawet po uwzględnieniu spadku po wuju.

Karolina zajęła się sprzątaniami ze stołu i zmianą dekoracji. Smakowity aromat kawy rozszedł się po mieszkaniu. Zabrzęczały łyżeczki. Julia zadzwoniła do Konrada. Mimo że nie podniósł słuchawki, miała wrażenie, że słyszy głośnie chrapanie.

Przy kawie i ciastkach zaczęły wreszcie rozmawiać o szczegółach planu antychochlowego. Sytuacja była patowa: kiedy Renata kategorycznie odmówiła współpracy, zabrakło chętnych do uszczęśliwiania Chochli. A przecież ktoś musiał go zająć, by ktoś inny mógł wejść do archiwum. Tu nie można było zdać się na przypadek, liczyć, że jakoś się samo ułoży. Wszystko powinno być zaplanowane do ostatniego szczegółu: czas akcji, system porozumiewania się, moment wejścia i wyjścia. Karolina tak naprawdę wcale nie miała wyboru. Gra toczyła się o jej godność i jej skórę, nie mogła więc zwałać najpaskudniejszego zadania na Julię. Z odrazą sięgnęła po telefon. Wystukała numer, odczekała, aż przebrzmiały dwa sygnały i odłożyła słuchawkę. Ponownie wystukała ten sam numer. Julia wisiała na plecach przyjaciółki i nerwowo przygryzała usta. Po dłuższej chwili usłyszały piskliwy głos Chochli.

- Witaj, Marcinku! A jednak serce dobrze mi podpowiedziało, gdzie cię szukać. Karolina mówi, nie poznałeś?

- Cierniak? - upewnił się Marcinek.

- A znasz jakąś inną, mój piękny?

Julia gwałtownie zasłoniła dłonią usta i niebezpiecznie poczerwieniała.

- Chyba tego, no... nie znam.

- Dostałam od ciebie miły liścik, trochę dawno, to prawda, jednak pamiętam każde słowo.

- Niemożliwe, tego... Ja do ciebie nie pisałem.

- Nie mów! Najpierw dostała swoje zdjęcia Edyta, ja zaraz potem. Powiem ci na ucho, że ona nie była zadowolona.

- Wiem. - Zachichotał. - To był... no... żart, żeby nie zapomniał wół, tego... jak cielęciem był. Stale tylko daj i daj... to tego, to dostała. Do ciebie nic nie wysyłałem.

Karolina spojrzała znacząco na Julię. Nie wyglądało na to, by wypierał się z czystej przekory. Jednak przesyłka przyszła. Magister Cierniak dostała zdjęcia, dostała liścik. Westchnęła do słuchawki z udawaną namiętnością.

- Jeśli tak mówisz, to najwidoczniej mi się śniłeś. Stęskniłam się za tobą, wiesz? Nie mam z kim pogadać, pożartować.

Chochła mądry nie był, lecz nie był też doszczętnie głupi. Miękkł, słuchając komplementów, co wcale nie odebrało mu zadziwiająco dobrej pamięci. Drobiazgowo wyliczył dziewczynie wszystkie złośliwości, wszystkie sytuacje, w których zrobiła go na szaro. Tłumaczyła, że to z nadmiaru uczuć, z zazdrości o Edytę, potem o Julię. Na wspomnienie Julii natychmiast się zjeżył. Nie pomogły żadne podpytywania, nie chciał rozmawiać o pani inżynier i Karolina musiała szybko zmienić temat.

- Zaszyłeś się w swojej norce jak borsuczek. Nie nudno ci? Może spotkamy się jutro? Powiedz, o której mam przyjechać.

- Spotkać się... tego... mówisz? E, nie! Ja mam już kogoś fajniejszego - wyznał z rozbrajającą i niepozabawioną dumy szczerością.

Karolina wykonała w powietrzu gest niezbyt pasujący do damy, lecz głos zachowała zmysłowy, ciepły, kiedy przekonywała Marcinka, że nie musi wszystkiego opowiadać żonie.

- Iii, tego... ja nie o żonie. Mam fest babkę, oczy by ci wyszły z orbit, a cysie ze stanika. - Zaśmiał się obleśnie, bardzo czymś rozbawiony.

Paplanie zaczęło zbaczać na niebezpieczne tory. Karolina próbowała jeszcze namówić go na spotkanie, skusić, skołować. Próżny trud. On wolał żarciki męsko-damskie i pikantne aluzyjki. Obiecała, że zadzwoni następnego dnia i kompletnie skołowana odłożyła słuchawkę.

- Julio! - zawołała ze zgrozą. - To największa porażka w moim życiu. Nie dostałam jeszcze kosza od żadnego mężczyzny, a tu nawet nie mężczyzna, tylko zwykła Chochla zrobiła mi taki afront!

- Tego... no... ale pomyśl, dla kogo on stracił głowę - zauważyła skromnie Julia.

Wariacki śmiech rozładował napięcie, jednak nie posunął sprawy do przodu. Kto mógł przypuszczać, że amory Chochli rozłożą cały plan?! I jeszcze na domiar wszystkiego Julia wcale nie czuła się dumna z wierności swojego adoratora.

Wieczorem zadzwoniła do domu, żeby uspokoić matkę, że żyje i ma się dobrze. Wysłuchiwała rad i wątpliwości, ale tak naprawdę interesowało ją tylko jedno: czy ktoś do niej dzwonił. Dowiedziała się, że nikt, z wyjątkiem jakiejś wydry z jej pracy. W języku matki wydra była synonimem niemiłej kobiety - tyle że niemiłe jej były wszystkie kobiety z otoczenia córki. Julia

już miała się zegnać, kiedy nieoczekiwanie usłyszała, że on, znaczy ten Wydra, nic nie wiedział o kursie Julii. Z wielkim trudem skończyła rozmowę i popadła w przykry stan niepewności. Po jakie лихо Wydroń miałby do niej dzwonić, i to teraz, kiedy byli poróżnieni? Na pewno nie chciał jej wsypać z kursem komputerowym, o którym nawet nie wiedział, czyli musiało się coś nieoczekiwanego wydarzyć. Jak na złość jego telefon milczał. Natomiast późnym wieczorem odezwała się komórka. Dziewczyny, gotowe do snu, leżały na niewygodnej wersalce i rozprawiły o wydarzeniach ostatnich dni. Julia, przykładając słuchawkę do ucha, pomyślała, że Karolina całkiem niepotrzebnie wysłucha przeprosin Orzechowicza. A jednak to nie był Konrad. W miarę jak słuchała rozdziamdzianego głosu, jej rysy tężały.

- Cieszę się - powiedziała. - Będę jutro wieczorem. Pa!

- Wykluczone! Nigdy się na to nie zgodzę! - krzyknęła Karolina, wysłuchawszy skróconej relacji przyjaciółki.

- Innego wyjścia nie mamy! - wyjaśniła spokojnie Julia.

Nie myślała o konsekwencjach, szykowała się do nowej roli. Nawet najznakomitszy aktor nie zawsze gra to, co sobie wymarzył, pomyślała. Chciałam być Ligią, a wcielię się w postać Poppei Sabiny, najniego-dziwszej z kobiet. No, bez przesady: Chochla to nie Neron.

Konrad obudził się nad ranem z przepotężnym bólem głowy. Najpierw zdziwił się, że leży na tapczanie w ubraniu. Potem doszedł do wniosku, że zupełnie nie pamięta, jak do domu trafił. Zagłębiając się z trudem w nieodległą przecież przeszłość, przypomniał sobie spotkanie u Bujały. Uniósł głowę i jeszcze szybciej opuścił. Nigdy nie lubił karuzeli, to

zaś, co czuł pod czaszką, do złudzenia przypominało diabelski młyn. Chciało mu się pić, było mu niedobrze i sam nie wiedział, co robić.

Po raz drugi obudził się o zwykłej porze, czyli piętnaście po szóstej. W normalnych warunkach był to czas wystarczający na mycie, golenie i zjedzenie śniadania. O jedzeniu w ogóle nie mógł myśleć, umyć się musiał. Spojrzał w lustro i natychmiast zamknął oczy. Jedno w granatowej otoczce, drugie w żółtej; ostry kontrast sprawiał, że nie dało się patrzeć na własną gębę. Powoli wykonywał wszystkie podstawowe czynności. Kiedy znowu spojrzał na zegarek, wpadł w popłoch. Właściwie powinien już siedzieć w samochodzie. Samochód? Samochodu nie było przed domem. Oparł się ciężko o stół, potem usiadł. Co z tym samochodem? Film mu się urywał w momencie, gdy do gabinetu Bujały wkroczyła Julia, a on poczuł silne pragnienie. Wzdrygnął się na wspomnienie tamtego momentu. Wypił pół butelki koniaku. Normalnie wystarczyłoby mu na rok. Machinalnie zaczął bawić się kartką, leżącą na stole. Zgniótł, rozprostował, obejrzał literki i zanim zgniótł drugi raz, zobaczył słowo Julia. Poczuł nową falę gorąca. Czyżby ona go tu... do domu...?

Kluczy zapasowych nie miał, to znaczy miał, lecz nie w domu, tylko u Orskich. Co za sens trzymać zapasowe klucze w domu? Jedno, co mógł zrobić, to zatelefonować do firmy. Sam się zdziwił, że jego głos przypomina dudnienie pustej beczki. Julia natomiast niczemu się nie dziwiła. Poradziła, żeby wziął dzień wolny i odpoczął. Nie była obrażona, nie łapała figur, zupełnie jakby ostatnim razem widzieli się przy komputerze, nie zaś w okolicznościach co najmniej niestosownych.

- Julio, czy bardzo się wygłupiłem? - spytał zgnębionym głosem.

- W każdym razie na rękach nie chciałabym cię więcej nosić! - odpowiedziała rozbawiona.

Fantastyczna dziewczyna, pomyślał, siadając ciężko na tapczanie. Czuł się wyjątkowo podle. Do tego stopnia, że zaczęły mu się przypominać czasy odległe i bardzo odległe.

Gdyby w odpowiednim momencie, najlepiej jeszcze przed poczęciem, ktoś spytał Konrada, do jakiej rodziny chce trafić, na pewno nie wybrałby Orzechowiczów. Niestety, los nie stawia takich pytań i próżno się zastanawiać, czemu jedni mają wszystko, a drudzy nic, nawet nadziei. Rodzice Konrada dali swoim dzieciom życie i oryginalne imiona, resztę zostawili opatrności. Dom? Cóż, nie był przytulny, pachnący czystością i dobrym jedzeniem. Konrad nawet nie wiedział, że takie domy istnieją. To była nora, dokładniej mówiąc melina, bo wieczorami schodzili się okoliczni pijacy, lała się wódka, a jak zabrakło wódki, to denaturat, pieścotliwie zwany panienką. Czasem przyjeżdżała milicja. Radiowóz na Cygance nikogo nie dziwił.

Ledwie trochę podrosł i zmądrzał, urywał się z domu na całe dni. Ulica była jego prawdziwym życiem i jednocześnie szkołą przetrwania.

Z prawdziwą szkołą poszło nieco gorzej. Udało mu się tylko zlekceważyć zerówkę. Od września, wbrew własnej woli, trafił do szkoły; na wiosnę następnego roku miał wypadek.

Wśród dzieciaków panowała wtedy moda na przebiegankę. Reguły były proste: należało przebiec na drugą stronę ulicy tuż przed maską nadjeżdżającego samochodu - im bliżej, tym lepiej. Konrad był niekwestionowanym mistrzem, miał refleks i sprężyny w nogach. Wyskakiwał zawsze w ostatniej chwili, jak diabełek z pudełka, co było punktowane bardzo wysoko. Przez kumpli oczywiście, nie przez kierowców. Tak się rozzuchwalił, że gdy któregoś dnia usłyszał znajomy pisk hamulców i nie mógł biec dalej, to ze zdziwienia zemdlał. Ocknął się w

szpitalu. Przy jego łóżku siedziała młoda piękna kobieta. Po chwili dołączył do niej mężczyzna. Tak poznał Grażynę i Lucjana Orskich. Miał bardzo dużo szczęścia, że wpadł właśnie pod ich samochód.

Niech sobie ludzie wybrzydzą, ile chcą, ale mały Orzechowicz nie mógł się nachwalić szpitala. Każde dziecko leżało w oddzielnym łóżku z białą pościelą. U niego na szafce zawsze były owoce i słodycze. Grażyna przychodziła codziennie, Lucjan - kiedy tylko mógł. Wszystkie dzieci na sali myślały, że to są jego rodzice. Prawdziwi nie przyszli ani razu i Konrad bardzo się z tego cieszył. Potem było jeszcze sanatorium rehabilitacyjne w Ciechocinku. Pierwszy raz w życiu jechał wtedy samochodem osobowym. A po powrocie odbyła się pamiętna rozmowa.

- Chcemy - powiedział Lucjan - żebyś został z nami.

- Dobrze! - zgodził się bez chwili wahania.

Wtedy jeszcze nie wiedział, ile zdrowia stracili Orscy, by przekonać sąd rodzinny, że lepiej będzie dla dziecka, gdy zamieszka z nimi. I pewnie wróciłby Konrad do swojej meliny, gdyby nie stary Orzechowicz. Owszem, początkowo chciał oskubać Lucjana, wyciągnąć ile się da za straty moralne, kiedy jednak zaczęły go nachodzić przedstawicielki różnych instytucji opiekuńczych, nawracać i zachęcać do pracy, podpisał zrzeczenie się praw do syna. Spojrzał potem na chłopca z niechęcią i powiedział:

- Jedna gęba mniej!

Matka przytaknęła. Zawsze przytakiwała mężowi. Była biblijnym wręcz przykładem posłuszeństwa i bez zastrzeżeń uznawała dominację mężczyzny. Rodzice wyrwali Konrada z korzeniami ze swojej pamięci - jeżeli kiedykolwiek czuł do nich wdzięczność, to tylko za to jedno, jedyne ojcowskie zdanie. Więcej nigdy ich nie widział.



Orscy wzięli na siebie wszelkie koszty związane z utrzymaniem i wykształceniem chłopca. Jedynym problemem było mieszkanie. Sami gnieździli się w kawalerce, byli młodym małżeństwem, więc Konrad sypiał u ich przyjaciółki, pani Eweliny Zagrodzkiej, dwa piętra niżej. Z tego sypiania zrodziła się wielka przyjaźń dwojga samotników. Ciotka Ewelina była mu mamą, nianią, powiernicą i wszystkim. Obmywała podrapane kolana, utulała do snu, ukrywała przed Lucjanem i Grażyną chłopięce przewinienia, często wcale nie takie drobne. Konrad był wychowankiem meliny i ulicy, przyzwyczał się do swobody i decydowania o sobie. W nowych warunkach opiekunowie wymagali od niego posłuszeństwa, czystych paznokci, codziennego dreptania do szkoły, i to wcale nie było takie miłe. Buntował się, wpadał w tarapaty, uciekał do dawnych kumpli. Tylko do rodzinnego domu nigdy nie zachodził. Dom chciał mieć nowy, swobodę starą. Ciotka Ewelina była jedyną osobą, która to rozumiała. Na górę chodził odrabiać lekcje, uczyć się manier, tam obrywał bury za złe stopnie, na dół wracał, żeby się pławić w ciepłe i miłości. I w końcu wyrósł na człowieka. Ilekroć ktoś go pytał o rodziców, odpowiadał, że nigdy nie miał ojca ani matki. Więcej nie tłumaczył. To więcej to była właśnie jego tajemnica. A poza tym uważał się za wielkiego szczęściarza.

W firmie rozpruł się worek z plotkami. Ludzie przekazywali sobie różne dziwne informacje, wśród których jedna powtarzała się najczęściej: Mikulowa sprzedała Budampolex i uciekła z pieniędzmi i młodym kochankiem. Niektórzy podejrzewali, że uciekła z Chochlą, inni prostowali, że Chochla jest nowym właścicielem i nigdzie nie będzie uciekał, tylko właśnie wróci. Na pracowników padł blady strach. Jaki Budampolex był, taki był, jednak pensje płacił regularnie, co na wrocławskim rynku pracy nie było praktyką częstą. I to nie płacił w ratach, nie w naturze, lecz w prawdziwych złotówkach, tyle, ile się należało.

Co chwila ktoś wpadał do sekretariatu, próbował wypytywać Julię o szczegóły.

- Nic nie wiem - powtarzała do znudzenia.

Edyta zapowiedziała, że przyjdzie około czternastej. Mikula w ogóle się nie pojawił, co nikogo nie zdziwiło, zastanawiająca natomiast była nieobecność magistra Wydronia. Leszek zawsze zjawiał się bardzo punktualnie. Jeżeli ktoś chciał zastać go w biurze, to rano był najlepszą porą. Potem wybiegał, wracał, ginął na dłużej i znowu wracał. Jeżeli nie przyszedł, to znaczyło, że miał powód. W domu też go nie było, bo Karolina dzwoniła od rana.

- Co to, pana Leszka nie ma? - spytała Henia. - Matko święta, chyba nic mu się nie stało? - zawołała ze zgrozą.

Zaraz potem przypomniała sobie, że musi pędzić do lekarza. Julia zwolniła ją na dwie godziny.

Koło jedenastej do sekretariatu wkroczył Grzegorz Bujala. Niósł przed sobą potężny bukiet kwiatów, nie tak wielki jak ten dla miss paragraf, ale wystarczająco okazały. Julia na wszelki wypadek uśmiechnęła się pogodnie.

- Szefowej nie ma!

- A po co mi twoja szefowa? - zdziwił się Bujala.

- Myślałam, że ten ogród to dodatek do gratulacji, że...

- Mogą być gratulacje, czemu nie, ale dla ciebie. Żadna du... dama nie odważyła się na mnie krzyżeć. Daruję ci ze zrozumiałych względów i przy okazji dam ci radę na przyszłość: nie dawaj się ponosić gadulstwu.

- Ty mnie?

- Jako mężczyzna i przyjaciel! - przytaknął Bujala. - Wielka szkoda, że ty nigdy nie rozumiesz moich intencji. - Westchnął, całując dłoń Julii. - To są mianowicie kwiaty dla ciebie.

- A intencje?

- Co intencje?

- Za kwiaty dziękuję, pytam o intencje, których podobno nie rozumiem.

- Zawróciłaś mi w głowie i nie rozumiesz? Oj, ty czarodziejko, czarodziejko! - pogroził jej palcem.

Zgodził się wypić kawę, pod warunkiem, że Julia dotrzyma mu towarzystwa. Niestety, dzień był wyjątkowo nerwowy i dziewczyna pomyślała nawet, że spokojniej pogadali by na dworcu autobusowym. Stale ktoś wpadał, telefony dzwoniły i trudno się było skupić. Prezes budził w niej niechęć, pomieszaną ze strachem. Do sekretariatu zajrzała Karolina.

- Dzwonię i nic. Chyba gdzieś polazł - powiedziała zniechęcona.

Julia odetchnęła z ulgą. To był wymarzony moment, by przedstawić Karolinie człowieka, który w każdej dziewczynie chciał widzieć panią magister Cierniak. Tak to właśnie zgrabnie określiła.

- Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero dzisiaj? - zdziwiła się Karolina, posyłając Bujale przeciągłe spojrzenie spod rzęs. - Chociaż nie... chyba zaczynam rozumieć. Na twoim miejscu, Julio, też byłabym zazdrosna o takiego mężczyznę - powiedziała i posłała mu drugie spojrzenie.

Gadatliwy zwykle Bujała stał jak trusia. Z cichutkim zachwytem wpatrywał się w biust Karoliny. Julia posadziła przyjaciółkę przy stoliku dla gości, na wprost bossa, i wzięła się do pracy. Od czasu do czasu wciągali i ją do rozmowy. Obrzucała ich wtedy roztargnionym wzrokiem, jednak swoje widziała. Na nią obleśny tapirek patrzył łakomie -Karolinę dosłownie pożerał oczami. Życzyła mu w duchu, żeby się udławił. Poszedł wreszcie z wielkim ociąganiem. W drzwiach ze trzy razy się odwracał, żeby choć popatrzeć.

- No co? Prawda, że fajniutki?

- Wygląda na niezłego cwaniaka - odparła Karolina. - Ma o sobie doskonale zdanie, ale nie wiem, czy nie ukęcę z nim jakiegoś interesu.

- Z nim czy jemu? - spytała niewinnie Julia.

- Widzisz, jak się przy mnie wyrobiłaś! - zawołała uradowana magister Cierniak. - Świntuszysz nie gorzej niż Chochla, a rumieńców na buźce nie widzę! Byle tak dalej, a wyjdiesz na prawdziwego wampa. Po pracy skoczę na obiad z panem prezesem.

- Myślałam, że pojedziesz ze mną otworzyć Konrada.

- Nie! Zjem obiad z Bujała, ty sobie otwieraj Konrada sama. O osiemnastej spotkamy się w domu. Zrozum: Orzechowicz to przeszłość. Jeszcze dzień, dwa i całkiem się z niego wyleczę. Obejdzie się bez szpitala.

- A skąd! Właśnie ze szpitala wracam! - Zziajana Henia, z ulgą padła na fotel. Była blada i wystraszona.

- Chorujesz? - spytała Julia. Wobec ludzi chorych zawsze odczuwała dziwny lęk. Sama była nad podziw zdrowa, przerażało ją takie piętno nieszczęścia zawieszane nad cudzą głową.

Dopiero kiedy Karolina wyszła, Henia szepnęła Julii na ucho, że w szpitalu, na ortopedii, widziała Leszka Wydronia.

Konrad zwlókł się z tapczanu około drugiej. Od rana wypił chyba z osiem filiżanek herbaty i powoli dochodził do siebie. Język nie przypominał już kołka, szare komórki zaczynały pracować. Zrobił sobie niewielką kanapkę i był to pierwszy posiłek od dwudziestu kilku godzin.

Julia przyszła dopiero wpół do czwartej. Ledwie ją było widać spoza wielkiej reklamówki, którą oburącz tuliła do piersi.

- Przyniosłam trochę jedzenia. Poprosiłam w sklepie coś na kaca i babka dała mi kefir, jogurt i cytryny. Lubisz kefir?

- Julio, ta cała torba to kefir dla mnie?

- Chciałbyś?! Ta cała torba to jedzonko dla ciebie, dla chorego w szpitalu i dla nas na kolację.

- Zostaniesz u mnie na kolacji?

- Mówiłam o sobie i Karolinie.

Wypakowała torbę, położyła na stole klucz i szykowała się do wyjścia.

- Nie drażnij chorego człowieka - poprosił cicho Konrad. -Usiądź, wypij kawę i pogadaj ze mną, bo oszaleję. Co ty mówiłaś przez telefon? Nosiłaś mnie na rękach?

- Nie chciałeś przebierać nogami, więc cię niosłam. Bardzo wierzgałeś i to nie była lekka praca - wyjaśniła ze śmiechem.

- Jak nosiłaś? Tak? - Nim zdążyła zaprotestować, chwycił ją na rękę jak małe dziecko. - Tak mnie nosiłaś? - spytał.

Jego twarz była tuż nad jej twarzą. Obejmował ją mocno, pewnie, i to było szalenie miłe. Czowała jego ciepło, widziała tuż nad sobą gęste zrosnięte brwi i oczy, każde inne. Jedno ciemne, głęboko osadzone, drugie otoczone granatową łątką. Zachciało jej się nagle pogłodzić tę łątkę. Mówiła: - Puść - a myślała: - Pocałuj. On też myślał. Myślał tak: Nie pocałuję cię, dziewczyno, bo jestem skacowany i gdyby coś, to ja dętka. Ale pożerał ją wzrokiem, tulił w ramionach i wcale nie miał zamiaru stawiać na podłodze. Objęła go za szyję, zręcznie wyslizgnęła się z objęć, bo zdjął ją lek, że to nie on, lecz ona może się dać ponieść o jeden krok za daleko.

- Będziesz jeszcze silniejszy, jak coś zjesz! - powiedziała lekko speszona.

- Usiądź, zrobię ci herbaty.

Przycupnęła na krześle i poprosiła o pół szklanki wody mineralnej. Godzina była późna, chciała jeszcze pojechać do szpitala, a jednocześnie wcale nie miała ochoty wychodzić. Konrad przyniósł dwa jogurty i dwie bułki. Wmówił Julii, że jest głodna, że podobnie jak on nie jadła obiadu.

- Wiesz, co mnie męczy? - spytał.

Żeby wiedzieć takie rzeczy, wcale nie trzeba politechniki kończyć. Uśmiechnęła się i opowiedziała mu o dyskotecie, na której wystąpiła incognito, potem o poszukiwaniu pracy i dziwnym zbiegu okoliczności, gdy dyskotekowy boss okazał się prezesem Bujala.

- Uparł się, że jestem Karoliną, sam wszystko przesądził i jeszcze miał do mnie pretensje o swoją pomyłkę - powiedziała, dopijając jogurt. - Widzisz, do czego prowadzi nadmierne gadulstwo mężczyzn?

- To nie tak, Julio! - Patrzył na nią w napięciu. Głęboka bruzda między brwiami wyglądała jak kreska. - Znam Bujalę parę lat i mogę ci zagwarantować, że jest wyjątkowo ostrożny w kontaktach z ludźmi. On nie nazwał cię Karoliną przez pomyłkę, on wiedział, że ty jesteś Karoliną. Ktoś go celowo wprowadził w błąd. Współczuję człowiekowi.

Julia patrzyła przerażona. Czuła, że blednie i że wszystkie siły z niej uchodzą.

- Leszek - wyszeptała - Leszek jest w szpitalu.

Nagle zaczęła się bardzo śpieszyć i gdyby nie przytomność Konrada, zapomniałaby o reklamówce z darami dla chorego.

O tym, że ortopedia jest na drugim piętrze, wiedziała od czasu, gdy ojciec złamał nogę. Leszka odnalazła bodaj na tej samej sali. A może jednak obok? Leżał z przymkniętymi oczami. Podeszła na palcach i delikatnie położyła mu dłoń na policzku. Uśmiechnął się, lecz oczu nie otworzył.

- Mój złoty plaster miodu... zgadłem?

- Otwórz patrzaki i sprawdź.

- Moja pszczołka, moja biedronka, moje szczęście. Zgadłem!

- Za to ty wyglądasz jak nieszczęście - pokiwała głową Julia. Wolą nie przeciągać romantycznego powitania. Uprzątnęła szafkę, ustawiła soki, cytrusy i nadziewane cukierki, za którymi Leszek przepadał. Bardzo się

zmartwiła na wspomnienie kwiatów, które zostawiła w aucie. Był to wielki bukiet od bossa, o czym już nie wspomniała.

- Daj spokój, kochanie! Kwiatom trzeba zmieniać wodę. Kto miałby to robić, jak wszyscy na sali leżymy?

Usiadła na szpitalnym taborecie, najbliżej jak się dało, nakryła dłonią jego dłoń i chwilę patrzyła na otarty policzek i zadrapania na brodzie.

- Widzę, że urwał się z huźdawki głową we wdół na azwald -uśmiechnęła się lekko. Zdankiem tym, zasłyszonym w radiu, zabawiali się kiedyś tak, jak potem słówkiem mianowicie. Nawet nie przypuszczała, że nadarzy się okazja, by zacytować je całkiem poważnie. - Powiedz, co się stało? Strasznie dużo tajemnic narosło między nami.

- Tajemnic? Dawno już chciałem powiedzieć ci prawdę, tylko ty nie dopuszczałaś mnie do głosu.

- No wiesz?!

Julia już szykowała się do wielkiego wybuchu, już nabrała powietrza w płuca i... szybko wypuściła. Uczciwość kazała jej przyznać Leszkowi rację. Rzeczywiście, parę razy zaczynał jakieś dziwne rozmowy, ale przerywała mu wtedy lub zmieniała temat. Nie chciała znać jego prawdy, bo miała swoją. Zupełnie jak Bujała, pomyślała z niechęcią.

- Co się stało? - spytała cicho.

- Dlaczego pytasz?



- Staram się uprzedzić świętego Piotra. I w ogóle, co to znaczy „dlaczego”? Jesteś moim przyjacielem czy nie jesteś? Nie złość mnie, mów po kolei. Telefonowałeś do mnie, prawda?

- Najpierw Bujala zatelefonował do mnie. Zdaje się, że coś mu zazgrzytało w twoim imieniu czy nazwisku. Trochę wrzeszczał, więc dokładnie nie zrozumiałem i zadzwoniłem do ciebie, żeby uściślić,

o co chodzi. Jeszcze niedawno przekonywałaś mnie, że to ja gram znaczonymi kartami, że... Zresztą mniejsza o szczegóły. Twoja mama upierała się, że wyjechałaś w delegację, więc zamiast wyprowadzać ją z błędu, połączyłem obie informacje i wyszło mi, że jesteś u tego drania. Nie wiedziałem tylko, czy jest to wizyta dobrowolna, czy raczej przymusowa. Wściekłem się i pojechałem do Michelina. Bujala też się wściekł i oddał mnie pod opiekę swoim goryłom. To wszystko.

Julia szybko zamrugła oczami. Kręcisz, patyczaku, pomyślała. Kręcisz, próbujesz coś ukryć, całkiem jak ja. Mam ci powiedzieć prawdę, czy lepiej cię nie martwić?

Nie chciała płakać, łzy same spływały po policzkach i miękko padały na kołdrę. Leszek delikatnie dotknął jej twarzy, próbował zetrzeć wilgotne ślady. Patrzył przy tym z taką miną, takimi oczami, jak ta babka, siostra Orzechowicza. Wyraźnie nie miał ochoty opowiadać więcej o Bujale, Julia z kolei nie miała ochoty ustąpić.

- Znałeś go wcześniej, jeszcze przed Teatralną, prawda?

- Poznałem go, kiedy jeszcze ciebie nie było na świecie, biedroneczko. Grzegorz Bujala to najwcześniejsze wspomnienie mojego dzieciństwa. Podobno intelektualnie przewyższałem go już w kolebce, on natomiast bił mnie swoją siłą fizyczną... w przenośni i dosłownie. Siostra mamy, ciocia

Uta, była prekursorką wychowania bezstresowego. Malutki Grześ rozwijał się zgodnie z prawami natury, aż się całkiem rozwinął i wyrósł na bossa. Jedno ci mogę powiedzieć: jestem o rok młodszy i do rodziny go nie zapraszałem. Sam się zaprosił... kłopotek czarny. Udaję, że go nie znam, bo co innego mogę zrobić?! Do jego interesów też się nie mieszam.

Julia nawet nie usiłowała ukryć zaskoczenia. Patrzyła i nie wierzyła własnym oczom: Leszek miałby być kuzynem Bujala? W głowie zaszumiało jej od pytań i wątpliwości. W pokrewieństwo uwierzyła, nie mogła jednak uwierzyć, że obydwaj dżentelmeni unikają spotkań.

- Nie kręć, Lesiu - poprosiła. - Spotykasz się z nim i wiesz więcej, niż mówisz.

Przemógł się i przyznał, że specjalnością firmy ubezpieczeniowej Spokój były całkiem niespokojne działania. Jakie? O to by trzeba spytać samego bossa. W każdym razie były to interesy ciemne, żeby nie powiedzieć czarne. Czy jest największą szychą w mieście? Trudno powiedzieć, bo na wysokich gangsterskich szczeblach ostatnio zrobiło się bardzo tłoczno. Niedługo trudniej będzie o dobrego goryla niż o bossa. Sam Bujala utrzymywał, że należy do krajowej czołówki i zna wszystkich, których powinien znać.

- To czemu chciałeś mu jeszcze przedstawić mnie czy raczej Karolinę? Nas nie musiał znać. Próbowaleś się podlizać czy co? - spytała Julia.

Ścisnął jej rękę, aż zabolalo. Leżał chwilę z przymkniętymi oczami. Nie chciał się podlizywać. Po prostu nieopatrznie kiedyś wspomniał, że zna wyjątkowo piękną i obrotną prawniczkę. Padło nazwisko i Bujala się napalił. Wymyślił neutralny grunt, zaaranżował spotkanie, bo on uwielbia

pozory. Leszek miał przyprowadzić Karolinę. Ale bał się o nią. Za dobrze znał jej pazerność na władzę i pieniądze i za dobrze znał Bujalę. Julię uważał za psychicznie odporniejszą, zresztą był przekonany, że przy prezentacji wszystko się wyda. Julia zabawiła się w biedronkę i patyczaka, zamknęła mu usta i gra się rozpoczęła.

- Mogłeś mi powiedzieć prawdę!

- Żebyś zaczęła go uwodzić i załatwiać pracę? Znałem przecież te plany i musiałem jakoś wybić ci z głowy niemądry pomysł.

- I dlatego powiedziałeś, że mnie kochasz?

Drgnął, podniósł się na tyle, na ile pozwalały mu obrażenia.

- Jeżeli nie widzisz, że cię kocham, to te twoje śliczne oczy są chyba szklane!

- Mnie kochasz, Karolinę kochasz, ty kochasz wszystkich, Leszku, no, może oprócz Bujaly i Heni. Gdybyś nam powiedział wszystko, co wiesz, nie byłoby spisku i całego zamieszania. Nie wierzyłeś chyba, że komukolwiek pokrzyżujemy plany?

- Nie wierzyłem - przytaknął. - To był jedyny sposób, żebyś wreszcie odwiedziła mnie w domu. Wciąż mi umykałaś... Bardzo się bałem, że nie zdążę cię przekonać, ile dla mnie znaczysz. Nie, nie mów nic, posłuchaj choć raz do końca. - Przytulił jej dłoń do szorstkiego policzka. - Bujala od czasu do czasu prosił mnie o pomoc prawną. To haracz, jaki mu płaciłem za pewną przysługę. Stare dzieje, nie ma o czym mówić. Pokazał mi dokumenty zebrane przez Edytę. Nawet się nie zorientował, że mu zwinąłem zieloną teczkę. On i tak wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć, poza tym miał oryginały. Ja za to miałem swój wielki dzień. Bardzo trudno

jest zrobić krok od przyjaźni do miłości... nie wiedziałem, że aż tak trudno. Obiecuj mi, że pomyślisz poważnie nad tym, co powiedziałem... zastanowisz się, czy naprawdę nie możesz mnie pokochać...

Zmęczyło go to wyznanie. Leżał przez chwilę z zamkniętymi oczami. Julia przysunęła taboret jeszcze bliżej i oparła głowę o ramię Leszka. Cichutko przyrzekła, że się zastanowi. Nie było to kłamstwo ani wybieg. W tamtym momencie, z policzkiem na jego ramieniu poczuła, że tuli się do kogoś naprawdę bliskiego. Gdyby jeszcze miał czarne oczy pod czarnymi brwiami, był nieco muskularniejszy i... Uniosła głowę i spojrzała na bladą, ale szczęśliwą twarz Leszka.

- No widzisz! Mikulowa sprzedała, Edyta kupiła, czy to nie wszystko jedno, która baba nami rządzi? - powiedziała bez większego związku z jego wyznaniem i swoimi wątpliwościami.

- Bujała by cię sprostował. On twierdzi, że firma należy do niego -mruknął cicho, gładząc delikatnie jej włosy.

To był najbardziej romansowy dzień w życiu Julii. Jeden mężczyzna dał jej kwiaty, drugi nosił ją na rękach, trzeci zasypał najczulszymi wyznaniem, a w perspektywie miała jeszcze spotkanie z czwartym. Aż bała się myśleć o niespodziance, jaką zgotował jej Chochła. Miała przyjść o zmroku, nie świecić światła na klatce, nie rzucać się sąsiadom w oczy, dwa razy przycisnąć guzik domofonu, potem dwa razy zapukać do drzwi mieszkania. Widać Chochła był zwolennikiem systemu dwójkowego.

Karolina już była w domu.

- Załatwiłaś urlop? - spytała Julia.

- Hm, jak by ci tu powiedzieć - zastanowiła się głośno. - Załatwiłam zaległy urlop, po którym mogę już nie wracać. Nowa właścicielka nie ukrywała, że na stanowisku prawnika firmy widzi wyłącznie mężczyznę.

- Zgłupiała? Przecież załatwiałaś rzeczy niemożliwe, paragrafy tańczyły, jak im zagrałaś, i co?

- Chcesz do rymu czy rzeczowo? Jak do rymu, to gównno, jak rzeczowo, to też. Chłopa antyfeministę jeszcze przekonasz, ale baby za chińskiego luda. Baby antyfeministki są stokroć gorsze niż filmy pornograficzne emitowane w polskiej telewizji. Oglądasz czasem?

- Nie lubię. I co teraz zrobisz?

Ku zdziwieniu Julii przyjaciółka nie wydawała się szczególnie zmartwiona. Tak długo drżała przed utratą pracy, że w końcu zżyła się z myślą, że ten moment nadejdzie. Mikula jaki był, taki był, ale bronił jej interesów przed swoimi harpiami. W innych sprawach dawał się przekonać, kapitulował dla świętego spokoju, lecz w tej jednej był niezłomny. Mikuli zabrakło i realistka Karolina nie mogła liczyć na żadne względy.

- Co zrobisz? Jak sobie poradzisz? - dopytywała się Julia.

- Na razie jadę do Torunia, do Marty. Popytam przyjaciół, poszukam, coś wymyślę. Jeśli się nie uda, zawsze mogę skorzystać z propozycji Bujaly... chociaż wolałabym nie. Przez skórę czuję, że to śmierdzące jajeczko. Aż się wierzyć nie chce, że to kuzyn Leszka. Z jednym możesz konie kraść, a drugi kradnie ci kieckę. Co tak patrzysz? - parsknęła śmiechem. - Nie miałaś wrażenia, że te jego wyłupiaste oczka obierają cię z ubrań? Głowę daję, że dzisiaj w czasie obiadu siedziałam w restauracji nagusieńka.

- To pewnie wcale nie siedziałaś! - mruknęła Julia, czym wprowadziła przyjaciółkę w jeszcze lepszy humor.

Julia chciała coś jeszcze dodać, ale spojrzała na zegarek i przypomniała sobie o Chochli. Ogarnęło ją twórcze podniecenie, pomieszane ze zdenerwowaniem. W takim dniu jak ten, była tego pewna, żaden mężczyzna nie oprze się jej urokowi. Należało się śpieszyć, by Marcin nie czekał zbyt długo. Upięła włosy, poprawiła makijaż i obciągnęła króciutką spódniczkę.

- Tak idziesz? - spytała Karolina.

Pakując w domu ciuchy, Julia przygotowała się do roli agenta pomocniczego. Miała działać sprawnie i nie wchodzić w oczy: ciemna bluza, ciemne dresowe spodnie i wygodne buty, to było to, co zapewniało jej niewidzialność. Jeden kaprys Chochli wywrócił do góry nogami cały plan, łącznie ze strojem. Zamierzała iść w tym, w czym była w pracy.

- Włóż to! - Karolina wyciągnęła z szafy nowe dżinsy, sztywne jak drewno. - Zaręczam ci, że facet, który spróbuje to z ciebie ściągnąć, najpierw sam padnie. Uważaj na paznokcie przy zapinaniu guzików.

Julia aż tak naiwna nie była, by lekceważyć cudze dobre doświadczenia. Wyszła z domu w ciemnej bluzie z kapturem i w ciasnych spodniach Karoliny. Przez całą drogę omawiały szczegóły planu. Julia wchodziła pierwsza. Jej głowa w tym, żeby zostawić otwarte drzwi wejściowe i zamknięte od pokoju. Miała piętnaście minut na przygotowanie drogi dla przyjaciółki. Dwa krótkie sygnały komórki znaczyły, że wszystko gotowe.

- Jak przez piętnaście minut nie będzie sygnału, dzwonię i wywabiam cię z chałupy, pamiętaj - denerwowała się Karolina. -1 siadaj jak najdalej od tapczanu.

Julia prowadziła samochód, więc nie mogła pozwolić sobie na rozdygotanie. Karolina natomiast szalała. Po pięć razy sprawdzała zawartość torby małego włamywacza, liczyła gumowe rękawiczki, raptem dwie, i wciąż gadała, jakby chciała zagłuszyć własny strach.

- Trzymaj się, będzie dobrze! - powiedziała Julia, gdy wreszcie dojechały.

- Przytul mnie - poprosiła nieoczekiwanie Karolina. - Jesteś twardsza ode mnie. Sama bym się nie zdobyła na ten krok.

Julia objęła przyjaciółkę i uniosła kciuk do góry na znak zwycięstwa.

Z domofonem poszło łatwo. Schody pokonała błyskawicznie. Z bijącym sercem zapukała dwa razy do drzwi. Coś się ruszyło, coś zachrobotało i nic. Zapukała znowu. Niemal słyszała skrzypienie podłogi kilka kroków dalej, u Wandy Pasieczko. Rusz się, ty plujko burczało, ty podrzucie myszaty, ty śmietko cholerna, ty... ty ogonie wołowy, zaklinała w duchu Chochlę. No rusz się, gamoniu!

Ten ślimaczy pośpiech wart był najsroźszej kary.

- Juliaa?

I ten rozdziamdziany głos też wart był kary. Warknęła, że tak, i już nie wiedziała, czy to Wanda sapie za swoimi drzwiami, czy dureń Marcinek za swoimi. W jasnej szczelinie, ograniczonej łańcuchem, dostrzegła

wreszcie rybie oko. Upłynęła następna długa chwila, nim stanęła w przedpokoju.

- Już bardziej nie mogłeś się guzdrać!

Nie bardzo rozumiał, o co Julii chodzi. Przecież śpieszył się, ale musiał otworzyć drzwi. Spojrzała na te drzwi i nogi się pod nią ugięły. Dwa solidne zamki wzmacniała zapora złożona ze stolika, szafki i długiego drąga. Marcin właśnie usiłował dosunąć do drzwi tę barykadę, przez którą karaluch może by się bezszelestnie przecisnął, lecz nie Karolina.

- Zostaw to! - tupnęła gniewnie. - Ustawisz sobie, jak wyjdę. Nie chcę się tu czuć jak mała w klatce.

Potulnie odstawił drąg do kąta i wskazał wejście do pokoju. Zatrzymała się w progu z jękiem obrzydzenia. Nie dość, że zaduch zatykał dech w piersiach, to jeszcze wszędzie wały się ciuchy, stare gazety, opakowania od chipsów.

- Zaprosiłeś mnie i nawet nie posprzątałeś? Mam siedzieć z tobą w tym chlewie? - powiedziała z zimną wściekłością. Nie spodziewała się takiego przyjęcia.

- Tego, no... nie miałem kiedy, za to mam dla ciebie niespodziankę. Wyciągnął z kieszeni klucz i cofnął się do przedpokoju. Widziała, że

wchodzi do kuchni. Nie zapalał światła, przymknął drzwi. Z konieczności obejrzała sobie jeszcze raz pokój. Porządny był tam tylko telewizor i magnetowid, reszta to same graty, każdy z innego kompletu. Tapczan, stolik, szafa, chyba z dziesięć krzeseł i pusty regalik na kasety.



Chochla zamknął starannie drzwi, schował klucz i dopiero wtedy podał Julii małe pudełeczko. Pierścionek był nawet niebrzydki, cały ze złota, bez kamienia. Do obrączki przyczepiona była karteczka: Dla Blendy od Marcina.

- Ładny - pochwaliła - ale za wcześnie na biżuterię. Wezmę go kiedy indziej... dopiero jak wyjedziemy.

Nie nalegał. Odłożyła etui na stół i spojrzała na zegarek. Dziewięć minut zmitrężyła i niczego nie przygotowała. Najważniejszy był klucz, który Chochla nosił przy tyłku. Nie miała pojęcia, jak mu go odebrać w ciągu sześciu minut, zdecydowała się więc odwołać akcję. Podała Marcinowi rękę na pożegnanie.

- Chyba jeszcze nie wychodzisz? - spytał.

- Daję ci szansę, żebyś tu posprzątał. Jutro wpadnę, to pogadamy. I pamiętaj, nie chcę widzieć żadnych barykad. Nie będę sterczała na korytarzu ani minuty. Masz otwierać natychmiast, rozumiesz?

- Ten... tego... myślałem, że dziś... no... pociupciamiy. - Przełknął głośno ślinę i niezdarnie usiłował ją objąć.

- Jutro, Marcinku, wszystko jutro! - powiedziała, zrzucając jego rękę ze swojego ramienia.

Na parterze ktoś śmiał się identycznie jak Konrad. Jakie to szczęście, pomyślała, że nie wszyscy mężczyźni są podobni do Chochli. Dobiegła do samochodu w momencie, gdy Karolina szykowała się z odsieczą. W garści trzymała komórkę Julii.

- Zadzwoiłam, a ta małpa odezwała się z tylnego siedzenia. O mało zawału nie dostałam -jęknęła.

- Chyba ją sobie na szyi uwiążę - westchnęła Julia.

Program, tak starannie opracowany, wymagał zmian, i to radykalnych. Dyskutowały nad nimi do północy.

- Co to znaczy: ciupcianie? - spytała Julia, gdy już szykowały się do snu.

Karolina patrzyła na nią oczami wielkimi jak spodeczki.

- Właśnie to? - Julia załapała i zaczęła chichotać. - Ale jajo! Obiecałam Marcinowi, że jutro pogadamy i pociupciamiy. Myślałam o żarciu. Nie patrz tak! Znam parę innych określeń, tego akurat nie.

- Jutro ja pójdę do Marcina - zdecydowała Karolina i nie dała już sobie tego pomysłu wybić z głowy. Przez następną godzinę dostosowywały plan do zmienionych warunków.

- Bez bab bieda, a z babami żyć się nie da! - podśpiewywał Lucjan Orski. Ustawił na stole talerzyki, pokroił chleb i wędlinę. - Bez bab, bez bab... O, jeszcze serwetki.

- Co to za aria? - zagadnął z uśmiechem Konrad.

- Moja własna. Jak sobie chcę coś porządnego pośpiewać, to wymyślłam.

Zasiedli do kolacji. Konrad zastanawiał się nad pewnym fenomenem: mógł nie widzieć Lucjana i Grażyny przez miesiąc, dwa, pięć, przychodził i było tak, jakby w ogóle się nie rozstawali. Ostatnio czuł się

wobec nich winny. O tym, że zmienił pracę, powinni dowiedzieć się od niego, nie od obcych ludzi. W święta też ich zawiódł. Zatelefonował z życzeniami, ale przez dwa dni nie znalazł okazji, żeby wpaść choć na dziesięć minut. Wreszcie zebrał się, przyszedł i zastał tylko Lucjana.

- Co właściwie jest Grażynce?

- Jakies torbiele tam, gdzie ich nie powinno być. Na szczęście dzisiaj się wszystko wyjaśniło. Wyniki histopatologiczne są dobre, więc śpiewam sobie.

- Śpiewasz, że z babami żyć się nie da! Coś chyba nie tak?  
-uśmiechnął się Konrad.

- Mówisz, że głupio śpiewam? To zaraz zmienię... Wiesz - głos mu niebezpiecznie zadrgał -jak się z kimś przeżyje pół życia i nagle w oczy zagląda tragedia, to z człowieka ulatuje cała siła. Gdyby z nią coś... to ja nie mam już czego szukać na tym świecie. Dzieci nie mamy, ty już jesteś samodzielny, czasem aż za bardzo... Nie krzyw się, Radek, nie trzeba. Nie robię ci z tego powodu wyrzutów, wiem, że masz duszę rogatą, ale w gruncie rzeczy świetny z ciebie facet. Udałeś nam się, chłopcze, lepiej niż niejeden syn.

Wcale nie krzywił się dlatego, że ubodły go słowa starego przyjaciela. Próbował zapanować nad wzruszeniem i tamten dobrze o tym wiedział.

- Są jakieś dni odwiedzin w tym szpitalu? - spytał cicho Orzechowicz.

- Dni otwarte, jak kiedyś na uczelniach. Wchodzi, kto chce i kiedy chce. Tylko jakbyś przypadkiem oglądał szpitalny serial w telewizji, to nie

zdziw się, że on tak ma się do życia, jak krowa do chomika. Niby jedno zwierzę i drugie, ale spróbuj chomika wydoić.

- Krowy też bym nie wydoił.

Rozmawiali do późnej nocy. Właściwie mówił głównie Lucjan. Przeskakiwał z tematu na temat, wspominał całe swoje życie i obojętnie, o czym opowiadał, zawsze kończył na Grażynie. To było silniejsze od niego. Schudł, oczy mu się zapadły i Konrad, patrząc na niego, czuł się jak ostatni drań. W najtrudniejszej chwili, zamiast warować obok przyjaciela, marnotrawił czas na amorach. Fruwał sobie, gdy Lucjan do niego telefonował. A gdyby to była sprawa poważna, bardzo poważna? Wzdrygnął się na samą myśl.

Odkąd pamiętał, Grażyna i Lucjan byli zawsze razem. Jako mały chłopak współczuł Orskiemu, że nie ma kolegów, że nigdy nie wychodzi z domu sam, tylko zawsze z żoną. Konrad nie wyobrażał sobie życia bez kumpli, dziewczyny go nudziły, więc czasem, powodowany męską solidarnością, wyciągał Lucjana na mecz. Ale to było dawno! Teraz siedział na wprost tego samego Lucjana i doskonale go rozumiał: nie można nudzić się z kobietą, którą się kocha. Nuda jest zawsze wynikiem obojętności. Gdyby nie chodziło o przyjaciół, gotów był im zazdrościć, że tak bezbłędnie odnaleźli się wśród masy ludzi.

Do domu dotarł przed dwunastą. Kac już mu przeszedł, ale duszę miał chorą. Umówił się z Orskim na następny wieczór. Mieszkanie bez Grażyny to już inne mieszkanie. On to czuł, a co dopiero mąż. Wróciła stara tęsknota za własnym domem. Przypomniawszy sobie wielkie oczy, śmieszne piegi i zrobiło mu się jeszcze smutniej. Trzymał Julię na rękach, tu, w tym pokoju, i nie miałby nic przeciwko temu, żeby ją znowu potrzymać, ponosić od drzwi do tapczanu i z powrotem, lub lepiej bez

powrotu. Szczególnie tapczan bardzo rozbudził jego wyobraźnię. Julia sprawiała wrażenie obojętnej, jednak gdyby się postarał, to kto wie?

Zanim położył się do łóżka, nabrał przekonania, że chciałby mieć właśnie taką dziewczynę. Ale czy taka dziewczyna chciałaby mieć faceta, który za jednym zamachem wypija pół butli koniaku? Żeby jeszcze wypił i był trzeźwy, to co innego.

Zmodyfikowany plan antychochłowy zakładał, że to Karolina wchodzi do mieszkania pierwsza. Czyli nie był to wcale plan zmodyfikowany, tylko powrót do pierwszej wersji, jak słusznie zauważyła Julia. Obeszło się bez dodatkowych przygotowań. Musiała jedynie zadzwonić do domu i uprzedzić, że przyjedzie w niedzielę. Na oczekaniu wymyśliła wiarygodną historyjką o koleżance ze studiów, wspólnym weekendzie, a w odpowiedzi usłyszała, że ma natychmiast wracać. Dosyć, wracaj, wracaj, dosyć, masz swój dom i od początku to samo. Dom miała, ale żyć chciała po swojemu. Powtórzyła, że wróci w niedzielę wieczorem i poirytowana skończyła rozmowę.

- Nie słyszałaś o jakimś małym mieszkaniu do wynajęcia? - spytała.

- Wyrobisz bez ich pomocy?

Julia wątpiła, czy wyrobi, i właśnie dlatego zwlekała z ostatecznym odcięciem pępowiny.

Pod blok na Kujawskiej podjechały o zmroku. Julia zaparkowała z dala od okien garsoniery.

- W życiu nie czułam się tak podle - mruknęła Karolina.

- Nie pękaj. Pas cnoty masz, idziesz na wysprzątane i wywietrzone pokoje, nie tak, jak ja wczoraj - powiedziała Julia. Panowała nad nerwami, wydawała się spokojna i wyluzowana. No, ale ona szła do konkretnej pracy włamywacza, a co mogło czekać Karolinę?

Tak naprawdę Julia zaczęła się denerwować godzinę po tym, jak Karolina zniknęła za drzwiami drugiej klatki. Rozdygotana i przerażona czekała na sygnał, że droga otwarta. Czas włókł się wolniej niż sparaliżowana żmija. Nie mogła myśleć ani o wielkich rolach, ani o niczym innym. Przed oczami miała wąski korytarz, wejście do łazienki, do kuchni i do pokoju. Obojętnym wzrokiem obserwowała pustą uliczkę przed domem. Tylko jakiś mężczyzna niespiesznie wędrował chodnikiem. Mikula? - niemal wykrzyknęła. Przysunęła się do szyby - rzeczywiście, to był dyrektor. Podszedł do drzwi drugiej klatki i wcisnął guzik przy domofonie. Julię przebiegł dreszcz. Stary stanowił przeszkodę nie do pokonania. Tam gdzie dzwonił, najwidoczniej go nie oczekiwali, bo dał za wygraną. Odprowadziła go wzrokiem aż do rogu budynku. Ledwie za nim zniknął, odezwał się upragniony sygnał, na który czekała - zerknęła na zegarek - godzinę i pięćdziesiąt minut! Przewiesiła przez ramię małeńki plecak z latarką, śrubokrętem i uniwersalnym wytrychem, którym nie umiała się posługiwać, zamknęła samochód, włożyła cienkie gumowe rękawiczki i pewnym krokiem podeszła do drzwi. Domofon! Nie pomyślały wcześniej o cholernym domofonie! Wcisnęła pierwszy lepszy guzik. Kobieta po tamtej stronie nie bardzo rozumiała, jaka sąsiadka, ale sygnał zabrzączał i droga była wolna. Julia, przeskakując po kilka stopni, pobiegła na drugie piętro. Bezszelestnie wsunęła się do oświetlonego przedpokoju. Zniknęła gdzieś zapora antywłamaniowa, za to na podłodze wały się powiększalniki, lampy, kuwety, jednym słowem, cały sprzęt, który zwykle stoi w ciemni fotograficznej. Z łazienki, poprzez chlupot wody, dochodziły głosy Karoliny i Chochli.

- Gdzie z tą łapą! - śmiała się Karolina. Na szczęście odzyskała już wigor i nie traciła głowy. - Szczupły jesteś, ale bardzo harmonijnie zbudowany - łągała, a on pomrukiwał z zadowolenia i łykał komplementy, niczym pies muchy. - Wydajesz się silny, borsuczku, jak niedźwiedź!

Julia tylko głową pokiwała. Znała teorię Karoliny o wpływie pochlebstw na naturę męską, teraz miała okazję przekonać się o jej słuszności. Podobno nie ma mężczyzny, którego nie można zbałamucić miłymi słowami, dawkowanymi umiejętnie i dostosowanymi do oczekiwań. Jedni reagują na pochwałę intelektu, inni bicepsów. Chochła należał do tej drugiej grupy.

- No, tego... właściwie dlaczego przysłaś zamiast Julii? Nie powiesz, ten... no, że mnie kochasz?

- Tego jeszcze żaden mężczyzna ode mnie nie usłyszał! Pociągasz mnie do szaleństwa. Kiedy dowiedziałam się, że ty i ta mała, to myślałam, że zwariuję. Od dawna już miałam na ciebie ochotę.

- Ona też - powiedział z dumą.

- Widać ma gust. Postaram się, żebyś nie żałował, że musiała wyjechać. To mówisz, że ona naprawdę jest taka dobra?

Karolina znacząco zawiesiła głos, a on tajemniczo zachichotał.

Kamera i archiwum, kamera i archiwum, powtarzała w duchu Julia, ale zatrzymała się tuż za drzwiami łazienki. Takiej rozmowy nie mogła sobie darować. Niestety, Chochła zaczął opowiadać dyrdymały i tak ją zbrzydził swoją chorą fantazją, że natychmiast wzięła się do pracy.

Włączyła światło w pokoju. Zaduch wciąż wisiał w powietrzu, jednak widać było ślady sprzątanania. W tapczanie znalazła tylko pościel, w szafie wszystkie śmieci, które wcześniej walały się po pokoju. Odnalezienie oka kamery okazało się dziecinnie proste, jednak najważniejsze było dotarcie na zaplecze, czyli do kuchni. Gasiła właśnie światło, kiedy z hukiem otworzyły się drzwi łazienki. Na szczęście wyszła Karolina. Była w spodniach i w bluzce. Podwinęła tylko rękawy i rozpięła guzik pod szyją.

- Kończ, zanim się porzygam - szepnęła. -1 natychmiast dzwoń.

Wcisnęła Julii klucz i zaczęła krążyć po przedpokoju.

- Mocz się, borsuczku, mocz - wołała. - Nie myśl się chyba z rok. Dolej sobie gorącej wody. Nie pamiętasz, gdzie położyłam torebkę? Ależ ty masz tu syf, świntuszku!

- No przecież sprzątałem. To mówisz, że Julka opowiadała o mnie?

- Podpytałam ją i pękła. Chyba się zabujała. To jeszcze smarkula, jej nie można wierzyć.

- Pieniądze tego... no... ją przekonają. Dziś obdzwoniłem wszystkich, którzy są mi winni. Najdalej... tego... we wtorek będę bogaty.

Julia przekręciła klucz i weszła do kuchni. Na moment zatrzymała się w drzwiach, zaskoczona panującym tu wzorowym porządkiem. Czas jednak naglił. Dobrze wiedziała, co robić, żeby odzyskać najświeższą taśmę. W pudełkach po butach znalazła ze dwadzieścia innych oraz filmy i całą stertę kopert. Pozostawały jeszcze kartonowe teczki. Nie było ich nigdzie w zasięgu wzroku. Przeszukała szafki, zajrzała do piekarnika i kiedy unosiła się z klęczek, dostrzegła nad drzwiami niewielki pawlacz. Chwiejąc się niebezpiecznie na taborecie, sięgnęła ręką i o mały włos nie



runęła na ziemię. Chochla rozprawiał właśnie z Karoliną o swoich wdziękach.

- Boja tego... no... zawsze myślałem, że jestem za chudy.

- Mówiłam ci już, że nie - uspokajała go Karolina. - Zresztą wiesz, tusza nie ma znaczenia. Mężczyzna może nie mieć ręki lub nogi, byle nie był kaleką. Słyszałeś to powiedzenie?

- Tego... no... jak nie ma ręki, to chyba jest kaleką - sprostował rzeczowo i właśnie w tym momencie Julia zgrabnie zeskoczyła na podłogę, błogosławiąc w duchu swoje mięciutkie adidas. Wpakowała wszystkie skarby do ortalionowej torby. Czas był najwyższy, bo Marci-nek dość już miał kąpieli i szykował się do opuszczenia wanny.

- A pazury u nóg? - zaprotestowała Karolina. - Siedź, zaraz przyniosę cążki!

Spotkały się w przedpokoju, gdy Julia zamykała drzwi kuchenne. Uniosła kciuk na znak zwycięstwa i cichusieńko opuściła mieszkanie. Torba nie była zbyt ciężka, ale przerzuciła ją przez ramię, żeby nie wyglądać na obładowaną. Przed blokiem, na wprost okien garsoniery, stał Mikula z jakimś potężnie zbudowanym facetem. Na widok wychodzącej dziewczyny facet rzucił się, żeby przytrzymać drzwi. Na szczęście nie zdążył. Julia nasunęła kaptur na oczy i choć czuła w nogach strach, pobiegła przed siebie leciutko jak sprinterka. Zanim wsiadła do samochodu, zadzwoniła do Karoliny.

- Pędź piętro wyżej, właśnie do klatki włązi Mikula!

Mogła już tylko się modlić, nic więcej. Z daleka widziała, że klatka schodowa rozbłysła światłem. Ci dwaj nie mieli powodów, żeby się kryć.

Zmitrężyli w środku z dziesięć, może piętnaście minut, wyszli, rozprawiając o czymś zawzięcie, i skręcili tuż za blokiem. Karoliny wciąż nie było, a jej telefon nie odpowiadał.

Cicho, Julka, cicho, myśl logicznie! - mówiła sobie. Karolina mogła zostać u Chochli, ale równie dobrze mogła złamać nogę, kiedy uciekała po ciemku. I to jest najbardziej prawdopodobne. Trzeba wejść i przeszukać klatkę do czwartego piętra.

Dochodziła ósma. Julia schowała torbę do bagażnika, zamknęła samochód i postanowiła złożyć wizytę Wandzi Pasieczko. Ledwie wcisnęła dzwonek domofonu, odezwał się radosny głos:

- Czekamy, czekamy!

Czekamy? Kto mógł z nią czekać, chyba tylko Mikulowa? Gdy doszła na drugie piętro, drzwi już były gościnnie uchylone i Julia nie mogła pójść wyżej, musiała przekroczyć próg Wandy i zostawić przyjaciółkę na pastwę losu.

- Straciłaś tylko wstęp - zawołała wesoło Karolina. Stała w drzwiach pokoju i wydawała się całkiem zadomowiona. - „Oda do Włocławka” jest rewelacyjna!

Od Wandy Pasieczko wyszły przed dziesiątą, w samą porę, by nie spotkać się z kolejnymi gośćmi. Siedziały już w samochodzie, gdy Karolina zobaczyła Henię z Edytą. Zmierzały prosto do drugiej klatki.

- Wygląda na to, że cały Budampolex przenosi się na noc na Kujawską! - stwierdziła zaskoczona Julia. - Ciekawe, do kogo idą te dwie?

- Najbardziej potrzebuje pociechy Chochla. W ciągu minuty został sam, rozpalony do białości. Biedny Marcinek. I rozumek też ma taki malutki!

- Opanuj się! Chcesz, żebym nas rozkwaczyła na drzewie? Zapomnij już o Marcinku i jego wdziękach.

- Niemożliwe! Nie widziałam i chyba już nie zobaczę równie porażającej męskiej urody. A ten samochód, który stał na końcu parkingu, to nie...

- Owszem! - wpadła jej w słowo Julia. - Orzechowicz też tu jest.

Bałaganiarz i brudas Chochla w pracy lubił porządek i precyzję. Na kopertach były daty, imiona, nazwiska, nawet godziny, a w kopertach przegląd towarzyskiej śmietanki miasta. Ukryta kamera nakręciła kilometry taśm, z których potem mistrz Chochla prznosił na fotografie co celniejsze ujęcia. Można było obejrzeć nawet pary małżeńskie, tyle że nigdy nie kładły się na tapczanie razem. Jak choćby Mikulowie: on z Karoliną, ona z Majdziakiem.

- Niezła kolekcja - przyznała z podziwem Julia. - Teledyski, a raczej erotodyski, i fotki, czyli pełne wyposażenie rasowego szantażysty. Jak myślisz, ile mógł na tym zarobić?

- Jedź z nim do Szczyrku, to ci powie - zaśmiała się Karolina. - Zdaje się, że ruszył z szantażem dopiero za twoją sprawą. Słyszałaś, co mówił o telefonach do dłużników?

Julia słyszała, lecz nie przejęła się zbyt mocno. Była bardzo zadowolona, że nie stchórzyła, wygrała z własnym strachem i nie okazała się gorsza, niż kiedyś Marta Wilani. Zresztą zaraz po akcji zadzwoniła do

Torunia, żeby przyjąć gratulacje i zaproszenie na babską pogaduchę. Natomiast Karolina nie mogła oderwać się od skarbów Chochli. Dokopała się do zdjęć i klisz bardzo starych, jak choćby te z Edytą i Mikułą w rolach głównych. Kartonowe teczki zawierały dokumenty, notatki, kalendarze z adnotacjami, kto, co i gdzie. Jednak nurt historyczny był znacznie uboższy od współczesnego i przedstawiał mniejszą wartość przetargową. Kogo mogły przerażać zdjęcia sprzed dwudziestu kilku lat? Zresztą może i mogły, nigdy nie wiadomo, czego ludzie się wstydzą ze swojej przeszłości, a co jest dla nich powodem do dumy.

- Nie chcę nic mówić: mamy pół miasta u stóp - stwierdziła Karolina.

- Żartujesz? - wystraszyła się Julia.

- Ja tak, ale Chochla chyba nie żartował. Zobacz, kogo my tu mamy!

Julia nie była aż tak bardzo otrzaskana towarzysko. Kobiety, z wyjątkiem przyjaciółki oraz Oli Mikulowej i Edyty były jej obce, wśród mężczyzn rozpoznała Bujalę, Majdziaka, Mikulę i ze trzech innych, których widywała w sekretariacie, lecz nie kojarzyła z konkretnymi nazwiskami.

- Ten łysawy - powiedziała, wpatrując się w potężny tors - był chyba dzisiaj z Mikulą pod domem. Może mi się wydaje, bo widziałam go przez moment, kiedy usiłował przytrzymać drzwi.

Karolina nie widziała ani Mikuli, ani jego towarzysza. Krzyknęła Marcinkowi, że idą goście i ma zamknąć drzwi, a sama w pośpiechu wybiegła. Tamci dwaj dochodzili do pierwszego piętra. Nie uciekała, tylko nasunęła kaptur na głowę, stanęła przy drzwiach Wandy Pasieczko i zadzwoniła. Minęli ją i konspiracyjnie weszli piętro wyżej. To wystarczyło.

Wanda na dźwięk słowa „Julia” gościnnie uchyliła drzwi. Karolina z wrodzonym sobie wdziękiem zabajerowała starszą damę.

- A ja czekałam na sygnał od ciebie! - mruknęła Julia.

- Cały wieczór ci tłumaczę, że moja komórka została u Chochli. Skafander i torebkę chwyciłam w biegu, telefon bezmyślnie odłożyłam. Jutro zadzwonię do Nokii... nie, raczej do operatora sieci... w każdym razie jutro zgłoszę zaginięcie aparatu. Wolę to, niż jeszcze jedną wizytę u Marcinka.

Grażyna zajmowała łóżko przy samych drzwiach. Była blada, choć nie wyglądała źle. Konrad przysunął taboret. Nie miał sumienia jej budzić. Ona jednak nie spała, leżała tylko z zamkniętymi oczami i kiedy już usiadł, poszukała jego ręki i dopiero wtedy z przestraszeniem otworzyła oczy.

- Myślałam, że to Lucek, ale ręka nie ta! - Uśmiechnęła się, jakby przepraszając za ten gwałtowny strach.

- Patrz, co ci przyniosłem!

- „Pan Samochodzik i templariusze” - szepnęła. - Chcesz mi poczytać?

- Mnie kiedyś pomogło. Jak się czujesz?

- Dobrze... chyba dobrze... Mam za dużo czasu i obsiadają mnie różne głupie myśli. Boję się o Lucjana.

- Byłem wczoraj u niego i gadaliśmy do późnej nocy. Dzisiaj znowu pójdę, bo twój Lucek robi pyszne kolacje. On wcale nie jest taki niezaradny, jak sądzisz.

- Wiem, że nie jest, ale z nas dwojga to kto powinien spodnie nosić, on czy ja? Raduś - uniosła się z trudem na łokciu - obiecaj mi, że gdyby coś... ja nie mówię, że będzie źle, ale gdyby coś, to nie zostawisz go samego!

- Nie. Natychmiast go ożenię i mam już nawet kandydatkę: grubą, brzydką, rozplotkowaną babę, która Łucka natychmiast weźmie pod pantofel. Dlaczego mówisz takie rzeczy? Jest dobrze i będzie dobrze. Musi być! - Pochylił się, objął ją i ucałował w czoło.

Powoli uspokoiła się i nawet uśmiechnęła. Konrad nie uważał się za specjalistę od kobiecej psychiki, jednak skłonny był przypuszczać, że choroba Grażyny jest natury bardziej duchowej niż cielesnej. Nie wytrzymywała atmosfery szpitala, bezruchu i tęsknoty za swoim Łuckiem. Znalazł więc odpowiednie lekarstwo: zaczął jej opowiadać o swoich kobietach, tak jakby miał dwie. Prawdę mówiąc, nie miał żadnej, ale zaczął trochę zmyślać. Wahał się między piękną i przedsiębiorczą prawniczką a cichutką, skromniutką panią inżynier, między Karoliną i Julią. Bez intymnych szczegółów, bez zbytnich drobiazgów przyznał, że obie mu się podobają. Trafił w dziesiątkę. Musiał dokładnie opisać urodę jednej, potem drugiej i dodatkowo odpowiedzieć na wiele pytań. Jakie żarty lubią? Czy oglądają seriale? Jak się ubierają? Czy mają poczucie humoru? Czy potrafią gotować?

Wychodząc przed kolacją, zostawił Grażynę ożywioną, z cieniem rumieńców na policzkach. Była przejęta rozmową i nie ukrywała, że bardziej przypadła jej do serca Julia. Nie zaskoczyła tym Konrada. Tak dobierał informacje, żeby przychylnie nastawić Grażynę właśnie do pani inżynier. Czy miał w tym jakiś własny cel? Tego jeszcze na sto procent nie wiedział. Prosto ze szpitala pojechał do Lucjana, żeby go pocieszyć.

Julia zapowiedziała powrót na niedzielę, lecz postanowiła wykorzystać wolność do ostatniej minuty. Dobre choć kilka godzin bez gadania, pretensji i odpytywania z każdej chwili spędzonej poza domem, myślała. Zamierzała wrócić wieczorem, po odwiezieniu Karoliny na dworzec. Do południa siedziały nad notatkami Chochli.

— Ty mi powiedz, jakim cudem analfabeta został magistrem?  
-chciała wiedzieć Julia.

- Normalnie. Myślisz, że on jeden na swoim roku był skończonym tumanem? Popatrz sobie na innych wykształconych i przestań się łudzić. Poza tym, jak widać gołym okiem, Chochla nie miał zamiaru żyć wyłącznie z pisania.

Notatki z lat wcześniejszych mieściły się w wielkim, grubym brulionie. Z braku czasu odłożyły je na bok. Kogo jeszcze mogło interesować, że pod koniec lat osiemdziesiątych jakiś P. wymigał się od pochodzenia pierwszomajowego? Marcin skrupulatnie zapisywał potknięcia kolegów, wpadki, spóźnienia. Może nawet niektóre z tych informacji zdążył wykorzystać już wcześniej. Julia ani Karolina nie znały ludzi, nie wiedziały, czy fakt, że „Marek W. ma braki w magazynie” był w swoim czasie ważny, bardzo ważny czy zupełnie bez znaczenia. Skupiły się więc na kalendarzach z ostatnich lat. Lektura okazała się ciekawa, choć niezbyt łatwa. Marcin zupełnie ignorował znaki przestankowe i niejednokrotnie trudno było uchwycić nie tylko niuanse, ale sam sens wypowiedzi. Wszedłem na naradę na stół E podała kawę którą M wylał na raport długów i na MO która się wściekła.

- Pamiętam! - wykrzyknęła Karolina. - Pod nieobecność prezesicy stary chciał pogadać o zadłużeniu firmy. Dyskutowaliśmy w najlepsze, kiedy wszedł spóźniony Chochla z Mikulową. Stary, niewiele myśląc, wylał

kawę razem z fusami na dokument i widocznie kapnęło na żonę. Ola zachwycona nie była, ale chyba się nie wściekła?!

- Marcin pisze wyraźnie, że się wściekła!

- Sama mówiłaś, że facio niczego nie pisze wyraźnie, że wpadł we wtórny analfabetyzm, o ile nie siedzi w nim od dziecka. To co się teraz czepiasz? Choć raz spójrz na niego wybaczącym wzrokiem zakochanej kobiety!

W odpowiedzi Julia przyłożyła Karolinie Jaśkiem, aż zafurczało. Karolina zamierzyła się swetrem i w ten sposób odsunęły od siebie nadmiar przygnębienia. Pokotłowały się trochę na tapczanie, pochichotały i odprężone wróciły do lektury. Kronikarz Marcin Chochła wyłapywał tylko złe i bardzo złe wiadomości, przynajmniej jeżeli chodziło o innych ludzi. Pozytywnie zaczął pisać w momencie, gdy rozkręcił swój podejrzany biznes. Dwa ostatnie kalendarze rzucały nieco światła na duet Marcin-Edyta. Ona od dwóch lat była właścicielką mieszkania przy Kujawskiej. On wpadł na pomysł urządzenia i wyposażenia gar-soniery. Dzisiaj znowu nalegałem na E żeby przekonała starego do zakupu kamery dla firmy. Nieco dalej: Jutro osobiście jadę do Chojnic po zakup kamery. I jeszcze dalej. Kamera kosztowała 500 zł wybrałem najmniejszą za resztę urządzeń do monitorowania dałem 32 tys złotych. Jutro będę montował w mieszkaniu zwróci się szybciej niż E myśli. Kamera na fotokomórkę pójdzie nad tapczan w ozdobną lampę. W kuchni postawię resztę urządzeń i dam patent w drzwi Ciemnia pójdzie do łazienki. Był więc Chochła skończonym durniem, jak wszyscy sądzili, czy nie był? Sam, własnymi rękami i siłą swoich szarych komórek uruchomił i doprowadził do rozkwitu interes, który przynosił pokaźne zyski, niestety, nie jemu. Za swoją ciężką pracę, za dbanie o taśmy, czyste prześcieradła i ręczniki otrzymywał



zaledwie piętnaście procent wpływów. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna umowa. Jednak w rubryce „dochody” sporo było skreśleń i dziwnych przeksięgowaniań, z których wynikało, że nie o wszystkim współpracę informował. Pieniądze wpływały z wypożyczenia pokoju parom oraz działaczom klubu męskiego. Chochla pisał, jak umiał, ale nie dawał odpowiedzi na najważniejsze pytanie: czym się zajmowali członkowie klubu męskiego?

- Parki wiadomo, tylko co z tym klubem? - zamyśliła się Julia.  
-Może chodzi o odmienną orientację seksualną?

- No co ty! Bujala jest prezesem!

Nic nie chciało się ułożyć w logiczną całość. Bujala pewnie by wiedział, autor notatek też, lecz wołały nie pytać.

- Jestem ciekawa, czy Edyta wiedziała o szantażu? - zainteresowała się dla odmiany Karolina.

- Diabli wiedzą, może nawet nie, bo przecież wcześniej nikogo nie szantażowali. Edyta inkasowała pieniądze i reszta jej nie obchodziła. Marcinek próbował na własną rękę dorobić sobie do nędznych piętnastu procent. Ile lat grozi za szantaż?

- Teoretycznie, nie pamiętam, a praktycznie nic. Wyobrażasz sobie Mikulę występującego do sądu w takiej sprawie? Wyobrażasz sobie wysoki sąd debatujący nad zdjęciami starego capa? Już prędzej Bujala mógłby wystąpić, bo wnioskując po obrazkach, nie ma się czego wstydzić.

Julia nie życzyła sobie rozmów na temat męskich wdzięków. Jak najszybciej chciała spalić wszystkie dowody przeciwko Karolinie. Bała się, by nie wpadły w ręce następnego zbrojnego. W wielkiej metalowej

popielniczce urządziły ognisko. Obrzydliwy smród wypełnił całe mieszkanie i trzeba było szeroko otwierać okna.

Po obiedzie pojechały do szpitala. Chciały odwiedzić Leszka Wydronia, ale zastały puste łóżko. Julia próbowała zasięgnąć języka w pokoju pielęgniarzek.

- Wydrón? - zastanowiła się młoda dziewczyna. - Ach, ta ofiara bijatyki w pubie?

- W Michelinie - uściśliła Julia.

- Nie, gdzieś w centrum. Wyszedł wczoraj, na własne żądanie. Ma tylko lekki gips na nodze, może siedzieć w domu.

Ktoś jednak musiał wypić trzy soki owocowe i zjeść kilogram mandarynek, więc prosto ze szpitala pojechały na Świętego Antoniego.

Leszek w domu wyraźnie odżył. Po oczach widać było, że ma się lepiej. Poruszał się o dwu Szwedkach, jednak najchętniej siedział na plażowym leżaku z wygodnym podnóżkiem. Obecność koleżanek dodatkowo poprawiła mu humor. Wciąż powtarzał, że czuje się jak ranny powstaniec, przy którym czuwają dziewice.

- Szczególnie te dziewice cię rajcują, co? Zaszyleś się w norce jak borsuczek i obrażasz ludzi - Karolina pokręciła głową z dezaprobatą.

- Obrażam? - zdumiał się Leszek.

- Wybacz, stary, ale gdybym w moim wieku miała być jeszcze dziewicą, to chyba bym się ludziom na oczy nie pokazała. Już ty lepiej zrezygnuj z patriotycznych uniesień.

- Słyszałeś, żeby powstańcy nawalali się kuflami w barze? - zażartowała Julia. - Wyglądasz, kochany, jak członek klubu męskiego.

Z zagadkowym uśmiechem czekała na złośliwą ripostę, ale w pokoju zapadła cisza. Leszek odezwał się dopiero po chwili.

- Czy ty aby wiesz, co mówisz? - spytał. Patrzył na dziewczynę uważnie, jakby domagał się dodatkowych wyjaśnień.

- Nigdy nie kojarzę mordobicia z kobietami - broniła się Julia.

- Chwileczkę, z niczego się nie tłumacz, bo nic złego nie powiedziałaś. Gadaj, Lesiu, co to za klub, że podskoczyłeś jak przy zastrzyku -natarła Karolina.

Próbował się wymigać, ale była nieubłagana. We dwie osaczyły chłopaka i dosłownie wydarły z niego wiedzę na temat, o którym nie wypadało mówić w przyzwoitym towarzystwie.

Działacze klubu odznaczali się orientacją jak najbardziej właściwą, ba! byli zagorzałymi wielbicielami kobiet. Kandydatki typowali spośród babek pięknych, ogólnie znanych i najchętniej na stanowiskach. Ciągnęli losy bądź robili zakłady i raz w tygodniu, czasem rzadziej, jeden z nich przyprowadzał do mieszkania upatrzoną zdobycz. Ukryta kamera filmowała całe spotkanie. Raz w miesiącu urządzali festiwal filmów erotycznych, połączony z dyskusją o wdziękach i umiejętnościach partnerek. Typowali następne panie i robili zakłady, komu uda się babkę poderwać.

- Swoje kwalifikacje też oceniali? - spytała zaskoczona Karolina. Magister Wydroń nie należał do klubu i nie potrafił do końca zaspokoić ciekawości koleżanek.

Żeby zmienić nie tak znów wdzięczny temat, Karolina napomknęła o archiwum Chochli, nie wspominając jednak jego nazwiska. Leszek niespodziewanie bardzo się ożywił.

- Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę! - zawołał podekscytowany.

- Nie zobaczysz, bo prosto od ciebie jedziemy za miasto palić cały ten szajs. W domu za dużo dymu - wyjaśniła spokojnie Julia.

Leszek jednak tak się zapalił, że nie przyjmował do wiadomości żadnych tłumaczeń. Jeżeli mu na czymś zależało, potrafił być uprzykrzony. Pierwsza skapitulowała Karolina. Mrugnęła na Julię, żeby przyniosła z samochodu ortalionową torbę. Gdyby w tym momencie ktoś spytał Julię, co to jest zaufanie, miałyby kłopot z odpowiedzią. Obdarzała ludzi zaufaniem szybko i chętnie, potem najczęściej dostawała po nosie. Tak było choćby z Edytą. Leszkowi wciąż jeszcze ufała, lecz jego gwałtowne zainteresowanie skarbami Chochli trochę ją zmroziło. Wiedział o męskim klubie, mógł wiedzieć również o hobby Marcinka, ale skąd ten nagły i niezdrowy apetyt na cudzą goliznę? Jego zdjęć tam nie było, więc czego się spodziewał? Karolina mrugała i mrugała, a Julia uparcie popijała kawę, szukała odpowiedzi na nurtujące ją pytania i dla niepoznaki z wielkim zainteresowaniem oglądała stare pianino. Podeszła nawet, uchyliła wieko i próbowała wystukać jakąś dawno zapomnianą melodię.

- Umiesz grać? - spytała, zerkając na Leszka.

- Na pewno nie tak świetnie jak ty na nerwach! - roześmiała się Karolina. - Daj kluczyk od bagażnika, sama przyniosę. Niech sobie chłopak poogląda. Przecież widzisz, że na nic więcej nie ma szans!

W zasadzie te wszystkie paskudztwa nie należą do mnie, pomyślała Julia i sięgnęła do torebki. Karolina wybiegła, a ona została z Leszkiem sama.

- Wpadniesz jutro? - spytał.

Nie przerwała zmagania z upartymi klawiszami, nawet się nie odwróciła, tylko mruknęła coś o areszcie domowym. Spojrzała na niego dopiero wówczas, gdy poprosił, żeby podeszła. Spojrzała, lecz nie ruszyła się z miejsca.

- Boisz się mnie?

Odpowiedziała zgodnie z jego oczekiwaniami, że nie, skądże i wcale.

- Więc podejdź!

- Za chwilę - odpowiedziała i wróciła do wystukiwania melodii.

- Jednak się boisz lub... lub zdarzyło się coś, o czym nie wiem, a ty nie chcesz powiedzieć. Mam rację?

- Nigdy nie mówiłeś, że umiesz grać - stwierdziła z wyrzutem.

- Po prostu nie lubię się chwalić! O innych talentach też ci nie zdążyłem powiedzieć. Wolalbym, żebyś sama się o nich przekonała. I co? Nie podejdziesz?

- Masz te talenty przy sobie, gdzieś na wierzchu? - Uśmiechnęła się przelotnie i dalej katowała biedne klawisze. Przerwała dopiero, gdy wróciła Karolina.

Wyjeżdżała od Leszka w przekonaniu, że jej przyjaciółka popełnia błąd. Archiwum Chochli to była bomba z odbezpieczonym zapłonem,

należało ją rozbroić, unieszkodliwić, a na pewno schować przed oczami ludzi postronnych, choćby nawet tak bliskich jak Leszek.

- Zaufanie za zaufanie. Zapomniałaś o zielonej teczce? - zdziwiła się Karolina.

- On nam wtedy nie powiedział, skąd miał teczkę.

- My też nie powiedziałyśmy, skąd mamy zdjęcia. I zauważ, że nawet nie pytał. Obiecał spalić u siebie i wierzę, że spali.

Po wyjeździe Karoliny Julia poczuła się bardzo samotna. Ani z kim pogadać od serca, ani powyglupiać się czy choćby pomilczeć. Konrad jakby jej unikał, Leszek i Bujala milczeli i Julii groziło spędzanie wieczorów zgodnie z życzeniem matki: w domu. Po wyjątkowo ostrej awanturze pani Blendowa doszła do wniosku, że córkę trzeba wydać za mąż. Kandydata wprawdzie nie było pod ręką, ale była zapięta na ostatni guzik wizja rodzinnej przyszłości: wyda się Julię, kupi wreszcie dom i młodzi otoczą opieką staruszków. Ojciec nie przekroczył co prawda jeszcze pięćdziesiątki, matka była młodsza od niego, a werwy w nich było tyle, co w trzydziestolatkach, jednak przy każdej okazji kokietowali swoją starością. Julia obserwowała ich teraz oczami dorosłej kobiety i zaczęła dostrzegać nie tylko drobne śmieszności. Nie tak dawno spotkała na ulicy Stasia Borkowskiego, niegdyś serdecznego przyjaciela ojca. Przy kolacji opowiedziała o spotkaniu, przekonana, że się ucieszą. „E, głupi piździorek! Tyle ma, co w kiblu zostawi!” - powiedział z niechęcią ojciec. Stwierdziła wtedy z przerażeniem, że to chyba pieniądze i powodzenie w interesach tak bardzo zmieniają ludzi. Rodzice osiągnęli niemało. Zaczynali od pośrednictwa w handlu nieruchomościami, od ogłoszeń wieszanych na płotach, skończyli na własnej agencji reklamowej, dwóch kantorach wymiany walut, sklepie jubilerskim i czymś tam jeszcze. Wykorzystywali

każdą okazję, nie gardzili żadnym zarobkiem. Mogli być z siebie dumni. Julia też była z nich dumna, bo utwierdzali ją w przekonaniu, że uczciwą pracą można się dorobić. Wciąż jeszcze wierzyła w ich uczciwość, mniej w nieomyślność, choć od dziecka wpajali jej taką ładną zasadę, że starsi zwykle mają rację, natomiast rodzice zawsze. Po niedzielnej awanturze zdecydowała się jak najprędzej wynająć mieszkanie w mieście. Liczyła się z kłopotami i była na nie przygotowana.

W Budampoleksie rozpoczęły się rządy Edyty. Waclaw Mikula wyjechał do Szczawnicy na krótki urlop zdrowotny i nowa właścicielka urzędowała w jego gabinecie. Do powrotu dyrektora nie przewidywała zmian w funkcjonowaniu firmy, z wyjątkiem reorganizacji w najbliższym sobie dziale. Leszek Wydroń został kierownikiem dwuosobowej komórki organizacyjno-prawnej, Julia awansowała na kierowniczkę sekretariatu. Pomoc gospodarcza, Henryka Luty, z końcem miesiąca miała podzielić los Karoliny.

Koło dziesiątej Julia weszła do gabinetu z kawą.

- Usiądź na sekundę - powiedziała szefowa, zajęta telefonem. Wcisnęła pamięć, odczekała dwa piknięcia i spróbowała jeszcze raz. Julia bardzo musiała się starać, żeby się złośliwie nie wykrzywić.

- Może ja spróbuję panią połączyć - zaproponowała.

- Och, nie, to nic ważnego. - Edyta uśmiechnęła się prawie przyjaźnie. - Od rana patrzysz na mnie tak, jakbyś zamierzała o coś spytać. Słucham?

Pod uważnym spojrzeniem szefowej zawahała się, ale nie straciła głowy.

- Dlaczego Karolina odchodzi? Przecież jest bardzo dobra.

- Nie kwestionuję umiejętności magister Cierniak - odparła spokojnie Edyta. - Jednak zaszły pewne okoliczności, które uniemożliwiają dalszą współpracę. Proszę, żebyś to, co powiem, zachowała dla siebie. Magister Cierniak musi odejść, ponieważ zostaje dyrektor Mikula, który nie życzy sobie jej obecności. To dość rzadki wypadek, by personel molestował seksualnie dyrektora. Nam się właśnie coś takiego przytrafiło. Wiem, co mówię, i mam konkretne dowody, które przekonają każdy sąd.

Skinęła głową na znak, że rozmowa skończona, i wróciła do wystukiwania numeru. Julia usiadła w sekretariacie przy wielkim biurku z uczuciem, że coś wie, coś ma na końcu języka, że wystarczy jeszcze odrobina wysiłku, żeby dało się złapać i wyartykułować. Nie chodziło o molestowanie. Ten numer, ściągnięty z Heni, nawet nie był zabawny. Chodziło o coś całkiem innego: o dowody! Edyta powiedziała, że ma, lecz uparcie próbowała dodzwonić się do Chochli, czyli wyglądało na to, że dopiero czekała na przesyłkę. Podekscytowana Julia zrobiła szybki przegląd wydarzeń ostatnich tygodni. Przesyłki od Chochli zaczęły przychodzić przed świętami. Pierwsza na nazwisko Edyty i wbiła się w pamięć dzięki drożdżówce. Po świętach przyszła adresowana do Karoliny, z pamiętnym liścikiem - O to ci chodziło no to masz co chciałaś - potem dwie jednocześnie, do Edyty i do Mikuli. Te dwie nigdy nie trafiły do rąk adresatów i dawno zakończyły żywot w popielniczce. Chochla twierdził, że do Karoliny nie pisał, więc? Usiadł do adresowania koperty, obok leżały zdjęcia, zaczął się ślinić jak mały buldog i zamiast Pałubka napisał Cierniak? To wydawało się całkiem prawdopodobne, zatem wszystkie zdjęcia Karoliny wysyłał do Edyty, na jej wyraźne życzenie. Na razie przyszły dwie koperty, jedną odebrała Karolina, drugą odebrała Julia, zatem Edyta wciąż nie miała swoich dowodów. Jeżeli Marcin uwinął się z



ostatnią przesyłką przed sobotą, to bardzo prawdopodobne, że jeszcze jakieś odbitki mogą być w drodze. Julia z wrażenia przygryzła usta i do czasu przyjscia listonosza nie umiała się na niczym skupić. Bez trudu poznała kulfony Marcinka i dosłownie w ostatniej chwili wepchnęła kopertę do torebki. Tuż po niej pani prezes nerwowo przerzuciła pocztę, nie znalazła niczego dla siebie i ze złością zatrzęsnęła drzwiami gabinetu. Źródółko wyszło, pomyślała z radością Julia. Fine, klops, kropka!

Przez cały dzień Julia miała sporo pracy i jeszcze więcej emocji. Edyta zrobiła z niej kierowniczkę sekretariatu i podniosła pensję nie po to, by przenosić do działu informatyki. Spokojnie, bez hysterii przyjęła te zmiany. Zaświtał jej niegłupi pomysł, by wrócić do Warszawy. W wolnej chwili napisała krótki list do Małgorzaty. Razem studiowały, razem miały pracować w jednej z warszawskich firm. Julia wróciła do Włocławka, tamta została i wydawała się bardzo zadowolona. Popytaj, poszukaj i jeżeli będziesz coś wiedziała o etacie dla informatyka, natychmiast daj mi znać - prosiła w liście i podała adres Budampolexu. W domu list z Warszawy nie byłby bezpieczny nawet przez minutę.

Powrót do stolicy wydawał się najlepszym rozwiązaniem. Jeżeli czuła smutek, to tylko dlatego, że wyjazd oznaczał rozstanie z Karoliną i inżynierem Orzechowiczem. Ciekawe, czy on zauważy, że wyjechałam? - pomyślała.

Z biurowca wyszła sporo po piętnastej. Na parkingu stało zaledwie kilka samochodów. Podeszła do swego matiza, wyjęła kluczki i w tym samym momencie poczuła, że z tyłu chwyta ją żelazna obręcz. Uścisk był bardzo silny, napastnik stał tak blisko, że mogła tylko dreptać, popychana jego ciałem. Krzyknęła głośno, a kiedy próbował zatkać jej usta i zwolnił nieco chwyt, z całej siły wbiła mu kluczyki w bok. Zatoczyli się razem i ten

moment dostrzegli dwaj młodzi mężczyźni, którzy nieopodal wsiadali do samochodu. Kiedy ruszyli w ich stronę, napastnik puścił Julię i rzucił się do ucieczki. Jeden z mężczyzn pobiegł za uciekającym, drugi dopadł Julii prawie równocześnie z Konradem. Chwila upłynęła, zanim oprzytomniała na tyle, by wyjaśnić, co się stało. Tylko właściwie co się stało? Sama nie wiedziała. Rozcierała obolałe przedramię, rozglądając się z przerażeniem. Teraz dopiero przyszła pora na strach. Czuła, że drżą jej kolana, że ledwie stoi.

- Już dobrze, niech się pani nie boi - mówił ten pierwszy mężczyzna, ten, który z nią został. Chciał ją podtrzymać, ale uprzedził go Konrad.

Drugi, zmęczony i zziębnięty, wrócił po chwili.

- Uciekł drań! - wysapał. - Wysoki, rudawy, zna go pani?

- Nie wiem... nie widziałam - powiedziała cicho Julia. - Otwierałam samochód... Naprawdę nie wiem, co i kto... ani dlaczego...

- Namnożyło się cholernego złodziejstwa! - mruknął pierwszy ze złością.

Miał jasne, kręcone włosy i okrągłą twarz z perkatym nosem. Julia wciąż tuliła się do Konrada. Nawet dziękując chłopakom za pomoc, tuliła się do Konrada.

- Nie chcesz zawiadomić policji? - spytał.

Zachnęła się i z miejsca poczuła przyływ sił. Złodziej uciekł, życzyła mu połamania nóg, lecz nie zamierzała nadawać sprawie rozgłosu. Policja, rodzice i areszt domowy do końca życia?! O nie! Tego sobie nie życzyła.

Ochłonęła już na tyle, że mogła spokojnie wsiąść do samochodu. Konrad usadowił się obok niej. Tego dnia był akurat bez auta.

- Gdzie cię podwieźć? - spytała.

- Przepraszam, kto się kim opiekuje? - próbował uściślić.

- Założmy, że ty mną, więc gdzie mam jechać?

- Jeżeli masz apetyt na omlet z pieczarkami, to do mnie - powiedział. Na wspomnienie omletu Julia poczuła ucisk w żołądku. To danie kojarzyło się jej z Karoliną. Uśmiechnęła się, co on odczytał jako przyjęcie zaproszenia.

Wciąż jeszcze miał podbite oko. Nie straszył już ciemnym granatem, tylko kokietował jasną zielenią, przemieszaną z lekkim fioletem.

- Wiesz, że Karolina dostała w piątek wypowiedzenie? - zagadnęła Julia.

Wydawał się niemile zaskoczony. No tak, pomyślała, niedawno stłukłam lusterko, więc czego tu oczekiwać! On wciąż myśli o Karolinie. Poczwała w piersiach chłód i straciła apetyt na wspólny obiad. Podwiozę go i zawrócę, postanowiła.

- To jak z zaproszeniem? Przyjęte? - spytał, gdy zatrzymała się przed blokiem. - Uwierz mi, robię naprawdę wyśmienite omlety.

Zawahała się, spojrzała w zielono-fioletowe oko i postanowiła zaryzykować. Kiedy z kuchni zaczęły dochodzić smakowite zapachy, wmawiała sobie, że to wizyta głodomora, nie kobiety. Zje, czemu nie, i pojedzie do domu. Konrad rozłożył na stole serwetki, wniósł dwa talerze pachnące pieczarkami i Julia poczuła, że kobieta bierze górę nad

głodomore. Danie było pyszne, lecz ona myślała wyłącznie o mężczyźnie, który przez żołądek pakował się jej do serca.

- Czemu jesteś taka milcząca? - spytał.

- Nie jestem - zaprotestowała.

Są różne rodzaje milczenia. Na przykład porozumiewawcze łączy ludzi. Kiedy zakochani siedzą obok siebie, trzymają się za ręce, wcale nie są potrzebne słowa. Milczą sobie razem, najczęściej na wspólny temat, i jest im dobrze. Na przeciwnym biegunie jest milczenie obrażone, strawne tylko w krótkich dawkach. Ma ukarać winnego, wymusić na nim konkretne działania. Podpadł, niech przeprosza. Bywa też milczenie znudzone, bardzo łatwe do przełamania, bo wymaga jedynie zmiany partnera. Najtrudniejsze do zniesienia jest milczenie sondujące. Milczą, bo nie chcą się wychylić, bo jedno czeka, aż drugie zacznie, cisza przedłuża się, dzwoni w uszach i sprawia, że nie wiadomo co zrobić z rękami, gdzie uciec z oczami i w ogóle jak się zachować. Takie milczenie wisiało nad stołem Konrada i unosiło się nad omletami: Julia pochwaliła, on się ucieszył i temat został wyczerpany.

- Kogo ty masz na Kujawskiej? - spytał, żeby spytać, żeby nie przedłużać kłopotliwej ciszy.

- Znajomą! - odpowiedziała szybko i zdecydowanie. - Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. W piątek i w sobotę byłem wieczorem u przyjaciela i widziałem twojego matiza.

- Mnie też widziałeś? ;

- Nie - uśmiechnął się lekko - tylko samochód.

Tak ją zmieszał i przeraził, że zamilkła na dobre, a on znowu pytał, czemu nic nie mówi.

- Przecież cały czas chwalę twoje talenty kulinarne, nie słyszysz? Przeraził mnie ten głupi napad. Miałam szczęście, że akurat byłeś w pobliżu.

- Po prostu czekałem na ciebie - powiedział. - Odnoszę wrażenie, że boczysz się na mnie i masz o coś żal.

Zdziwił ją nieco ten żal, bo na parkingu tak się do niego tuliła, że mógł ją raczej posądzać o uczucia całkiem odmienne. Zastanowiła się przez chwilę, spojrzała w zielono-fioletowe oko i nie znalazła odpowiedzi.

- Julio!

- Nie mam żalu, to wcale nie chodzi o żal! Jeżeli nawet chodzi, to nie chodzi!

- Ujęłaś to z inżynierską precyzją - zauważył z podziwem. - Wobec tego wytłumacz mi jeszcze, dlaczego ja nic nie rozumiem.

Zacząła się śmiać. Siedzieli na wprost siebie, rozdzieleni stołem i pustymi talerzami, patrzyli sobie w oczy i bredzili jak pokręceni.

- Ma być szczerze? - spytała, ocierając delikatnie oczy.

- Ma być.

- Dopóki jesteś chłopakiem mojej przyjaciółki, wstrzymaj się od wyznań, bo stawiasz mnie w głupiej sytuacji. Lubię cię, nie chcę obrazić, lecz nie odpowiada mi rola tej trzeciej. Jeżeli powiesz, że wciąż nie rozumiesz, wyjdę, bo nie lubię nierozgarniętych facetów.

Teraz on zbierał myśli, wazył słowa, żeby nie wyjść na nierozgarniętego, nie zrzucić winy na Karolinę, nie zrazić Julii, a jakoś jej wytłumaczyć, że nie jest trzecią ani drugą, tylko pierwszą. Pozbierał talerze, odstawił je na bok i wyciągnął rękę przez stół. Czekał moment, zanim z wahaniem podała mu swoją.

- Karolina to zamknięty rozdział - powiedział. - Nawet gdyby nie wysłała mnie do wszystkich diabłów, to i tak nie byłoby między nami tanga. Mamy różne oczekiwania wobec partnerów i wobec życia. Tyle o przelotnej fascynacji twoją przyjaciółką. Ani się zapieram, ani zaprzeczam, tak było. A teraz o nas. Całkiem niedawno sobie pomyślałem, że gdybym kiedyś wreszcie chciał skończyć z kawalerskim stanem, to pod jednym warunkiem: dziewczyna musiałaby mieć takie oczy jak ty, takie włosy, identyczne piegi i całą resztę, łącznie z anielskim charakterem. Nie chcę szukać sobowtóra, skoro mam oryginał obok.

Mówił tak ładnie, z takim żarem, że zapomniała o przyjaciółce i stłuczonym lusterku. Nie protestowała, kiedy obchodził stół, obejmował ją, całował włosy, czoło, piegi i usta. Jego niespokojne ręce błądziły po jej bluzce i pod bluzką. Z trudem złapała oddech, odsunęła się nieco.

- Napiałabym się herbaty - powiedziała.

Jeżeli go zaskoczyła, zachował zimną krew. Skinął głową i wyszedł do kuchni. Bardzo chciała zostać, naprawdę bardzo i dlatego cichutko, żeby nie robić hałasu, wzięła z wieszaka żakiet, torebkę i zamknęła za sobą drzwi. Uciekła.

Potem przez całą drogę robiła sobie wyrzuty, że zachowała się głupio i nieodpowiedzialnie. Żał jej było Konrada, siebie, tego, co mogło nastąpić później. W domu zamknęła się w pokoju i postanowiła nie

odbierać telefonów. Ledwie postanowiła, zaraz przypomniała sobie Karolinę i Martę. Przecież specjalnie wróciła do domu wcześniej, by czekać na telefon od nich.

Zadzwoił jakąś godzinę później. Wanda Pasieczko przypomniała sobie, że nie doczytała do końca ody i serdecznie zapraszała Julię i Karolinę do siebie. Wymówiła się nawałem pracy i wizytą znajomych. Ledwie usiadła przy biurku, znowu odezwał się telefon.

- A jednak boisz się mnie, Julio?

Zaprotestowała stanowczo i bardzo energicznie. Nikogo się nie bała i w ogóle wypraszała sobie takie insynuacje.

- To świetnie. Wobec tego wsiądź w samochód i przyjeżdż.

- Właśnie odprowadziłam go do mechanika.

- Są jeszcze taksówki.

- Czy coś się stało? - spytała zaskoczona.

- Potrzebuję twojej pomocy, to mało?

Pomocy choremu przyjacielowi nie wypadało odmawiać.

Konrad nalewał właśnie wrzątku do filiżanek, kiedy usłyszał szmer w przedpokoju i ciche stuknięcie drzwi. Odstawił czajnik i wybiegł na korytarz. Gdzieś niżej, coraz niżej, stukwały obcasy Julii. Szalona dziewczyna, nie poczekała na windę, bała się, że ją zawróci i pędziła na złamanie karku po schodach. Mógłby spróbować pogoni, przez moment myślał o tym, w końcu jednak dał spokój. I co powiem? - pomyślał. Wniosę ją na górę i rzucę na tapczan? Ogarnęła go złość. W myślach

nazywał smarkulę swoją Julią, wiązał z nią poważne plany, a ona bez słowa uciekała, jakby był pospolitym gwałcicielem. Dziewczyny owszem, miewają różne fanaberie, wolno im, ale Julia przekroczyła granicę przyzwoitości. Nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować następnego dnia. Udawać obrażonego? Przecież był obrażony i jeżeli już miałby udawać, to raczej nieobrażonego. Pomyślał o Karolinie.

O ileż prostsze było życie u jej boku. Nie toczyła świętej wojny o majtki, potrafiła być najczulszą, najwspanialszą kochanką i... czemu u diabła nie próbował jej zatrzymać? Dyktował swoje warunki bez wnikania w jej racje, dyktował po to, żeby nie mogła ich przyjąć. To on odszedł, bo chciał odejść. Nagły, niespodziewany przyływ żalu zdziwił go i zastanowił. Był przekonany, że Karolina to już przeszłość, nie okłamywał Julii, mówiąc o zamkniętym rozdziale, więc skąd wzięła się ta głupia, spóźniona tęsknota?

Pozmywał talerze, wylał herbatę zaparzoną specjalnie dla Julii, lecz te proste czynności nie zdołały oderwać go od niewesołych myśli. Kiedy zadzwonił telefon, był pewien, że to pani magister Blenda. Postanowił udawać, że nie zauważył jej wyjścia. To powinno jej dać do myślenia.

Zachrypnięty głos Bujaly błyskawicznie sprowadził go na ziemię.

- Znasz Wydronia? - spytał bez zbędnych wstępów.

- Z widzenia.

- Podjedź do niego, jest sprawa do obgadania. Majdziak wyjechał, nie mam kogo posłać. Chodzi mianowicie o...



- Co ty, do dziwki nędzy, myślisz, że jestem twoim chłopcem na posyłki?! - wściekł się Orzechowicz. - Zagalopowałeś się, stary, to misja dla twoich goryli, nie dla mnie!

Odłożył słuchawkę, aż echo poszło. Telefon dzwonił jeszcze dwa razy, ale Konrad nawet do niego nie podszedł.

Julia zaparkowała tuż przed domem Leszka. Wbiegała po schodach lekko, choć na duszy było jej wyjątkowo ciężko. Nie rozumiała sama siebie. Nie umiała powiedzieć, dlaczego uciekła od Konrada, tak jak nie umiała powiedzieć, dlaczego szła do Leszka. Prosił ją, lecz to chyba za mało, żeby się ubierać i pędzić przez pół miasta. Zwłaszcza że ta wizyta była jej bardzo nie na rękę. Ledwie jednak spojrzała na wspartego na dwu Szwedkach Leszka, poczuła się głupio.

- Gapa jestem, nie zrobiłam ci po drodze zakupów - powiedziała na powitanie.

- Zakupy zrobione, woda na herbatę wstawiona, jesteś tu wyłącznie w charakterze gościa, Julio.

- Mówiłeś, że potrzebna ci moja pomoc. Chyba sam niczego nie kupujesz?

- Nie mam szans. Najwyraźniej jestem w typie kobiet: same zabiegają, żeby mi niczego nie brakowało. - Uśmiechnął się dawnym, ciepłym uśmiechem. Stali na wprost siebie, na tyle blisko, że poczuła znajomy zapach wody po goleniu, ten sam co wtedy w tangu, gdy przytulił ją mocno.

Coś mi się ci mężczyźni zaczynają sypać jak złoty deszcz, pomyślała. Zwiąłam jednemu, żeby wachać drugiego, to chyba paranoja.

Ostry gwizd czajnika sprawił, że wróciła do rzeczywistości i zajęła miejsce w kuchni.

- Dlaczego nie powiedziałeś przez telefon, że chodzi ci o herbatę?  
-krzyknęła w stronę pokoju.

- Uważaj, bo niedomyślne biedronki giną w ptasich dziobkach!  
-odkrzyknął wesoło i głośno.

- A te domyślne zostają pożarte przez patyczaki - zażartowała, wchodząc z tacą w rękach do salonu.

- Dlaczego nie może być tak na co dzień? - spytał Leszek, wpatrując się z zachwytem w twarz dziewczyny. - Ja sobie kwitnę na leżaku, ty wnosisz herbatę, potem znikamy w sypialni. Sama powiedz, czy to nie sielanka?

- Zapomniałeś o kąpieli - powiedziała Julia z poważną miną. -Przed spaniem zawsze biorę prysznic. Nie truj, Lesiu, dobrze? Dlaczego do mnie dzwoniłeś?

- Bo się stęskniłem, bo muszę nacieszyć oczy twoim widokiem, bo bez ciebie odechciewa mi się żyć. Czy to nie są ważne powody?

- Muszą być ważne, jeżeli przeciągnąłeś mnie przez całe miasto.

- Przepraszam, biedroneczko, ale wiesz co? Wcale nie musisz wracać przez całe miasto. Możesz przenocować u mnie. Mam nawet dla ciebie nowiutką szczotkę do zębów.

Leszek był nastawiony na rozmowę lekką, miłą i przyjemną. Wszystkie poważniejsze kwestie zbywał żartami. Na pytanie o archiwum Chochli kiwnął głową, że oczywiście spalił, o swoim awansie w firmie

wiedział, o Edycie nie chciał mówić, uparł się natomiast, żeby Julia podpięła wysoko włosy. Rozumiała, że mężczyzna ruchliwy, wiecznie czymś zajęty, kiedy zostanie przygwożdżony do leżaka i dwu szwedek, ma prawo się nudzić. Przyjaciele w takiej sytuacji powinni go zabawiać, ale ona nie czuła się na siłach. Miała swoje kłopoty i głowę zajętą Konradem.

- Usiądź bliżej i daj mi rękę - poprosił Leszek.

Ile czasu można udawać głuchą? Tylko do następnej prośby. Z wahaniem podeszła. Leżak był niski, więc przyklękła i spojrzała prosto w niebieskie, szczerze oczy. Objął ją delikatnie jedną ręką i przytulił do ramienia.

- Wciąż mi gdzieś uciekasz, pędzisz przed siebie szybciej niż twój matiz. Wystarczy, że życie ucieka, my powinniśmy łapać takie chwile jak ta.

Poprawiła się i przytuliła mocniej do jego ramienia. Pachniał tak ładnie, był ciepły, życzliwy i mówił chyba szczerze. Spłynął na nią miły spokój. Nie drżała, jak w objęciach Konrada, nie czekała na nic, słuchała tego, co mówił o przyjaźni, o swojej miłości, i było jej dobrze.

- Usnęłaś, biedronko? - spytał.

Nie widziała jego twarzy, ale czuła, że się uśmiechnął.

- Zastanawiam się, czy to, co mi teraz mówisz, można nazwać molestowaniem? - Uniosła głowę i napotkała jego zdziwione spojrzenie. -Wszyscy ostatnio pogłupieli na punkcie molestowania. Najpierw Henia. Wiesz, pamiętasz. Dzisiaj z kolei Edyta tłumaczyła mi, że Karolina molestowała Mikulę. Teraz ty mnie tulisz, a zważ, że jesteś moim szefem.

Pocałował ją leciutko w nos.

- Możesz się tulić spokojnie, nie jestem twoim szefem, biedronko. Nie wrócę już do Budampolexu, chyba że w całkiem innym charakterze. Ja będę prezesem, a ciebie zrobię dyrektorem.

- Więc znowu będziesz moim szefem! - prychnęła rozbawiona.  
-Naprawdę nie wracasz?

- Naprawdę. Jestem już facetem po trzydziestce, najwyższy czas, żeby się usamodzielnić, pomyśleć o przyszłości i pieniądzach.

- Co będziesz robił?

- Zostań ze mną, to się przekonasz. Po nocach będę cię tulił i kochał, w dzień zasypywał prezentami i grał Mozarta, nie będę cię zmuszał do pracy; co ty na to?

- Bujasz!

- Bujam tylko z Mozartem. Dawno nie ćwiczyłem i mógłbym cię rozczarować. Zamiast Mozarta będę ci grał pieśni patriotyczne, chcesz?

- Nie chcę. Mnie w ogóle nie odpowiada strona bierna: tulona, zasłuchana, rozleniuchowana. Chcesz mnie zmienić w rozlazłą kluchę?

- Nie chcę cię zmieniać, tylko kochać taką, jaka jesteś - zaprotestował gwałtownie.

- Akurat! Jak nazwałeś te dwie od Bujają? Osnuje, tak? Ty chcesz ze mnie zrobić osnuję.

- No widzisz, nie uważałaś na lekcjach biologii i teraz opowiadasz herezje. Chociaż... wiesz co? Gdybyś czasem poczuła w sobie żarłoczność larwy, to ja mogę być twoim świerkiem. Ja dla ciebie wszystko!

- Mam cię zeżreć? - zgorszyła się Julia.

- Mhm! - mruknął rozmarzony.

Dziewczyna zaczęła się śmiać. Wierzyła i nie wierzyła w uczuciowe deklaracje, jednak skłaniała się ku tematom bezpieczniejszym. Musnęła ustami jego policzek i wstała, nim zdążył zaprotestować. Coś jeszcze mówił, chciał ją przekonywać i zatrzymać choćby na chwilę.

- „W drogę! Żegnajcie, chłopcy. W drogę! Już na mnie czas” - zanuciła Julia.

- Jacy chłopcy? Sam tu jestem jak palec -jęknął Leszek. Nastrój jednak zmienił się radykalnie. Julia pozbierała filiżanki ze stołu i wyszła do kuchni. Przez szum wody usłyszała dźwięk dzwonka u drzwi.

- Mam otworzyć? - spytała, wsuwając głowę do pokoju.

Dał znak ręką, że sam otworzy. Trochę to trwało, zanim wstał z leżaka i o kulach wyszedł do przedpokoju. Julia w tym czasie wycierała filiżanki.

- Czy ty, Lechu, nie zagalopowałeś się trochę? - Bujała od drzwi załatwiał jakieś swoje interesy. - Wiesz, co robię z ludźmi, którzy wchodzą mi w drogę?

- Przetnącasz im nogi?

Julia wyszła do przedpokoju, przekonana, że bez niej Leszek nie da sobie rady.

Bujałę na moment zamurowało, ale tylko na moment. Z domyślnym uśmiechem, który Julii wydał się idiotyczny, zapewnił, że nigdy nie tyka

słabszych. Nie był to dla Leszka komplement. Uznała, że powiedział tak specjalnie, że toczy jakąś swoją grę, której ona nie rozumie. Nie miała kiedy się nad tym zastanowić. Powinna już jechać do domu, jednak bała się zostawiać przyjaciela na pastwę nieoczekiwanego gościa.

- Dobra, przy pięknej kobiecie nie będziemy gadać o interesach. Kobięce główki stworzone są do całkiem innych celów - oświadczył Bujala, całując dłoń dziewczyny.

- Do jakich niby? - zainteresowała się Julia.

- To ty powinnaś wiedzieć! Ja mam typowo męską głowę.

Jasne, pomyślała. Tylko po co ci, facet, głowa, jak masz pięści i adidasy? Natomiast głośno zgodziła się z nim i bardzo żałowała, że musi się pożegnać.

- Poczekaj moment, ja też już biegnę! - zawołał Bujala. Leszek natychmiast zbystrzał.

- To biegnij! Julia jeszcze zostaje.

Ustawił się w progu kuchni tak, że własnym ciałem, wspartym na dwu kulach, odgrodził bossa od Julii. Z przedpokoju docierały jedynie strzępy słów i soczyste przekleństwa rozsierzonego Bujala. Chodziło o przekręt czy szantaż. Z miejsca pomyślała o Chochli i ogarnął ją pusty śmiech. Boss, jak niegdyś Henia, nie mógł pewnie przeżyć, że ktoś próbuje go pokonać jego własną bronią. I to kto? Chudziutki Marcinek.

- A mówiłem Orzechowiczowi, żeby do ciebie przylazł i dograł szczegóły, to mu się muchy w nosie zaległy - powiedział już w drzwiach Bujala. - On też zapomina, z kogo żyje!

Julia z wrażenia odkręciła kran do oporu, choć miała go zakręcić. Wycierając podłogę, pomyślała, że tylko Konrada brakowało w tym towarzystwie. Pośpiesznie zaczęła się ubierać.

- Naprawdę tak ci zależało, żeby wyjść razem z nim? - spytał Leszek.

- Z kim?

- Z Bujalą.

- Kicham na twojego Bujalę. Jak mama mnie dorwie, to po raz drugi dzisiaj już nie ocale głowy.

- A kiedy ocalałaś po raz pierwszy? - spytał, wpatrując się w twarz Julii.

- Kiedy? Nie wychodząc z Bujalą, oczywiście - odpowiedziała wesoło.

Julia była dobrym kierowcą, uważnym i myślącym, lecz czasem zapominała, że samochód potrzebuje paliwa. Wieczorem wracała od Leszka podekscytowana i nie zwróciła uwagi na czerwoną kontrolkę. Rano najzwyczajniej w świecie autko nie zapaliło. Nie zastanawiając się, pobiegła na przystanek autobusowy. Do sekretariatu wpadła punkt siódma. W biegu ściągnęła żakiet, poprawiła włosy i dopiero wtedy zobaczyła na swoim biurku gałązkę białego bzu. Leszka w pracy nie było, więc pomyślała od razu, że może Konrad, że nie wszystko stracone. Kto inny mógłby ofiarować jej kwiatki? Niewiele myśląc, pobiegła do działu informatyki. Z gałązką bzu w garści stanęła w progu. Chyba byłby ślepy, gdyby nie wyczytał wszystkiego w jej oczach.

- Jeżeli myślisz, że wiem, dlaczego to zrobiłam, to jesteś w błędzie -powiedziała. -1 jeżeli myślisz, że nie żałuję, to też jesteś w błędzie.

Obiecował sobie, że więcej nie da się nabrać na słodkie minki i czułe słówka. Miał przygotowaną ostrą odpowiedź, lecz zobaczywszy Julię, zapomniał, co zamierzał jej powiedzieć.

- Przybiegłaś z samego rana, żeby wytknąć mi moje błędy?

W jego charakterystycznym, krzywym uśmiechu dostrzegła obok ironii także przebaczenie. Odpowiedziała ciepłym uśmiechem. Chciała jeszcze coś dodać, dopowiedzieć, ale wystraszyła się, że będzie to niepotrzebne gadulstwo.

Wróciła do siebie uspokojona i radosna. Edyta miała przyjść dopiero koło dziewiątej. Julia zajrzała do kuchenki.

- Ładny bez położyłam ci na biurku? - zapytała Henia. -Ty?

- A kto? Jak sobie babki same kwiatów nie zorganizują, to wiesz, co mają? No wiesz? Nie będę się wyrażała. Następne medytacje poświęcam dowartościowywaniu się kobiet. Przyjdź koniecznie.

Julię ogarnął pusty śmiech. Gdyby dostała do ręki gałązkę od Heni, w życiu by jej nie całowała, nie tuliła do policzka i na pewno nie pobiegłaby z nią do Konrada. Mało tego. Gdyby nie ta gałązka, nie byłoby pojednania. Henia mnie dowartościowała, pomyślała, a ja dowartościowałam Konrada. Te medytacje widać nie są takie głupie.

- Z czego się, Julciu, śmiejesz?

- Z radości.



- Jakbym ci coś powiedziała, byłabyś jeszcze bardziej uradowana. -  
Henia zniżyła głos do szeptu. - Co tam, powiem ci, ty jesteś dyskretna.  
Wiesz, że Budampolex ma nowego właściciela?

- Edytę. O tym akurat wszyscy już wiedzą.

- A wcale że nie! - zawołała triumfalnie Henia. - Edyta kupiła sobie wyłącznie Mikulę, bo na firmie wyjdzie jak Zabłocki na mydle. Wspomnisz moje słowa. Z długami może by się uporała, nie wygra jednak z właścicielami gruntów. Znaleźli się i zamierzają podyktować twarde warunki. Za pół roku nic tu nie zostanie.

- To niby z czego mam się cieszyć? Dlaczego powiedziałaś, że będę uradowana?

- Bo ciebie to nie dotyczy, a ja mam coś innego na oku. Stara myśli, że będę ją błagała o etat, bo nie wie, że to zwolnienie jest mi na rękę. Posłannictwo muszę spełnić, misję wielką, rozumiesz? Nic więcej zdradzić nie mogę. Sza! Milczę jak kamień.

Julia wzruszyła ramionami. Nieraz już miała okazję przekonać się, ile warte są rewelacje Heni. Kobieta lubiła uchodzić za najlepiej poinformowaną i czasem dla kilku minut chwały najzwyczajniej wymyślała różne historie, które tak się miały do rzeczywistości jak koń do koniaku.

O piętnastej do sekretariatu zajrzał Konrad. Wyszli razem. To było zupełnie zrozumiałe, że wsiadła z nim do forda, bo przecież do pracy przyjechała autobusem. Również i to było zrozumiałe, że on spytał, dokąd jadą. Natomiast odpowiedź Julii nie była już taka oczywista. Podała swój domowy adres. Tego Konrad najwyraźniej się nie spodziewał. Obojętnie skinął głową. Przez całą drogę nie zamienili słowa. W milczeniu zatrzymał samochód i czekał, aż wysiądzie.

- Potrzebuję ośmiu minut. Poczekasz? - spytała cichutko. Patrzyła mu prosto w oczy.

Zacisnął zęby, przekonany, że kpi.

- Poczekasz? Zaraz wracam! - powtórzyła.

Wróciła po siedmiu minutach. Tyle czasu zajęło jej napisanie kartki, że wyjeżdża i wróci następnego dnia. Szczotkę do zębów wetknęła do kosmetyczki i mogła zacząć sprint w dół. Lekko zdyszana usiadła obok Konrada.

- A teraz gdzie? - spytał.

- To zależy wyłącznie od ciebie.

Na rondzie, zamiast skrócić w Toruńską, pojechał w stronę miasta. Szczęście mu sprzyjało, bo na ciasnym parkingu przy placu Wolności akurat zwolniło się miejsce.

- Zajazd czy Notina? - Patrzył wyczekująco. - Innego wyboru nie mamy.

Chciała powiedzieć, że mają, że wolałaby omlet z pieczarkami albo nawet surowe jajko, byle tylko zostali sami. Odłożyła jednak tę szczerłość na później i wybrała Zajazd. Przed przejściem dla pieszych objął ją gwałtownie i przytrzymał, bo szła pewnym krokiem prosto pod nadjeżdżający samochód. Nie zdjął ręki z jej ramion do samych drzwi restauracji.

- Wejdiesz sama czy poczekasz chwilkę? - zagadnął, gdy chwyciła za klamkę.

Po przeciwnej stronie ulicy kusił napis Nie bądź taki, jedz kurczaki. Majdziak też kupował żarcie przed randką, pomyślała niechętnie. Już miała na końcu języka drobną złośliwość, lecz w samą porę przypomniała sobie o swoim anielskim charakterze. Kiwnęła głową, że oczywiście postoi, czemu nie.

Konrad wrócił z piękną czerwoną różą i Julia poczuła się jak niedowiarek. Zapomniała, że obok punktu gastronomicznego był też kiosk z kwiatami, a Konrad to na szczęście nie Majdziak.

Prosto z restauracji pojechali na Toruńską. To już był wybór Julii. Konrad proponował najpierw kino, potem spacer i kawiarnię - wyraźnie się z nią droczył, jednak przy deserze przestał udawać, że nie zależy mu na szybkim powrocie do domu. Po drodze zrobili jeszcze drobne zakupy. Obiecała, że zostanie u niego na kolacji. O śniadaniu chwilowo nie wspominała. Miało być niespodzianką.

Późnym popołudniem dobili do przystani. Konrad zakrzętnął się, uchylił okno i spojrzał na Julię. Ślicznie wyglądała z nagłym onieśmieleniem na buzi, z różą przy policzku.

- Napijesz się herbaty? - spytał.

Wstawiła różę do pustego wazonu i odwróciła się, stając z nim twarzą w twarz.

- Może nie zawsze zachowuję się racjonalnie - powiedziała poważnie. - Jednak dwa razy tych samych błędów nie popełniam.

Porwał ją na ręce i zaniósł na tapczan tak, jak to sobie wcześniej wymarzył.

Pani Ewelina patrzyła na nich z serwantki z przyjaznym uśmiechem. Wcale się nie dziwiła, gdy Raduś zachłannie całował dziewczynę i nie gorszyła się, gdy z tapczanu zaczęły spadać na parkiet łąszki damskie i męskie. Przecież to ona mawiała: „Rób Raduś tak, żeby było dobrze, po twojemu i żebyś drugiego człowieka nie skrzywdził!”. To Konrad się zawahał. Julia była pierwszą dziewczyną w jego życiu, dla której miał być pierwszym mężczyzną. Szepnęła, że to nic, że właśnie tego chce. Potem leżała obok, wyciszona, i chciało jej się płakać. Wmawiała sobie, że to z nadmiaru szczęścia. Szczęście jest ciałem lotnym, lubi się skraplać i wtedy spływa powolutku po policzku, aż do kącika przy ustach.

- Co, kochanie? - spytał, tuląc ją mocno.

Uśmiechnęła się do niego poprzez to swoje szczęście, ale milczała. Nie mogła przecież powiedzieć, że spodziewała się czegoś niesamowitego, olśnienia, szału, zapamiętania, a było boleśnie i niezbyt przyjemnie.

- Czemu płaczesz?

- To ze szczęścia - odpowiedziała, a on delikatnie zaczął całować jej oczy i wilgotne policzki.

Czym jest miłość? Julia próbowała wytłumaczyć ten fenomen Konradowi.

- Wyobraź sobie kamerę, która pokazuje rozwój kwiatu magnolii. Najpierw jest maciupęńki pączek, rośnie, pęcznieje, rozchyla delikatne płatki, by wreszcie wystrzelić, dosłownie wystrzelić pełnią urody. Ale żeby to pokazać na jednym, króciutkim filmie, trzeba zrobić setki pojedynczych ujęć, w różnych fazach rozwoju. Tak samo jest z miłością. Najpierw są setki drobnych zdarzeń, gesty, spojrzenia, niedomówienia, drobne czułości i z nich wybucha miłość.

- Pięknie. Teraz mi opowiedz o motylkach i bocianie - poprosił ze śmiechem.

Lubił jej się sprzeciwiać, lubił, kiedy z zapalem broniła swoich racji, a jeszcze bardziej, gdy kapitulowała, przybita jego argumentami. Nie przypuszczał, że miłość tak bardzo go odmieni. Czym jest miłość? Konrad próbował rozwiązać ten fenomen po swojemu, inaczej niż Julia. Kochał jej ciało, a nade wszystko jej uległość. Niczego nie próbowała mu udowodnić, była dziecinnie nieporadna i od niego uczyła się, że miłość może być rozkoszą. Gestem, spojrzeniem, słowami podkreślała, że należy wyłącznie do niego, że tylko z nim jest szczęśliwa. I on jej wierzył. Wiara to też część miłości. Podobnie jak odpowiedzialność i staranie, żeby nie była głodna, zmarznięta, żeby miała powody do radości. Kiedy ona się cieszyła, część tej uciechy spadała na niego. Z radością patrzył, jak pięknieje i rozkwita. To miłość ją zmieniła, bo Pan Bóg stwarza dziewczynę, a mężczyzna kobietę.

Wkrótce cały Budampolex wiedział, że Julia i Konrad to zakochani. Nie afiszowali się ze swoim uczuciem, ale też się nie kryli.

Karolina dzwoniła niemal codziennie i po samym brzmieniu głosu odgadła, że coś się wydarzyło. Po swojemu zaczęła dociekać.

- Serafin puścił cię kantem, Chochła raczej odpada, Lesio przetrącony, zostaje chyba tylko Bujala?

- Bujalę zostawiam tobie - odparła ze śmiechem Julia. - Jest niepokieszony i co drugi dzień pyta, kiedy wracasz.

- Widzisz, jaki słodki, a mówiłaś, że to gnojarek! Czeka, czeka, Bujala odpada, to zostaje tylko Orzechowicz. Zgadłam, sto punktów dla mnie. Dobry jest w łóżku, prawda?

- On w ogóle wszystko robi znakomicie: od omletu z pieczarkami po... po całą resztę - wyjaśniła spokojnie Julia i bodaj po raz pierwszy zaszokowała Karolinę, nie odwrotnie. Takiej odpowiedzi magister Cierniak się nie spodziewała. Też miała w zanadrzu kilka ciekawostek, lecz nie mówiła o nich tak spontanicznie jak przyjaciółka. Mikula zamienił urlop zdrowotny w Szczawnicy na szarpiący nerwy pobyt w Toruniu. Wystąpił o rozwód z żoną i coraz natarczywiej nalegał na małżeństwo z Karoliną.

- Potrafisz go pokochać? - spytała przerażona Julia.

Karolina miała własną teorię na temat uczuć. Miłość jest grą hormonów, dowodziła; hormony pójdą spać i zaczynają się kieszonkowe tragedie z powodu krzywego spojrzenia, małego skoku w bok lub przypalonej zupy. Dla kobiety w życiu najważniejsza jest pewność, że partner nie zawiedzie, otoczy opieką, pomoże w każdej sytuacji. Dla niej, Karoliny, liczy się też zaradność i zamożność. Mikula obdarzony jest wszystkimi zaletami idealnego faceta, z wyjątkiem jednej, niestety, też ważnej, która chwilowo zeszła na plan drugi. Plan pierwszy zdominował bezsensowny pomysł, by przepisać na Karolinę większość uratowanego majątku i przy sprawie rozwodowej wyjść na bankruta. Karolina nie znosiła bankrutów, czy to prawdziwych, czy fałszywych, wyśmiała więc Mikulę i wysłała do diabła. Mecenas Wąsik załatwiał jej świetną pracę w Toruniu i nie miała zamiaru wracać do Włocławka, do starych, niezdrowych układów. Mieszkanie przy Budowlanych przekazała pod opiekę Julii z życzeniami, żeby zrealizowała swój plan odcięcia pępownicy.

- Chochła nie dzwoni? - spytała na koniec.

Julia codziennie przesłuchiwała automatyczną sekretarkę w mieszkaniu Karoliny i oprócz stęsknionego pisku Bujały niczego tam nie znajdowała. Do niej Marcin też nie zadzwonił ani razu; wiedziałyby, bo

nauczyła się już nosić komórkę przy sobie. Przesadą byłoby twierdzić, że tęskniła za nim, zastanowił ją jedynie fakt, że odkochał się tak nagle.

W cichości ducha Julia wciąż rozmyślała, jak przenieść się na Budowlanych bez wywoływania w domu kosmicznej awantury. Wszystkie wolne chwile spędzała z Konradem, wieczorami jednak wracała do domu. Matka, choć zapracowana i zagoniona, jeżeli chodziło o jedynaczkę, oczy miała otwarte. Szybko zauważyła zmianę w zachowaniu i wyglądzie córki. Wiedziała, że spotyka się z Konradem, że razem wychodzą do kawiarni i na spacer. To był sygnał do wzmożenia czujności. Inżynier Orzechowicz sprawiał wrażenie człowieka kulturalnego, był wykształcony i poważny, tego nie kwestionowała, jednak to wystarczało zaledwie na przepustkę, nie na bilet stały upoważniający do bywania w ich domu. Skąd mogła mieć pewność, że to nie oszust matrymonialny, łowca posagu, podrzutek lub zboczeniec? Julii to nie interesowało, bo młoda i głupia, lecz matkę bardzo. Zasypywała córkę pytaniami, które wciąż pozostawały bez odpowiedzi, i Julia drżała na samą myśl o pierwszej oficjalnej wizycie. Wejdzie biedny Konrad, usiądzie, a matka rzuci się na niego ze swoją dyplomacją i przemagluje gruntowniej niż prokurator.

- Dlaczego nigdy nie opowiadasz o swojej rodzinie? - spytała kiedyś, gdy wspominał, jak pani Ewelina broniła go przed gniewem Lucjana Orskiego.

- Właśnie ci opowiadam o mojej rodzinie. Chcesz posłuchać o rodzicach biologicznych, tak? Nie uważam, żeby biologia była ważniejsza od serca i uczuć. Szanujesz i kochasz rodziców tak, jak oni cię tego nauczyli, mam rację?

- Nie wiem... nigdy w ten sposób nie myślałam - broniła się przerażona, że całkiem niepotrzebnie wywołała bolesny temat. On już się

rozgadał, widać chciał wyrzucić z siebie to, o czym normalnie starał się nie pamiętać. Nie przerywała, gdy opowiadał o nędznym dzieciństwie i pijackiej melinie. Na własne oczy widziała przecież to rodzinne gniazdo.

- Błogosławię przypadek, właściwie wypadek, który wyrwał mnie z bagna - powiedział. - Nie mam żadnych uczuć wobec moich biologicznych rodziców, poza najgorszą formą litości. W końcu to ludzie, prawda?

- O Boże! -jęknęła Julia. Patrzyła na kochaną twarz, na mądre oczy i widziała nie jego, tylko swoją matkę. Dobrą matkę, kochającą, która z miłości do córki zrobi wszystko, żeby Konrad nigdy nie przekroczył progu ich domu. To było tak oczywiste, że nawet nie mogła liczyć na cud.

Konrad siedział ponury, ze zmarszczonymi brwiami i z niechęcią myślał o swoim garbie, który zawsze wyłaził spod marynarki w najmniej oczekiwanym momencie. Gdyby wyjechał z miasta, zaszył się na Śląsku albo na Kurpiach, pewnie byłoby inaczej. Ale tu, gdzie spotykał kumpli z Żabiej, Cyganki, Zapiecka, tu nie chciał kłamać. Zresztą nie widział potrzeby. Lucjan zawsze mu powtarzał, że liczy się to, jakim jest człowiekiem, jak daleko zaszedł i odbił się od środowiska, a to, z jakiej wywodzi się rodziny, nie ma znaczenia. Julia myślała tak samo. Przed oczami miała bocianie gniazdo i pisklaka zawieszzonego między gałęziami. Przytuliła się do swojego Konrada.

- Kocham cię bardzo.

Poczuł na swoich dłoniach wilgotne plamki. Delikatnie uniósł jej zapłakaną twarz.

- Jeżeli płaczesz nade mną, to całkiem niepotrzebnie. Uważam się za cholernego szczęściarza, szczególnie teraz, kiedy mam ciebie.



Wcale nie płakała nad nim, tylko nad nimi. Miłość każe ludziom używać liczby mnogiej. Przeczuwała, że obojgu im może być jeszcze bardzo gorzko.

- Cokolwiek się stanie, będę przy tobie - powiedziała cichym, spokojnym głosem.

Nie precyzowała, co niby ma się stać, a on nie wypytywał.

W Toruniu Karolina zatrzymała się w dawnym mieszkaniu Marty, którego pani mecenasowa sprzedawać nie chciała, wynajmować zaś nie musiała. Zabrała obrazy i osobiste drobiazgi, resztę zostawiła. Przydawało się takie małe mieszkanko w mieście, gdy na przykład zabałowali z mężem nieco dłużej i nie chcieli im się wracać do domu. Przeważnie jednak stało puste.

- No, no! To cały apartament. - Julia rozglądała się po wnętrzu. - Nawet nie ma porównania z twoją wrocławską kawalerką.

- W kawalerce też przeżyłam kilka ładnych chwil - powiedziała Karolina.

Wyglądała ślicznie, była pogodna i jak zawsze elegancka. Pracowała dorywczo, nie narzekała; od lipca miała zaklepane stałe zajęcie.

- Powiedz coś o Wąsiku - poprosiła Julia.

- Kurczę, Juleczko, że też on nie ma swojego klona! Właśnie taki chłop by mi się przydał! Mój aniołek stróż chyba gdzieś się zawieruszył i zamiast dbać o moje interesy, podsyła mi jak nie Mikulę, to Bujałę. Czyja mam w ogóle jakiś wybór? - westchnęła ciężko.

- Oczywiście, że masz. Obydwu każ przerobić na karmę dla kotów.

- No widzisz! Już drugiego oblubieńca wybijasz mi z głowy - zmartwiła się Karolina. - Bujala jest cholernie atrakcyjny po przeliczeniu na te dwa domy, jacht, samochód, teraz jeszcze Budampolex. Niestety, swoimi ciemnymi interesami mógłby mi popsuć karierę zawodową i dlatego co tydzień dostaje kosza. Ja muszę stać mocno na ziemi. A oni niech się żrą beze mnie.

- Bujala z Mikulą?

- Cała banda czworga, nowi i starzy władcy Budampolexu. Wiesz, co to jest polska ruletka? Tak grać, żeby zniszczyć wszystkich sojuszników i samemu też nie wygrać. Oni właśnie to robią.

Julia jechała do Torunia z nastawieniem, że pogada od serca z Karoliną, a po południu wspólnie odwiedzą Wąsików. Marta wciąż ponawiała zaproszenie. Julia paliła się do wizyty, była ogromnie ciekawa, jak też wygląda ten piękny dom w ogrodzie, o którym tyle słyszała od przyjaciółki. Koło południa zaczęła wiercić się niespokojnie. Spacer po mieście i obiad jeszcze przeżyła, ale tęskniła coraz bardziej za Konradem. Każdy dzień bez niego był dniem straconym. Wyjeżdżając, zostawiła go w nie najlepszym nastroju. Wcale nie krył, że miał jej za złe wypad do Torunia. Nie chciał siedzieć w domu sam, jechać z nią też nie chciał, uważał, że miejsce Julii jest przy nim. Nie zakazywał, nie zabraniał, dawał do zrozumienia jedynie, że zbyt serdeczne kontakty z Karoliną są nie na miejscu. To było wyjątkowo bolesne odkrycie. Nie pojmowała, co on ma przeciwko Karolinie. Wzruszał ramionami i mówił, że nic. Czowała jednak, że coś ma.

- Nie obraż się, ale ja chyba powinnam już wracać - powiedziała, kiedy wyszły z chińskiej restauracji.

- Masz rację, pilnuj go, jeżeli jest taki rewelacyjny, jak mówisz.  
-Karolina uśmiechnęła się domyślnie. - Tylko uważaj... coś mi się zdaje, że on wciąż jest zamieszany w interesy Bujały.

- W te brudne? Niemożliwe! - zaprzeczyła gwałtownie Julia.

- Bujała innych nie prowadzi.

- Skąd wiesz, że Konrad...

- Nie wiem. Parę razy coś mi podpadło, raz Bujała powiedział o jedno słowo za dużo i wyszedł mi taki jakiś pokraczny obrazek, z którego trudno coś wyczytać. Nie wariuj, nie rób afery, mówię ci tylko po to, żebyś miała oczy otwarte.

Kiedy wreszcie Julia wybrała się do Leszka, był już bez gipsu i poruszał się o jednej szwedce.

- Biedronko, aleś ty wypiękniała! - zawołał uradowany.

- Ty też wyglądasz całkiem, całkiem!

- Co dobrego się wydarzyło, że tak promieniejesz? - spytał. - Powiedz, że to miłość do mnie tak cię odmieniła... no powiedz!

Roześmiała się, bo świetnie wyglądał ze złożonymi rękami i prośbą w oczach. Przez chwilę, przez jedną maleńką chwileczkę pomyślała, że w samą porę zakochała się w innym, bo kto wie, czy nie uległaby w końcu Leszkowi. Nie chciała sprawiać mu przykrości, więc powiedziała tylko o przymiarce do samodzielności. Karolina odstąpiła jej mieszkanie, a ona zamierza żyć na własny rachunek. Rodzice są wspaniali i kochani, jednak przy nich nigdy nie wydorosłeje. Pieniądze to nie wszystko.

Teraz on roześmiał się głośno i szczerze.

- Jak myślisz, co lepsze: dostatnie dzieciństwo czy uboga dorosłość?  
- zapytał.

- Jeżeli czyhasz na mój posag, to się rozczarujesz!

- Ciebie, biedroneczko, wziąłbym tak, jak stoisz. Nawet gdybyś nie miała tej pięknej bluzki i spódniczki, też bym cię wziął - zapewnił.

- Uważaj, bo skończysz jak Mikula - powiedziała i zrobiło jej się głupio, że całkiem niepotrzebnie ostrzy sobie język na chorym biedaku. Aluzja do ucieczki żony była całkiem nie na miejscu. Na szczęście Leszek nie wyglądał na zranionego. Patrzył na Julię, uśmiechał się i całkiem nieoczekiwanie zaczął opowiadać o Mikulowej. Naiwna, bo naiwna, mówił, ale czy to jej wina, że pan Bozia zapomniał o rozumie? Powiesz takiej, że ładna, ona zaraz uważa się i za inteligentną i skacze z jednej głupoty w drugą. Zakochała się w dyżurnym amancie ze stajni Bujaly. Ukochany oskubie ją z pieniędzy, mąż będzie miał powód do rozwodu i klops.

- Obrzydlistwo! - wzdrygnęła się Julia.

- Co obrzydliwego widzisz, biedronko, w trudnej walce o byt?

- Majdziaka widzę. Nochal wielkości buta, pryszczę i sterydy.

- A skąd ty wiesz o sterydach?

Pokazała mu, jak chodzą faceci nafaszerowani sterydami, jak trzymają ręce. Wiedzę czerpała wyłącznie z opowieści Karoliny, a naśladować potrafiła od zawsze. Leszek śmiał się głośno i szczerze.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział. - Obiecuj, że otworzysz dopiero w domu i zastanowisz się poważnie, zanim odeślesz mnie do czorta lub... nie odeślesz. Zgoda?

Trzymał w ręku małą, pękatą kopertę, taką, w jakiej wysyła się dyskietki. W środku namacała twarde, płaskie pudełeczko.

- Dajesz słowo, że tam nie siedzi czarna wdowa ani inne żarte paskudztwo?

- Ostrożna jesteś i podejrzliwa - zaśmiał się wesoło. - Daję ci również słowo, że nie jest to puszka Pandory. To wyłącznie malutki przyczynek do poważniejszej refleksji.

Przytulił ją i pocałował we włosy. Wywinęła się delikatnie, lecz stanowczo. Kopertę schowała do torebki.

Orscy znowu byli razem. Grażyna wróciła ze szpitala i z dnia na dzień odzyskiwała chęć do życia. Konrad, pomny na swoje obietnice, nie zwlekał długo z pierwszą wizytą. Wybrał popołudnie, gdy Julia umówiona była z Leszkiem Wydroniem. Kupił kwiaty, butelkę bor-deaux i pojechał na Kujawską.

- Sam? - zdziwiła się Grażyna. - Myślałam, że przyjdiesz z Julią.

- Przyjść, przyjadę - obiecał, całując ją w policzek. - Skąd mogłem wiedzieć, że będziesz w tak doskonałej formie.

- Byłaby w jeszcze lepszej, gdyby mogła wziąć pod lupę twoją dziewczynę - żartował Lucjan. - Nie wiesz, jak to jest z kobietami? Uprzedź tę małą, że jeśli ma coś do ukrycia, to niech starannie chowa. Moja żoneczka ma sokołe oko.

Grażyna nie przejmowała się ich gadaniem. Siedziała w fotelu, patrzyła, jak mąż się krząta, a Radek mu pomaga, czyli jak chłopcy szykują popołudniową herbatę, i wydawała się bardzo zadowolona.

- Jak się czujesz? - spytał Konrad.

- Właściwie dobrze, trochę jeszcze pobolewają szwy, ale idzie żyć. Wiesz, co jest najgorsze? Zapachy. Jestem chyba wyjątkowo uczulona, bo prześladowuje mnie paskudny smrodek. Lucjan mówi, że nic nie czuje, a ja czasami aż się duszę.

- Może znowu jakaś myszka straciła życie.

Myszka wywołała lawinę wspomnień. Orscy zatrzasnęli biedaczkę w tapczanie tuż przed wyjazdem na wczasy. Pościel wyjęli, żeby się wietrzyła, myszkę zostawili. Po powrocie musieli pozbyć się jedyne go mebla do spania. Żaden środek nie chciał wywabić ohydny zapachu, którym przesiąkły drewno i materiał.

- Gdzie myśmy wtedy byli? - spytał Konrad.

Zaczęli sobie przypominać i wyszło im, że albo w Bułgarii, albo na Węgrzech, albo w czeskich Tatrach. Zjeździł z nimi całą Polskę i dodatkowo ładny kawałek Europy, ten dostępny w tamtych latach.

Wychodził już, kiedy Grażyna przypomniała mu, że chce wreszcie poznać Julię.

- Jak ona się nazywa? - spytała.

- Julia Blenda - powiedział.

Orscy spojrzeli na siebie i choć był to ułamek sekundy, błysk ledwie, Konrad w lot pojął, że coś jest nie tak. Za szybko Grażyna spoważniała, za szybko Lucek zmarszczył czoło, by chodziło jedynie o błahostkę.

- Znacie ją?

- Nie, nie! - zaprzeczyli zgodnie.

- Więc o co chodzi?

- Och, o nic! - Grażyna starała się mówić swobodnie, wyszło aż za swobodnie, czyli podpadająco. - Znałam kiedyś jednego Blendę. Nie był to miły człowiek, tyle ci mogę powiedzieć. Dawne dzieje i nie ma dowodów na to, że jest spokrewniony z twoją Julią.

- Moment. - Konrad wycelował palec w pierś Lucjana. - Ojciec Julii pośredniczył w handlu nieruchomościami. Czy to jemu zawdzięczacie dom w Michelinie, a raczej brak domu?

- Radek, ja cię proszę, tylko bez głupstw! - powiedział kategoriycznym tonem Lucjan.

Konrad już był na klatce schodowej. Nagle zrobiło mu się bardzo duszno i gotów był zgodzić się z Grażyną, że coś fatalnie śmierdziało.

Zapomniał o samochodzie i ruszył piechotą, na skróty. Sam nie wiedział, kiedy pokonał drogę z Kujawskiej na drugi koniec osiedla. Nie wiedział również, co chce i co powinien zrobić, czuł, że od środka rozsadza go wściekłość, a w takich chwilach stawał się niepoczytalny. Ostry marsz uspokoił go na tyle, że pukając do Blendów wyglądał jak człowiek zmęczony, nie jak furiat. Drzwi otworzyła pani Emilia - wyjątkowo w tym dniu zrobiła sobie wolne popołudnie - i zgarnęła Konrada z przedpokoju

prosto do salonu. Julii jeszcze nie było, ona zaś zostawiła pracę specjalnie po to, żeby poważnie porozmawiać z panem Konradem.

Trafiła w dziesiątkę. Orzechowicz przypominał wulkan tuż przed wybuchem i do pełnego szczęścia brakowało mu tylko śledztwa pani Blendowej. Usiadł przy stole i wsłuchał się w czar kobiecej dyplomacji. Matka Julii zaczęła od stwierdzenia, że mają z mężem jedną córkę i że jej los bardzo głęboko ich obchodzi. Jeżeli pan inżynier Orzechowicz myśli poważnie o Julii, to ona prosi o szczerą odpowiedź na kilka pytań. Z kilku zrobiło się kilkanaście. Konrad nie kwapił się z odpowiadaniem. Oстрыm, zimnym głosem, bez cienia dyplomacji, spytał o Orskich. Użył mocnych słów, takich jak: oszustwo, draństwo, czyste złodziejstwo. Nie owijał w bawełnę swoich żądań. Do godziny dwunastej pojutrze pieniądze miały znaleźć się w rękach Orskich. Emilia Blendowa histeryzowała, on cedził słowa i tak się zapamiętali w swojej sprzeczce, że nie usłyszeli skrzypienia drzwi. Konrad dostrzegł Julię, gdy już wychodził. Wielkie przerażone oczy, a w nich nieme pytanie. Dotknął tylko jej ramienia i bez słowa wybiegł. Julia za nim. Ogłuchła na krzyk matki, nie słuchała, że ma natychmiast wracać, próbowała dogonić Konrada.

- Czemu tak pędzisz? Co się stało? Porozmawiaj ze mną! Zwolnił kroku, wreszcie stanął.

- Wracaj! Wracaj, póki czas! - powiedział ostro.

- Przepraszam cię za moją mamę. Czasem jest niemożliwa, wiem. Chce jak najlepiej, tylko nie zawsze nasze chęci zbiegają się w tym samym punkcie.

- Wracaj, Julio! - powtórzył. Chciał jeszcze coś dodać, ale głos uwiązł mu w gardle. Żał mu było jej i siebie.



- Spójrz na mnie - powiedziała - i powtórz to samo po raz trzeci. I jeszcze powiedz dlaczego? Przekonaj mnie, to... wróć.

Uniosła głowę. Nad sobą miała chmurną, obcą twarz.

- Julio, ja chcę dobrze dla ciebie.

- Mama też chce dla mnie dobrze i zobacz, co z tego wychodzi. A ja chcę decydować sama o sobie, rozumiesz?

Nie pojechała z nim na Toruńską. Siedzieli z godzinę w jego samochodzie i rozmawiali. Julia początkowo gotowa była oddawać głowę za uczciwość rodziców, w porę jednak przypomniała sobie nocny napad i zamilkła. Wtedy też chodziło o zwrot pieniędzy. W interesach jest różnie, myślała, nie znam się na tym, dlaczego więc mam pewność, że to Konrad mówi prawdę?

- Jak można załatwić taką transakcję, żeby nabywca wpłacił trzydzieści tysięcy zaliczki i nie wnikał w takie drobiazgi jak prawo własności? - spytała.

Konrad nie wiedział, nie załatwiał nigdy tego typu transakcji. Sam był zły na Lucjana za dziecinną naiwność, z jaką traktował ludzi. Julia zamyśliła się głęboko. Przejęta opowiadaniem Konrada nawet nie zauważyła, że stoją pod dobrze znanym blokiem na Kujawskiej.

- W drugiej klatce na drugim piętrze mieszka moja znajoma - powiedziała.

- A na parterze Orscy - wyjaśnił Konrad.

Przypomniała sobie ostry sprint po ciemnych schodach i śmiech Konrada na parterze. Wtedy sądziła, że to halucynacje. Przytuliła policzek

do jego ramienia i spojrzała w okna Chochli. Kuchenne było lekko uchylone.

- Coś takiego! Wietrzy swój chlewik - powiedziała zaskoczona.

- Jaki chlewik? Kto?

Chyba się zarumieniła, jak dzieciak przyłapany na gorącym uczynku. Zapomniała, że nie o wszystkich wydarzeniach z przeszłości opowiadała Konradowi. Wykręciła się zrećnie znajomą znajomej i szybko zmieniła temat.

Podwiózł ją pod dom. Wysiadała uspokojona i przekonana, że dobrze wie, co ma robić. W ostatniej chwili cofnęła się i uchyliła drzwi od strony kierowcy.

- Proszę cię, żebyś nigdy więcej nie odpędzał mnie tak jak dzisiaj - powiedziała poważnie.

Przytulił usta do jej dłoni.

- A co będzie, jeżeli zostaniesz zmuszona do wyboru: rodzice albo ja?

- To mój wybór i nie chcę, żebyś mnie wyręczał. Zresztą już wybrałam. Pojutrze przenoszę się do mieszkania po Karolinie. Rodzice mają prawo trochę ode mnie odpocząć.

Julia wróciła do pustego mieszkania i bardzo się ucieszyła z chwilowej samotności. Nie chodziło o awanturę, na gadanie była uodporniona, chciała załatwić sprawę o wiele bardziej poważną. Pamiętała, że kiedyś natknęła się w szufladzie rodziców na książeczkę oszczędnościową, którą w tajemnicy założyli dla niej. Zamierzała swoimi -

choć tak naprawdę jeszcze nie swoimi - pieniędzmi zlikwidować plamę na rodzicielskim honorze. Bez problemów odnalazła kluczyk w schowku i otworzyła szufladę. Nie grzebała wśród papierów, nie przewracała, wyjęła tylko tę jedną książeczkę. Ona była właścicielką, rodzice pełnomocnikami. Czują się trochę jak w kuchence Chochli. Zabierała coś, co nie było jej własnością, i nie miała przy tym wyrzutów sumienia.

Wieczorem czekała na solidną awanturę. Matka wróciła jednak bardzo zaaferowana i przez cały wieczór siedziała z ojcem w pokoju. Wydzwaniali gdzieś, załatwiali interesy. Dopiero przy kolacji napomknęła, że nie chce więcej widzieć Orzechowicza w domu.

- W porządku - powiedziała Julia. - Będzie, jak sobie życzysz. To twój dom.

Wróciła do siebie z postanowieniem, że pojutrze wyprowadza się, choćby nie wiem co. Następnego dnia chciała jeszcze załatwić sprawę z Orskimi i przy okazji wpaść do Wandy. Wyciągnęła torbę i spakowała najpotrzebniejsze rzeczy. Nie miała ich tak wiele. Trochę książek, ulubione płyty, kosmetyki. I ciuchy. Starych nie zamierzała zabierać, a w nowe jeszcze tak bardzo nie obrosła. Ustawiła torbę w kącie pod oknem i naszły ją wątpliwości. Przypomniała sobie różne miłe chwile z dzieciństwa, domek dziadka, wczasy nad morzem. Sama nie wiedziała, czy dobrze robi, idąc za mężczyzną. Nie powinni mnie zmuszać do takich wyborów, nie powinni, myślała zgnębiona. Miała żal do rodziców i jakby odrobinę do Konrada. Po raz pierwszy od bardzo dawna próbowała wrócić do swoich filmowych fascynacji. Zobaczyła zapomniane już trochę twarze aktorów, którzy kiedyś tak bardzo jej się podobali. I po co mi to, mruknęła zniechęcona. Gdyby jakiś aktor poprosił o moją rękę, to dopiero byłaby piękna awantura!

Po południu Julia nie znalazła czasu dla Konrada. Nie chciała mu za dużo tłumaczyć, więc sam sobie wytłumaczył nieco opacznie, że go unika. Pomyślał, że to sprawka mamy Blendowej i ogarnął go bezsilny żal. Julia prosto z pracy pojechała do banku i zaraz potem do Orskich. Choć trzymana z dala od biznesu, nasłuchiwała się rozmów o ostrożności w interesach.

Orscy sprawiali wrażenie ludzi miłych, kulturalnych, miała dla nich swoją prywatną wdzięczność za Konrada, lecz z pierwszego spotkania nie wyniosła zbyt dobrych wrażeń. Zwątpiła w sprawność umysłową Lucjana Orskiego w chwili, gdy zobaczyła pokwitowanie, jakim się zadowolił, dając do ręki obcemu facetowi trzydzieści tysięcy złotych. Obracała w ręku najdroższy chyba skrawek papieru, jaki kiedykolwiek trzymała: Kwituję 30 tys. zł, które dostałem od L. Orskiego. Data, podpis ojca i nic więcej. Co to było? Pożyczka? Darowizna? Zwrot długu? Powstrzymała się od wszelkich uwag. Cokolwiek by powiedziała, godziło również w ojca. Swoją dokument przygotowała sama. Postarała się, żeby odpowiadał na wszystkie najważniejsze pytania: kto, komu, kiedy, z jakiego tytułu i ile pieniędzy oddaje. Niewiele wiedziała na temat pożyczek, zaliczek i zwrotu długów, kierowała się wyłącznie zdrowym rozsądkiem i dobrą wolą.

Grażyna Orska chciała ją poczęstować pomarańczowym musem swojej roboty. Usiłowała być miła. Julii nie smakował mus, tak jakoś nieszczęśliwie machnęła ręką, że połowa zawartości znalazła się na zakiecie. Już my się chyba nigdy nie polubimy, pomyślała, wychodząc. Na wizytę u Wandy zabrakło jej ochoty. W całej klatce roznosił się paskudny fetor. Z ulgą wyszła na świeże powietrze.

Książeczkę z pokwitowaniem Orskich włożyła do szuflady i uznała, że jest wolna i mogłaby od razu przenieść się do mieszkania po Karolinie.

Zgrzyt klucza w zamku ostudził jej zapal. Na koniec musiała jeszcze przeżyć dużą dawkę wyrzutów.

Mama Blendowa nie należała do kobiet, które łatwo się poddają. Takie kobiety nigdy nie dochodzą do majątku, a ona doszła i z tego powodu czuła uzasadnioną dumę.

Jak i dzięki komu zdołała się dowiedzieć niemal wszystkiego o rodzinie Orzechowiczów, pozostało jej tajemnicą. Trzęsła się z oburzenia i wściekłości, kiedy opisywała córce mieszkanie przyszłych teściów, do którego osobiście się pofatygowała, żeby niczego nie zaniedbać.

- To sobie teraz porównaj tę norę i jego! - krzyknęła Julia.

- Porównałam. Masz rację, ja nawet czuję szacunek dla tego Orzechowicza. Jednak i ty musisz mi przyznać rację, że istnieje coś takiego jak geny. Dziedziczy się po rodzicach, nie po opiekunach. Poza tym, co zrobisz, jak oni wszyscy zwałą ci się na gwiazdkę? Tam mieszka dwanaście osób, sami najbliżsi krewni. Skrzynka denaturatu nie wystarczy, żeby ich zadowolić. Nie masz wyboru, Julka! Tu jest twoja rodzina i twój dom. Męża jeszcze sobie znajdziesz.

- Już znalazłam. Nie chcę wybierać między Konradem a wami. Jeśli mnie zmusicie, zostanę przy nim.

Powiedziała to ostrym, pewnym głosem. Zaciśnięte usta matki nie wróżyły nic dobrego. Jeżeli teraz powiem, że się wyprowadzam, pomyślała Julia, to gotowa zamknąć mnie w piwnicy albo ubezwłasnowolnić. Wycofała się do swojego pokoju.

Rano wstała przygnębiona. To był dzień przeprowadzki. Po, torbę zamierzała wpaść po południu, gdy rodzice będą w pracy. Snuła się po

domu jak wyrzut sumienia i wszystko leciało jej z rąk. Matka, pogrążona we własnych myślach, nawet nie wspomniała o Konradzie. Ojciec jeszcze spał, gdy wychodziła.

- Włóż zakiet, bardzo się ochłodziło - powiedziała matka.

Sięgnęła po ciuszek i ze złością powiesiła go z powrotem na wieszaku. Resztki musu pomarańczowego ułożyły się w malowniczą skorupę i zakiet nie nadawał się do użytku.

- Zaradna jesteś, aż żal patrzeć! - zauważyła zjadliwie matka. -i ty mi mówisz, że dasz sobie radę sama? Nie grzeb w tych ciuchach, nie rób bałaganu. Weź moją brązową marynarkę i idź już, bo późno.

Była tak skołowana, że pozwoliła się matce ubrać i zbiegła na parking. Tego dnia, kiedy od samego rana wszystko się układało inaczej, niż powinno, samochód znów nie ruszył. Pobiegła na przystanek, co miała robić. Nerwowo zerknęła na zegarek. Przez dziesięć minut nie miała szans dojechać do firmy.

- Podrzucić? Jadę dokładnie tam, gdzie pani chce się dostać.

Tuż obok niej przy krawężniku zatrzymał się polonez. Kierowca uśmiechał się przyjaźnie i potrząsał jasnymi loczkami. Odetchnęła z ulgą. Miała przed sobą jednego z dzielnych młodzieńców, którzy śpieszyli jej z pomocą na parkingu przed Budampolexem. Wskoczyła zwinnie i zatrzęsła drzwiami.

- Góra z górą, no nie, a człowiek człowieka wytropi - cieszył się chłopak.

- Mieszka pan tu gdzieś na osiedlu?

- Dziewczyna tu mieszka niedaleko - mrugnął porozumiewawczo. -  
Co z pani samochodem? Pewnie się rozkraczył przed domem?

Chłopak prowadził stanowczo zbyt brawurowo jak na wymagania Julii. Przymykała oczy, kiedy z piskiem hamulców wjeżdżał na kolejne skrzyżowania. Milczała. Siedział za kierownicą, więc pewnie miał prawo jazdy i z grubsza wiedział, co robi.

- Którędy pan jedzie? - spytała zaskoczona, gdy na rondzie skręcił w kierunku przeciwnym, niż należało.

- Bez popeliny! Muszę podrzucić kumplowi przesyłkę, dlatego przycinam trochę ostrzej.

Po prawej stronie pojawiły się opuszczone budynki starej Celulozy. Powybijane szyby w oknach, wywalone fragmenty murów, jakieś płataniny rur górą i dołem, wszystko to sprawiało przygnębiające wrażenie. Wjechał boczną bramą i zatrzymał się ni to przed magazynem, ni bunkrem.

- Wsiadaj, stokrotko! - poradził przyjacielskim tonem. - No, nie patrz tak, bo mnie wzruszysz. Mówiłem ci, że mam dostarczyć przesyłkę kumplowi. Dostarczyłem właśnie, więc wyskakuj! Szybko, bo muszę jeszcze odstawić wozik facetowi, zanim się skapnie, że pożyczałem.

Dwóch mężczyzn wyszło po Julię. Nie miała żadnych szans, żeby się bronić czy uciekać. Krzyżeć też nie było po co. Wokół same ruiny, pustka i beznadzieja.

- Mogę wiedzieć, o co chodzi? - spytała cicho.

- Jak będziesz miała trochę szczęścia, to się dowiesz - powiedział wyższy z osiłków, młody i lekko rudawy. - Żarty się skończyły.

- Więc o co chodzi?

- Bo ja wiem?! My się nie mieszamy do cudzych interesów!  
-mruknął.

Niższy w ogóle się nie odzywał. Bez zbędnych ceregieli wyszarpnął Julii torebkę i starannie przejrzał zawartość. Portmonetka go nie zainteresowała, wyciągnął telefon komórkowy, wieczne pióro, notesik z adresami i grubą kopertę z upominkiem od Leszka. Ostatnio tak była zagoniona, że w kamień zapomniała zajrzeć do środka.

Wepchnęli ją do jakiegoś pomieszczenia. Głucho szcęknęły ciężkie, metalowe drzwi. Przez chwilę stała jak wmurowana w betonową posadzkę. Stwierdziła, że głowa przestała ją boleć, że na pewno nie zdąży do pracy i Edyta się wścieknie. Potem rozejrzała się po wnętrzu. Pomieszczenie było wysokie, z oknami pod samym sufitem. W jednym kącie leżała sterta jakichś śmieci, obok nich drewniana paleta i to było właściwie całe umeblowanie. No to fine, klops, kropka, pomyślała Julia. Podniosła torebkę i zrezygnowana oparła się o ścianę. Sama była zdziwiona, że wcale się nie boi. Powinna się bać, krzyczeć, walić w drzwi, a ona stała sobie spokojnie, powtarzała, że fine, klops, kropka i nic. Ani przez moment nie wierzyła, że to jest porwanie na serio. Czekala, że lada moment otworzą się drzwi, wejdzie ten rudzielec lub ten z loczkami, przeproszą, powiedzą, że pomyłka i odwiozą ją do Budampolexu. Dopiero gdzieś tak po czterech godzinach sterczenia pod ścianą, gdy nogi jej ścierpły, gdy poczuła głód i pragnienie, zaczęła powoli dopuszczać do siebie myśl, że to nie pomyłka i że to dzieje się naprawdę. Czego mogli od niej chcieć? Oczywiście, archiwum Chochli! Jakoś dotąd nie wpadła na pomysł, że Marcin nie działał sam. W grę wchodziły duże pieniądze, więc wokół niego musiało się roić od pazernych facetów, pośredników i prymitywnych ochroniarzy. Oni



też chcieli dobrze żyć. W momencie, gdy Marcinek zorientował się, że został okradziony, dał cynk swoim i wcale nie musiał dzwonić do Karoliny lub Julii, żeby się dowiedzieć, kto go okradł. Karoliny nie było we Włocławku, więc porwali Julię. Prostota wyjaśnienia aż biła po oczach.

Nie miała zamiaru kapitulować. Nie zabiją mnie, póki nie odzyskają swojego skarbu, rozumowała logicznie. Nie muszę mówić, że Leszek wszystko spalił. Każę się zawieźć w ruchliwe miejsce, narobię wrzasku i spróbuję uciec. Plan wydawał się dziecinnie prosty.

Ciężkie drzwi zazgrzytały. Julia nawet nie drgnęła. Niech oni się podlizują, ona nie będzie.

- Cześć, Julka!

Gdyby nie stała tuż przy ścianie, kto wie, czy z wrażenia by nie upadła.

W sekretariacie zawsze rano było najwięcej pracy. Edyta zgrzytała zębami na widok pustego biurka Julii. Posadziła Henię przy telefonach i osobiście pofatygowała się do działu informatyki, żeby zasięgnąć języka u źródła. Zaskoczona mina Orzechowicza wystarczyła za całą odpowiedź.

- Czuję się, jakbym miała dziś osiemdziesiąt lat - westchnęła Edyta.

- To widać - przytaknął Konrad.

Pani prezes przełknęła antykomplement, bo nie chciała być drobiazgowa w momencie, gdy waliła się praca nie tylko sekretariatu, ale całego działu.

- Co ona mogła wykombinować? - zastanowiła się głośno. - Matka szaleje z niepokoju, przysięga, że mała wyszła rano o normalnej porze.

Chyba nie miała po drodze jakiegoś wypadku? Samochód został przed domem... Może ją porwali, jak pan myśli?

Nie miał zamiaru zdradzać się ze swoimi myślami. Był więcej niż pewien, że Julia nie wytrzymała szalonego parcia z dwu stron, nacisków matki i jego oczekiwań, zostawiła ich swojemu losowi i wyjechała. Myśl ta była mu wyjątkowo przykra. On też myślał o wyjeździe, ale wspólnym. Jeszcze nie zdecydował dokąd, w każdym razie jak najdalej od paralizującej miłości jej rodziców i złej pamięci swoich. Ucieczkę Julii odbierał jak zdradę, jak wotum nieufności. Gdyby choć powiedziała słowo, gdyby nie zaczęła go unikać, może coś by wspólnie zaradzili. Obiecywała przy nim trwać i - kobieca konsekwencja - wyjechała.

Koło południa zadzwoniła Emilia Blendowa. Spodziewał się ataku hysterii, grózb i płaczu, a usłyszał głos kompletnie załamany. Błagała, godziła się na wszystko, byle pomógł jej odnaleźć córkę. Na słowo „policja” wybuchnęła płaczem. Nie chciała mieszać policji, nie chciała nikogo, tylko jego. Nie bardzo rozumiał, więc mu wytłumaczyła.

- Niech się pan zorientuje, czy przypadkiem Orscy czegoś nie wiedzą? - wyjęczała przez łyżę.

- Pudło - warknął. - Musi się pani rozejrzeć wśród innych oszukanych, bo za Orskich ręczę.

Odkładając słuchawkę, drżał z hamowanej wściekłości. Rozglądał się po pokoju, co by roztrzaskać, rozbić, wyrzucić przez okno. Miewał czasem, bardzo rzadko, takie napady szewskiej pasji, nad którą z wielkim trudem panował. Otworzył okno na całą szerokość i pozwolił, żeby chłodny wiatr owiał rozgorączkowane czoło. Powoli sam zaczął wierzyć w porwanie, oczywiście nie przez Orskich. Blendowie mogli mieć sporo nieczystych

interesów, wątpił jednak, by zechcieli rozmawiać z nim na ten temat. Czuł się kompletnie bezradny. Jedno, co mu przychodziło do głowy, to zawiadomienie policji o porwaniu. Kolo południa ubrał się i pojechał na komisariat. Znał trochę metody pracy policji i wiedział, że nikt nie zacznie szukać młodej dziewczyny po pięciu godzinach nieobecności. Przez telefon go wyśmiejają, a tak chociaż ich uczuli.

- Cześć! - powiedziała cicho i niemal w tym samym momencie odezwał się w niej refren ślicznej piosenki. „A on był piękny jak młody bóg, żebyż on jeszcze...”. Widać ten refren raz na zawsze złączył się z Serafinem i na to nie było rady.

- Chcesz czegoś? - spytał.

- Chcę stąd wyjść. Zaśmiał się głośno.

- Jasne! To nie ode mnie zależy, tylko od twoich starych. Pacjenci nie płacą długów, a my mamy pełne ręce roboty.

Była pewna, że albo żartuje, albo jest niedoinformowany. Nie zamierzała kolaborować z głupotą, czyli zniżać się do jego poziomu, i czekała, co sam wymyśli. Stał w otwartych drzwiach. Za jego plecami widziała następne pomieszczenie, po którym plątał się wielki pies.

- Żal mi ciebie, Julka, bo cię lubiłem... Może nawet więcej niż lubiłem, dzisiaj to już nie ma nic do rzeczy. Robię teraz w rewindykacji długów i niestety jesteś zakładniczką mojego szefa.

- Pomyliłeś, palancie, kidnaping z rewindykacją. Nie reprezentujesz sądu, nie możesz ścigać należności w zgodzie z prawem.

- Sama jesteś głupia palancica. To my stanowimy prawo. Twój stary też nie chciał w to uwierzyć. Dostał dwa ostrzeżenia i teraz albo rybka, albo akwarium. - Zachichotał. - Co sobie przypomnę gadki twojej mamuni o uczciwości, to mi się chce rzeć jak ogierowi. Szkoda, że tak mało wiesz o interesach, z których żyjesz.

- Wystarczy, że ty wiesz, co to jest rewindykacja. Jak długo mam tu siedzieć? Dzisiaj jeszcze mnie wypuścicie?

Nie przypuszczała, że Serafin potrafi się tak szczerze śmiać. Aż się zanosił tą swoją wielką radością. Głupia Julia ma nadzieję wyjść tak wcześnie! Przysiadła na palecie, patrzyła na chłopaka i wreszcie dotarło do niej, że została porwana nie za własne winy, lecz za jakieś rodzicielskie machlojki, z którymi nie miała nic wspólnego. Co oni mogą mi zrobić? Wypuszczą chyba, no bo co? Zastanowiło ją jedno: dlaczego mężczyźni, z którymi się do tej pory stykała, od kędzierzawego amorka, poprzez rudzielca, jego kumpla i teraz Serafina, wszyscy mieli odkryte twarze, jakby zupełnie nie obawiali się, że w przyszłości Julia ich rozpozna. O Boże! Nie będzie żadnej przyszłości, pomyślała przerażona. Trzymają mnie, dopóki mogę im być potrzebna do telefonicznych pertraktacji i zaraz potem zamordują. Mam być postrachem dla innych niepokornych. Dopiero teraz naprawdę zaczęła się bać. Serafin wciąż stał w otwartych drzwiach i jak nigdy dotąd próbował zabawić Julię rozmową. Opowiadał o swojej oszałamiającej karierze. Zaczynał od prostego ochroniarza, ale miał odwagę, trochę fartu i wsławił się wielką strzelaniną. Pod letni dom szefa, taki śliczny, na podmurówce, jasny, kryty prawdziwym gontem, więc pod ten dom nad jeziorem podeszli pacjenci z kałaskami. Od frontu trzech. Siedzieli ukryci w krzakach, nie było siły, żeby ich wypłoszyć. W chałupie szef z babką, a wiadomo, życie szefa jest najważniejsze, bo to on trzyma kasę. Serafin, niewiele myśląc, gwizdnął na psa, wyciągnął dwie spluwy i

ruszył na trzy kałaszk. Walił jak taran, prosto przed siebie, prosto na nich. Potracili głowy i uciekli. Nawet karabiny zostawili. Szef w tym czasie zdążył umknąć. Nic mu się nie stało, podrapał się trochę i tyle. A mógł zginąć, gdyby nie Serafin. Za ten czyn awansował bardzo wysoko, został prawą rękę szefa.

Julia łowiła przechwałki jednym uchem. Bardzo chciało jej się siusiu, poza tym była głodna. Powiedziała o tym Serafinowi.

- Hm! - zasepił się chłopak. - Wyjdziemy, tylko pamiętaj, żadnych sztuczek, bo mój pies nie zna się na żartach.

Z wielką ulgą skryła się w wysokich chwastach na tyłach bunkra. Porządkując garderobę, poczuła, że wewnętrzna kieszeń marynarki jest czymś obciążona. Sprawdziła i z wrażenia o mały włos nie zemdląła. Miała przy sobie komórkę matki, całkiem malutkie cudencko, które dla niej stało się przepustką do świata żywych. Bardzo musiała nad sobą panować, żeby Serafin nie zauważył jej radości. Szła niespiesznie, udając wahanie, aż musiał huknąć, że to nie spacer po parku. Najwyraźniej zamierzał dotrzymać jej towarzystwa, bo nawet przyniósł sobie z sąsiedniego pomieszczenia taboret.

- Jestem głodna. Nie mógłbyś mi czegoś kupić? - poprosiła cicho.  
-Mam pieniądze.

- Też mam - machnął ręką - tylko może przyjechać szef i się wścieknie, jak zobaczy, że zostawiłem zakładniczkę samą. Ty uważaj na niego, Julka, bo to ostry facet. Grzeczny, ale ostry. -

- A co on mi może zrobić? Najwyżej mnie zastrzeli, prawda?

- To mało? - zdziwił się Serafin.

- Słuchaj, w mojej torebce była taka gruba koperta. Zaklejona, niepodpisana. Dostałam ją rano od mamy, jestem ciekawa, co jest w środku.

- Gówno - burknął, spojrzał na dziewczynę i może nawet zrobiło mu się jej żal.

Cofnął się dwa kroki i sięgnął ręką gdzieś w bok, gdzie widocznie stał jakiś stolik. Wymacał kopertę i przez chwilę oglądał ją nieufnie. Nie spuszczać oczu z Julii, rozerwał brzeg. W środku było pudełeczko, w pudełeczku malutki pierścionek, cały ze złota, bez kamienia. Serafin z głupawym śmieszkiem wsunął drobiazg na mały palec i z daleka pokazał dziewczynie. Poczula, że krew spływa jej do nóg. Pamiętała ten pierścionek aż nazbyt dobrze.

- Przeczytaj, co jest na kartce? - poprosiła cicho.

Oderwał karteczkę i rzucił w jej stronę. Zmiała ją i włożyła do kieszeni. Ta sama kartka, ten sam pierścionek, tylko inny ofiarodawca, pomyślała zgnębiona. Niczego nie rozumiała. Serafin z głupawego chichotu dostał czkawki.

Konrad po powrocie z pracy nie mógł sobie znaleźć miejsca. Źle mu było w domu, ale bał się wychodzić, bo czekał na jakiś znak od Julii. Ucieczka nie wchodziła w rachubę. Emilia Blendowa wprawdzie przyznała, że córka miała chyba zamiar wyjeżdżać, nawet spakowała rzeczy, jednak torbę zostawiła w domu. Samochód stał na ulicy.

- I nikt się nie odzywał, nie było jakichś żądań? - spytał Konrad.

Zaprzeczyła po krótkiej chwili wahania i dość niepewnie. Zrozumiał, że żądania były i że Julia została porwana. Nie pozostawało mu nic innego,

jak wierzyć, że Blendowie nie pozwolą skrzywdzić ukochanej jedynaczki i dogadają się z porywaczami.

Zadzwoił również do Orskich. Grażyna miała dla niego trzy ważne wiadomości: Blendowie oddali pieniądze, poznała Julię i mają w bloku morderstwo. Najbardziej interesowała go Julia, lecz Grażyna nie lubiła niczego robić połowicznie. Konrad, słuchając obszernej relacji, zastanawiał się, dlaczego Blendowie wysłali córkę do Orskich, i właśnie to najmocniej go zaniepokoiło.

- Może głupio im lub próbują nawiązać z nami bliższe kontakty?  
-zastanowiła się Orska. Nie znała Blendów tak dobrze jak on, więc mogła nawet uwierzyć w ich dobre intencje. Konrad nie uwierzył, domyślił się, że to wyłącznie dzięki Julii Orscy odzyskali swoje pieniądze. Zaczął wypytywać o dziewczynę.

- Jak ci się podobała? Jest śliczna, prawda?

- Tak - odpowiedziała Grażyna z ociąganiem. I znowu musiał się domyślać, co to „tak” znaczyło i dlaczego zabrakło w nim entuzjazmu. Zrozumiał, że Julia nie zachwyła.

Jak to śpiewał Lucek: bez bab bieda, a z babami żyć się nie da! Konrad posmutniał. Dziwne, dwie tak wspaniałe kobiety nie przypadły sobie do gustu? Niczego więcej o wizycie już się nie dowiedział, bo Grażyna przeszła do opowieści o morderstwie.

- Śmierdziało u nas na klatce, śmierdziało, aż sąsiedzi kogoś tam zawołali i odkryli nieboszczyka na drugim piętrze. Musiał leżeć ze trzy tygodnie, bo podobno całkiem się rozłożył.

Po takim zastrzyku horroru Konrad już w ogóle nie mógł sobie miejsca znaleźć. Co godzinę dzwonił na policję, miotał się od ściany do drzwi jak lew w klatce i wcale nie czuł się przez to spokojniejszy. Ochłonął dopiero, kiedy dał w gębę Bujale. I to solidnie, bez taryfy ulgowej.

Grzegorz wpadł przed wieczorem. Miał jakieś problemy z ostatnim programem.

- Porwali dla okupu Julię - powiedział Konrad, kiedy już wyjaśnił mu co i jak.

- Porwali? - Bujala zaniósł się śmiechem. - Poszukaj lepiej swojej Julii u Wydronia.

Konrad natychmiast się zjeżył, zacisnął dłonie w pięści.

- To nie wiesz, że sypiała z nim, jeszcze zanim ciebie poznała? Wiedział, że nie sypiała, i dlatego dał w gębę Bujale.

Serafin wyraźnie się nudził.

- Słuchaj, rozumiem, że jesteś fantastycznym ochroniarzem, bądź jeszcze człowiekiem! Kup mi coś do picia i do jedzenia. Inaczej poskarżę twojemu szefowi, że mnie źle traktowałeś!

- No dobra! Za pięć minut jestem z powrotem.

Podniósł się niechętnie. Siedzieć mu się nie chciało, iść też nie, wolał jednak, żeby niczego nie kablowała. Szef był porządnym facetem i Serafin czuł przed nim respekt.

Starannie zamknął drzwi za sobą. Julia nabrała powietrza w płuca i ręce jej opadły. Za dużo miała wrażeń jak na jeden dzień. W głowie czuła



tak kompletną pustkę, że nawet nie pamiętała swojego domowego numeru. Czas płynął, a ona stała na środku celi, bezradna jak pisklę. To było coś najgorszego, co mogło jej się przytrafić. - Mamo -szeptała - wpakowałam mnie w tarapaty, to teraz mi pomóż, oświeć mnie. Trzymam telefon w garści i co mam z nim robić?

Wreszcie jak przez mgłę dotarło do niej, że powinna wystukać trzy dziewiątki. Dodzwoniła się na pogotowie. Musiała mieć bardzo przerażony głos, bo babka nie dyskutowała, tylko od razu podrzuciła właściwy numer. Trzy razy wystukiwała dziewięć, dziewięć, siedem, bo za każdym razem palec trafiał na inne cyferki. Szybciej, szybciej, powtarzała, dygocąc jak galareta. Głos dyżurnego policjanta brzmiał spokojnie i Julia nie rozumiała, jak w takiej sytuacji można zachować spokój. Na szczęście przypomniawszy sobie, że on o niczym nie wie, że to ona musi go przekonać, że nie żartuje, że znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i bardzo liczy na jego dobrą wolę i sprawność policji. Przedstawiła się, opowiedziała o porwaniu, opisała drogę, bramę od strony ulicy Łęskiej i budynek, w którym ją trzymają. Nie mogła zapanować nad szczękającymi zębami, gdy wyjaśniała, że pilnuje jej jeden człowiek z psem, że ma przyjechać szef i że potwornie się boi. Wysłuchał i od początku zaczął wypytywać o to, co już mu powiedziała. Nazwisko, adres, skąd dzwoni, spokojnie, metodycznie, jakby to była towarzyska pogawędka. Zaczęła krzyczeć ze strachu i z bezsilności. Krzyczała, że nie żartuje, że za moment wróci ten, co tu czuwa, i niech się śpieszą. Miała wielką ochotę zadzwonić jeszcze do Konrada, ale nie zdążyła. Wystukała połowę numeru, gdy zgrzytnęła zasuwą. Kiedy wszedł Serafin, siedziała na palecie i dygotała.

- W sklepie nic nie ma. Kupiłem rybki w puszcze i bułkę.

- A sok?

o

- Zapomniałem.

- To chociaż otwórz mi puszkę.

- Nie mam czym.

- I ty mówisz, że jesteś prawą ręką szefa? - wściekła się Julia i rzuciła w niego rybkami w sosie pomidorowym. To ją odrobinę uspokoiło, rozładowało napięcie.

- No, no! - powiedział ostro Serafin. - Ty się nie ciskaj i nie zapominaj, w czyich jesteś rękach. Jakbym chciał, mógłbym cię zgwałcić, i co?

Nie rwał się jednak do gwałtu. Na wszelki wypadek, żeby za dużo sobie nie myślała, wyciągnął pistolet i zaczął się nim bawić. Może chciał popisać się przed szefem swoją gotowością, może postraszyć podopieczną, tak czy owak siedział na wprost niej na stołku i bawił się bronią. Julia pochłonęła bułkę i poczuła się nieco lepiej. Rano w domu prawie nic nie zjadła, a zbliżała się siedemnasta.

- Musisz tu siedzieć? - spytała niezbyt przychylnie. - Zamknij mnie i idź, bo jak na ciebie patrzę, to mi się myśli rozsypują.

- Ty mi nie wchodź na antenę! Mam cię pilnować i koniec - stwierdził wyniośle i nagle zbystrzał.

Pies przed bunkrem zaszczekał, a potem zaczął gwałtownie ujadać. Wypadki potoczyły się tak gwałtownie, że Julia zrozumiała, co się dzieje, dopiero w momencie, gdy Serafin rzucił się do przodu, jakby powtarzał szarżę sprzed letniego domu szefa. Przed sobą zamiast trzech facetów z

kałaskami, miał jedną bezbronną dziewczynę i ci, co nadbiegli z tyłu, uniemożliwili strzał. Runął tuż u jej nóg.

Dzielnie zapanowała nad sobą, chyba nawet nie krzyknęła, tylko podniosła obie ręce do ust. Zdążyła pochylić się nad nim, kiedy miał jeszcze otwarte oczy.

- Wy... wyd... nie uciek... - szepnął.

- Mówił coś? - zapytał policjant, podtrzymując Julię.

- Nie dosłyszałam... nie wiem.

Wyprowadzili ją z bunkra. Jeden z policjantów pytał o coś, co miało związek z porwaniem. Kiwnęła głową, że rozumie, a zaraz potem poprosiła po angielsku, żeby zechciał mówić jaśniej, bo jednak nie rozumie.

- Jak się pani nazywa?

Wysoki policjant ujął ją delikatnie za ramiona. Drugi przyniósł taboret, na którym przed chwilą siedział Serafin.

- Co oni pani zrobili? Boli panią coś?

Nic ją nie bolało, ale poczuła, że musi im koniecznie opowiedzieć o rybkach w puszcze. Zaczęła i nie miała siły skończyć. Chciała jechać do domu. Padło słowo szpital, badania i jeszcze jakieś. Zebrała się w sobie, oprzytomniała i normalnym już głosem powtórzyła, że fizycznie nic jej nie dolega, nikt jej nie bił, nie gwałcił, a w domu na pewno dojdzie do siebie.

- Jak się pani nazywa?

- Julia... Julia Orzechowicz. Ulica Toruńska. Numeru nie pamiętam, pokażę palcem.

- Ma pani jakieś dokumenty przy sobie?

Energicznie zaprzeczyła. W dokumentach była Julią Blendą i nie mieszkała na Toruńskiej. Za nic na świecie nie chciała znaleźć się w domu rodziców. Chciała jechać do siebie, czyli do Konrada.

- Orzechowicz? - Młody policjant zajrzał do notesu. - Faktycznie, jakiś Orzechowicz zgłaszał zaginięcie dziewczyny.

- To właśnie ten! - stwierdziła z przekonaniem Julia. Podjechały jeszcze dwa samochody policyjne i karetka pogotowia.

Wokół bunkra kręciło się sporo ludzi. Wynieśli Serafina na noszach. Chyba żył, bo odjechał karetką. Ktoś obok spytał, czy Julia może składać zeznania, ktoś inny proponował, żeby przełożyć to na dzień następny, bo dziewczyna jest w szoku. Julia chciała zabrać swoje drobiazgi, komórkę, notesik, ale jej nie pozwolili.

Odwiózł ją młody, wysoki policjant. Siedziała skulona na przednim siedzeniu i nie bardzo kontaktowała, któredy jadą. Ocknęła się na Świętego Antoniego. Przed domem Leszka zobaczyła samochód Bujają. Przypomniała sobie Serafina i jego szept, żeby uciekała do Leszka, a może od Leszka? Bzdura, przecież od przyjaciół nie powinno się uciekać. Tylko zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, kto był jej przyjacielem: Leszek czy Bujają?

Policjant odprowadził Julię aż pod drzwi mieszkania. Na szczęście nie był ułomkiem, tym bardziej skórką od śledzia. Kiedy opadła z sił, nie pozwolił jej upaść, tylko wziął na ręce. Konrad stanął wystraszony w progu i zrobił trzy kroki w ich kierunku. Julia delikatnie przeszła z rąk do rąk. I to Konrad przeniósł ją przez próg mieszkania tak, jak mąż powinien przenieść żonę.

Tulił ją potem przez cały wieczór jak dziecko, uspokajał, gładził i znowu tulił. Nie mogła zapomnieć niczego, a przede wszystkim widoku Serafina leżącego na posadzce. Nie rozumiała, że aż tyle zbiegów okoliczności zdarzyło się w ciągu jednego dnia. Musiał jej tłumaczyć, że jedynym zbiegiem okoliczności była komórka pozostawiona w kieszeni matczynej marynarki i to, że właśnie tę marynarkę włożyła rano. Wszystko, co się zdarzyło potem, było już starannie zaplanowaną akcją: od niby--napadu na parkingu Budampolexu poczynając, poprzez celowe uszkodzenie autka, aż po łagodne porwanie z przystanku pełnego ludzi.

- Zadzwoń do domu - powiedział. - Matka przez cały dzień szalała. Skinęła głową i zadzwoniła, żeby powiedzieć, że jest wolna i dlatego do domu nie wróci.

Leżała przytulona mocno do ciepłego ciała mężczyzny i zastanawiała się, jak to możliwe, że dla niego gotowa jest zerwać z całym dotychczasowym życiem. Przypomniała sobie matkę Karoliny i swoją. Ilu ludzi, tyle odcieni miłości, pomyślała. Nie było to odkrywczyste stwierdzenie, lecz jej się wydawało, że jest. Wydawało jej się również, że żadna kobieta przed nią nie kochała aż tak bardzo swojego mężczyzny. Przytuliła się jeszcze mocniej.

- Nie możesz zasnąć? - zapytał cicho, z ustami przy jej uchu.

- Chyba mogę, ale nie wiem, czy chcę - odpowiedziała.

Ile wspólnych nocy, tyle odcieni miłości, myślała, poddając się jego pieścizotom.

- Kocham twoje włosy - szeptał - i sto trzydzieści osiem twoich piegów, usta i szyję, twoje piersi i twój brzuch...

Przesuwał delikatnie rękę od głowy coraz niżej i niżej, a ona topniała z zachwytu i oczekiwania na ciąg dalszy.

Usypiali już, kiedy Julię poderwało bicie dzwonów w mieście. Podskoczyła gwałtownie i usiadła na łóżku. To tylko telefon, pomyślała z ulgą. Konrad trzymał słuchawkę przy uchu i odpowiadał monosylabami: - Tak, nie, mhm.

- Śpij, to tylko znajomy w interesach - powiedział, tuląc ją mocno.

- O tej porze? Konradzie, czy ty prowadzisz jakieś interesy z Bujała?

- Tak - odpowiedział całkiem spokojnie. - Daje mi różne zlecenia, za które nieźle płaci.

- Ale jakie? Po co? Co on z nimi robi?

- Juleczko, jeżeli zlecisz architektowi projekt domu, to on cię nie spyta, kogo będziesz podejmowała, w jakich godzinach i dlaczego. Zrobi projekt i weźmie pieniądze, prawda?

- Prawda - odpowiedziała uspokojona.

Obudziła się wpół do szóstej w całkiem nowej rzeczywistości. Inny pokój, inne łóżko, inne życie. Wydarzenia minionego dnia siedziały w niej jak zadra. Noc przespała dobrze, bez zwidów i majaków, ale poranek przyniósł nową porcję strachu. Przymknęła oczy i zobaczyła bladą twarz Serafina. Poruszał ustami, coś szeptał, coś próbował jej przekazać, niestety, nie potrafiła sobie przypomnieć, co to było. Pewnie nic ważnego, myślała. On nigdy nie mówił nic mądrego, więc trudno przypuszczać, by w ciągu kilku tygodni doznał nagłego olśnienia tylko dlatego, że z dobiegacza zmienił się w porywacza. Chciał mnie zamordować, powtarzała sobie i nie

mogła uwierzyć, że to nie był sen ani wymysł chorej fantazji. Ciężko ranny Serafin, dopóki tkwił w szpitalu, nie był dla niej groźny. Wciąż jednak biegał po mieście facet z loczkami i ci dwaj, którzy zamknęli ją w bunkrze. Nawet jeżeli rodzice uregulowali swoje długi, też nie mogła czuć się bezpieczna, bo sytuacja się odwróciła i teraz porywacze mieli prawo bać się, że Julia poda ich rysopisy policji. Próbowwała nie myśleć o tych strasznych rzeczach, ale wtedy z kolei przypominała sobie ucieczkę z domu i zaczynały się całkiem inne wątpliwości. Powinnam wstać i zrobić śniadanie, pomyślała i w tym samym momencie chyba przysnęła, bo kiedy znowu otworzyła oczy, usłyszała, że Konrad krząta się po kuchni. Wyskoczyła spod kołdry.

Wspaniale było tak siedzieć przy jednym stole i jeść śniadanie, niczym stare, dobre małżeństwo. Julia, wbrew namowom Konrada, zdecydowała się jechać do pracy.

- Muszę się czymś zająć, uciec od własnych myśli - tłumaczyła.

Wielkie biurko w sekretariacie wydawało się najlepszym lekarstwem na lęki. Nie licząc Heni, była jedynym pracownikiem działu i nie musiała obawiać się nudy ani nadmiaru wolnego czasu.

- Nic ci się nie stało? - Edyta przytuliła ją i pocałowała w policzek. - Wiesz, że Chochla nie żyje?

- Nic mi się nie stało, jak to nie żyje? - odpowiedziała Julia jednym tchem.

Edyta wyglądała na bardzo zmęczoną. Śmierć Marcina Chochli wyraźnie rozstroiła jej nerwy. Niczego więcej nie zdołała wykrztusić, zniknęła w gabinecie i starannie zamknęła drzwi.

- Co za tragedia! - Henia z ciężkim westchnieniem wynurzyła się z kuchenki. - Żeby jeszcze chorował, wpadł pod samochód, dostał zawału, to powiedziałabym: normalna sprawa, każdemu może się zdarzyć. Morderstwo na tle rabunkowym nie jest normalną sprawą. Zwłoki ukryli w tapczanie, całe mieszkanie ogołocili kompletnie ze wszystkiego.

- Tapczan też ukradli? - przeraziła się Julia.

- A po co komu taki tapczan?! Mebli nie tykali.

- Mówiłaś, że ogołocili ze wszystkiego. Henia spojrzała na Julię spod oka.

- Już złodziej wie najlepiej, po co przychodzi. Mebli nie ruszył. Chochla leżał bardzo długo w ogołoconym mieszkaniu i dopiero jak zaczął brzydko pachnieć, sąsiedzi ściągnęli policję.

- Brzydko pachnieć, mówisz? A żona nie poczuła? - Julia uważnie wpatrywała się w pomoc gospodarczą.

Kobieta tylko głową pokręciła na taką niedomyślność. Wyjaśniła już innym tonem, że zwłoki Chochli zostały odnalezione w cudzym mieszkaniu przy ulicy Kujawskiej.

- Bywałaś przecież u Wandy Pasieczko, tej poetki od siedmiu boleści? Sąsiadowała z nim przez ścianę. Tak się zaczadziła, że leży w szpitalu.

W południe, kiedy w sekretariacie panował względny spokój, Julię odwiedził policjant. Wystraszyła się, że przyszedł w sprawie Chochli, już chciała gwałtownie zaprotestować, że o śmierci kierownika wie tylko tyle, ile usłyszała od Henryki Luty, lecz przystojny stróż prawa spytał o Serafina.



Spojrzała na mężczyznę uważnie. Jak przez mgłę przypomniła sobie, że to chyba z nim usiłowała poprzedniego dnia dogadać się po angielsku. O porwaniu mogła mówić, czemu nie. Zaczęła od niby-napadu na parking. Wysłuchał, pokiwał głową, spytał o samopoczucie Julii, a zaraz potem zarzucił ją pytaniami, jak długo spotykała się z Serafinem, kiedy ostatni raz go widziała, dlaczego nie są razem, czy kiedykolwiek jej groził. Odpowiadała zgodnie z prawdą, że była to znajomość przelotna, spotykali się krótko, nie tęsknili za sobą, a w samym porwaniu ważniejszy był ten facet z loczkami. Policjant nie chciał słuchać o kręconych włosach jednego ani rudych drugiego mężczyzny i z uporem maniaka krążył wokół Serafina: jak długo, czy zazdrosny, czy groził. W końcu zgłupiała od tych pytań i już tylko patrzyła szeroko otwartymi oczami. Wtedy położył przed nią na biurku foliowy woreczek z pierścionkiem. Wrażenie było piorunujące. Przymknęła oczy. Zobaczyła najpierw Chochłę, potem Leszka, na końcu rękę Serafina.

- Czy to jest pierścionek zaręczynowy? - spytał policjant.

- Nie. To jest pierścionek wyjęty z mojej torebki. Serafin pilnował mnie, bawił się pistoletem i twierdził, że czekamy na szefa. O uczuciach nie rozmawialiśmy.

- Całkiem niepotrzebnie gmatwa pani taką prostą sprawę - wyjaśnił dobrotliwie policjant. - Zakochani popełniają różne głupstwa. Samo porwanie jest czynem nagannym, chłopak twierdzi, że był zdeterminowany. Oczywiście odpowie za swój czyn, bo prawo...

- Pan też chodzi na randki ze spluwą? - spytała.

- Niestety, nie chodzę na randki - wyjaśnił z nutką żalu. - Od pięciu lat jestem żonaty.

- Ale pierścionek zaręczynowy sam pan kupił czy wyciągnął narzeczonej z torebki?

- Zaraz, zaraz, czy jaw ogóle kupowałem pierścionek zaręczynowy? - zastanowił się głęboko. - Chyba jednak nie.

- Straszny z pana sknera! - mruknęła Julia. - Skąd wiadomo, jaki był motyw porwania?

- Z zeznań pani chłopaka.

- To nie jest mój chłopak!

- Potwierdzają to zeznania pani rodziców.

Dalsze dociekania mijały się z celem. Jak mogła przekonać człowieka przekonanego?

Ledwie jeden stróż prawa wyszedł, przyszli dwaj następni. Ci chcieli rozmawiać wyłącznie z Edytą. Wpuściła ich do gabinetu i natychmiast zadzwoniła do Leszka. Ucieszył się po swojemu i obsypał dziewczynę miłymi słówkami. W tej materii nie miał sobie równych.

- Dobra - przerwała niezbyt uprzejmie. - Co to za idiotyczny pomysł z pierścionkiem?! Skąd go masz?

- Wiedziałem, biedronko, że taka skromna błyskotka cię nie ucieszy - powiedział. - Dla mnie jesteś warta brylantów i gotów jestem...

Przerwała mu po raz drugi.

- Wiesz co?! To jest pieprzenie kotka za pomocą młotka! Jak tylko policja odda mi ten parszywy pierścionek, natychmiast będziesz go miał z

powrotem. I nie pytaj, dlaczego policja i co się stało, bo wiesz lepiej ode mnie! - krzyknęła.

Musiała być bardzo zdenerwowana, jeśli nie zapanowała nad językiem, stylem i treścią wypowiedzi. Odłożyła słuchawkę i dopiero wtedy zaczęła poważnie się zastanawiać, jakim sposobem prezent Marcina trafił do rąk Wydronia. Jeżeli Leszek chciał ją nastraszyć, to mu się udało. Ale nawet on nie mógł przewidzieć, że Julia zapomni zajrzeć do koperty i zrobi to za nią dopiero Serafin. Czyli nie powinna łączyć Leszka z Serafinem, z Chochlą natomiast jak najbardziej. Wszystko niby było logiczne i jednocześnie bezsensowne. Zadzwoił telefon.

- Co się stało, biedronko? - Głos Leszka nie był już żartobliwy. - Nie chciałem cię obrazić, tylko...

- Przepraszam, szefowa mnie wzywa!

Znowu nie dałam mu dojść do słowa, pomyślała zgnębiona, odkładając słuchawkę. Ale czy usłyszałaby z jego ust jakieś sensowne wyjaśnienie? Jeżeli ktoś mógł jej pomóc i rzucić choć trochę światła na ostatnie wydarzenia, to tylko Serafin. Zdecydowała, że po pracy pojedzie do szpitala^ Nie przewidziała tylko jednego: nie była już sama. Konrad miał swoje poglądy na temat tego, co powinna i czego nie powinna. Wizytę w szpitalu uznał za niepotrzebne szarpanie nerwów.

- Muszę jechać - tłumaczyła - bo dzieje się coś absolutnie złego. Bodaj po raz pierwszy mama zgadza się z Serafinem i oboje kłamią.

Z porwania dla okupu robią romansową farsę. Przecież sama wiem najlepiej, jak było!

Nie chciała, żeby ją podwoził, lecz on widać uznał to za swój obowiązek. Milczał przez całą drogę z miną tak naburmuszoną, że Julia sto razy wolałaby jechać autobusem. Boże, myślała rozżalona, czy już do końca życia będę musiała spowiadać się z każdego swojego kroku?

Serafin był nieprzytomny.

- Pani jest jego dziewczyną? - spytała pielęgniarka.

Julia na wszelki wypadek skinęła głową. Bała się, że z koleżanką nikt nie zechce rozmawiać, natomiast jako dziewczyna dowiedziała się, że chory z rana był przytomny, rozmawiał z policjantami, potem popadł w śpiączkę. Od czasu do czasu wzywał ją, Julię, ale nic więcej nie mówił. Postąpiła chwilę za szybą. „A on był piękny jak młody bóg...”. Dwie łzy powoli spłynęły po policzkach. Nie rozumiała, dlaczego płacze. Może z żalu nad kruchością ludzkiego życia? Pielęgniarka patrzyła na nią ze szczerym współczuciem i najwyraźniej była pod wrażeniem romantycznej historii. Julia zostawiła jej swój numer telefonu i wybiegła pośpiesznie.

Pod opieką Konrada trudno było nie dojść do siebie. Robił śniadania i kolacje, gotował obiady. Zjawiała się u niego tak jak stała, czyli w jednej spódnicy, w jednej bluzce i w matczynej marynarce. Pani Emilia Blendowa kategorycznie zaprotestowała przeciwko oddaniu córce samochodu, nie chciała też słyszeć o zwrocie torby z ubraniami. To były dobra nabyte za pieniądze rodziców, mogła z nich korzystać, mieszkając we własnym domu, nie kątem u obcego mężczyzny. Leszek kiedyś żartował, że wzięłby ją i bez ubrania, Konrad był bardziej praktyczny i sam kupił Julii czarną bluzkę. Zdecydowanie wolałaby sama wybierać sobie bluzki, on jednak był tak zadowolony z zakupu, że musiała się ucieszyć.

- Kochany jesteś - powiedziała, cmokając wygolony policzek. Po raz pierwszy uświadomiła sobie wtedy, że broniąc się przed uzależnieniem od rodziców, wpadła w uzależnienie od Konrada. Nie była przyzwyczajona do życia bez pieniędzy. Matka hojnie ją wspierała i właściwie nigdy nie rozliczała z wydatków. Marudziła oczywiście, że córka jest rozrzutna, że trwoni, wydaje bezmyślnie i tak dalej, jednak w ślad za słowami nie szły żadne ograniczenia. Po prostu musiała narzekać, więc narzekała. Konrad natomiast milczał, lecz poza bluzką nie dostrzegał innych potrzeb Julii. W portfelu zostało jej ledwie parę groszy, a nie miała dosłownie niczego: szczotki do zębów, kremu do rąk, głupich majtek na zmianę. Kosmetyki na szczęście nosiła w torebce przy sobie. Wiedziała, że wystarczy poprosić, że on nie ze skąpstwa, tylko z niewiedzy tak sobie milczy. Nigdy nie miał żony, więc skąd miał znać damskie potrzeby? Poprosić czy nie prosić, zastanawiała się Julia. Wolała nie prosić i wytrzymać jakoś do wypłaty. I może wszystko byłoby dobrze, gdyby Konrad nie zaczął rozmowy o zaręczynowym pierścionku. Julia zapała się jak oślica. Nie i nie, powtarzała. On mówił pierścionek, a ona widziała Chochłę, Leszka i rękę Serafina.

- Najpierw zaręczyny, później ślub - dowodził. - Innej kolejności sobie nie wyobrażam.

- Sami zmieniliśmy kolejność i to już na początku - powiedziała zdecydowanym tonem. - Nie chcę, żebyś skończył na dworcowych schodkach z kapeluszem na datki i z tabliczką: „Jestem ofiarą kobiecej zachłanności”.

- Ofiarą w żadnym wypadku! - obruszył się Konrad. - Ten napis trzeba staranniej przemyśleć. Poza tym na dworcu wieje, nie mówiąc już o tym, że wolę siedzieć przed bankiem, bo wcale nie czuję się biedakiem.

Żartował, choć jego nieufna natura podpowiadała mu, że Julia boi się zobowiązań i dlatego umyka przed zaręczynami. Patrzył ze zmarszczonymi brwiami i nie rozumiał, że dziewczyna może nie chcieć pierścionka. Ona z kolei też patrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami i w duchu przeliczała, ile za taki pierścionej mogłaby sobie kupić majtek i bluzek. Tego wieczoru bodaj pierwszy raz kładli się spać z uczuciem wzajemnego niezrozumienia i pretensji.

Konrad powoli zaczynał dojrzewać do remontu mieszkania. Narzekał na ciasnotę i głowił się, jak na tych niewielu metrach kwadratowych po ciotce Ewelinie urządzić pokój dzienny, sypialnię i pokój do pracy. W kuchni od biedy można by wykroić kawałek miejsca na jadalnię, w przedpokoju na szafy z suwanymi drzwiami.

- Jeżeli teraz się mieścimy, to po remoncie tym bardziej, prawda?  
-powiedział któregoś dnia, patrząc na Julię bezradnie.

- Teraz mieścisz się tu sam - sprostowała. - Zauważ, że w całym domu nie ma ani jednej mojej rzeczy.

Pokiwał głową, bo nie mógł odmówić dziewczynie racji. Chciał tego remontu, ale bał się bałaganu i najchętniej zostawiłby wszystko po staremu. Coraz częściej zastanawiał się, czy Grażyna Orska nie miała racji, mówiąc o jego starokawalerskich nawykach.

- Na czas remontu możemy się przenieść do kawalerki Karoliny  
-powiedziała Julia. - Mam klucze i wolną rękę.

- Nie, nie! - zaprotestował energicznie. - Damy sobie radę bez zastępczego lokalu.

- Boisz się wspomnień? - spytała.

- Życie to nie powieść. Do pewnych zamkniętych rozdziałów nie wolno, a nawet nie należy wracać. Tamto mieszkanie jest dla mnie takim właśnie rozdziałem. I wcale nie chodzi o sentymenty, Julio. Gdyby to była wielka miłość, potrafiłbym o nią walczyć. Ja nie poddaję się łatwo, możesz mi wierzyć.

Uwierzyła z wielką chęcią. Podjeżdżali właśnie na parking przed domem. Julia wysiadła pierwsza, on otworzył bagażnik i też wysiadł. Nie zamknął jeszcze drzwi, kiedy obok wyrosło trzech drabów. Obstąpili Konrada i próbowali docisnąć do samochodu. Julia zawahała się, czy ma krzyżeć, czy od razu walić w łeb tego, co stał do niej tyłem.

- O co chodzi, panowie? - spytał spokojnie Konrad.

- Nie szanujesz przyjaciół, facet! - warknął najwyższy z mężczyzn i podniósł łapsko do góry, najwyraźniej w celu udzielenia lekcji szacunku. Nie opuścił jednak ręki, tylko zawył jak bity pies.

- Kurwa, chłopcy, toż to mały Orzech! - krzyknął głośno ten, co stał tyłem do Julii.

Zbystrzeli wszyscy czterej, łącznie z poszkodowanym, który rozcierał sobie rękę.

- To wy na kumpla gałęzie podnosicie? - zdziwił się Konrad.

- Sorry, stary, zlecenie było. Podobno ty pierwszy obtłukłeś komuś facjatkę - tłumaczył najniższy.

- Wiem nawet komu! - przyznał Konrad. - Należało się draniowi.

- Bez obrazy, Radek, ale robotę trza szanować. Zleceniodawca stały, zaliczkę dał... To jakby co, powiedz, że napad był. Możesz mu nawet

podziękować po swojemu. A jeszcze jakby co, jakbyś ty miał potrzebę dać komuś w mordę, to my dla kumpli po promocyjnej cenie. Wiesz, gdzie nas znaleźć.

Rozstali się elegancko. Jedynie skowyt tego pierwszego psuł ogólny obraz koleżeńskiej pogawędki. Julia patrzyła za nimi przerażona.

- Co to było?

- Jak by ci tu powiedzieć... To był gest solidarności prostaczków przeciw nowobogackim inteligentom.

- Siebie do której grupy zaliczasz? Konrad się roześmiał.

- A jak myślisz? Moi starzy kumple chyba na nowobogackich inteligentów nie wyglądali?!

Mimo drobnych niedomówień pierwsze dni wspólnego życia były wspaniałe. Szczęście zakochanych mąciły jedynie zmasowane telefony Emilii Blendowej. Dzwoniła do pracy i do nowego domu córki. Wróc i wróc, powtarzała, coraz bardziej stanowczo i ostro. Przeżycia ostatnich tygodni sprawiły, że Julia okrzepła i nie poddawała się rozkazom. Jej „nie” było zdecydowane i twarde.

- Mów sobie, co chcesz - denerwowała się matka - ale Serafina rozgryzłam pierwsza. I wyszło na moje. Patrzyłaś w niego jak w obrazek.

- Jeśli go rozgryzłaś, to pewnie wiesz, dla kogo pracował? Ostatnio ścigał opornych dłużników.

Pani Emilia dawała się zbić z tropu na krótko. Broniąc się, atakowała córkę za złe prowadzenie, za nieodpowiednie znajomości. Julia zazwyczaj po prostu przerywała rozmowę.



- Dopóki nie wrócisz, twoje rzeczy i auto należą do nas - powtarzała w nieskończoność matka.

- Jakoś to przeżyję - odpowiadała spokojnie Julia.

Wreszcie Emilia skapitulowała. Obiecała dać swoje błogosławieństwo i zgodę na poślubienie Konrada, pod warunkiem jednak, że do czasu wesela Julia zamieszka u rodziców, jak przystało narzeczonej. Była to więc kapitulacja bardzo pozorna.

- Nie! - odpowiedziała Julia. - Pobierzemy się najszybciej, jak to będzie możliwe, ale do czasu ślubu zostanę u Konrada.

Emilia Blendowa wymyśliła więc wspólny dom. Upatrzyła bardzo ładną willę w Michelinie. Na dole pomieszczenia wspólne, salon, pokój telewizyjny, kuchnia, jadalnia, na górze sypialnie. Konrad dostał szczękościsku. Nie potrafił wykrztusić słowa. Julia okazała się odporniejsza i to ona kategorycznie zaprotestowała w imieniu ich dwojga.

- Niestety, mamy inne plany. Wyjeżdżamy z Włocławka. Powiedziała tak, żeby zniechęcić matkę i trafiła kulą w płot. Na wiadomość o wyjeździe córki rodzice wpadli w szal wybijania młodym z głowy nedorzecznego pomysłu. Wybijali głównie telefonicznie i po paru dniach Julia bliska była znieawidzenia telefonu.

- Chyba rzeczywiście trzeba będzie wyjechać, zanim nas uduszą nadmiarem swoich uczuć - powiedziała zgnębiona.

- A właściwie co nas tu trzyma? - zastanowił się Konrad.

- Mieszkanie i praca. Ciebie jeszcze Orscy, mnie w jakimś sensie oni. Ale nie bój się, jeżeli zdecydujemy się wyjechać, to wyjedziemy. Zawsze

pociągały mnie duże miasta. Tęsknię za Warszawą. Inne życie, inne możliwości.

- Mnie - Konrad się uśmiechnął - zawsze pociągały małe miasteczka. Spokojniejsze życie, możliwości dużo większe, byle mieć pomysł i łeb na karku.

Śledztwo w sprawie porwania Julii nie posunęło się ani o krok. Blondyn z loczkami, rudzielec i osilek rozplynęli się we mgle, Serafin albo milczał, albo był nieprzytomny, Blendowie wyparli się szantażu i tylko Julia została policji na osłodę. Powoli zaczynała mieć wszystkiego dosyć i zastanawiała się nad zmianą zeznań. Dla świętego spokoju gotowa była nawet przyznać, że Serafin o niczym innym z nią nie rozmawiał, jak tylko o swoich zawiedzionych uczuciach. Jednocześnie z małym śledztwem ciągnęło się wielkie w sprawie śmierci Marcina Chochli. Policja bez trudu ustaliła, do kogo należało mieszkanie przy Kujawskiej. Edyta szybko się pozbierała, zresztą naprawdę nie miała czym się niepokoić. Chochla wynajmował od niej mieszkanie oficjalnie. Umowę miała, o reszcie nie musiała wiedzieć. Kierowała firmą, wyjeżdżała w interesach, podejmowała decyzje i w Budampoleksie ludzie poczuli się pewniej. Stanowisko dyrektora wciąż czekało na Mikulę. Leszek był na zwolnieniu lekarskim, sekretariatem kierowała Julia. Przestała bać się telefonów, interesantów i spraw. Uczyła się szybko i radziła sobie lepiej niż dobrze. Tak przynajmniej twierdziła Edyta.

- Jesteś bardzo podobna do ojca - powiedziała kiedyś, gdy Julia ustawiała na biurku filizankę z herbatą.

Dziewczyna przysiadła na moment w fotelu i spojrzała wyczekująco. Nie miała pojęcia, że Edyta znała jej ojca. Matkę zresztą też. Należeli kiedyś do jednej paczki, tytułowali się wrocławską inteligencją i wieczory

spędzali w starym, pocziwym klubie NOT-u. Tamten klub, choć mały, miał klimat i niepowtarzalną atmosferę. Można było wypić koniak, zjeść coś, zagrać w brydża. Do stałych bywalców należeli rodzice Julii, którzy wtedy nie byli jej rodzicami ani nawet małżeństwem, Mikula, Edyta i paru innych ludzi, obecnie uznawanych za rekinów lub płotki miejscowego biznesu. Jednym się powiodło, innym nie, jak to w życiu. Kontakty się urwały, przyjaźnie również i nic, poza wspomnieniami, nie zostało z tamtych lat. Czasem jeszcze zdarzało się, że ktoś kogoś poparł bezinteresownie, bo zagrały sentymenty.

- Twój ojciec był wyjątkowo przystojnym chłopakiem. - Edyta uśmiechnęła się ciepło do Julii. - Oczytany, rzutki i energiczny, miał powodzenie.

- Nie myli go pani z kimś innym?

- Nie myślę! Dłużej znam Zdzisia Blendę niż ty, moje dziecko. Wiesz, jak mówiliśmy kiedyś o twoich rodzicach? „Ćma opętała pazia królowej”. Ale jak widać oboje nieźle na swoim małżeństwie wyszli.

- Chyba tak... choć paż całkowicie poddał się rządowi. Przelotny uśmiech Edyty był przytaknięciem. Domyślała się lub

wiedziała, że tak właśnie musiało być. Julia bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach i czasach, których nie mogła pamiętać.

- Mikulowa też należała do grupy?

- Ola to był desant. Przyprowadził ją kiedyś twój ojciec. Emilia miała jednak oczy otwarte, więc Ola zakreśliła się koło Wacka Mikuli. Popatrz, jak niewiele brakowało, żebyś miała inną mamusię!

- A Chochla?

- O, bywali jeszcze Wydroniowie.

- Leszek z żoną? - zdziwiła się Julia.

- No nie, przedszkolaków nie zrzeszaliśmy - zaprotestowała Edyta. - Rodzice Leszka. Doktor Wydroń i jego utalentowana żona, pianistka czy flecistka, nie pamiętam. Pytałaś o Chochlę? Też bywał. Głupi, biedny Marcin. Przeżył swoje ostatnie babie lato. Ty wiesz, że on podobno na starość się zakochał! Szantażem chciał zdobyć pieniądze i uciec z jakąś dziewczyną. Pół miasta postawił na nogi swoimi żądaniami.

- Chochla i szantaż? - Julia wydeła usta. Bez problemu zapanowała nad twarzą: przecież nie po to wywołała temat, żeby drżeć jak osika pod sondującym spojrzeniem Edyty.

- Chochla nie pasuje ci do szantażu?

- Nie pasuje mi do miłości, do szantażu owszem. Nie pasuje mi też do inteligencji wrocławskiej.

- A Mikułowa ci pasuje?

Julia pokręciła głową, przy czym wcale nie myślała już o Chochli ani o Mikułowej.

Policja nie kwapiła się z oddaniem Julii pierścionka; jak na razie był najważniejszym dowodem w sprawie o porwanie. Bez pierścionka nie chciała pokazywać się Leszkowi, choć miała z nim sporo do omówienia. Magister Wydroń dzwonił często, wypytywał o zdrowie, troszczył się też o Konrada. Skąd wiedział, gdzie Julia mieszka? On zawsze dużo wiedział i zwolnienie lekarskie niczego nie zmieniło.

- Co tam słyhać, biedronko? Podobno wygraliście przetarg na budowę pawilonu handlowego?

- No widzisz! Bez ciebie też jakoś sobie radzimy - odpowiadała ostrożnie.

Może to za sprawą pierścionka, może jakichś nieudomówień, a może zwykłej babskiej intuicji czuła, że zaczyna się bać. Ważyła każde słowo i starała się mówić jak najmniej. Leszek koniecznie chciał się z nią spotkać. Właściwie dzwonił tylko w tej sprawie, o innych wspominał mimochodem. Ostatnio coraz bardziej był zainteresowany postępem śledztwa.

- Daj mi święty spokój! - zdenerwowała się wreszcie Julia. - Zadzwoń sobie na policję albo do prokuratora. Co mnie obchodzi Chochla?!

- Nie pytam o Chochlę, pytam o porwanie. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Początkowo myślałam, że to twoja sprawka - odpaliła, żeby zaskoczyć go choć na moment i spokojnie pomyśleć. Nikt w Budampoleksie, z wyjątkiem Edyty i Konrada, nie wiedział o porwaniu. Tę wiadomość udało się utrzymać w tajemnicy. Skąd mógł wiedzieć Leszek?

- Przecież ja dopiero mam zamiar cię porwać! - wykrzyknął i roześmiał się swobodnie, jakby wcale jej nie uwierzył.

A może właśnie uwierzył i tak ładnie zagrał? - pomyślała nagle. Przeraził ją ton głosu Leszka i ten beztroski śmiech. Możliwe, że to było złudzenie, jednak strach w niej siedział. Nie posądzała go o porwanie, tylko o kontakty z Chochlą. Bardzo bliskie - i dalekie od serdeczności.

Tuż przed piętnastą zadzwonił telefon. Edyty już nie było, Julia właśnie porządkowała papiery i bardzo niechętnie pomyślała o spóźnionym interesancie. Na dźwięk głosu Karoliny ucieszyła się i chciała krzyknąć, że ściągnęła ją myślami. Nie krzyknęła. Zasłoniła usta ręką, żeby nawet nie pisnąć. Na plecach czuła miliony ciarek.

- ...się w swojej norce jak borsuczek. Nie nudno ci? A może spotkamy się jutro? Powiedz, o której mam przyjechać.

- Spotkać się... tego... mówisz? E, nie! Ja mam już kogoś fajniejsze...

Połączenie zostało przerwane. No tak, zapomnieliśmy o automatycznej sekretarce, pomyślała Julia. Myśleć mogła całkiem logicznie, tylko nie miała siły wstać ani nawet ruszyć ręką. Jednak telefon odezwał się ponownie i należało podnieść słuchawkę. W krzyku matki nie było już nic tajemniczego. Odkryła właśnie pokwitowanie Orskich i pustą książeczkę.

- Co ci do głowy... rodziców okradłaś... co ci do głowy!!! Co ty wiesz!!!

- Na pewno to, że nie chcę więcej wstydzić się za was! - powiedziała zimno Julia i tym razem to ona przerwała połączenie. Zaraz potem wybiegła z sekretariatu, żeby już nie odbierać żadnych telefonów. Jak na jeden dzień miała stanowczo dosyć. Była przerażona i musiała natychmiast skontaktować się z Karoliną. Ale Konrad nie chciał sam jechać do domu i czekać, aż Julia przesłucha automatyczną sekretarkę w mieszkaniu przyjaciółki i podleje kwiaty.

- Nie żartuj! Tam nie ma żadnych kwiatów.

Julia była u kresu wytrzymałości i tylko dlatego zrezygnowała z dalszych wyjaśnień. Po prostu odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku przystanku autobusowego. Dogonił ją, złapał za rękaw i zażądał wyjaśnień. Nie mogła mu powiedzieć, bo jak? Bo co? Że musi koniecznie zatelefonować do Torunia, że teraz jeszcze nie ma Karoliny w domu, a potem, przy nim, nie będą mogły rozmawiać? Taka była prawda, lecz wydawała się zbyt brutalna dla uszu ukochanego.

- Wrócę za godzinę - powtórzyła. - Poczekaj w domu. Czy ty nie rozumiesz, że mogę mieć jakieś własne sprawy, które ciebie nie dotyczą? Jakies... rozdziały, które chcę zamknąć, żeby więcej do nich nie wracać. Nie rozumiesz?

-Nie.

- A jednak mam! - powiedziała chłodno, patrząc mu prosto w oczy.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Została na przystanku w tłumie ludzi i drażniło ją kompletnie wszystko: to, że się śmieją, że ktoś żuje gumę, a inny obrzydliwie klnie.

W mieszkaniu Karoliny natychmiast otworzyła okna. Meble pokrywała gruba warstwa kurzu. Starła tylko stolik przy telefonie, żeby się nie pobrudzić. Konrad miał rację. W pokoju nie było ani jednego żywego kwiatka. Włączyła automatyczną sekretarkę. Ostatnio najwyraźniej nikt nic nie chciał od Karoliny lub wszyscy, którzy chcieli, dzwoniли do Torunia. Julia też zadzwoniła z wiadomością, że Leszek wie dużo więcej, niż powinien, i zaczyna z tego robić użytek.

- Julio, on nie próbuje cię zastraszyć, tylko zdobyć - uspokajała ją Karolina. - Biedak podkochuje się w tobie, od kiedy do nas przyszedł, i stara się zwrócić na siebie twoją uwagę. Sama jestem zaskoczona, że wali

czasem jak łysy o beton, ale widać miłość ogłupia nawet najmądrzejszych. Nie drażnij go, nie wmawiaj, że wiesz więcej, niż wiesz. Postaraj się traktować go jak kiedyś, normalnie i po koleżeńsku.

- Nie umiem. Puścił mi zapis rozmowy telefonicznej. Ten fragment o borsuczku.

- Cholera! Skąd wiesz, że to on?

- A kto?

- Julio, posłuchaj! Chochła zginął w sobotę, dokładnie tego dnia, kiedy wyniosłyśmy archiwum. Wiem od Mikuli, że policja już to ustaliła... znaczy datę ustaliła, nie archiwum... Oj, wszystko mi się płacze! W każdym razie Leszek miał wtedy nogę w gipsie i nie biegał jak chart po naszych śladach. Dokładnie obgadamy wszystko, jak przyjadę pojutrze. Mam wezwanie do prokuratury w charakterze świadka. Fajnie, co?

- Ty? Dlaczego ty?

- Pewnie znaleźli moją komórkę.

- Zbyt dużo dzieje się jednocześnie, nie ogarniam tego i zaczynam się gubić. Porwanie, Leszek, umierający Serafin, rodzice, Chochła i na dodatek dzisiaj pokłóciłam się z Konradem.

- To wracaj do domu, pogódź się z chłopakiem i weź coś na uspokojenie... chyba że on cię uspokoi. Jeden kłopot będziesz miała z głowy. - Karolina mówiła spokojnym, pewnym głosem i Julia z miejsca poczuła się lepiej.

Zamykała właśnie starannie drzwi, kiedy odezwała się komórka. Dzwoniła pielęgniarka ze szpitala. Stan Serafina był bardzo ciężki. Chłopak



właśnie odzyskał przytomność i chciał rozmawiać z Julią. Niby to tylko jeden przystanek autobusowy, ale jeżeli człowiekowi pilno, to droga dziwnie się wydłuża. Wpadła zziębnięta i nie mogła tchu złapać. Zatrzymała się dopiero przy łóżku. Kredowa twarz Serafina, naznaczona cierpieniem, nabrała szlachetności, choć z nosa sterczały jakieś wężyki, podłączone dalej do nieznanej Julii aparatury.

- Cześć! - powiedziała, pochylając się nad łóżkiem. - Możesz mówić?

- Dobrze, że przyszłaś... - Próbował uśmiechnąć się do niej, ale tylko wykrzywił lekko usta. - Nie chciałem cię zabić... chciałem wziąć jako zakładniczkę - wyszeptał. - Przecież... nie strzelałem.

Pokiwała głową, że rozumie.

- Wiem, że to nie ty wymyśliłeś, wszystko wiem - mówiła, gładząc wychudłą rękę.

- Wyd... Wydroń... mój przyjaciel... Ten pierścionek, to ja jemu... Orzechowicz, to... to... szef jest...

Z najwyższym trudem zapanowała nad mimiką, żeby nie zdradzić zaskoczenia, nie przerazić chorego. Ale nie miała już siły pokiwać głową, czuła, że łzy same nabiegają do oczu.

- Konrad? - wyszeptała. - O czym jeszcze powinnam wiedzieć?

- Śledziliśmy jednego faceta na Południu... znałaś go... bywałaś... W tym dniu, kiedy go załatwili, też byłaś... dużo ludzi tam wtedy było...

- Miałaś tego faceta zabić?

- Śledzić. Zabił... ten... Siostrę... sios...

Wybiegła po pomoc. Wokół Serafina zrobiło się błękitno od pielęgniarskich uniformów. Potem pozwolili jej usiąść przy chorym. Zmarł po godzinie, z dłonią w jej dłoni. Był pierwszym człowiekiem, któremu towarzyszyła w przejściu na drugi brzeg. Wyszła ze szpitala zapłakana i chora od smutku. Najgorsze, że nie miała dokąd iść. Nagle zawróciła, biegiem wpadła na oddział. Nie знаła imienia pielęgniarki, wiedziała tylko, że młoda, z ciemnymi włosami. Znalazła ją przed gabinetem lekarskim.

- Siostro, czy tego chłopaka, tego Serafina, ktoś odwiedzał?

- Kobiety?

- Nie! Pytam o mężczyzn.

Zamyśliła się, spojrzała niepewnie na zapłakaną Julię.

- Ze dwa razy widziałam rudawego faceta, a wczoraj szczupłego blondyna.

- Włosy miał takie jak... żółty mop?

- No, może... Chyba tak.

Wyszła jak najprędzej na świeże powietrze, żeby zdążyć przed własną słabością. Wiatr chłodził gorące od łez policzki i po chwili intensywnego marszu mogła wreszcie skupić uwagę. Serafin mówił mało i z trudem, lecz skutecznie zamącił jej w głowie. Wydronia nazwał przyjacielem, o Orzechowiczu wspomniał dość niejasno. Nie była pewna, czy nazwał Konrada szefem, czy próbował jeszcze coś dodać. Męczyła ją wizyta Leszka w szpitalu. Co do rudzielca nie miała wątpliwości. W dniu porwania kręcił się koło bunkra, więc musiał być kumplem Serafina. Ale Leszek? Nagle zobaczyła Leszka i Serafina pod blokiem na Kujawskiej.

Pierwszy wsparty na dwu kulach, drugi z lornetką i karabinem w garści. Serafin powiedział wyraźnie: śledziliśmy, czyli nie był sam. Obraz był tak plastyczny, że z wrażenia aż poklepała się po policzku, żeby wrócić do rzeczywistości. Skręciła w Budowlanych i jeszcze raz tego dnia zatelefonowała do Karoliny.

- Julka, nie świruj - poradziła dobrotliwie Karolina. - Leszek tego dnia był w szpitalu. A jeżeli chodzi o Konrada, to wiesz co? Jemu zwyczajnie nie chciałoby się bawić w szefa gangu. Dzwoni do Edyty, bierz dwa dni urlopu i przyjeżdżaj. Pojutrze wrócisz ze mną.

Pomysł był znakomity, lecz trudny do wykonania. Cały majątek Julii wynosił raptem pięć złotych, a to nie wystarczało na bilet. Zdecydowała się wrócić do Konrada.

To dziwne, jak szybko dom przesiąka drugą osobą. Konrad od lat wracał do pustego mieszkania. Ledwie jednak zamieszkał z Julią i przyszło mu wrócić samemu, odczuł to jak kataklizm. Gdyby jeszcze wyszła do fryzjera, na zakupy, nawet na plotki z koleżanką, uznałby, że wszystko jest w porządku. Jednak rozstanie przed Budampolexem nie było w porządku.

Próbował zająć się obiadem. Pokrywki leciały mu z rąk i właściwie wcale nie czuł głodu. Usiadł przy kuchennym stole i czekał. W spadku po Julii zostały mu tylko telefony pani Blendowej. Uparła się, dzwoniła co piętnaście minut, bo nie wierzyła, że Julii nie ma, i próbowała go zmęczyć. Konrad był u kresu wytrzymałości. Pokochać Julię to nie sztuka, pomyślał, ale co z mamuszką? I całkiem niechętny doszedł do wniosku, że związek z kobietą samodzielną ma mnóstwo dobrych stron. Nikt się nie wtrąca, nie radzi, nie wychowuje i nie stawia żądań. Zatęsknił za Karoliną. Kiedy ponownie zadzwonił telefon, wyciągnął przewód z gniazdka, ale cisza też go drażniła.

Julia przyszła w porze wieczornych wiadomości. Była blada i zapłakana.

- Co się stało? - spytał przerażony.

- Serafin nie żyje - odpowiedziała cicho.

- Ten porywacz?

Kiwnęła głową, a on poczuł wzrastającą wściekłość. Nie zwykłą złość, nie rozdrażnienie, tylko właśnie wściekłość. Kim był do licha Serafin, żeby tak rzewnie go oplakiwać? Żeby uciekać z domu na całe popołudnie bez słowa wyjaśnienia? Chciał ją o to spytać, lecz bał się, że nie opanuje nerwów i wybuchnie. Wyszedł do kuchni i zamknął drzwi. Nie zdążył zauważyć wystraszonych oczu Julii.

Przez cały wieczór nie zamienili ani słowa. Siedzieli oddzielnie, pograżeni we własnych, złych myślach. Julia przemówiła dopiero rano.

- Co złego zrobiłam, że patrzysz na mnie wilkiem? Czemu nic nie mówisz?

- Nie chcę tobie przerywać.

- To wszystko?

- Z mojej strony tak, z twojej nie wiem - powiedział i zrobiło mu się głupio. W końcu ona pierwsza wyciągała rękę do zgody i nie wypadało odtrącać tej drobnej łapiny. Przemógł się i objął dziewczynę. - Darujmy sobie dzisiaj obiad w domu. Pójdziemy do Zajazdu i spokojnie pogadamy. Dobrze?

Przytuliła się do niego gwałtownie, żeby nie zobaczył łez.

Był czas, że Julia całkowicie uległa czarowi Edyty. Potem to się zmieniło i wielkie zauroczenie przerodziło się nie tyle we wrogość, to za duże słowo, ile w zwykłą niechęć. Kiedy zostały we dwie, wróciła dawna sympatia.

- Pani Edyto, co się stało? - spytała, kiedy rano jak zwykle weszła do gabinetu i zastała szefową bladą i wyraźnie zmęczoną.

- O to samo mogłabym ciebie spytać - odpowiedziała Edyta i nagle obie zaczęły się śmiać. Julia dobrze wiedziała, że po wczorajszym dniu i nieprzespanej nocy nie wygląda świeżutko i ślicznie.

- Wie pani, jak to jest, kłopoty zawsze łązą parami!

- Żeby tylko łąziły! Spadają na nas jak grad, jak odłamki kamieni. Znasz prawo Priestleya? Na pewno słyszałaś: gdy tylko ktoś urządzi coś dobrze, to na pewno to się wkrótce skończy z tej lub owej przyczyny. Uporałam się z tym całym bagnem, powoli wychodzę na prostą i nagle pojawiają się ludzie, którzy próbują mi wmówić, że Budampo-lex wcale do mnie nie należy.

- A do kogo? Do Mikuli?

- Pół biedy, gdyby do Mikuli. On przynajmniej dał część pieniędzy. Wyobraź sobie, że wielkiego apetytu na firmę nabrał Wydroń. Podobno jest właścicielem ziemi, na której Budimex stoi.

- Leszek?! - wykrzyknęła Julia. - On to pani powiedział?

- Henia Luty widziała dokument.

Patrzyły na siebie ze zgrozą w oczach. Julia od dawna miała wyrobione zdanie na temat wieści rozpowszechnianych przez Henię, tym

razem jednak dała się ponieść emocjom. Próbowwała rozumować logicznie: Henia widziała, czyli dokument istnieje, czyli Leszek kręci, czyli... siedzi w bagnie po uszy, jest gorszy od Bujaly i to on ją porwał. Wnioski nawet jej wydały się zbyt śmiałe, innych jednak chwilowo nie potrafiła wyciągnąć. Wybiegła z gabinetu i po chwili wróciła z dwiema mocnymi kawami. Bez zaproszenia usiadła w fotelu. Wszystko, co dotyczyło Leszka Wydronia, bardzo ją interesowało. Zastanawiała się właśnie, jak zachęcić szefową do mówienia, kiedy nieoczekiwanie Edyta rozgadała się sama. Nawet najbardziej skryci ludzie od czasu do czasu potrzebują kogoś, kto ich wysłucha. Monolog nie był może idealnie szczery, bo wiadomo, że te same wydarzenia oglądane z różnych punktów wyglądają całkiem inaczej, ale i tak Julia dostała spory zastrzyk informacji. Edyta formalnie była właścicielką, nieformalnie zaś współniczką. Można powiedzieć, że firma została kupiona ze składowych pieniędzy: część dał Mikula, część ona z własnych oszczędności. Pewne plany wiązał też z Budampolexem Bujalą, ale jego roszczenia okazały się bezpodstawne, dotyczyły rozliczeń z byłym dyrektorem, nie z firmą. I teraz, kiedy wreszcie prawa własności zostały uregulowane, Mikula wierzga i nie chce dyrektorować, Wydroń natomiast chce stawiać warunki.

- Co panią bardziej martwi: wierzganie Mikuli czy roszczenia Wydronia? - spytała Julia.

- Mikula nie jest mi do niczego potrzebny. Dogadaliśmy się; chce tylko zachować swoje udziały i nie zamierza mi bruździć. Jak widzisz, radzę sobie bez niego i to o wiele lepiej - powiedziała odrobinę za szybko i odrobinę za pewnie, jakby chciała za wszelką cenę przekonać Julię, że Mikula nic dla niej nie znaczy. Było chyba trochę inaczej. To wierzganie godziło w nią jako w kobietę i wyraźnie bolało. Przynajmniej takie

wrażenie odniosła Julia. Edyta nie bała się Mikuli, Wydronia natomiast zaczynała się bać.

Leszek nigdy nie mówił, że jest właścicielem jakiegokolwiek działki. To musiała być sprawa nowa lub nawet bardzo nowa. Błysk, moment i Julia zobaczyła gabinet Leszka, siebie i Karolinę. Na biurku leżała zielona teczka, a oni zakładali spisek aprilistów. To ona wspomniała o gruntach, zacytowała im bodaj własną matkę. Leszek wyskoczył jak z procy i zaczął biegać po pokoju. Czyżbym go natchnęła? - pomyślała zgnębiona.

Doradzić nic Edycie nie mogła, wysłuchała więc tylko, pocieszyła i w duchu darowała wszystkie wcześniejsze krzywdy. Powoli zaczynała rozumieć, dlaczego szefowa nie chciała jej wypuścić spod skrzydeł. W dziale, który na początku wydawał się Julii oazą życzliwości, nikt nikomu nie dowierzał. Pozbierała filiżanki i ruszyła do wyjścia.

- Julio, czy ty wierzysz w duchy? - spytała nagle Edyta.

Taca niebezpiecznie zachybotwała w rękach dziewczyny. Zrozumiała pytanie, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła zaskoczona i czeka-, ła na ciąg dalszy. Edyta uśmiechnęła się z przymusem.

- Po nocach budzą mnie telefony Chochli - podjęła po chwili cicho. - Albo to początek demencji starczej, albo duchy są wśród nas.

- Nie wierzę w duchy! - powiedziała twardo Julia i wyszła.

Koło południa zadzwoniła Karolina ze swojego wrocławskiego mieszkania. Przyjechała specjalnie wcześniej, żeby spokojnie pogadać z przyjaciółką. Umówiły się zaraz po pracy i Julia, ledwie odłożyła słuchawkę, czuła, że tego numeru ukochany mężczyzna już jej nie daruje.

Mogła mu powiedzieć tylko prawdę, że z dwu ważnych rozmów wybrała tę z Karoliną.

- Rozumiem - powiedział. - To jest twój wybór.

- Niczego nie rozumiesz - zaprotestowała. - Nie rozumiesz, a przesądzasz. Ja nie chcę być na siłę do nikogo przywiązywana, muszę mieć choć odrobinę swobody.

- Czy ja cię przywiązuję, Julio? Jesteś wolna, w każdej chwili możesz odejść.

- Prosiłam kiedyś, żebyś nigdy więcej mnie nie wyrzucił - powiedziała powoli. Chciała jeszcze coś dodać, ale przygryzła usta i zamilkła.

Po pracy nie czekała na niego. Miała jeszcze pięć złotych w kieszeni, kupiła bilet autobusowy i pojechała, by wpaść w stęsknione ramiona przyjaciółki.

- I jak? Love kwitnie?

- Chyba właśnie przekwitła. - Julia westchnęła. - Nie planuj żadnej randki nocnej, śpisz dziś ze mną. I, niestety, chyba już tu zostanę, bo nie mam gdzie iść.

Prywatne kłopoty, choć poważne, z konieczności zeszły na drugi plan. Nie widziały się dość dawno, tematów do obgadania zebrało się tyle, że i noc wydawała się za krótka. Przede wszystkim Leszek Wy-droń. Argumenty Julii były rzeczowe i w końcu przekonały nawet Karolinę. Trzęsła się ze złości, nie umiała mówić normalnie.



- To cholerny patyczak, mafioso od siedmiu boleści - irytowała się coraz bardziej. -1 ja temu spuszczałowi, tej ścierwicy, zajadkowi przebrzydłemu osobiście wręczyłam archiwum Marcinka. W życiu sobie tego nie daruję. Czy u niego w kuchni jest chociaż kuchnia?

- Gazowa, jak wszędzie - mruknęła Julia.

- Obiecywał spalić w kuchni węglowej! Gówno prawda! Ty wiesz, do czego taki widłogonek może wykorzystać archiwum Marcinka?

- Do tego samego co Marcinek, tylko mądrzej - zgodziła się Julia.

- I o to mądrzej chodzi. Rekinom daruje, poleci po babkach. On mnie kopnął w ambicję i w kobiecą solidarność. Idę tam!

Karolina gotowa była wykradać po raz drugi dokumenty raz już wykradzione. Czuła się oszukana, wystawiona do wiatru przez najlepszego przyjaciela i łaknęła zemsty. Nie żeby zaraz dusić i zatrząskiwać w tapczanie, ale żeby pozbawić jadu, wyrwać żądło. Zaczęły sobie przypominać czasy wspólnej pracy. Magister Wydroń zawsze miał mnóstwo telefonów, zawsze był zabiegany i załatwiał tysiące różnych spraw. Budampolex nie wymagał aż tak wielkiego wysiłku. Po prostu facet pracował na swoje konto. Lub cudze.

- Dla Bujały? - zastanawiała się Karolina. - Ten podrzut myszaty też jest dobry. Oficjalnie ubezpieczenia, nieoficjalnie prawie bank lub raczej lichwa. Pożyczki, szybki obrót gotówką, ale przede wszystkim trudno ściągalne wierzytelności. W jego języku nazywa się to mobilizowaniem dłużnika do uregulowania zobowiązań. Metody poznałaś na własnej skórze. Nie wykluczam, że Leszek pracował dla niego, a teraz zamierza się usamodzielnąć. Stąd te dziwne ruchy. Przy okazji podpytam Bujałę, lecz teraz trzeba mi Wydronia rozbroić, bo zwariuję.

- Myślisz, że to nie Leszek mnie porwał. - Julia patrzyła z niedowierzaniem na przyjaciółkę.

- Chciałabyś, co? On może by cię i porwał, ale w innym celu. Kilka dni temu podsłuchałam, jak Bujala gruchał przez komórkę z Konradem. Powiedział mniej więcej tak: „Czy ty się, kurwa, nigdy nie pomyliłeś? Gdybym skojarzył nazwisko tej... bum, bum, zadziałałbym inaczej. Nie przeprosiłem cię od ręki? Przeprosiłem, kurwa, więc się nie czepiaj jak pijany płotu”. Mówię ci, on jest naprawdę milutki jak słody-szek rzepakowy. A Leszek? Sama nie wiem. Nie po to odwiedzał Serafina w szpitalu, by pytać o zdrowie, lecz by coś tam wymusić. Już ja się wszystkiego dowiem, już on mnie nie wpuści w kanał po raz drugi.

Karolina rozmawiała z Julią, ale już stała przed lustrem w nowej szarej spódnicy i próbowała dobrać do niej bluzkę. Julia podeszła i wyjęła z rąk przyjaciółki eleganckie ciuszki.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedziała spokojnie. - To jest mój ruch. Przy okazji rozejrzę się i dopiero wtedy zdecydujemy, co dalej. Leszek to nie prymityw Chochla. Na niego pochlebstwa nie działają, a kąpie się sam.

- Myślisz, że ja sobie radzę wyłącznie z facetami w typie Chochli?  
-zaperzyła się Karolina.

Julii nie było specjalnie wesoło, lecz mina przyjaciółki serdecznie ją rozbawiła.

- W życiu! - wykrzyknęła ze śmiechem. - Ja chcę tylko, żeby patyczak na własnej skórze przekonał się, co miał na myśli poeta, kiedy mówił: „Słowicze trele w dziewczyny głosie, a w sercu lisie zamiary”.

- Poeta mówił o facetach! - sprostowała Karolina.

- Rewolucja Październikowa ujęła się za kobietami i wyrównała szansę - zapewniła Julia, przyczesując włosy. - A może nie Październikowa tylko inna? Zresztą, kogo to teraz obchodzi?!

Zawróciła od drzwi z lekkim ociąganiem.

- Możesz mi pożyczyć parę groszy? Nie nauczyłam się jeszcze podróżować na gapę.

- Fiu, fiu! Juleczko, nie spodziewałam się, że dożyję takich czasów! Ja tobie parę groszy? Bierz całą stówę. Zawsze miałam gest, tylko nigdy nie miałam forsy!

Świat Konrada runął. Siedział przy stole z opuszczoną głową i nie miał z kim walczyć. Jeszcze dwa, trzy dni wcześniej gotów był przysięgać, że Julia jest największym dobrem, jakie w ciągu trzydziestu kilku lat dostał od życia. Kapryśne dobro odeszło, a on nigdzie w zasięgu ręki nie widział rywala. Nie bruździł mu żaden mężczyzna, nie miał komu dać w zęby. Sięgnął ręką do kuchennej szafki i wyjął cho-pina. Kiedyś, dawno temu, miała być jakaś kolacja, coś przeszkodziło i butelka została. Odkorkował, powąchał i odstawił. Smutek leczony wódką jest znacznie trudniejszy do wywabienia niż ten nieleczony. Ale wytrzymać z takim smutkiem jest potwornie trudno. Pytania, przypuszczenia, wspomnienia cudownych chwil, to wszystko kłębi się w człowieku, dusi za gardło i nie wiadomo, co ze sobą zrobić. Zapragnął usłyszeć czyjś głos, obojętnie czyj, byle nie mamy Blendowej. Słuchawka milczała głucho. Sporo czasu upłynęło, zanim przypomniał sobie, że to jego robota z poprzedniego dnia. Podłączył telefon i całkiem bezwiednie wybrał numer Karoliny. Co u ciebie? Jak żyjesz? Pytania w zasadzie retoryczne.

- W moim karneciku tłok - powiedziała - ale wybór do kitu. Tylko nie zrozum, że jest to zaproszenie do tanga. A co u ciebie?

- Daj mi na chwilę Julię - poprosił cicho.

- Julia wyszła, za to ja mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia. Usiądź wygodnie w fotelu i zrób listę spraw czy wydarzeń, o których nigdy nie powiesz swojej dziewczynie. Jeżeli postarasz się o szczerłość, sam zobaczysz, jaki to będzie długi rejestr. I nie kop się z koniem, bo nie warto. Pozwól małej rozliczyć się z przeszłością, zanim zaczniesz cenzurować jej myśli, słowa i uczynki. Mówię tak, bo naprawdę dobrze wam życzę.

Pocieszyła mnie czy zdołowała? - zastanawiał się, odkładając słuchawkę. Nie chciał być niczym cenzorem, chciał mieć obok siebie swoją dawną Julię, tę czułą i uległą, chciał czuwać nad nią, chronić przed złem. Był od niej starszy, bardziej doświadczony, więc co w tym dziwnego, że interesowało go wszystko, co jej dotyczyło? Gdzie tu miejsce na cenzurę? Ale tamtej Julii już nie było. Nawet do telefonu nie chciała podejść. Nie, nie można wciąż tylko przebaczać, bo gotowa pomyśleć, że na niej świat się kończy. Zaprażył jeszcze raz usłyszeć głos Karoliny. Nie ten oficjalny, lecz tamten zapamiętany z przeszłości, drżący namiętnością. Wybrał numer, ale odwiesił słuchawkę, nim ona zdążyła swoją podnieść.

Leszek zachowywał się trochę tak, jak kiedyś Wanda Pasieczko. Nie wiedział, gdzie posadzić Julię, gdzie jej będzie najwygodniej. Wybrała fotel, lecz on zaproponował stylową, piękną kanapę. Sam usiadł obok, zachowując dystans na wyciągnięcie ręki, by dziewczyna nie czuła się skrępowana.

- Co ci podać? Koniak, whisky z lodem, dżin z tonikiem? Wybieraj, biedronko! Gotów jestem rzucić ci do stóp cały barek.

- Aż tak lubisz pijane kobiety? - zdziwiła się Julia.

- Zero trafienia! Prawdziwy dżentelmen lubi sączyć dobry alkohol w towarzystwie pięknej kobiety.

- A ja w towarzystwie dżentelmenów wolę sączyć herbatę - powiedziała.

Nie wypadało mu zrobić nic innego, jak tylko przynieść dwie herbaty - na to właśnie Julia liczyła. Wciąż siedział w pewnym oddaleniu. Wyciągniętą rękę położył na oparciu i gdyby chciała wygodnie usiąść, musiałaby dotknąć głową jego dłoni. Przycupnęła więc na brzegu.

- Naprawdę stęskniłaś się za mną?

- Nie wpadaj w megalomanię. Mam teraz tyle pracy, że na uczucia nie wystarcza mi czasu. Cały sekretariat na mojej głowie, Edyta ma kłopoty, wciąż ktoś nas szarpie, jednym słowem młyn.

- Nie jesteś chyba stworzona do siedzenia w młynie?

- Nie. Do mieszkania kątem u Karoliny też nie. Właśnie dzisiaj przyjechała na dwa dni i gniecemy się razem. Dlatego, Leszku, wyjeżdżam. Dostałam z Warszawy odpowiedź. Praca w zawodzie, warunki niezłe, koleżanka wynajęła mi pokój, właściwie wszystko już załatwione. Przyszłam, żeby się z tobą pożegnać.

Leszek gwałtownie posmutniał. Coś ważył, nad czymś się zastanawiał i w milczeniu popijał herbatę. Żeby go ostatecznie przekonać o słuszności swojej decyzji, opowiedziała historię porwania. Od tamtej chwili bała się miasta, ludzi, rodzicielskich długów. Mówiła spokojnie, cicho, bez zbędnej emfazy.

- Najgorsze jest to, że z porwania dla okupu nawet policja usiłuje zrobić farsę. Nie dziwię się, prościej jest zwalić winę na nieboszczyka i zamknąć sprawę niż zawracać sobie głowę prawdziwymi sprawcami. Serafin, umierając, powiedział mi, że pracował dla Orzechowicza. Myślisz, że to możliwe, że Konrad kieruje jakąś mafią?

- Orzechowicz?

Leszek wspaniale zagrał zdumienie. Przyjemniaczek z ciebie, Lesiu, zachwyła się w duchu. Masz talent, chłopie! A utalentowany chłop tłumaczył jej z błyskiem w oku, że nigdy nie uwierzy, by komputerowy jednokomórkowiec, świetny, prawda, ale tylko w swoim fachu, mógł kierować jakąkolwiek mafią. Mówił długo i wyczerpująco. Broniąc tak pięknie Konrada, sam sobie wystawiał świadectwo człowieka wiarygodnego, co Julia z zadowoleniem odnotowała. Wszystko do tej pory szło po jej myśli.

- Twój Orzechowicz, Julio...

- Skąd wiesz, że mój?

- Twój Orzechowicz - zignorował jej pytanie - od początku pracuje dla Bujaly. Przyszedł do Budampolexu z określonym zadaniem. Miał zdobyć wiadomości o zadłużeniu firmy, wewnętrznych układach, organizacji i tak dalej. Jako informatyk miał dostęp do wszystkich dokumentów.

- W Budampoleksie? - zdziwiła się całkiem szczerze Julia. - Teraz to już przesadziłeś jak chłop sosnę. Przecież Budampolex dopiero ma mieć system komputerowy.

Roześmiał się, jak z dobrego żartu, i całkiem niechcący przysunął się o kilka centymetrów.

- Kiedyś nie było systemów komputerowych, a firmy jakoś funkcjonowały. Są różne sposoby gromadzenia informacji, Julio. Bujała wiedział, co robi, wybierając Orzechowicza.

- Popatrz, jak pozory mylą! Nie dałabym złotówki za intelekt Bujały, a ty mówisz, że on taki przezorny i cwany?!

Leszek znowu poprawił się na kanapie i jeszcze bardziej zmniejszył dystans dzielący go od Julii. Siedział już całkiem blisko.

- Popatrz, jak pozory mylą! Wyglądasz na taką bystrą dziewczynę, ale nie zauważyłaś, że Orzechowicz najpierw flirtował z Karoliną, potem przerzucił się na ciebie? Wykorzystał swój męski czar, wy zaś w dziobkach donosiłyście mu informacje. Nigdy o tym nie pomyślałaś, prawda?

Nie pomyślała. Wierzyła Konradowi bez zastrzeżeń, tym bardziej że nigdy o nic jej nie wypytywał. Czemu więc, słuchając Leszka, posmutniała nagle?

- Biedna, malutka biedroneczka - powiedział i objął ją po przyjacielsku.

Jego usta błędziły gdzieś w okolicach jej ucha, czuła, że robi się dziwnie bezwolna. Nie chciała szarpać się z nim ani krzyczeć, chciała rozegrać tę partię elegancko, jak dama. Coraz natarczywsze pocałunki sprawiły, że zakręciło jej się w głowie. Leszek delikatnie ujął rękę dziewczyny i próbował skierować w te rejony własnego ciała, o których wolała nie pamiętać. To ją otrzeźwiło. Zdecydowanym ruchem gwałtownie

wyswobodziła się z jego objęć, odsunęła na tyle, na ile pozwalał rzeźbiony bok kanapy. Poprawiła bluzkę i sięgnęła po torebkę.

- Nie wychodź, porozmawiajmy - poprosił. - Boisz się, żebym nie okazał się lepszy od niego? Wolisz nie próbować?

- Chwalisz się, nie przymierzając, jak Chochła albo Bujala.

- Nie obrażaj mnie, Julio!

- Nie obrażam! Próbuję ci tylko powiedzieć, że nie jesteś oryginalny. Odłożyła torebkę na fotel, na znak, że zamierza pozostać jeszcze chwilę i podyskutować. Leszek niespodziewanie się uśmiechnął.

- Wiesz, co mi się w tobie najbardziej podoba? Wyglądasz jak uosobienie niewinności, choć w gruncie rzeczy jesteś kuta na cztery łapki. Taki mały, cudny ścichapek.

- Ścichapek to taki odpowiednik pasikonika czy raczej świerszcza?

Roześmiał się cicho. Co jak co, ale poczucie humoru miał rozwinięte, kto wie, czy nie bardziej niż zmysł intrygi. Tak właśnie pomyślała Julia, patrząc w szczere, błękitne oczy Leszka.

- Nie wyjeżdżaj, dziewczyno! Bez ciebie życie straci cały sens - powiedział.

Oględnie, po przyjacielsku, próbował wyperswadować jej ten pomysł i robił to o niebo lepiej niż pani Blendowa. Tłumaczył, że dobra praca, zgodna z kwalifikacjami, jest w zasięgu jej ręki.

- U twojego kuzynka?



- Oj, biedronko, biedronko! Mało wiesz, bo rośniesz. Mówię teraz całkiem serio o moim Budampoleksie.

- Twoim? Ilu właścicieli może mieć jedna nędzna firma? Uważaj, bo jak się pozagryzacie tam na czubku, to władzę przejmie Henia.

- Wyraziłem się nieprecyzyjnie. Mój jest tylko plac, na którym firma stoi. Wymawiam dzierżawę obecnym właścicielom i zakładam własny interes. Proponuję ci stanowisko głównego informatyka i wielkie pieniądze. Mieszkać możesz u mnie, choćby od zaraz.

- Jako wieczna narzeczona, prawda? Pierścionek już mi dałeś.

- Daj spokój, Julio! Gdybyś zajrzała do koperty zaraz po wyjściu ode mnie, wszystko potoczyłoby się inaczej. Żart nie był w najlepszym stylu, przyznaję, ale chciałem cię jakoś ostrzec. Ten dureń Chochla narobił sporo bigosu i wystraszył telefonami pół miasta. Wyprzedziłyście co najmniej tuzin facetów, którzy chcieli z nim pogadać albo go uciszyć. Bujala też posłał tam swoich goryli. Serafin znalazł pierścionek i przyniósł do mnie. Oto cała historia.

- Chcesz powiedzieć, że Serafin pomylił pracodawców?

- Nikogo nie pomylił. Do nauki ten facet głowy nie miał, lecz wdzięczność potrafił okazywać. Tak się złożyło, że całkiem niechęć pomogłem mu wystartować w ciemnej strefie. Tu, w tym mieszkaniu, poznał Grześka Bujalę. Mam ci tłumaczyć dalej? Mnie traktował jak dobrego kumpla, co w jego wydaniu nie było groźne, w tobie się podkochiwał, co też nie było groźne. Geniuszem trudno go nazwać, jednak czasem myślał. Nie chciał, żebyś miała kłopoty przez ten pierścionek, więc odrobinę sprzeniewierzył się bossowi.

Julia patrzyła i słuchała uważnie. Słowa Leszka nie rozwiewały jej wątpliwości. Co to znaczyło, że Serafin nie chciał jej narażać na kłopoty? Kilka dni później uczestniczył w porwaniu i już nie miał żadnych oporów? Kręcisz, Lesiu, myślała, kręcisz jak nic.

- Wierzysz mi, biedronko? - Zaglądał jej w oczy, jednak nie ruszał się, żeby znowu dziewczyny nie spłoszyć.

- Wierzę ci, oczywiście.

- To powiedz mi, po jakie licho polazłyście do Chochli tamtego wieczoru?

- Nie do Chochli, tylko do jego sąsiadki, do takiej poetki, Wandy Pasieczko. Znasz może? Jak nie, to nie gadaj. Archiwum Chochli trafiło w nasze ręce przez żywy cud - powiedziała obojętnie Julia. - Spaliłeś ten cały szajs, tak jak obiecałeś?

- Mam ci dać na dowód urnę z popiołem?

- Poproszę. I moją torbę też poproszę.

- Za moment. Nie powiedziałaś jeszcze, co sądzisz o propozycji pracy.

- Nic, Leszku. Po prostu nie wierzę, że taki dokument istnieje.

- Dobrze. Mów, co dostanę, jak ci go pokażę?

- Hm! - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Najpierw pokaż, potem będziemy pertraktować.

Spojrzał na nią przeciągle i wyszedł do gabinetu. W wielkim lustrze w przedpokoju dostrzegła, że zdjął ze ściany środkowy obraz.

- Leszku, czy mogę skorzystać z łazienki? - krzyknęła.

- Jasne, wcale nie pytaj!

Sięgnęła po torebkę. Z wieszaka po cichutku zdjęła marynarkę i bezszelestnie otworzyła drzwi wejściowe. Zobaczyła, co chciała zobaczyć. Zostać nie chciała, więc uciekła. Do placu Wolności biegła jak szalona, przeklinając swoją słabą kondycję. Wskoczyła do taksówki i kazała się wieźć na Budowlanych. Tak się wyspecjalizuję w uciekaniu facetom spod ręki, pomyślała, że do księgi Guinnessa trafię.

Pierwsza część planu została zrealizowana idealnie. Drugi krok należał do Karoliny. Julia pucowała się w łazience, kiedy zadzwonił Leszek.

- Nie ma Julii - tłumaczyła Karolina. - Nie wiem, kiedy wróci, ale wróci na pewno, bo teraz tu mieszka.

Pogadali po przyjacielsku i Wydroń przyjął zaproszenie na następne popołudnie. Upewnił się tylko, czy dzisiejsza uciekiniarka będzie.

- A gdzie ja będę, jak mnie nie będzie? - zapytała Julia, wychodząc roześmiana z łazienki, w ręczniku na głowie, rozgrzana kąpielą i wyjątkowo ponętna.

- Wcale się nie dziwię tym facetom, że wydzwanają tu do ciebie, aż żal mi serce ścisnąć - powiedziała Karolina.

- Nie gadaj! Obydwu odziedziczyłam po tobie. Teraz jeszcze mieszkanie doszło i można powiedzieć, że jestem twoim cieniem.

- To weź jeszcze Mikulę. Zamożny, chwilowo samotny i wewnętrznie rozdarty. Biedny taki, malutki, kłopotu nie sprawi.

- Nie chcę. Bujały też nie chcę.

- O, Bujała nigdy nie był mój. Zresztą, prawdę mówiąc, Leszek też nie. Mam na myśli sens zaimka „mój”.

Konrad powoli oswajał się z myślą, że znowu jest sam. Miał za sobą niejedno rozstanie z kobietą, nigdy jednak nie odczuwał aż takiego żalu. „Dziewczyny są po to, żeby je zmieniać”, mawiał jeden ze starych przyjaciół. Cytowali sobie tę maksymę w miarę potrzeb i nie cierpieli przesadnie, gdy kolejne panny znikwały z horyzontu. Konrad uważał się za człowieka stałego, natomiast niestałość przypisywał wyłącznie kobietom. Babki same zmieniały się u jego boku, chociaż prawdę mówiąc, nie było ich aż tak znów wiele. Nie zatrzymywał żadnej, bo wciąż szukał tej najwłaściwszej. Przez parę chwil miał wrażenie, że to będzie Karolina. Szalony romans skończył się jednak szybciej, niż zaczął, i wtedy pojawiła się Julia. Julię chciał zatrzymać, gotów był nawet o nią walczyć, tylko nie miał z kim. Odrzuciła miłość, uciekła, przedkładając własne sprawy nad ich wspólne. W niej siedział diabełek, który uniemożliwiał porozumienie. Konrad całkiem serio podejrzewał, że to Karolina maści Julii w głowie. Przez całe popołudnie bił się z myślami, wzdychał, narzekał na baby i nie umiał znaleźć sobie sensownego zajęcia. Mam pecha, myślał, od dzieciaka miałem pecha. Przypomniawszy sobie pierwszy i jedyny pobyt w sanatorium, gdzie po wypadku zawieźli go Orscy. Był wtedy jak mały dzikus: czarny, krnąbrny i źle wychowany. Dziewczynami gardził i uważał, że są całkiem niepotrzebne na tym świecie. Zmienił zdanie, kiedy poznał Joasię. Samo imię było piękne i pachniało fiołkami albo perfumierią z ulicy 3 Maja. Joasia nie przypominała jego sióstr i dziewczyn z okolicznych podwórek. Włosy prawie białe, oczy błękitne i głos jak dzwoneczek. Wydawała się najpiękniejsza wśród dziewczynek. Nie wiadomo czemu polubiła Konrada i obiecała, że nauczy go grać w szachy. Konrad nigdy w życiu do żadnej

nauki tak się nie rwał jak do tych szachów. Był śmiertelnie zakochany i pewnie dlatego. Mieli zacząć uczyć się w sobotę, a w piątek po Joasię przyjechali rodzice. Zabierali ją w połowie turnusu i Konrad wpadł w czarną rozpacz. „Napiszesz do mnie? Tu jest mój adres. Napisz, Raduś, dobrze?” - prosiła i wtykała mu do ręki karteczkę. Miał powiedzieć, że w ogóle nie umie pisać? Że nie wie, jak wygląda list i jak się go wysyła? Zacisnął oczy, żeby nie płakać, i kiwnął głową. Ledwie Joasia wyszła z pokoju, zjadł kartkę z adresem. Zjadł z rozpacz i żalu za uciekającym szczęściem. Raz w życiu dostał coś najpiękniejszego i odebrano mu to, zanim zdążył się ucieszyć. Długo wspominał Joasię. Nawet jako dorosły mężczyzna też czasem o niej myślał. Nie zmieniała się wcale. Miała białe włosy i błękitne oczy, może tylko była ciut wyższa. Pomyślał, że historia się powtarza. I zaraz potem, że może warto porozmawiać z Julią, jednak, zniechęcony, machnął ręką.

Rano poszedł na rozmowę z szefową. W sekretariacie było kilka osób, więc nic nie mówiąc, wskazał ręką na drzwi gabinetu. Julia skinęła głową, co znaczyło, że szefowa jest wolna. Wszedł. Zamknął drzwi. Żał mu się zrobiło smutnych oczu i wesołych piegów, tak bardzo żał, że zdecydował się złożyć wymówienie.

Karolina wróciła z przesłuchania niezadowolona z siebie. Była pewna, że będą ją pytać o telefon komórkowy, który w pośpiechu zostawiła w mieszkaniu Chochli. Tymczasem albo telefon zwinął ktoś inny, albo policja nie ustaliła jeszcze właściciela, w każdym razie wszystkie pytania krążyły wokół wizyty u Wandy Pasieczko. Czy знаła wcześniej? Nie znała. Po co poszła? Bo się umówiła. Z kim? Karolina z zawodu była prawnikiem i z paru rzeczy zdawała sobie sprawę. Telefon, jeżeli nawet do tej pory nie wpadł w ręce policji, mógł wpaść w każdej chwili, a był dowodem obciążającym, podobnie jak rozmowa z Chochlą, zarejestrowana na

automatycznej sekretarce. Nagrania prawdopodobnie miał Leszek, kto jednak mógł przewidzieć, jaki z nich zrobi użytek? Zeznania magister Cierniak rzuciły całkiem nowe światło na śledztwo w sprawie zamordowania Marcina Chochli. Była pierwszym i bodaj jedynym świadkiem, który przyznał, że w tragicznym dniu odwiedził denata. Sprostowała oczywiście, że denat w chwili odwiedzin był jak najbardziej żywy. W jakim celu odwiedziła? Żeby pogadać, zobaczyć, jak mieszka i co robi facet, który dobrowolnie usunął się w cień. Byli umówieni telefonicznie. I co zobaczyła? Nic specjalnego. Bałagan. Jak się zachowywał denat? Nie przypuszczał, że za parę godzin będzie denatem, więc zachowywał się raczej normalnie. Pogadali chwilę i zaraz potem wstąpiła do Wandy Pasieczko, gdzie miała na nią czekać pani Julia Blenda. Przyjaciółki jeszcze nie było, więc posłuchała wierszy. „Jaśnieją dachy i ulice, lśnią w słońcu kamienice Maślanej, Tumskiej”... ble, ble, ble. Tego ble, ble już im nie dopowiedziała.

- Przykro mi, Juleczko! Bądź przygotowana, że i ciebie wezwą.

- Ależ jestem przygotowana - zapewniła Julia. - Pierwszego dnia niczego nie dotykałam, żeby się nie przylepić. Jedynie pierścionek miałam w ręku. Ten sam, który teraz leży na policji, dopięty do innej sprawy. Drugiego dnia operowałam w gumowych rękawiczkach. Przyznam się do spotkania z Chochlą w sklepie i do znajomości z Wandą. Weź na logikę: dlaczego mają posądzać nas o morderstwo, jeżeli wokół kręciło się tylu facetów? Mikula z jakimś typem, Serafin z goryłami Bujały, Orzechowicz i inni. Oprócz nich Edyta z Henią.

- Na logikę lepiej niczego nie brać, to raz, a dwa, kto o tych ludziach wie?

Julia wzruszyła ramionami. Nie lubiła martwić się na zapas. Kłopoty to mają do siebie, że czy się człowiek martwi czy nie, i tak spadają na łeb, kiedy same chcą. I wtedy trzeba myśleć, jak się z nich wykaraskać. A one właśnie, wspólnie z Karoliną, pakowały się w kolejne tarapaty, z których miały zamiar wyjść obronną ręką. Plan był dziecinnie prosty i wcale nie taki nowy. Zmieniły się tylko założenia. Teoretycznie Julia jechała do Warszawy, natomiast fizycznie miała sterczeć na klatce schodowej piętro wyżej i czekać, aż Karolina uwolni kieszeń Leszka od kluczy.

- A jeżeli on okaże się wierny i nie ulegnie twoim namowom? - spytała z niepokojem Julia.

Karolina wyglądała na zde gustowaną. Po pierwsze, żaden mężczyzna nie miał prawa oprzeć się jej wdziękowi, po drugie, nie można mierzyć wierności mężczyzny kobiecą miarką. Mężczyzna nie zdradza, on tylko ulega grze hormonów. Poprawi krawat, przyczesze włosy i dalej uważa się za wierne go. Dla Julii była to całkiem nowa lekcja.

Leszek przyszedł punktualnie o osiemnastej. Niecałe dwadzieścia minut później klucze leżały pod wycieraczką. Julia złapała taksówkę i dotarła na Świętego Antoniego w rekordowym tempie. Bez przeszkód sforsowała drzwi. Lęk ogarnął ją dopiero wówczas, gdy znalazła się sama w pustym mieszkaniu. Mniej bała się u Chochli, bo tam czuła wsparcie Karoliny, tu była zdana wyłącznie na siebie. Pierwsze rozczarowanie spotkało ją w gabinecie. Za środkowym obrazem była niewielka skrytka z maleńkim pokrętle m zamiast klamki. Stała zrezygnowana i patrzyła jak sroka w gnat. Nie znała szyfru, więc inaczej patrzeć nie mogła. Ugryźć nie ugryzę, pilnikiem do paznokci nie podważę, myślała zgnębiona. Nie odchodziła jednak. Zastanowiły ją małe rozmiary skrytki. Jakieś pieniądze,

jakieś najważniejsze dokumenty mogły się tam zmieścić, ale nie archiwum Chochli. Same koperty po wywaleniu pudełek od butów też by nie wlażyły.

- On to musi trzymać w innym miejscu - powiedziała i wystraszyła się własnego głosu.

Powiesiła obraz na miejsce i zaczęła się rozglądać. Na brzegu biurka, w foliowej koszulce, leżał dokument, a na nim małe etui. Spojrzała i jęknęła. To był akt darowizny gruntów przy ulicy... i tak dalej. Wyjął to wczoraj, żeby jej pokazać, i potem nie schował. Zanim zdążyła pomyśleć, dokument już siedział w torbie. Z czystej ciekawości zerknęła do pudełeczka i z wrażenia cichutko gwizdnęła. Gamoń z tego Leszka, żeby tak rozrzucać rodzinne klejnoty, pomyślała. Niewielki brylant cudownie zaiskrzył w promieniach zachodzącego słońca. Doceniła starą robotę i niepowtarzalną urodę pierścionka. Delikatnie zamknęła pudełeczko i odstawiła na biurko.

Wychodziła właśnie z gabinetu, kiedy zadzwonił telefon. Nie przypuszczała, że dźwięk zwykłego telefonu może być tak denerwujący. Serce jej waliło jeszcze długo potem.

Szafa w przedpokoju, pomyślała. Wielka szafa z suwanymi drzwiami. Odsunęła właśnie ostatnie drzwi, zobaczyła na podłodze swoją torbę i wyciągnęła po nią rękę, kiedy zazgrzytał klucz w drzwiach wejściowych. Niewiele myśląc, wsunęła się między garnitury Leszka. Przez szparkę obserwowała przedpokój. Jeśli to on, myślała ze strachem, to wybiła moja ostatnia godzina.

W szparce pojawiła się okrągła postać Heni Luty. Henia w domu Leszka?! Pomoc gospodarcza najwyraźniej czuła się jak u siebie. Ściągnęła



sweter i po chwili wahania położyła na krześle. Widać nie miała zamiaru dłużej zabawić, więc nie chowała okrycia do szafy. Julia prawie odetchnęła.

Henia kręciła się po mieszkaniu.

- Co tu sprzątać? - pytała samą siebie. - On nawet nabałaganić nie potrafi. E, dzisiaj sobie...

Zadzwoił telefon, więc przeszła do gabinetu.

- Pan Grzegorz? Okna przecierałam Lesiowi, tak na koniec, żeby na dłużej starczyło. Nie wiem. Jak wróci, to będzie. Napiszę mu na kartce. Mam pisać, że pan zadzwoni?... To po co pisać?!... No dobra. Co?... Niech pan tak nie mówi, mało pomogłam? Zrobiłam więcej, niż do mnie należało.

Rozmowa zaczynała być na tyle interesująca, że Julia powiększyła szparkę w drzwiach i z trudem się powstrzymała, by nie wystawić całej głowy. Bujała był gadatliwy, lecz Henia go przewyższała. Wyglądało na to, że nie jest to pierwsza rozmowa tych dwojga o nowym zakładzie bioenergoterapii. Wyremontowany lokal czekał na materace, kozetkę, jakieś biurko, jednym słowem na wyposażenie, Henia zaś czekała na pieniądze od Bujały. Przed oficjalnym otwarciem zamierzała uroczyście poświęcić gabinet i zorganizować prawdziwe medytacje. Bez mebli nie dało się tego zrobić. Ze trzy razy kończyli rozmowę, a Henia jeszcze wracała do pieniędzy i do swoich umiejętności.

- Energii mam pod dostatkiem, skończyłam kilka kursów, najwyższa pora, żeby pomyśleć o innych. Z moimi umiejętnościami szkoda mnie do mycia szklanek, nie uważa pan? Bioenergoterapia to teraz rzemiosło. Co pan nie wierzy? To niech pan sprawdzi, tak nas zaliczyli. Na rzemiosło musi pan znaleźć pieniądze. Może nawet ubezpieczę się u was. Wreszcie

odłożyła słuchawkę. Wydawała się mocno niezadowolona, tak mocno, że pozwoliła sobie na głośny monolog.

- Głupi ten Bujala czy co? - spytała i odpowiedziała sama sobie, że głupi, pazerny i Leszkowi do pięt nie dorasta.

Stała i stała w przedpokoju, miotana wewnętrzną walką: sprzątać czy wyjść. Julia błagała ją w myślach, żeby sobie odpuściła myślenie i poszła, bo ona nie zdąży wrócić z Warszawy. Nie powinna za bardzo się spóźniać, żeby Leszek nie nabrał podejrzeń. W końcu Henia zaczęła się zbierać. Powoli włożyła sweter, pozapinała wszystkie guziki i dopiero wtedy trzasnęła drzwiami.

Julia miała mokre od potu plecy. Z wrażenia nawet nie zajrzała do torby. Ortalionową włożyła do dzinsowej, z którą przyszła, i opuściła mieszkanie cichutko niczym duch.

Karolina otworzyła drzwi cała w uśmiechach. Kazała Julii zgadywać, kto je odwiedził. Zgrabnym ruchem wsunęła klucze do kieszeni Leszkowego płaszcza i dalej chciała się bawić w zagadki.

- Oj Boże, jaka jestem zlatana! -jęknęła Julia. - Kocham Warszawę, ale moje nogi nie wytrzymują tamtejszych odległości. Królestwo za kapcie i szklankę herbaty. Załatwiłam wszystko, nawet z nawiązką. -Puściła oko do Karoliny. - Mój wyjazd przesuwają się o dwa tygodnie.

Wsunęła torbę do ciasnej szafy i dopiero wtedy zajrzała do pokoju.

- Leszek nas mianowicie odwiedził, zgadłam? - krzyknęła bardzo radośnie.

Witając się z nim, uciekła z oczami w bok. Chciał buzi, więc nadstawiła policzek. Odwrócił jej głowę i pocałował w usta. W czasie, kiedy Karolina robiła herbatę, szeptał do ucha, że jest nieznośna, kochana i że porywa ją ze sobą do domu.

- Oszalałeś mianowicie czy na rozum ci padło? — spytała.

- Daj mi odetchnąć od kłopotka, dobrze?

- Dlaczego nie lubisz Bujały?

- Powiedz, że pojedziesz ze mną, no powiedz! Jeżeli się wahasz, coś ci poradzę...

- Daj spokój! Najlepsze rady daję sobie sama, tylko nigdy z nich nie korzystam - rzuciła lekko, roześmiała się psotnie i umknęła do kuchni.

- Pachniesz Leszkiem - szepnęła Karolina.

- Wisiałam u niego w szafie - odszepnęła Julia. - Co on taki namiętny? Oparł ci się czy co?

Karolina spojrzała na nią z wielkim politowaniem. Nie mogły chichotać w kuchni, kiedy on siedział w pokoju. Wniosły herbatę i zaczęła się miła pogawędka o niczym, po której Leszek pojechał na Świętego Antoniego sam.

Grzegorz Bujała innymi przejmował się tylko wówczas, gdy byli mu potrzebni. Konrada uważał za bezcenny skarb, dlatego wybaczał mu wiele. Kiedy więc ten po długim ignorowaniu telefonów bossa wreszcie przyjechał do Michelina, usłyszał w progu krótkie:

- Nie świruj, jesteśmy mianowicie kwita!

- Nie jesteśmy. Dostałeś, bo ci się należało za obrazę kobiety!  
-zdenewrował się Konrad. -1 nie powinienes nasyłać na mnie płatnych kozaków.

- Musiałem. Nikt bezkarnie nie wali bossa w mordę. Mogłem ci sam oddać, ale bałem się o swoje ręce.

- Pianista, cholera, się znalazł - warknął Orzechowicz. Po pierwszym wybuchu zdążył już ochłonąć i nie zamierzał przeciągać sporu. Dobrze wiedział, że Bujala jest podszyty tchórzem i siłę czerpie z mięśni ochroniarzy. Mit bossa tworzą jego ludzie, boss musi tylko wiedzieć, jak ich utrzymać przy sobie. Konrad nie dawał się trzymać i nie chciał uchodzić za człowieka Bujaly.

- Pianista? A żebyś wiedział! Pochodzę mianowicie z muzycznej rodziny. Moja ciotka była...

- To ty sobie powspominaj, a do mnie zadzwoń, jak przyjdzie czas na interesy - przerwał mu Konrad i podniósł się z fotela.

Bujala przytrzymał go za rękę.

- Siad na zad! Aleś ty we wrzątku kapany, słowo daję. Trzymaj łapy przy sobie, to ci mianowicie coś powiem. Nie mam coś szczęścia do tej twojej Julki, jednak to małe piwo w porównaniu z twoim nieszczęściem. Jakbyś poszedł do Wydronia, kiedy cię prosiłem, sam byś się przekonał.

- Ty prosiłeś?

- Dobra, za długo się znamy, żeby łapać się mianowicie za słowa. Ja swoje zobaczyłem. Co do łóżka się nie wypowiadam. Jestem pewien, że

mój kuzynek nasłał mi tę małą na przespiegi. Po co innego przyszłaby wtedy do mojego biura?

- A po co przyszła?

- Tego mianowicie, kurwa, nie wiem. Lesiu zhardział ostatnio, więc może im się wydaje, że coś wiedzą? Pożyjemy, zobaczymy i utniemy łeb wężowi, jak to się mówi. Mnie tam nie interesuje, kto z kim śpi, tylko jakie ma długi.

- Chyba jakiego ma długiego! - nie wytrzymał Konrad.

Bujała hałaśliwym śmiechem pokrył rozdrażnienie. Był uczulony na wchodzenie mu w słowa, bo gubił wątek i się rozpraszał.

- To akurat nie moja broszka. Jak sobie chcę pooglądać, to mianowicie mam co - wyjaśnił nie bez dumy.

Konrad zlekceważył przechwałki.

- O jakich dłużnikach mówisz, swoich?

- Ogłupieś czy co? Swoich znam co do jednego. Ja chcę mieć rejestr długów na miasto, potem województwo, a jak się da, to i na kraj. Czujesz, co można osiągnąć, mając takie informacje w garści? Jakie to daje możliwości?

- Czuję, tylko skąd niby mam wziąć dane?

- To już zmartwienie twojej głowy. Stwórz odpowiedni program... zresztą, fachowca nie będę uczył. Otwierasz firmę, a ja ci daję zamówienie. O czym więcej gadać? Chyba tylko o cenie. Zależy mi i skąpy nie będę.

Orzechowicz wyjeżdżał od Bujały przekonany, że jeszcze moment, a głowa pęknie mu na tysiąc kawałków. Ochłonał nieco, kiedy minął tereny zabudowane. Po obu stronach drogi pojawił się las.

- O czym on chrzanił? - zastanawiał się głośno. Próbował przypomnieć sobie wszystko, co Bujała mówił o Julii. Ona i Wydroń? Bzdura! Zaraz... W gębę dałem Bujale tego wieczoru, kiedy mała uciekła. Czyli co? Prosto ode mnie pojechała do Wydronia, żeby się wyzalić? A może po instrukcje pojechała?

Wielkie rozżalenie jest wrogiem chłodnej logiki. Konrad zapomniał o tym, pograżając się w niewesołych wspomnieniach. Nim minął las i wjechał w ulicę Kaliską, zdręczał się już tylko jednym pytaniem: Julia i Wydroń? Cholera, kto by pomyślał!

- Nie mogłaś gwizdnąć czegoś cenniejszego, musiałaś gumowce brać na pamiątkę? - zgorszyła się Karolina.

- Phi! Rozumna to ja będę dopiero na starość - obiecała Julia. Stały obie nad otwartą torbą i patrzyły na zielone, solidnie zabłocone buty gumowe, dobre na ryby lub do pracy w ogrodzie. Takie buty można bez problemu kupić na rynku, nie trzeba ich kraść w zaprzyjaźnionym domu. Poza tymi gumowcami w torbach było tylko kilka torfowych doniczek, które w dotyku przypominały karton.

- Macałam, naprawdę macałam - zapewniała Julia. - Te doniczki mnie zmyliły.

Gdyby nie akt darowizny gruntów, zabrany z biurka, wielki plan skończyłby się wielkim fiaskiem. Archiwum Marcina Chochli pozostało w rękach magistra Leszka Wydronia. Podobnie jak kasetka z automatycznej

sekretarki i zapewne sporo jeszcze materiałów, o których ani Julia, ani Karolina nawet nie miały pojęcia.

- I pomyśleć, że oddawałam za tego faceta głowę - powiedziała zamyślona Karolina. - Drugą, co prawda, której nie mam, zawsze to jednak przykrość i wpadka.

- Zapakuję jutro buciska i poproszę kogoś, żeby zaniósł na pocztę - powiedziała Julia.

- Najlepiej Henię - mruknęła Karolina.

Henia stanowiła dla obu dziewczyn wielkie zaskoczenie. Kiedy teraz przypominały sobie pewne drobiazgi z przeszłości, utwierdzały się w przekonaniu, że pomoc gospodarcza od początku pracowała dla Leszka. Mogło go nie być w pracy trzy tygodnie, a wiedział doskonale o wszystkim, co działo się w firmie.

- I co? - spytała Julia. - Mogłaby Henia zagrać Hamleta?

- Ofelię, wiedźmę, Bonda, wszystko, co chcesz - przyznała Karolina.  
- Ale informowała też Mikulę... choć może nie zawsze prawidłowo. Pracowała dla dwóch wywiadów równocześnie, kto wie nawet, czy nie dla czterech, po wliczeniu Edyty i Bujały.

Akt darowizny Karolina uznała za dziwny. Wszystko w zasadzie było, co powinno być, ale były też pytania. Dlaczego niby dziewięćdziesięcioletnia pani Honorata Zajączkowska, zamieszkała ostatnio w Barcinie, przekazała swoją ziemię Leszkowi Wydroniowi z Włocławka, co potwierdził notariusz z Płocka? Pan Wydroń nie był powinowatym pani Zajączkowskiej, co również zostało w akcie ujęte.

- Mnie to pachnie grubym świństwem. Albo tylko świństewkiem, jeżeli grzecznie kobietę namówił - powiedziała Karolina.

Położyły się spać po północy. Stratę archiwum przebolewały, bo innego wyjścia nie było. O wiele boleśnieszka wydawała się strata przyjaciela. Stuknięty entomolog, dowcipny i uroczy w każdym calu Leszek Wydroń objawił się nagle jako demon zła, facet pokroju Bujały, czyli z gruntu paskudny, choć na oko wciąż bardzo sympatyczny.

- Jaki on jest... - Julia zawiesiła głos, spojrzała na Karolinę i obie zaczęły chichotać.

- Fiu, fiu! Jedno ci powiem: na miejscu żony nie uciekłabym od niego, chyba że... że ze strachu.

Karolina wyjeżdżała rano. W pośpiechu usiadły do wspólnego śniadania. Zadzwonisz, zadzwonię, odwiedzisz, odwiedzę, patrzyły na siebie i każda już była w swoim świecie. Karolina w Toruniu, Julia zawieszona między niebem i ziemią.

- Oj, Juleczko, świetnie było, niestety przeszło, minęło jak grypa. Zostały powikłania. Teraz będziemy się spotykać na przesłuchaniach, co? I pamiętaj, gdyby coś, oddam za ciebie głowę, tę jedną jedyłą, i wszystko, co będzie trzeba.

Obie były wzruszone. Ich przyjaźń zaczęła się od usadzenia Chochli, lecz wcale nie musiała skończyć się wraz z jego zejściem. Zadzwonisz? Zadzwonię. Odwiedzisz? Jasne, jak tylko się wyrwę.

Karolina zadzwoniła w południe, o wiele wcześniej, niż Julia mogła się spodziewać. Miała do zakomunikowania rewelację: w biurze ewidencji ludności w Barcinie dowiedziała się, że Honorata Zajączkowska zmarła



przed rokiem, czyli musiała podarować ziemię Leszkowi Wy-droniowi już po swojej śmierci.

Przed piętnastą Julia weszła do szefowej, żeby spisać ustalenia na dzień następny. Chciała też porozmawiać o swoich prywatnych sprawach. Z pocztą przyszedł list z Warszawy od Małgorzaty. Uśmiechnęła się przelotnie, bo wychodziło na to, że kłamiąc Leszkowi o swoim wyjeździe, wcale tak bardzo nie nałgała. Jeżeli jesteś zainteresowana pracą, składaj ofertę natychmiast. Rozmawiałam z Gołakiem, poczeka trzy dni. Mały pokój, klitkę właściwie, też możesz mieć. Samotnym jest dużo łatwiej - pisała.

- Samotnym wcale nie jest łatwiej. - Edyta pokręciła głową. Nie precyzowała, co ma na myśli: mieszkanie czy życie. Patrzyła na Julię smutnymi, zmęczonymi oczami.

- Gdyby nie ta cholerna niepewność, co się z nami stanie, też miałabym dla ciebie propozycję: dział informatyki.

- U Orzechowicza?

Edyta znowu pokręciła głową i spojrzała na dziewczynę bardzo uważnie. Wyjęła z szuflady wypowiedzenie, które Konrad złożył dzień wcześniej. Julia mruknęła, że tak, że coś jej się o uszy obilo, że prywatna firma, i speszona zamilkła. To nie była dobra wiadomość. Sprawa musiała się wykluc w ostatnich godzinach i kto wie, czy nie miała związku właśnie z nią.

- Zdecydowałam się na wyjazd - powiedziała spokojnie. - A pani nie musi już bać się Wydronia. Miałam w ręku ten dokument, to nic poważnego, zwykła podróba dla hecy. Henia mogła się nabrać i o to pewnie chodziło.

Julia za bardzo bała się Wydronia, by dawać Edycie do ręki dokument, który osobiście ukradła. Niewiele mogła powiedzieć poza tym, że darczyńca zmarł przed spisaniem aktu darowizny. Tonący chwytła się brzytwy i Edyta również uchwyciła się słów Julii. Ożyła w oczach.

- Jeżeli jest, jak mówisz, to usilnie cię namawiam do zostania w Budampoleksie - powiedziała. - Orzechowicz zaproponował swojego następcę, bardzo dobrego informatyka, myślę, że się dogadacie.

- Pani Edyto, gdybym miała zostać, to interesuje mnie wyłącznie stanowisko kierownika działu - powiedziała Julia.

- Przecież ty nawet nie masz stażu?!

- Przepraszam, a dlaczego nie mam stażu? Pani wie i ja wiem, jak było. Jestem ambitna, szybko się uczę, a poza tym to ja popołudniami opracowywałam z inżynierem Orzechowiczem plan komputeryzacji firmy. Mam go w jednym palcu. Proszę spytać.

Wyszła z gabinetu szefowej z podniesioną głową i z obietnicą, że od nowego miesiąca obejmie dział informatyki. Edyta, w przeciwieństwie do Mikuli, bardzo dbała o wiarygodność i dotrzymywała słowa, więc Julia czuła się tak, jakby etat i i tysiąc osiemset złotych na początek miała już w kieszeni. Była bardzo dumna, choć wciąż jeszcze niezdecydowana: zostać czy wyjechać. Całą noc miała na myślenie.

Warszawa ciągnęła ją od dawna, bo gwarantowała pełną samodzielność z dala od rodziców. Wiedziała jednak, że i na awans, i na znośne mieszkanie będzie musiała poczekać. Duże miasto, duża konkurencja -nawet gdyby się bardzo starała, wcześniej niż za kilka lat nie stanie na nogi, chyba że poślubi worek z pieniędzmi, do którego będzie

uwiązany jakiś pokurcz. Uśmiechnęła się na wspomnienie Karoliny i jej planów.

Budampolex to już było coś. Praca na kierowniczym stanowisku, więc siłą rzeczy pieniądze większe niż te w Warszawie, do tego Włocławek gwarantował tańsze życie i kawalerkę po przyjaciółce. Sporo względów przemawiało za pozostaniem. Konrad. Od dwóch dni, od chwili, gdy powiedział, że jest wolna, traktował ją jak powietrze. Nie chciał słuchać, nie chciał rozmawiać, nie miał jej nic do powiedzenia. Z każdą godziną czuła się coraz bardziej winna. Decydując się na pozostanie, myślała również o tym, że z ulicy Budowlanych na Toruńską jest bliżej niż z Warszawy do Włocławka. Jeszcze się łudziła, że on przemówi.

W firmie zaszły wielkie zmiany. Mikula ostatecznie zrezygnował ze stanowiska dyrektora i wyjechał z miasta. Edyta wreszcie zrobiła to, na co Mikulowie nie potrafili się zdobyć: ograniczyła administrację. Stanowisko dyrektora powierzyła młodemu inżynierowi po praktyce w Anglii. Dział informatyki objęła Julia, dwuosobową komórkę organizacyjno-prawną Grażyna Orska. Miejsce pięknej Karoliny zajął chudziutki prawnik bez cienia poczucia humoru.

- I jak ci się podoba? - spytała Edyta, gdy Julia po raz ostatni podała kawę do gabinetu.

- Wygląda jak zasuszony kleszcz.

- Pytam o reorganizację, nie o magistra Portulaka.

- Za naszych czasów było weselej.

- Od rozrywki jest teatr i kino, tu trzeba pracować!

- I pomyśleć, że Mikula nie uznawał kobiet na stanowiskach kierowniczych - zauważyła Julia z filozoficzną zadumą.

- Mylił się i dlatego musiał odejść.

Na parkingu przed blokiem sterczała Żaneta. Nie miała już na sobie męskiej marynarki, tylko odblaskową żółtą bluzkę. Konrad próbował przemknąć się niepostrzeżenie. Dосkoczyła do niego, ledwie wysiadł z samochodu.

- Nie przychodziłam, jak kazałeś, teraz mam interes - powiedziała bez zbędnych wstępów. - Mały choruje, nie mam na lekarstwa. Musisz mi pomóc.

Zwykle jęczała, zawodziła, tym razem mówiła twardo, z determinacją.

- Pieniądzy nie dam. Przynies recepty, to wykupię lekarstwa. Skinęła głową i sięgnęła do zniszczonej torebki. Podała mu cztery druczki.

- Siadaj! - Otworzył drzwi samochodu.

- Masz większy wóz niż ta twoja panna, dobrze mówię? - zagadnęła, kiedy ruszyli. W jej głosie usłyszał coś, co przypominało dumę.

- Która panna?

- A ile ich masz?

Puścił żart mimo uszu. Jak najprędzej chciał mieć z głowy zakupy. W aptece zapłacił prawie sto pięćdziesiąt złotych. To rzeczywiście była kwota nie na kieszeń Żanety. Podał siostrze reklamówkę z lekarstwami.

- Ty, Radek, nie pij tyle - powiedziała nieoczekiwanie. - Jak już się wybiłeś na wielki świat, to nie pij. My z nią ledwie cię do domu wtaszczaliśmy. Ona mała, ale silna. Nawet fajna babka.

Zaczął wypytywać, kto, co i kiedy, bo dawno już zapomniał o koniakowym wyczynie. Żaneta, chcąc odwdzińczyć się za leki, opowiedziała obrazowo, jak wspólnie z Julią transportowały go pijanego na górę.

- Odwiozła mnie potem i nawet weszła na chwilę do chałupy. Wiesz, tam się nic nie zmieniło.

Znowu nie rozumiał, kto wszedł i po co. Czuł tylko pulsowanie w skroniach i narastającą złość. Nie wiedział, czy bardziej zdenerwowała go Julia swoim wścibstwem, czy Żaneta swoją głupotą.

- Wcale jej nie ciągałam, sama chciała - powiedziała, żeby nie drażnić Konrada. - A potem była jeszcze u nas jej matka. Cyrulik myślał, że to jakaś pinda z opieki albo z pomocy i nagadał tyle, że łeb mały.

Bez słowa zostawił Żanetę na parkingu przed apteką i odjechał.

Kawalerka po Karolinie stała się nowym mieszkaniem Julii. Dawniej w domu cieszyła się z chwil spędzanych samotnie, u Konrada cieszyła się z jego obecności, w pustej kawalerce dostawała nerwicy. Znowu nie miała nic z wyjątkiem szczotki do zębów i bielizny na zmianę. Karolina zostawiła jej parę groszy na początek. Przy oszczędnym wydawaniu wystarczyłoby do wypłaty, ale Julia nie umiała żyć oszczędnie. W sklepie jak zwykle upchała w koszyku mnóstwo pyszności i potem musiała roznosić na dawne miejsca sardynki, serki pleśniowe, luksusową kawę. Wyszła z trzema bułkami i słoiczkiem pasztetu. To były te złe strony samodzielności. A dobre? Miała dużo wolnego czasu, z którym jednak nie było co robić w obcym mieszkaniu bez jednej książki. Z konieczności więc

rozpamiętywała dzieje swojej miłości, pięknej, krótkiej i tak głupio przerwanej. Cierpiała. Początkowo szukała winy w sobie, z czasem zaczęła się skłaniać ku myśli, że uczucie było jedynie wytworem jej wyobraźni. Wyreżyserowała sobie spektakl, zagrała główną rolę, lecz nie przewidziała jednego: żywy partner tym się różni od wymyślonego, że w każdej chwili może się zmyć. I tak się właśnie stało. Sztuka zesza z afisza, aktorzy poszli do domów. Inżynier Orzechowicz podjął pracę na własny rachunek, ona zajęła jego miejsce w dziale informatyki; urwały się nawet przelotne spotkania na korytarzu. Raz wpadła na niego na placu Wolności. Biegła do przystanku, a on wychodził z Bujala z biura.

Chłodna wymiana ukłonów i błysk jego oczu, zachłanny jakiś, zropaczony; wtedy sobie pomyślała... Głupio pomyślała, bo oni wyminęli ją i wsiedli do samochodu.

Tego samego dnia późnym popołudniem zadzwonił telefon. Serce podpowiadało, że to Konrad. Ciepły, męski głos Leszka przeciął wszelkie złudzenia. Leszek wydzwaniał regularnie co dwa, trzy dni, wypytywał o pracę i zapraszał do siebie. Lubiała nawet te telefoniczne pogawędki, lecz tym razem nie umiała ukryć rozczarowania. Wysyłała w eter zaledwie monosylaby. Poruszyła ją dopiero wiadomość o napadzie na Henię Luty. Leszek niewiele wiedział poza tym, że szykowała do otwarcia jakiś gabinet odnowy moralnej i tam właśnie znaleziono ją pobitą.

- Chciała przekazywać moc i rozum innym, a widocznie miała tych dóbr za mało nawet dla siebie - skomentował mało oryginalnie i nieoczekiwanie zmienił temat. - Co z tobą, Julio? Siedzisz w swojej norce jak borsuczek, milczysz, nie masz ochoty na spotkanie?

Norka? Borsuczek? No to wpadłam, pomyślała Julia. On wie dużo więcej, niż powinien, i powoli przechodzi do ataku. Henię już usadził.

Zostawiła przy telefonie jakieś bazgroły i na nią padło podejrzenie o kradzież aktu darowizny. Teraz kolej na mnie.

- Żal mi Heni - powiedziała cicho.

Nie nawiązała ani jednym słowem do borsuczka, potraktowała cytaty z Karoliny jako normalną, przyjacielską odzywkę, a nie groźbę, którą już wcześniej sączył jej w ucho. Z bijącym sercem czekała na kolejne słowa.

- Heni nic nie będzie. Ma kilka siniaków i na trochę odjęło jej mowę. Wiedziałem, że cię nie wyciągnę, więc jadę do ciebie. Właśnie podjeżdżam pod dom, możesz nastawić wodę na herbatę.

Człowiek śmiertelnie przerażony albo głupiej totalnie, albo myśli z chłodną precyzją. Julia sprawdziła, czy ma w torebce akt darowizny - miała - i starannie zamknęła drzwi. Kiedy przekrecała klucz w zamku, w mieszkaniu odezwał się domofon, a po chwili szcęknęły drzwi na dole. Energicznie zapukała do mojej Gajewskiej i nim pies zdążył się rozszczekać, była bezpieczna.

Leszek zachowywał się bardzo kulturalnie - pukał, prosił; tylko szczekanie jamnika mojej Gajewskiej wskazywało na obecność obcego w klatce. Wyjrzał najpierw jeden sąsiad, potem drugi. Wydroń poddał się, bo nie miał innego wyjścia. Wyszedł przed blok i usiadł na ławce tak, by mieć na widoku drzwi wejściowe.

Moja Gajewska patrzyła na Julię z zainteresowaniem. W jej nieciekawym życiu takie wydarzenie jak ucieczka dziewczyny przed mężczyzną było szalenie ekscytujące.

- Prześladowuje mnie ten facet... boję się - powiedziała Julia. - On chyba ma coś z głową. Muszę stąd wyjść, zanim mnie dopadnie.

- Oj, musisz, Juleczko, musisz. Ja też kiedyś miałam adoratora, którego nie lubiłam. Nachodził, napraszał się, więc raz uciekłam mu w przebraniu własnego taty. Do dziś to pamiętam!

Dwa krótkie dzwonki. Konradowi nie chciało się ruszyć, żeby otworzyć. Znowu dwa dzwonki.

Na progu stała biednie ubrana kobiecina w chustce na głowie. Do wytartego paltocika tuliła psa. W pierwszej chwili wkurzył się i pomyślał o Żanecie. Coś mu jednak nie pasowało. Tamta ubierała się bardziej kolorowo. Nie nosiła w lecie botków, grubych pończoch ani chuściny w kratkę.

- Mogę? - spytała kobieta. Podniosła głowę i spod chustki spojrzały na Konrada wielkie oczy Julii. - Przyszłam z żywym przybytkiem... pożyczonym.

Nie było dnia, żeby nie myślał o niej. Rano i wieczorem zastanawiał się, za co spotkała go taka krzywda. Był człowiekiem drażliwym, zaciął się w uporze i nie potrafił zrobić pierwszego kroku. Czekał, aż ona się przełamie, może jeszcze raz spróbuje, a wtedy oboje zapomną o urazach i zaczną wszystko od początku. Patrzył teraz na swoją dziewczynę, nie tyle ubraną, ile przebraną, i wszystko się w nim gotowało. Nie powiedział, że może wejść. Odsunął się tylko na bok, więc weszła. Głupia Figa rzuciła się z ujadaniem do jego nóg i Julia znowu musiała wziąć jamnika na rękę.

- Co to ma znaczyć? - spytał złym, ostrym głosem.

- Musiałam uciekać. Grozi mi niebezpieczeństwo - powiedziała cicho.

- Pobiłaś się z kumplami o resztki na śmietniku? Jak ty wyglądasz?



- Mówię ci, że uciekłam... Wydroń chce mnie zabić. On pracuje dla Bujały.

Stali w mrocznym przedpokoju i mierzyli się wzrokiem. Oboje gotowi do pojednania i oboje dziwnie nieprzejednani.

Przyszła tu, żeby mnie upokorzyć i ośmieszyć, myślał Konrad. Łże o Wydrońiu i oczy mydli. U Grześka udawała Karolinę i nie wyglądała na przestraszoną. Nie znosił demonizowania ludzi tylko dlatego, że doszli do majątku. Sam pracował dla Bujały i nie widział w tym nic zdoznego. Zwykle pracuje się dla tych, którzy mają dość pieniędzy, żeby płacić. Powiedział to Julii ostrym, kategorycznym tonem.

Ależ jestem głupia, przeraziła się Julia. Szukam schronienia u człowieka, który sam jest bossem.

- Pójdę już - powiedziała. - Pies się wyrywa.

- To go wyrzuć za drzwi, ściągnij te łańcuchy i porozmawiajmy. Sam się zdziwił swojej propozycji - przecież był rozżalony i zły. Julia położyła rękę na klamce.

- Gdzie ty się znowu wybierasz? - spytał.

- Muszę oddać psa właścicielce, przebrać się i zastanowić.

- Ale wracaj szybko - powiedział nieco łagodniej.

- Szybko się nie da.

Chciała dodać, że szybko i bez zastanowienia to ona się zakochała, a teraz potrzebuje trochę czasu na refleksję. Spojrzała w jego chmurne oczy i tylko zagryzła usta.

- Julio, tak nie możemy żyć. Rządzić i decydować może tylko jedno z nas.

- Ty, prawda?

- Solidnie dostałem od życia po głowie i wiem, jak się bronić i jak ochraniać swoich najbliższych. Kocham cię, Julio, ale na samowolę, na pętanie się po Toruniu i ucieczki z domu nigdy się nie zgodzę. Dom nie jest hotelem.

- Wiem.

Odwróciła się i wyszła. Z Toruńskiej żaden autobus nie jechał w kierunku Budowlanych, musiała dreptać piechotą. Buciki mojej Gajewskiej uwierały ją w palce. Nie czuła bólu. Całą żalność niosła w duszy. Szła ze spuszczoną głową. Nie myślała o miłosnych porywach, tylko zastanawiała się, jaki sens ma przechodzenie z jednego więzienia do drugiego. Matka, Konrad. Oboje chcieli decydować za nią, ona zaś chciała robić to sama. Niestety, z tych wszystkich chciejstw nie dało się stworzyć jednego szczęścia. Zapomniała o swoim przebraniu, o Leszku i całym świecie - przecież nic gorszego już jej nie mogło spotkać. Zatrzymała się przed drzwiami, żeby odszukać klucze.

- Cudownie wyglądasz, kochanie! Tobie nawet w papierowym worku byłoby do twarzy!

Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, kto tak pięknie do niej przemawia.

- To na moją cześć ten strój? Jak wychodziłaś, nie poznałem cię, ale teraz patrzę, patrzę i oczom nie wierzę: toż to moja Julia!

- Czego ty chcesz ode mnie? Prześladowasz mnie, straszysz...  
Przecież ja ci nic nie zrobiłam.

Czy to możliwe, żeby tak wspaniale zagrał zdumienie? Raczej nie. On naprawdę był zdumiony. Złapał Julię za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- No, no! Panie! Staruszkę będziesz pan szarpał?

Sąsiad z pierwszego piętra chwycił Leszka za ramię. Chciał jak najlepiej, ale w efekcie sytuacja z tragicznej stała się nagle komiczna, i Julia, choć smutek zżerał jej duszę, musiała parsknąć śmiechem. Przeprosiła sąsiada, a Leszka chwyciła za rękę. Chyba mnie nie zje ani nie zabije, pomyślała, biegnąc po schodach na górę.

- To ten sam pan? - spytała szeptem moja Gajewska.

- Czekał do tej pory - odszepnęła Julia. - Muszę z nim porozmawiać.

- Wiedziałam, że tak będzie. Ten mój też na mnie czekał wtedy przez całą noc, a potem przeżyliśmy razem czterdzieści pięć lat.

Leszek dał się posadzić za stołem, dał się napić gotowaną wodą, bo herbaty zabrakło, ale nie dał się zbyć byle czym. Zażądał spowiedzi ze wszystkiego, co Julia wiedziała, czego się domyślała, co jej wpadło w ucho i czego kompletnie nie wiedziała. Miało być szczerze, po kolei i bez taryfy ulgowej. Jak źle o nim czy o sobie, to źle, jak dobrze, to dobrze. Julia kiwnęła głową. Chciał Leszek szczerze, to mu opowiedziała szczerze od dyskoteki w Teatralnej, po swoją wizytę w jego szafie. W tym momencie uśmiechnął się lekko.

- To cię bawi? - spytała zaskoczona.

- Rozumiem, że dostanę swoje buty z powrotem?

- Akt darowizny też.

Sięgnęła do torebki i podała mu starannie złożony papier. " "

- Akt to całkiem inna zabawka. - Machnął ręką z rezygnacją. - Sam jest tylko nędznym falsyfikatem, wymaga dodatkowych rekwizytów. Potrzebny mi był do pewnej scenki, którą tak ładnie sobie wyreżyserowałem.

Nieoczekiwane odkrycie w Leszku bratniej duszy wcale nie ucieszyło Julii.

- Kogo chciałeś zagrać?

- Kogo ja mogę zagrać, jak nie Leszka Wydronia?! Powiedzmy: Wydronia w ulepszonej formie. Zagram ci, obiecuję, ale nie dzisiaj. A co do butów, to... zależy mi na nich. Gdybym wiedział, że tobie też, tobym je wcześniej umył. - Spojrzał na nią rozbawiony. - Ostatni raz miałem je na nogach, kiedy paliłem w ogrodzie archiwum Chochli.

- Spaliłeś?

- I jeszcze polałem wodą. Masz na to moje słowo.

- Dlaczego tak... dlaczego wtedy... - plątała się Julia.

- ...tak mi zależało na zanurzeniu się w tym bagienku Chochli? -skończył za nią. - Podejrzewałem, słusznie zresztą, że znajdę tam zdjęcia mojej byłej żony. Przez jakiś czas była dziewczyną Bujają.

- Ojej! - westchnęła Julia. - Nie wiedziałam. A co zrobiłeś z taśmą z automatycznej sekretarki?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jadąc tu do mnie, zacytowałeś słowo w słowo Karolinę o bor-suczku i norce. Ten sam fragment puściłeś mi wcześniej przez telefon!

- Być może bezwiednie zacytowałem Karolinę, jednak o żadnej taśmie nie wiem. Każesz mi cierpieć za cudze wygłupy.

I znowu biedna Julia była w kropce: mógł mówić najszczerzą prawdę, lecz nie musiał. Przyznał się do paru grzechów. Wszystkie miały to samo źródło: chęć wzbudzenia zainteresowania Julii. Nic nie mógł poradzić na to, że zakochał się jak sztubak i to od dnia, w którym pierwszy raz ją zobaczył. Nosił w sobie tę miłość i nosił, nim wreszcie zaczął działać. Nie najmądrzej, co przyznał, za to konsekwentnie. Zaprzyjaźnił się z Serafinem, gotów był przyjaźnić się z Konradem. Ale nie z Bujała.

- A Henia? - spytała Julia.

- Henia była dochodzącą gosposią u moich rodziców. Kiedy zostałem sam, zaofiarowała się, że poprowadzi mi dom. Zgodziłem się, niestety. Choć o sprzątanii i gotowaniu mam niewielkie pojęcie, lepiej sobie radzę niż Henia. Natomiast w dostarczaniu informacji nie ma sobie równych. Co jeszcze chcesz wiedzieć, biedronko? Co będę robił w najbliższej przyszłości? Kursy, szkolenia, doradztwo. Zajmuję się tym od roku i nie narzekam.

- Powiedz o pobiciu. Ty mówiłeś Michelin, pielęgniarka, że pub w centrum miasta.

- Kochanie, nikt nie chce robić sobie kłopotu pod własną rezydencją! Goryłatka mojego kuzyna przywiozły mnie do Włocławka na lekcję pokory. Nawet nie mogę ich skarżyć o pobicie, bo sam

sprovokowałem awanturę. Pytaj dalej. Możesz nawet świecić mi lampą prosto w oczy. Aha, żona! Dzisiaj właśnie dostałem rozwód i chciałem to jakoś uczcić. Widzę jednak, że coś cię gnębi, że nie masz humoru, więc odłożymy to na inny dzień. Zgoda? Poczekam. Poczekam, aż ci przejdzie i znowu zechcesz mnie oglądać.

Objął Julię, przytulił i delikatnie pocałował we włosy. Spuściła głowę i nie wiedziała, co powiedzieć. Myślała o tym, że w ciągu jednego popołudnia świat przewrócił się do góry nogami. Najbliższy człowiek zawiódł ją i niemal wyprosił z domu, a największy wróg okazał się wcale nie być wrogiem. Tulił, gładził po policzku i pocieszał.

- Nie masz do mnie żalu? - spytała cicho.

Delikatnie uniósł jej twarz ku górze. Nie uciekała z oczami, wytrzymała jego wzrok, przekonana, że usłyszy kilka gorzkich słów. Posądzała przyjaciela o porwanie, szantaż, nieczyste interesy. Teraz sama nie wiedziała, jakim cudem te wszystkie brednie załęgły się w jej głowie. Przypadek, cudze gadanie, naiwność.

- Zawsze chciałem być strasznym twardzielem - podjął Leszek z uśmiechem - takim, co to z trzech pistoletów wali równocześnie. Myślałem, że to niemożliwe. Ty jedna uwierzyłaś we mnie.

- I Karolina - dorzuciła.

- Ona też?

Zamiast gorzkich wyrzutów na twarz Julii spadły gorące pocałunki. Trochę się broniła, lecz tylko trochę. Coś mu była winna za te głupie posądzenia. Z trudem uwolniła się z jego objęć. Pogłaskał ją po policzku i westchnąwszy teatralnie, ruszył do drzwi. Nagle stanął.

- Kompletna skleroza! Biedronko, jak będziesz się widziała z Karoliną, oddaj jej pieniądze.

Odliczył tysiąc złotych, jeszcze raz przytulił Julię i poszedł na dobre.

Nie ma chyba takiego żalu, którego nie da się rozpuścić pocałunkami, myślała Julia. Myliła się: w niej samej tkwił żal, którego nie mogła rozpuścić niczym. Musiał się w niej wypalić. Nie wiedziała, ile to potrwa: miesiąc, rok, całe życie? Zadzwoiła do Karoliny, żeby podzielić się swoim smutkiem i swoją radością.

- Wyszło na moje! - ucieszyła się Karolina.

- Akurat. Tak samo zwątpiłaś jak i ja. Aha, oddał ci dług, okrągły tysiąc.

- Ja niby pożyczyłam Leszkowi tysiąc złotych? Nie wiesz kiedy? I z czego? To pożyczka dla ciebie. Spokojnie wydaj, ile musisz, a po wypłacie mu oddasz.

Pierwsza prawdziwa pensja przyniosła Julii tyleż radości, co niepokoju. Z najwyższym trudem powstrzymała się, by nie wyskoczyć do miasta i za jednym zamachem nie stracić wszystkich pieniędzy. Potrzeb miała mnóstwo. Głupiej zupy nie umiem wybrać w restauracji, bluzki w sklepie, nie wiem nawet, co kupować, a czego nie - myślała. To jak ja będę żyć? Musi być jakiś sposób. W końcu Karolina miała mniej pieniędzy i nie zginęła.

Julia usiadła przy stole i bodaj pierwszy raz w życiu zrobiła listę najpotrzebniejszych zakupów. Metodą eliminacji z czterdziestu dwóch pozycji zeszła do ośmiu, zaskoczona i uradowana swoim racjonalizmem. Cóż, zdana wyłącznie na siebie, musiała jeszcze oddać dług Leszkowi.

Matka dzwoniła wprawdzie dwa razy dziennie, ale tylko po to, by przekonywać córkę, że jej miejsce jest w domu, przy rodzicach. Nie wiedziała o zerwaniu z Konradem i fakt, że Julia zamieszkała oddzielnie, potraktowała jako swój sukces wychowawczy. Połowiczny co prawda, jednak sukces.

- Dostyc już tego! Pokazałaś nam, jaka jesteś mądra i samodzielna, na co cię stać, możesz już wracać. Matczyne serce wszystko daruje.

- Wydaje ci się, mamo. To byłby twój ulubiony temat przez najbliższe dziesięciolecie - odpowiedziała pogodnie. Telefony bywały czasem bardzo irytujące, lecz Julia przyjmowała je już bez zdenerwowania. Matka po prostu taka była i nie mogła się zmienić. By dojść do tego odkrywczego wniosku, trzeba było opuścić dom rodzinny i samej pokłonić się z życiem.

Konrad, co było do przewidzenia, nie zadzwonił. Ostatni raz Julia rozmawiała z nim przebrana za moją Gajewską. Nie wróciła wtedy, a on więcej się nie odezwał. Grażyna Orska parę razy wspominała z dumą, że inżynier Orzechowicz założył we Włocławku studio komputerowe czy coś w tym rodzaju, świetnie zarabia i ma się dobrze. Julia przyjmowała te informacje ze spokojem, nie rozwijała tematu i o nic nie pytała. Wciąż jeszcze musiała bronić się przed tęsknotą, lecz coraz częściej i z coraz głębszym przekonaniem powtarzała sobie, że samotność jest lepsza od życia z facetem, który zamiast dialogu wybiera monolog albo milczenie. Z całą pewnością nie zaliczał się do takich Leszek. Dzwonił już teraz codziennie, zlakniony dialogu z Julią. Wyciągał ją na spektakle, koncerty i wystawy.

- Biedronko, dzisiaj wielki koncert, nie możesz go opuścić. Stroje wieczorowe nie obowiązują.



- Gdzie, co, kto? - dopytywała się Julia. Zdążyła już rozsmakować się w tych wypadach z Leszkiem i nawet była zdziwiona, że w nudnym Włocławku wcale nie jest tak nudno.

- To będzie kameralny koncert u mnie - wyjaśnił poważnie.

- Rozumiem. W miasteczku Chandra Unyńska, gdzieś tam w kujawskim powiecie, ekonomista Lech Wydroń, nie umiał grać na klawirze - wyrecytowała Julia.

- Lubisz „Płaksina”? - spytał z ożywieniem.

- Próbuję zaimponować ci znajomością poezji. „Płaksina” też lubię.

Przyjęła zaproszenie na kameralną imprezę i spędziła jeden z najmielszych wieczorów. Leszek kupił kilka płyt i to one właśnie złożyły się na bardzo urozmaicony program. Szperając w bogatej płytotece, Julia natknęła się na kasetę magnetofonową ze starymi tangami. Dla Leszka nie było rzeczy niemożliwych. Natychmiast uruchomił magnetofon.

- Zatańczymy? - zapytał, pochylając się nisko i wyciągając rękę, żeby wyłuskać Julię z fotela.

Miała wielką ochotę, jednak przestraszyła się, że nastrojowe tango może za szybko przenieść ich z parkietu na ozdobną kanapę. Tego wolą unikać, wyszła więc, unosząc w torebce pożyczoną kasetę.

Śledztwo w sprawie porwania Julii Blendy zostało umorzone z powodu śmierci głównego oskarżonego. Dziewczyna zyskała moralne prawo, by jeszcze wnukom opowiadać o swoim fenomenalnym powodzeniu lub o gapiostwie wielkiego bossa, który przez niedopatrzenie porwał ukochaną swojego przyjaciela.

Znacznie poważniej wyglądała sprawa zamordowania Marcina Chochli. Denat podobno trudnił się szantażem, o czym mogła świadczyć zamontowana w mieszkaniu kamera. Sama nie była jednak wystarczającym dowodem, a innych policja nie znalazła. Opoką śledztwa i głównym świadkiem była Wanda Pasieczko. Dzięki jej informacjom na liście podejrzanych, obok Mikuli, Karoliny, Julii, Edyty i Heni znalazło się kilkanaście różnych rysopisów. Wanda żyła z okiem przy wizjerze i znała ludzi głównie z wyglądu. Jej zeznania za każdym razem wprowadzały sporo zamieszania.

Julia kategorycznie wyparła się jakichkolwiek związków z Chochlą. Wspomniała tylko o przypadkowym spotkaniu na ulicy. Nie była widać interesującym świadkiem, bo dość szybko wykluczono ją z przesłuchań, ona z kolei nie upierała się, że chce cokolwiek dodawać. Przyszedł jednak moment, że dochodzenie skupiło się wyłącznie na niej.

Jeden z rysopisów podanych przez Wandę pasował idealnie do niejakiego Serafina, tego samego, który kilka dni później porwał Julię. Znowu musiała odpowiadać na setki pytań: od kiedy znała, czym się zajmował, czy groził, czy się chwalił, jakie aspiracje, jakie zainteresowania. Przebrnęła zwycięsko i przez ten etap. Nie chciała myśleć o Chochli ani obarczać się winą za zniszczenie archiwum. Trochę męczyła ją myśl, że prawdziwy morderca mógł ujść bezkarnie. Kimkolwiek był, życzyła mu, by wpadł przy innej okazji. Przecież Serafin też jej nie porwał dla siebie, choć pośmiertnie odpowiadał tak, jakby porwał.

Pomysł, by założyć studio programów komputerowych, okazał się strzałem w dziesiątkę. Konrad prawie nie wychodził ze swojego biura w centrum miasta. Bujala nie był już jego jedynym klientem, ale nadal

jednym z najważniejszych. Orzechowicz opracowywał dla niego internetową giełdę wiarygodności.

- I co ty masz z życia, kochany? - spytała kiedyś Grażyna. - Pracujesz od rana do nocy i nawet nie masz jak wydać tych swoich pieniędzy.

Nie odpowiedział. Domyślał się, że chciała go podpytać o sprawy sercowe, może nawet o Julię. Z drobnych uwag i napomknien mógł się zorientować, że Grażyna nie lubi Julii. Matkowała Konradowi, traktowała go jak syna, chciała ożenić, jednak żadna dziewczyna nie wydawała jej się dość dobra.

Zbyt dużo nadziei wiązał z Julią, by rozstanie nie zburzyło jego spokoju. Na szczęście miał jeszcze pracę, która pozwalała zapomnieć o uczuciach. Powoli odzyskiwał równowagę. Czasem nachodziły go wspomnienia; nie mógł uwierzyć, że rozstali się z winy Julii, a nie pod presją jej rodziny. Swojej nie brał pod uwagę, jedynie w przyływach szczególnie podłego nastroju gotów był sądzić, że Julię wystraszyła wizyta na Cygance. To bolało bardziej niż zadra pod paznokciem. Pobieгла tam z babskiej ciekawości, z czystej głupoty i nawet nie miała odwagi się przyznać. Tego nie umiał jej darować, nie mógł i chyba nie chciał.

Na początku września Julia zadzwoniła z pytaniem o jeden z programów, nad którym pracowali wspólnie, a który zaginął.

- Te wszystkie programy były autorskie. Nie jestem pewien, czy macie do nich prawo - powiedział.

- Wobec tego za co brałeś pensję? - spytała.

Czuł, że zagrał głupio. I wcale nie chciał tak powiedzieć. Tylko że kiedy usłyszał jej głos, najzwyczajniej w świecie zbaraniał. Obiecał, że

poszuka i poprosił, żeby wpadła do niego do biura. Dwa dni później odwiedził go drobny człowieczek, który się przedstawił jako magister Portulak, prawnik Budampolexu. Przyszedł między innymi na prośbę Julii, by rozwiązać wątpliwości inżyniera Orzechowicza. Konrad rzucił na stół dyskietkę. Nie miał już żadnych wątpliwości.

Julia weszła do gabinetu Edyty, żeby zwolnić się nieco wcześniej. Przed piętnastą musiała być w prokuraturze. Ponarzekła trochę na ślimacze tempo śledztwa i na sklerozę Wandy Pasieczko. Jako jedyny świadek ze słuchu, z widzenia i z pamięci zносиła swoje informacje jak kura jaja.

- Chochła w grobie się przewraca - mruknęła Julia.

- Chyba tak, bo ostatnio dzwoni do mnie co noc. Powiem ci, że już się nawet nie denerwuję.

- E tam, jakiś bałwan puszcza pani taśmę z automatycznej sekretarki.

- Ba! Tyle to ja też wiem. Niestety, nie wiem najważniejszego: kto i po jaką cholere próbuję mnie nastraszyć.

Julia też się zastanawiała, w czyich rękach może być nieszczęsna kasetka. Leszka raz na zawsze skreśliła z listy podejrzanych. Pozostawał Bujala, któryś z jego osiłków lub morderca. Na temat zamordowania Chochli miała swoje zdanie wyłącznie na własny użytek. Serafin niewiele zdążył jej powiedzieć poza tym, że z kimś jeszcze śledził Marcina i że nie oni zabili. Owszem, po wyjściu mordercy spenetrowali mieszkanie. Kasetę i komórkę Karoliny zabrali więc albo oni, albo ten, kto uwolnił Chochlę od doczesnych zmartwień.

W prokuraturze nie zabawiła długo. W malutkim gabinecie wielki i całkiem przystojny prokurator wręczył jej pierścionek. Zerknęła na złote oczko, uspokoiła się, że nie chodzi o oświadczyzny i odruchowo cofnęła rękę. Dostawała ten sam pierścionek od czwartego faceta, jeśli wliczać do obłądnego korowodu także Serafina. Czowała dziwny lęk przed dotknięciem błyskotki.

- Jest pani chwilowo wolna - powiedział obojętnym tonem mężczyzna.

- Chwilowo? Myśli pan, że mogę przejść na własność prokuratury?

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdził krótko.

Nie dała Bozia poczucia humoru, oj, nie dała! - westchnęła w duchu Julia. I zaraz pomyślała, że wesoły prokurator byłby takim samym dziwem natury jak pięcionoga żyrafa. Z odrazą wrzuciła pierścionek do torebki, podpisała, co trzeba, i wybiegła. Na wąskich schodach musiała nieco zwolnić, bo przed nią majestatycznie staczała się w dół barwna kopka siana, przyobleczona w indyjskie szaty. Natapirowane i wysoko upięte włosy odsłaniały szyję, owiniętą grubo ozdobami z łańcuchów i koralików. Fantastyczny cudaczek, zdążyła pomyśleć Julia i zaraz potem wpadła w objęcia Heni Luty.

- To taka z ciebie przyjaciółka! - darła się Henia. - Ja mało nie umarłam, a ty mnie nawet nie odwiedziłaś!

Julia czym prędzej wyciągnęła ją na świeże powietrze. Korytarz prokuratury nie wydawał się jej odpowiednim miejscem do serdecznych i głośnych pogawędek. W jasnym świetle dnia mogła wreszcie dokładnie obejrzeć nowe wcielenie pani Luty. To już nie była dawna pomoc

gospodarcza w wytartym fartuchu ani nawet guru w błękitnej garsonce. Nadmiar kolorów i ozdób doprowadził Julię do oczopląsu.

- Cudownie wyglądasz! - wykrzyknęła z zachwytem, który zabrzmiał całkiem naturalnie.

- Dziękuję, dziękuję! Staram się, widzisz, jak mogę - przyznała skromnie Henia. Zaraz potem zasypała Julię pytaniami o firmę, ludzi i porządki. - Jak mnie zabrakło, to pewnie w sekretariacie smoki się lęgną, co?

Julia zbyła pytanie milczeniem. Zaprzeczać nie chciała, przytaknąć nie mogła. Prawda była taka, że z odejściem Heni sekretariat wiele zyskał. Edyta zmieniła cały jego wystrój i zatrudniła nową sprzątaczkę.

- Ja dopiero teraz wiem, że żyję! - oświadczyła Henia. Z wielkiej radości, że znalazła słuchacza, zaprosiła Julię do Cafe Blue. Musiała przecież opowiedzieć komuś o swoich terapeutycznych sukcesach. Obracała się teraz w eleganckim świecie, wśród kobiet z klasą. Przychodziły radzić się w trudnych sytuacjach życiowych, opowiadały o swoich lękach i porażkach. Henia słuchała, podnosiła je na duchu i wyposażała w dodatkową moc. - Bo widzisz, Julciu, babki, ogólnie biorąc, są głupsze od mężczyzn.

- Zawsze twierdziłaś, że jest odwrotnie - zdziwiła się Julia.

- Z psychofizycznych uwarunkowań mózgu kobiecego wynika, że jest on wyposażony w mniejszą liczbę komórek i jako taki nie jest w stanie pomieścić wszystkich percepcji zachodzących w otaczającej rzeczywistości - wyjaśniła Henia. - To oczywiście duży skrót myślowy. Dokładnie chodzi o to, że babki myślą uczuciami, znaczy sercem, faceci tylko intelektem. Rozumiesz?

Julia nie rozumiała, ale wolała nie narażać się na wysłuchiwanie kolejnego wykładu, więc skwapliwie zgodziła się z Henią.

- Jeżeli masz, Julciu, kłopoty uczuciowe lub inne, zapraszam na moją kozetkę. Współczesne czasy nie sprzyjają rozwojowi kobiecej wrażliwości. Bez przerwy trzeba pielęgnować własne ego. Ty pielęgnujesz? No, powiedz, jak często mówisz sobie miłe rzeczy? Patrzysz rano w lustro, widzisz zmarszczki, podpuchnięte oczy i zwiotczałe policzki, a mimo wszystko powtarzasz sobie, że jesteś piękna, warta gorącej miłości i wszystkiego, co najlepsze. No, powiedz, jak często?

- Nie mam zwyczaju rozmawiać sama ze sobą - przyznała Julia i machinalnie dotknęła twarzy, by sprawdzić, czy w trakcie pouczającej rozmowy nie dostała zmarszczek i obwisłych policzków.

- Błąd! - wykrzyknęła Henia. - Mężczyźni rodzą się przekonani o swojej wspaniałości, kobiety dopiero muszą się przekonać. Wpadnij do mnie koniecznie. Widzę, że masz problemy z ego.

- Raczej z finansami - westchnęła smętnie Julia.

- Finanse to nie moja specjalność. - Henia wzruszyła ramionami. - A ty wiesz, że jeden facet próbował mnie wyrolować i zastraszyć? Gad był mi winien pieniądze za pomoc i takie tam usługi, zobowiązał się wyposażyć gabinet, a zamiast tego nasłał na mnie zbója!

- I co? - Julia wydawała się bardzo poruszona.

- Więcej tego nie robi - roześmiała się Henia. - Z gardła wydarłam wszystko, co mi się należało.

- Własną mocą?

- E, niekoniecznie. - Mrugnęła figlarnie. - Ja lubię dużo wiedzieć o świecie i świat mi to wynagradza.

Julia nie wątpiła już w wielką moc terapeutki, zwątpiła natomiast w wielkość Bujały. W drodze do domu zastanawiała się, jak i gdzie Henia ugryzła bossa.

- Biedronko, ratuj! Nie żartuję. Łap taksówkę i przyjeżdżaj!

- Skąd dzwonisz?

- Z łazienki.

I cisza. Wyłączył widać komórkę. Julia przestraszyła się nie na żarty. Potknął się pewnie, biedak, połamał na swoich kafelkach, może stracił przytomność? Pobieгла na postój taksówek po drugiej stronie ulicy i kazała wieźć się na Świętego Antoniego.

Dzwonić czy łomotać? Na wszelki wypadek nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Leszek, cały i zdrowy, pojawił się w przedpokoju. W oczach panika, palec na ustach, a za moment czysta radość.

- Jesteś nareszcie, kochanie! To cudownie!

Popchnął ją, oszołomioną, w stronę salonu. Na pięknej stylowej kanapie siedziała piękna żółtowłosa Ola Mikulowa. Na widok Julii wyraźnie się spieszyła.

- Mamy gościa, Julio! Pani Ola dowiedziała się o naszych zaręczynach... dobrze mówię? Majdziak powiedział pani, że się zaręczyliśmy?



- Niech mi pan nawet nie wspomina o tym skurwielu! - wykrzyknęła Mikułowa. Nabrała powietrza i potoczyście, bez cienia wdzięku puściła klasyczną wiązaną przekleństw, po czym, uspokojona, zgodziła się wypić herbatę.

Julia, jak na narzeczoną przystało, zniknęła w kuchni. Z salonu docierały odgłosy normalnej rozmowy. O firmie, o pracy.

- Patrz pan, panie Leszku, wszystko dla niego poświęciłam i co teraz mam robić? - Ściszyła głos. - Ja myślałam, że u pana będę mogła na dzień, dwa... może na dłużej? Pan mnie tak dobrze rozumiał... jak żaden mężczyzna. Mikula domy sprzedał, wziął dupę w troki... Nawet adresu nie zostawił, impotent jeden.

- Możesz przecież zatrzymać się u kuzynki, u Wandy Pasieczko - odpowiedziała Julia. Stała w drzwiach z tacą w rękach i patrzyła na Olę bez specjalnej życzliwości.

- Jaka tam z niej kuzynka! - prychnęła Mikułowa. - No cóż... Przejdę się do Edyty. Coś mi jest chyba winna, że tak na krzywy ryj firmę dostała.

Nie przytaknęli, nie zaprzeczyli, nie próbowali wyprowadzać pani Oli z błędu. Jeżeli chciała złożyć wizytę Edycie, miała do tego pełne prawo. Do firmy już nie.

- Panie Lesiu, a nie ma pan kapki koniaku albo whisky? - spytała Ola.

Leszek poderwał się z fotela.

- Mam jedno i drugie, proszę wybierać.

- Jak ja mam do wyboru whisky i koniak, to biorę to i to! - zaśmiała się Ola. - Tylko nie myślcie, że się rozpiłam albo co! Majdziak, ten to dopiero smolił wodę. Czystą wodę, dacie wiarę? Ja przy nim byłam taka abstynentka, aż żal tyłek ściska.

Wychyliła jednym haustem koniak i poprosiła „na drugą nóżkę”. Julia dyskretnie trąciła Leszka pod stołem. Z trzeźwą Olą były kłopoty, co dopiero z pijaną. Mikulowa delikatnie otarła usta rękawem bluzki.

Nie zatrzymywali jej, kiedy zaczęła zbierać się do wyjścia, a kiedy już wyszła, nie próbowali nawet zachować powagi. Tak się rozbawili, rozdokazywali, że kiedy Leszek niby niechący przytulił Julię, ona nie protestowała.

Majdziak zaczął mówić o Bujale, warto było posłuchać. Pod wpływem rozgoryczenia mógł powiedzieć coś naprawdę ciekawego. Historyjka wydawała się banalna, dopóki nie padło nazwisko Luty. Henryka Luty. Konrad pamiętał oczywiście wścibską sprzątaczkę z Budampolexu, nie przypuszczał jednak, by kobiecina trudniła się szantażem. Za trzy zdjęcia zażądała piętnastu tysięcy i Bujala zapłacił. Trochę się targował, napuścił na babę rudzielca, jednak poszła w zaparte, postraszyła adwokatem i w końcu pieniądze dostała.

- Co takiego mogło być na tych zdjęciach? - zdziwił się Orzechowicz.

- Bujala z obcą kobietą w pościeli bez przykrycia - prychnął Majdziak. - Jak mówiłem wałowi, że z babami prominentów nie warto się fotografować, to mnie wyśmiał. Teraz portkami trzęsie. Ten facet jednym palcem przewali Bujalę i wszystkie jego interesy. A kto wie, co ta Luty może jeszcze trzymać pod poduszką? Tych zdjęć było więcej. Pół miasta za

nimi gania, nie wyłączając policji. Ja tam nie wierzę, że babsko znalazło je na śmietniku.

Zamyślił się, posmutniał i wyraźnie szukał u Konrada wsparcia. Zwykle słowa pociechy nie bardzo na niego działały. Zwątpił w bossa i wyraźnie cierpiał. Jedyne ratunek widział w giełdzie wiarygodności, między innymi dlatego tak szczerze rozmawiał z Konradem.

- Nie wierzę w pomysły Bujaly, ale w ciebie wierzę! - powiedział z powagą. - Ty, Konrad, ja maturę prawie skończyłem, Bujalę z zawodówki wylali, to który z nas bardziej wykształcony? Czego on traktuje mnie jak przygłupa?

Orzechowicz miał szczerą ochotę parsknąć śmiechem. W porę powstrzymał nietaktowną wesołość i próbował podtrzymać Majdziaka na duchu. Nie musiał się specjalnie wysilać, jego gość miał wysokie mniemanie o własnym intelekcie, pragnął tylko potwierdzenia, że prawdziwym przygłupem jest Bujala. Na taką szczerą Konrad nie chciał się jednak zdobyć i zmienił temat na mniej wybuchowy. Zaczęli rozmawiać o kobietach.

- A wiesz, że ta twoja mała Blenda z Wydroniem teraz kręci? - ożywił się Majdziak. - Wydroń to ten nieślubny braciszek Bujaly.

- Jak z Wydroniem, to najlepszy dowód, że już nie moja - powiedział głucho Konrad.

- A ja bym takiej babki od siebie nie puścił - rozmarzył się Grześ. - Są, rozumiesz, baby, które się rzuca, bo głupie i nudne, a są i takie, od których się nie odchodzi. Nigdy nie zapomnę, jak dała popalić Bujale! Kurrrwa, jak ona mi wtedy zaimponowała. - Potraktował milczeniem

Konrada jako zachętę do dalszych zwierzeń i zaczął opowiadać o najnowszej flaminie bossa: - Ładna, no, muszę powiedzieć, że ładna, ale żeby aż tak świrować, to przesada. On teraz częściej w Toruniu siedzi niż w domu. Ledwie wróci, wydzwania, meile śle... Mówię ci, czysty wariat. Dzisiaj babka przyjechała, to ją na kawkę do Blue zabrał, a mnie kazał czekać z autem. Cierniak się nazywa... Ty to ją powinieneś znać? Konrad niedbale kiwnął głową, że zna, spojrzął na zegarek i zerwał się gwałtownie. Przypomniawszy sobie o bardzo ważnym spotkaniu, przeprosił Majdziaka i już w biegu zbierał jakieś papiery. Z biura do kawiarni było bliźniętko.

Karolina zapowiedziała przyjazd na piątek i Julia już od czwartku nie umiała sobie miejsca znaleźć. Telefonicznie gawędziły prawie codziennie, lecz nie widziały się ponad miesiąc. Przez ten czas Julia ucywilizowała trochę kawalerkę odziedziczoną po przyjaciółce. W końcu pracowała w Budampoleksie i знаła kilku majstrów, którzy za niewielkie pieniądze zgodzili się pomalować ściany i okna. Najbrzydsze meble wyniosła do piwnicy. W ich miejsce postawiła nowe biurko, niewielki regał i wygodną kanapę. Matka nie pogodziła się wprawdzie z samodzielnością córki, jednak oddała komputer, książki, torbę z rzeczami osobistymi. Po tych zmianach Julia wreszcie poczuła, że ma własny kąt. Z zakupów czy z pracy wracała do siebie. W czwartek wieczorem zdjął ją strach, czy Karolina nie poczuje się obco. Właściwie nie ma powodów, pomyślała. Tu jest teraz tak miłutko.

Jako pani domu też nie była już zieloną lebiodą. Pierwszą szkołę gotowania przeszła u boku Konrada, potem z oszczędności sama sobie przyrządzała skromne posiłki, korzystając z porad w kobiecych pismach. Kolację postanowiła w całości zrobić sama: panierowane piersi kurczaka, leczo i pieczony schab. Na deser zaplanowała drożdżówkę. Zdecydowała się skorzystać z niezawodnego przepisu Edyty i wszystko wskazywało na to, że

ciasto będzie doskonale wyrobione. Od kilku dni siedziała w niej złość, której musiała dać ujście, by raz na zawsze zamknąć wszelkie porachunki z Konradem. Zadzwoiła do niego w sprawie czysto służbowej. Poznał ją, nie mógł nie poznać, i chyba tylko dlatego zachował się niezbyt elegancko. Z wielkim trudem zapanowała nad sobą, by nie powiedzieć jednego zdania za dużo. Przemilczała, lecz teraz musiała gdzieś tę powściągliwość wyładować. Rozczyniła ciasto, a potem tyle serca włożyła w wyrabianie, że odchodziło od rąk, od stolnicy i niemal fruwało w górze. Nie zostawiła na Konradzie suchej nitki.

Przypięła mu wszystkie epitety, którymi tak obficie szafował Leszek. A masz pluskolcu, wołała, masz pędrusiu, śmietko i wołku... ty nastroszu i koziorogu! Całkiem już spokojnie przykryła miskę czystą ściereczką i znowu poczuła, że ma dwadzieścia pięć lat i piękną przyszłość przed sobą.

Dochodziła czternasta; pora bardziej obiadowa niż kawiarniana. W Cafe Blue zajęty był tylko jeden stolik, pod oknem. Bujala siedział tyłem, za to Karolina dostrzegła go natychmiast.

- Jesteś wreszcie! - krzyknęła radośnie.

Przez moment sądził, że ktoś jeszcze stoi za jego plecami i omal się nie odwrócił. Takiego powitania nie oczekiwał. Karolina zerwała się od stolika i zaczęła zbierać swoje drobiazgi. Odwrócił się wreszcie i Bujala.

- To ty się umawiasz z moim kumplem? No, no, już ja się temu Orzechowiczowi przyjrzę! - Niby żartował, lecz zbyt mocno ścisnął zęby i minę miał całkiem niewesołą.

- Przecież uprzedzałam cię, że będę zajęta.

Podawała mu rękę, zostawiła na stole niedopity sok i wyprowadziła z kawiarni lekko otumanionego Konrada.

- Samo niebo cię zesłało - szepnęła konspiracyjnie, gdy już znaleźli się na ulicy, z dala od ciekawskich uszu Bujaly. - Żałuję, że nie mogłeś wypić swojej kawy. Chętnie ci to wynagrodzę w innym lokalu.

Patrzyła po swoim spod wywiniętych rzes. Była bodaj jeszcze piękniejsza niż przed wyjazdem. Ujął ją mocno pod ramię.

- Chcesz powiedzieć, że się za mną stęskniłeś? - spytała.

- A ty za mną?

- Julia ci nie mówiła? Codziennie o ciebie pytam!

Tylko ona potrafiła prawić złośliwości bez złośliwego uśmiechu, z miną tak niewinną, jakby mówiła o urodzie wszechświata.

- Nie mówiła. - Przez moment mierzyli się wzrokiem. - Zjesz ze mną obiad?

- Najpierw wolałabym odwiedzić twoje biuro. Powiedziałam Buja-le, że mam do załatwienia sprawę służbową i niech sobie kłopotek myśli, że to prawda. - Roześmiała się wesoło. Fakt, że uciekła bossowi, wprawiał ją w znakomity nastrój. Wypytywała Konrada o pracę, opowiadała o swojej, lecz już ani słowem nie wspominała o Julii. Wie więcej niż ja, myślał Konrad, i nie musi o nic pytać. Przed wejściem do NOT-u puścił wreszcie ramię dziewczyny, by otworzyć drzwi.

- Wykupiłeś cały budynek? - spytała.

- I wszystkie okoliczne, żeby mi nikt do komputera nie zaglądał -odpowiedział równie poważnie i oboje parsknęli śmiechem. Konrad z zadowoleniem stwierdził, że rozmawia z Karoliną całkiem inaczej niż dawniej, że stać go na swobodę i dowcip. Kiedy przekroczyła próg jego biura i cichutko gwizdnęła, przyjął to jako najszczęśliwszy komplement. Po godzinie przenieśli się do restauracji na parterze budynku. Tu mogli siedzieć bezkarnie. Notina nie budziła żadnych wspomnień.

W końcu sami do nich nawiązali, bo nie dało się inaczej.

- Masz kogoś? - spytał Konrad.

- Nie widziałeś Bujaly? - zdziwiła się niewinnie. - Sam powiedz, czy warto mieć kogoś takiego? Chwilami mam wrażenie, że jak włączam radio, to też słyszę jego głos. Mam alergię na tego faceta.

- Na Bujale nie kończy się świat.

- Jak mnie ustrzeli, to się skończy. Chętnie sama bym go skróciła o głowę, gdyby za gangsterów dawali mniejsze wyroki.

- Dlaczego nam się nie udało? - spytał cicho. Przytrzymał jej rękę, czuł, że wali mu serce i czekał na żart, kpinę, na wszystko, tylko nie na łzy. Piękne oczy zaszklily się niebezpiecznie, Karolina nakryła je powiekami, zamrugła i nie powiedziała nic. - To moja wina, prawda?

- Nie ma twojej, nie ma mojej, jeżeli jest, to nasza - odpowiedziała.

- Spróbujemy jeszcze raz? Ja jestem gotów.

- Gotów to ty jesteś od trzydziestu trzech lat, ssaczku. Ale powiedz, od ilu lat potrafisz wyciągać wnioski z porażek. Właściwe wnioski, nie te wygodne.

- Ty potrafisz?

- Nie! Nie potrafię! - przyznała ze złością. - Dostaję po łbie, ale uparłam się, że nie po to studiowałam, żeby teraz siedzieć w kącie i potakiwać mężowi. Mam swoje ambicje, mam swoje plany i pomysł na własne życie.

- Wiem i chyba zaczynam to rozumieć. Proszę, spróbujmy!

- W Julii siedzi aniołek, we mnie diabełek, dlaczego nie po drodze było ci z aniołkiem?

- Widać diabełki są bliższe mojej naturze. Kochałem Julię, chciałem... Wszystko się rozpadło i nie zostało nic... z wyjątkiem żalu. Nie wiem dlaczego... wiem jedynie, że nigdy żadnej kobiety tak nie pragnąłem jak ciebie.

Karolina dotarła na Budowlanych dopiero wieczorem. Wszystkie zmiany przyjęła wybuchami wielkiej radości. Nie mogła tylko odżalować starej, poczciwej wersalki i za nic nie chciała powiedzieć, z jakich powodów. Przy drożdżówce o mało nie rozpląnęła się z zachwytu.

- Rozumiem, że upiekłaś na moją cześć, ale na czyją intencję wyrabiałaś? Wyrosło cudownie. Sam puch.

- Bardzo się starałam - przyznała Julia. - Waliałam z sercem i chyba mam z głowy rozliczenie z przeszłością. Zamknęłam rozdział, dopisałam słówko koniec, a to znaczy... koniec. Tylko trochę się zapamiętałam i to jest niestety wytrawna drożdżówka. Zapomniałam o cukrze.

Nie bardzo wiadomo, co zabawnego może być w wytrawnym cieście, w każdym razie smarowały drożdżówkę dżemem i pękały ze śmiechu.



Przegadały cały wieczór i pół nocy. Tematy mnożyły się i wyskakiwały jeden z drugiego. Mikula? Zniknął z horyzontu. Dzwonił do Karoliny parę razy, zapraszał do siebie. Ma uraz na punkcie Edyty. Podobno odnalazła go i namawia do powrotu.

- Myślisz, że to możliwe? - spytała Julia.

- Trudno posądzać Wacka o fantazję. Jeżeli tak mówi, to raczej nie zmyśla.

- Swoją drogą, biedna ona. Do tej pory leczy firmę z ciężkiego przypadku choroby, którą na własny użytek nazywamy mikulozą, a nie ma dosyć samego Mikuli! Myślisz, że to miłość?

Karolina nie zareagowała; siedziała zamyślona i Julia musiała ją delikatnie pociągnąć za włosy, żeby wróciła do rzeczywistości.

- Hej, Karolinko, to ja, Julia, poznajesz mnie? Karolina objęła ją gwałtownie i przytuliła.

- Strasznie głupio jest ten świat urządzony - westchnęła.

- Jakieś nowe komplikacje w życiu uczuciowym? Tylko nie mów o Bujale! On mianowicie jest mężczyzną, jednak...

- E! Daj spokój! - wykrzywiła się Karolina. - Prawdziwego chłopca poznasz w akcji, kiepski wyżywa się w gadaniu. To stara prawda, której wcale nie trzeba sprawdzać.

- Miałaś nie mówić o Bujale - śmiała się Julia - tylko o życiu uczuciowym. Jesteś zadurzona?

-A ty?

- Odkochana.

- Rozmawiałaś z Konradem? Julia przestała się śmiać.

- Nie było o czym.

- Zawsze jest o czym. Jeżeli liczysz na domyślność facetów, to się przeliczysz. Im trzeba wszystko wyklądać jasno i klarownie, a i tak połowy nie rozumieją. Są niedoskonałym prototypem człowieka. Ile razy mam ci to powtarzać?

- Zapamiętam sobie na przyszłość, bo rozdział pod tytułem Konrad opatrzony jest słówkiem koniec.

- Na pewno?

Julia tak energicznie pokiwała głową, że Karolina nie mogła mieć żadnych wątpliwości. Jak koniec to koniec.

Bolący ząb można wyrwać, bolący żołądek skazać na dietę, na nogę przyłożyć kompres, lecz co zrobić z bolącą duszą? Julia patrzyła na Wandę Pasieczko i nie wiedziała, co kobiecie poradzić.

- Duszę mam chorą, Juleczko, duszę - wzdychała poetka. Spotkały się na targowisku przy Kaliskiej i Julia w żaden sposób nie mogła zgubić roztrzęsionej Wandy i tym samym wymigać się od odwiedzin. Ludzie przesadnie gościnni i przesadnie uprzejmi zwykle sprawiają otoczeniu same kłopoty. Trudno za serce płacić czarną niewdzięcznością, niestety zwykle podziękowania nie odnoszą skutku. Wreszcie Julii zrobiło się żal obciążonej torbami kobiecinie, wzięła od niej połowę bagażu i poszła na kawusię z ciastuchnem. Wanda rozgadała się na dobre dopiero w domu.

Narzekła na rozstrój żołądka, bała się policji, bała się sądu, najbardziej zaś bała się nowej sąsiadki, pani Oli.

- Jak ta Edyta mogła mi coś takiego zrobić za tyle serca? Gdybym ja powiedziała na policji wszystko, co wiem... no, no.

- To Mikulowa teraz tu mieszka? - zdziwiła się Julia.

- Zastraszyć mnie chciała, dasz wiarę? Mówiła: ty, Wandziu, lepiej milcz i udawaj, że cię tu nie było. Tak mówiła... Jak ja mogłam nie pomóc policji? Musiałam.

- Mikulowa cię straszyla?

- E tam, jaka Mikulowa?! Chyba że niedoszła. - Zaśmiała się złośliwie. - O Edycie mówię. Nie dałam się zastraszyć, to nasłała mi Olę. Jak można wynająć mieszkanie takiej bezmoralnej kobiecie?! Sodomka z gomorką, mówię ci... sodomka... i to pod moim bokiem. Ona jeszcze nie wie, że ja głosy ujarzmiłam. Same mi pod drzwi przyszły, na wycieraczkę się położyły.

Julia wzdrygnęła się i skrzyżowała ręce na piersi. Dosyć miała obłądnego bredzenia Wandy. Z grzeczności udawała, że słucha i bezmyślnie rozglądała się po pokoju. Na parapecie przybył piękny kroton, na stoliku przy telefonie dostrzegła całkiem przyzwoity radiomagnetofon, którego wcześniej nie widziała. W skrytce tkwiła kasetka.

- Słuchasz sobie muzyki? - spytała, żeby choć na moment zmienić temat.

- Nie, nie, tylko wiadomości. Muzyka się popsowała... Ojej, ale mnie w brzuchu kręci! Myślisz, że ona mogła mi zatruć wodę?

Dziewczyna poczuła na plecach niemiłe ciarki. Wanda wyglądała dobrotliwie jak zawsze, zachowywała się jak zawsze, czyli biegała od wizjera do stołu, dbała, żeby ciasto było na talerzykach, a jednocześnie plotła jakieś niesamowite brednie. Złorzeczyła Oli, przeklinała Edytę i chwaliła sukienkę gościa. Wszystko tym samym tonem, na jednej nucie. Co jakiś czas chwytła się za brzuch, wreszcie zatrzepotała gwałtownie rękami i popędziła do łazienki. Julia podeszła do stolika z magnetofonem i machinalnie wcisnęła przycisk.

- Edytaa? Tego... no... to ja. Nie myśl sobie...

Wrażenie było piorunujące. Z łazienki dobiegały odgłosy spuszczonej wody i nie było czasu na logikę. Julia o mały włos nie wyrzuciła zawartości torebki na dywan. Ręce jej drżały z emocji, kiedy dogrzebała się wreszcie do kasety ze starymi tangami. Parę sekund później Wanda zastała ją w fotelu, pogrążoną w myślach.

- A wiesz, Julciu, to ja go zabiłam - powiedziała prawie dobrotliwie.

Julia nie potrafiła wykrztusić słowa. Wpatywała się w Wandę, jakby pierwszy raz w życiu widziała małe oczka w siatce drobnych zmarszczek i zadarty nos.

- Ja! - przytaknęła z dumą. - Aż sama jestem zdziwiona, że zgromadziłam w sobie tyle mocy. Medytowałam, myślałam, wreszcie zebrałam w sobie całą tę moc w jedną kulę i wysłałam człowieka w kosmos. Skąd mogłam wiedzieć, komu Edyta wynajmie mieszkanie po nim?!

Leszek zadzwonił po południu, spragniony wieści o Karolinie. Opowiedziała mu w wielkim skrócie, że ich wspólna przyjaciółka zgłupiała na punkcie małej Zuzanny Wąsik i nie ukrywa, że zachorowała na własne dziecko.

- Próbuje to sama załatwić? - spytał zdziwiony.

- No coś ty? - roześmiała się Julia. - Teraz wyjeżdża na tydzień do Wisły na jakieś szkolenie, a potem zobaczymy... Myślałam, że wpadniesz do mnie - dokończyła zawiedzionym głosem.

- Właśnie za moment będę się ustawiał na twoim zapchanym parkingu. Jeżeli chcesz, możesz zacząć się przebierać w jakieś stare ciuchy.

Rozbawił ją do łez. Sprawdziła, czy ma kawę i herbatę, wstawiła wodę i w biegu poprawiła uczesanie. Kiedy otworzyła drzwi, najpierw zobaczyła wielki bukiet pąsowych róż, dopiero potem Leszka. Był pachnący, uroczy i jeszcze bardziej elegancki niż zwykle. Kobięca intuicja podpowiedziała jej, że nadeszła chwila wielkich decyzji. Od pewnego czasu, dokładnie od pamiętnej wizyty w gabinecie Bujaly, niczego w swoim życiu nie reżyserowała. Szła na żywioł i była to o wiele wygodniejsza droga. Nie zastanawiała się wcześniej, jak i kiedy Leszek poprosi ją o rękę, wiedziała jednak, że ta chwila nadejdzie i wiedziała, jaką da odpowiedź. Uparty chłopak wygrał z jej lękiem i z obojętnością. Chociaż nie, obojętności w niej nigdy nie było. Przyjaźń, wielka sympatia, przez jakiś czas strach, ale nie obojętność.

- Biedroneczko! - Był wzruszony i głos mu leciutko drżał. - Moja śliczna biedroneczko, czy chcesz tego oto mężczyznę, Leszka Wydronia, za męża? Znam faceta od trzydziestu pięciu lat. O wadach nieskładnie teraz mówić, więc powiem o jego trzech największych zaletach: po pierwsze kocha cię, po drugie kocha cię bardzo, po trzecie kocha cię jak wariat. - Spowaźniał nagle i podszedł do Julii całkiem blisko. Nie broniła się, kiedy zaczął ją całować. - Nie masz pojęcia, jak ja cię Kocham - powtórzył.

- Wiem - powiedziała. - I dlatego wezmę za męża Leszka Wydronia, bo też go kocham.

Ostry gwizdek czajnika sprowadził ich na ziemię. Julia musiała zająć się parzeniem herbaty. Kiedy wróciła z filiżankami, przyciągnął ją do siebie.

- To jeszcze nie koniec, Julio! - powiedział.

Poczuła i zaraz potem zobaczyła, że wsuwa jej na palec pierścionek, ten sam, który oglądała u niego na biurku: brylancik w platynie, ze złotą obrączką.

- A to miał być dodatek do prezentu. - Podał jej kopertę z aktem darowizny ziemi i chichotał już całkiem radośnie. - Miałem ci to wręczyć, gdybyś uznała mnie za partię niepoważną. Kiedyś tak ładnie mówiłaś o gruntach, pamiętasz, to sobie pomyślałem, że dam ci te grunty choćby na papierku. Kto się dał powiesić dla dobrego żartu? Cygan czy kowal?

- Powiesić dla żartu? Nie głuptak czasem?

- A, wszystko jedno. Jestem szczęśliwy i tak zakochany... tak zakochany od tylu miesięcy...

- Nie zrozum mnie źle... ale co z twoją wiernością? - Spojrzała spod rzęs. - Myślę o...

- Wiem, o czym myślisz. Zastanawiam się tylko, czy masz rację? Moja absolutna wierność, kochanie, zaczyna się od momentu, kiedy usłyszałem od ciebie „tak”.

- Dobrze. Wobec tego i ja mam dla ciebie prezent - uśmiechnęła się Julia i położyła przed Leszkiem na stole kolorową paczuszkę. Znalazł w

niej nowiutką szczotkę do zębów, jednorazową maszynkę do golenia i krem. Niczego więcej nie potrzebował.

Julia bardzo lubiła jesienne kolory - wszystkie te złocistości, beże i czerwienie dzikiego wina -jednak za samą porą roku nie przepadała. Dni były coraz krótsze, zamglone i nostalgiczne. Nie spała od piątej, żeby tylko nie spóźnić się do pracy. Ledwie nauczyła się żyć i mieszkać samotnie, Leszek zaczął namawiać ją do przeprowadzki. Nie śpieszyła się. Serce ciągnęło ją na Świętego Antoniego, rozsądek kazał zostać na Budowlanych i to co najmniej przez najbliższy miesiąc. Skończyły się czasy, gdy inżynier Blenda z niechęcią siadała za biurkiem. Teraz nie miała czasu na zjedzenie drugiego śniadania. Kupowała i instalowała sprzęt, szkoliła pracowników, wprowadzała nowe programy. Uczyła się przy tym przez cały czas. W domu zasypiała obłożona fachową literaturą. Parę razy, kiedy nachodziły ją poważniejsze wątpliwości, skorzystała z rad inżyniera Kicińskiego. Edyta nie kryła zadowolenia.

- Wiesz co? Niczego już nie rozumiem - powiedziała któregoś dnia, kiedy Julia zajrzała do jej gabinetu. - Dzisiaj w nocy Chochła zagrał mi tango!

- Może to było ostatnie tango? - zapytała Julia z tajemniczym uśmiechem. Nie dodała nic więcej. Ktoś zgubił, ktoś znalazł, jeszcze inny ktoś wykradł, ale to już nie miało znaczenia. Własnoręcznie pocięła taśmę nożyczkami na makaron i w ten sposób uwolniła od lęków nie tylko Edytę. Sama też się uspokoiła i uznała za oczywistą interpretację Leszka. Pierwszy telefon, ten do niej, kiedy Karolina podrywała Chochlę na borsuczka, był, jego zdaniem, ewidentną pomyłką. Wanda Pa-sieczko zadzwoniła do sekretariatu do Edyty, nie do Julii. A to, że puściła ten akurat fragment

nagrania, to już sprawa przypadku bądź nieumiejętności w obsłudze magnetofonu.

- Słyszałaś o nowej rewelacji w śledztwie? - spytała Edyta. - Głównym oskarżonym jest teraz świętej pamięci Serafin. Ciekawe, czy wlepią mu dożywocie? Straszny złoczyńca był z tego chłopaka, nie uważasz?

Julia wyszła z gabinetu przygnębiona. Jemu teraz jest wszystko jedno, myślała, a mnie i tak nikt nie uwierzy.

- Pani Julio! - Grażyna Orska wybiegła zza biurka. - Była pani kiedyś w Wiśle?

- Byłam, i to kilka razy.

- Radek mi właśnie przysłał widokówkę. - Podsunęła Julii kolorowe zdjęcie.

Konrad w Wiśle? No, no, a raczej fiu, fiu, pomyślała Julia.

W skrytce na listy była kartka od Karoliny. Parę godzin wcześniej oglądała identyczną u Orskiej. Uśmiechnęła się. Właściwie całkiem dobre rozwiązanie, pomyślała, pod warunkiem, że zmądrzał i nie zabroni Karolinie spotykać się ze mną.

Przyjaciółka odezwała się dopiero następnego dnia. Była w skowronkowym nastroju i opowiadała o wszystkim naraz.

- Zgadnij, z kim byłam?

- Wiem, z kim byłaś, nie muszę zgadywać - odpowiedziała Julia spokojnie.



- Czy to ciebie zabolalo?

- Nie zabolalo.

Karolina odetchnęła z ulgą. Wydawała się odmieniona i szczęśliwa. Nie myślała o stałym związku, przypieczętowanym w urzędzie, śmiała się, że jeżeli będzie tak, jak prorokuje Konrad i tak jak ona myśli, to za jakieś trzydzieści lat powinni się dotrzeć.

- A co w firmie? Co porabia mój następca, magister Portulak?  
- spytała. - Wciąż robi maślane oczy na twój widok?

- Och, Portulak... naczelny dziwak firmy. Ostatnio przekonuje mnie, że w samej pracy nie ma nic ciekawego. Po prostu rano wypada gdzieś iść i człowiek z rozpędu idzie właśnie do pracy. Zabawny jest i już go nie myślę z zasuszonym kleszczem. Jednak pustki po tobie i po Leszku nie jest w stanie zapełnić.

- A co u Leszka? - spytała ostrożnie Karolina.

- Niedługo będzie się żenił.

Głuche milczenie z drugiej strony słuchawki świadczyło, że Karolina doznała chwilowego szoku.

- Z kim? - spytała w końcu.

- Ze mną - odpowiedziała pogodnie Julia.

- Ach ty wredoto! - wykrzyknęła Karolina. - Nie mogłaś od tego zacząć?

Rozchichotały się, rozgadały. Na szczęście ani w Toruniu, ani we Włocławku nie było nikogo, kto chciałby im przerwać to świergotanie. Karolina cieszyła się szczerze, autentycznie i podwójnie.

Ostatni telefon tego wieczoru należał do pani Blendowej. Zadzwoiła jak zwykle z bogatymi przemyśleniami na temat mezaliansu córki.

- Ten Orzechowicz, Julio, to nie dla ciebie partia.

- Tak, mamó. Teraz przeszłam do partii Leszka Wydronia. Niedługo się pobieramy.

- Wydroń... Wydroń? Kto to taki? Wykształcony? Co robi? Czym zajmują się jego rodzice?

- Ojciec był lekarzem, matka muzykiem, a on...

- Zaraz, zaraz, dziecko. Akurat to wiem: ten Wydroń jest żonaty z młodszą...

- Już rozwiedziony, mamó.

Pani Blendowa wpadła w histerię - już lepszy ten Orzechowicz niż rozwodnik! - i Julia musiała przerwać połączenie. Na samą myśl o codziennych telefonach matki dostawała białej gorączki. Całkiem niepotrzebnie. Pani Emilia zadzwoniła następnego dnia, by się upewnić, że córka nie żartowała, i zamilkła. Julia mogła czuć się wyklęta.

- Ja ciebie kocham, Kallino... boska moja!

Julia oderwała oczy od ekranu i spojrzała na mężczyznę obok. Poszukała jego ciepłej ręki. Uśmiechnęła się do wspomnień. On pomyślał,

że do niego, i odpowiedział ciepłym uśmiechem. Nie umiał patrzeć na nią inaczej jak tylko z zachwytem. I pewnie dlatego nie chciała już grać Ligii, Poppei ani nikogo - tylko Julię Wydroniową. Zanim ekipa nakręciła film, ona zbudowała sobie nowe życie. Miała kochającego męża, piękne mieszkanie, niezależność finansową i ambitną pracę. Była naprawdę szczęśliwa.

Patrzyła przejęta na ekran. Wciąż trwała uczta w pałacu Nerona. Znała na pamięć większość dialogów, powtarzała je w myślach za aktorami. Pochłonięta filmem nie przegapiła jednak malutkiego drgnięcia, ledwie uchwytnego poruszenia gdzieś w głębi siebie. Ścisnęła z całej siły rękę Winicjusza... to znaczy Leszka i położyła tę rękę na swoim brzuchu, w miejscu, gdzie przed chwilą po raz pierwszy poruszyło się nowe życie. Zrozumiał i do końca filmu częściej patrzył na żonę niż na ekran.

Julia Blenda, bohaterka nowej powieści Ireny Matuszkiewicz (znakomita debiutancka „Agencja Złamanych Serc”), jest dziewczyną stuprocentową. Bo i nowoczesną - inżynier informatyk! - i rozkosznie staroświecką zarazem: najlepiej by się czuła w silnych męskich ramionach, najchętniej sławnego i przystojnego aktora. Julia oczywiście na to jak najbardziej zasługuje - jest śliczna, dowcipna i wrażliwa. Tyle że mieszka we Włocławku. To zaś oznacza pokój przy rodzicach, etat za 800 zł w szemranej firmie na krawędzi bankructwa i żadnych aktorów w zasięgu wzroku. Żadnych też komputerów, tylko pomaganie sekretarce i wyreżanie sprzątaczk... Słowem, życie w nieupiększonej rzeczywistości Polski współczesnej, przyprawionej zbrodnią, szantażem, dewiacjami, dobrze nam znanym brudem. W takich warunkach Julia, wyposażona w oręż wydawałoby się archaiczny - wierność wartościom - walczy o ocalenie tego, co najcenniejsze: przyjaźni i miłości.

**MW**